MARTA KŁADŹ-KOCOT

NOC KOTA
DZIEŃ SOWY

GENIUS CREATIONS

Marta Kładź-Kocot

NOC KOTA
DZIEŃ SOWY

GENIUS CREATIONS

Mojemu Najbliższemu Mirkowi
i Tośce, Najwspanialszej Siostrze na Świecie
– dwóm Najbardziej Kocim Osobowościom

W pierwszym tomie…Zamek Cieni

Do Castelburga przybywa wysłannik Bractwa, młody Virbio Allenmargh. Powierzono mu pewną misję – powinien skontaktować się ze szpiegiem, Dionisiusem Grandinim, i razem z nim zorganizować spisek mający na celu obalenie Księcia, który kilka lat wcześniej przejął władzę nad miastem i tajemniczym Zamkiem Cieni. Grandini, który swoje informacje czerpie od zamkowej ochmistrzyni, Giulii Baldini, podejrzewa, że Książę posługuje się magią, chce więc zwerbować do pomocy czarodzieja Jardala, zamieszkującego w castelburskiej wieży. Virbio dowiaduje się, że wraz z magiem mieszka młoda kobieta, czarodziejka Mitria, znana również jako Mear de Witten, uboga krewna książąt Cantaleny.

Mitria i Jardal zostali wygnani z Emain Avallach, siedziby magów, kiedy odkryto, że łączy ich zakazana miłość. Rzucono na nich czar: Jardal w nocy zmienia się w kota, a Mitria za dnia przybiera postać sowy. Mogą przebywać ze sobą w ludzkiej postaci tylko dwa razy na dobę: podczas porannej i wieczornej Godziny Zmieszania Świateł. Chcieliby wyzwolić się od klątwy, ale nie wiedzą, czy można w jakikolwiek sposób wpłynąć na to, by przywódczyni magów i Mistrzyni Glinianej Pieczęci, Evelyn von Stein, zmieniła zdanie i cofnęła zaklęcie. Nikt oprócz Mitrii nie wie o tym, że Jardal jest Wędrowcem Światów, kimś, kto żył wiele razy w różnych rzeczywistościach i potrafi przenieść się do Międzyświata. Oboje z Mitrią mają przeszłość, której nie zdradzili współtowarzyszom z Emain Avallach: Jardal przybył do tego świata ściągnięty przez ułomnego maga Mime’a, którego następnie w wyniku tragicznego splotu okoliczności zabił, a Mitria przeżyła naprawdę nieprzyjemnie dzieciństwo pod opieką zimnej ciotki i obojętnego wuja.

Rodzącą się pomiędzy Mitrią i Jardalem miłość zaczynają obserwować Prządki Rzeczywistości. Wiedzą one, jak wielką moc mają opowieści o miłości, próbują więc wyłuskać tę jedną nić z kłącza możliwych zdarzeń i obdarzyć ją pełną uwagą. Dla Prządek, które widzą wszystkie możliwe odnogi kłącza, cały możliwy splot potencjalnych odgałęzień rzeczywistości, jest to zadanie trudne. Muszą zrezygnować z własnej wszechwiedzy i dostosować swoją percepcję do śledzenia ułomnych ludzkich działań – takie Obserwowanie czynią więc przedmiotem Eksperymentu. Będą z uwagą śledziły, jak tworzy się opowieść.

Zanim wygnano Mitrię i Jardala, Mistrzyni podjęła jeszcze jedną kontrowersyjną decyzję. Skazała na śmierć Bibliotekarza z Emain Avallach, Torego Harberga, człowieka na pozór niepozornego i skromnego. Inny mag, Adelard z Tradivy, odkrył obciążające Torego listy, wysyłane do władców i wywiadów wielu państw-miast. Treść listów wskazywała na polityczną intrygę:

Bibliotekarz chciał zmienić układ sił i zakulisowo sterować mechanizmami władzy. Ingerowanie w polityczne i historyczne przemiany, zwane w świecie magów obrotami Koła Dziejów, było surowo zabronione, Tore poniósł więc śmierć, a nikt z Kręgu ani Kapituły nie sprzeciwił się tak okrutnemu wyrokowi. Magowie czuli się potem jednak wyjątkowo parszywie, zaczęli więc stopniowo opuszczać Emain Avallach. Adelard z Tradivy jakiś czas później odkrył, że sama Mistrzyni zniknęła z Emain, a w Komnacie Pieczęci pozostał jedynie jej zausznik, Hargon z Emmendath. Evelyn komunikuje się z nim za pomocą lustrzanego teleportu i zmusza do posyłania tą drogą nieprawdopodobnych ilości magicznej energii.

Tymczasem w Castelburgu Grandini próbuje zorganizować rewolucję i zamach na Księcia, jednak na każdym kroku napotyka na opór. Jardal nie wydaje się chętny do współpracy, zaangażowany w sprawę bankier Fosci wysuwa własne roszczenia, a dawni castelburscy patrycjusze, obecnie tworzący Bractwo, okazują się bandą nadętych i tchórzliwych, za to przekonanych o własnej ważności głupców. Angażują po swojej stronie słynnego dowódcę kondotierów, Jastrzębia, jednak nie mają konkretnego planu ataku na Zamek Cieni. Przywykli do tego, że oni rozkazują, a inne sprawy organizują się same. Kiedy więc namówiony przez Grandiniego Jardal przybywa w końcu na spotkanie Bractwa, kończy się ono raczej nieprzyjemnie. Powracający z tego zebrania mag zostaje pojmany i zamknięty w lochach pod Zamkiem Cieni, a Grandini nie ma pojęcia, kto i dlaczego zdradził.

Tymczasem Mitria odkrywa, że klątwa słabnie, kiedy znajduje się daleko od Jardala. Może wtedy dobrowolnie zmieniać się w sowę lub pozostawać we własnej postaci, zależnie od woli i potrzeby. Udaje się do Tir Taingiri na spotkanie z inną czarodziejką, Vereną Haage, licząc na to, że uzyska jakieś wartościowe informacje. Razem próbują ocalić od katastrofy przybijający do portu statek. Wśród ocalonych rozbitków znajduje się mag Justin Fern, który przyłącza się do kompanii. W wieży w Tir Taingiri zastaje Mitrię posłaniec z listem od Grandiniego, informującym o aresztowaniu Jardala. Czarodziejka w pośpiechu wyrusza do Castelburga, a Justin i Verena postanawiają jej towarzyszyć. Od Justina czarodziejki dowiadują się również, że krążą pogłoski o zniknięciu Mistrzyni Evelyn von Stein i o tym, że kryzys w Emain Avallach ma jakiś związek z tym, co dzieje się w Castelburgu.

Za aresztowaniem Jardala stoi – o czym Grandini nie ma pojęcia – Giulia Baldini, zamkowa ochmistrzyni, która pierwotnie zadeklarowała udział w spisku przeciwko Księciu. Nikt jednak nie wie o tym, że Sirocco, groźny dowódca książęcej Gwardii Morgh, jest w istocie kobietą o nazwisku Lorentina Baldini,

córką Giulii, a sama ochmistrzyni śmiertelnie nienawidzi magów, ponieważ jeden z nich uwiódł ją kiedyś, a kiedy zaszła w ciążę, zostawił.

Mitria z towarzyszami przybywa do Castelburga i próbuje dowiedzieć się od Grandiniego, co się wydarzyło i jak uwolnić Jardala. Okazuje się, że spiskowcy, przerażeni aresztowaniem czarodzieja, zaniechali wszelkich działań i uciekli w popłochu, a zirytowany takim postawieniem sprawy kondotier Jastrząb odmówił dalszej współpracy. Mitria nie jest zainteresowana obaleniem Księcia, chce jedynie za wszelką cenę uwolnić Jardala. Z braku lepszego pomysłu postanawia posłużyć się swoim książęcym tytułem i złożyć tyranowi oficjalną wizytę. W tym celu Grandini werbuje dla niej „świtę" w postaci trzech portowych dziwek i jednej mieszczanki. W asyście Justina Ferna i Virbia wyruszają do Zamku Cieni i ku własnemu zdziwieniu zostają wprowadzeni do środka, a Książę udziela im audiencji. Niewiele się jednak o nim dowiadują – widzą tylko zbroję, z której wnętrza ktoś przemawia głuchym głosem. Księciu towarzyszy tajemnicza kobieca postać, okryta welonem.

W czasie audiencji wydarza się coś dziwnego – wszystko spowija mgła, a Mitria i jej towarzysze stopniowo zostają rozdzieleni. Każdego z nich spotyka inna przygoda, każdy ma własną wizję. Justin spotyka dawno zmarłą ukochaną, panny lekkich obyczajów ludzi, którzy je kiedyś prześladowali, a mieszczaneczka Fionka potwornego skorpiona z ludzką głową. Mitria trafia najpierw do lustrzanej sali, a potem do wyobrażonej krainy umarłych, gdzie napotyka Gilgamesza, mitycznego bohatera. Tymczasem Virbiowi zwiduje się, że czarodziejka go uwiodła. Stopniowo Mitria odkrywa, jak unieważnić magię luster i unicestwić wiarę w opowieści, które przejmują władzę nad bohaterami. Gilgamesz okazuje się jednak kimś więcej niż tylko ułudą wytworzoną przez Zamek Cieni. Połączeni członkowie drużyny schodzą do zamkowych lochów, żeby poszukać Jardala, i znajdują go, niesionego przez dwóch pachołków i eskortowanego przez kobietę w stroju gwardzisty. Udaje im się odbić go i wydostać z Zamku Cieni, choć na dziedzińcu sługa Księcia, Machiavello Niccoli, zapowiada im, że będą musieli powrócić i stawić czoła widmom i cieniom podświadomości, które Zamek z nich wydobył.

Uwolniony Jardal pozostaje nieprzytomny. Został poddany torturom i aby uciec od okrutnych majaków, przeniósł się połowicznie do Międzyświata. Tylko Mitria podejrzewa, co tak naprawdę się z nim stało, nie zdradza się jednak przed towarzyszami, bo zdaje sobie sprawę, że Wędrowcy Światów są przez czarodziejów postrzegani jako zagrożenie – i najczęściej eliminowani. Czarodziejka obawia się gróźb Machiavella Niccolego i decyduje, że wszyscy, którzy odwiedzili Zamek Cieni, powinni opuścić miasto. Do wyprawy przyłączają się Grandini i Verena Haage, którzy zostają również kochankami –

ale dopiero po nocy spędzonej w wieży magów, kiedy Verenę odrzucił Justin Fern, wierny pamięci zmarłej ukochanej.

Kiedy wędrowcy docierają do małej miejscowości zwanej Verit, natrafiają na egzekucję tarrenckiego szpiega – co szalenie oburza Justina, który jest z pochodzenia tarrenckim arystokratą. Zwłaszcza że młodzieniec, którego poduszczeni przez kapłana rajcy chcą powiesić, nie jest ani szpiegiem, ani nawet Tarrentczykiem. Mimi, jedna z portowych prostytutek, rozpoznaje w nim swojego dawnego znajomego, Janto z Ugrii. Ocala chłopaka spod szubienicy, decydując się go poślubić. Reszta kompanii wyrusza w dalszą podróż. Mitria ma zamiar dotrzeć do cieszącego się wielkim szacunkiem maga Aurelianusa z Xanty. Ma nadzieję, że on pomoże sprowadzić Jardala z Międzyświata i uzdrowić go.

Tymczasem Sirocco, kapitan Gwardii Morgh, udaje nieprzytomną w obawie przed gniewem Księcia. Zawiodła, zbyt intensywnie torturując Jardala i pozwalając jego towarzyszom go odbić. Matka dziewczyny, Giulia Baldini, próbuje ją chronić.

CZAS INNYCH MIEJSC

Cantia von Essen spoglądała w lustro. Z jasnej twarzyczki o nieco trójkątnym podbródku patrzyły na nią duże, wilgotne, sarnie oczy, na które opadały gęste ciemnokasztanowe włosy. Biała szata luźno opinała szczupłe, gibkie ciało siedemnastolatki.

– Pospiesz się – powiedziała Leta Therrus. – I lepiej się przebierz. Do podróży po gościńcu męski strój będzie lepszy od ubioru adeptki. Masz tu kaftan, płaszcz, spodnie i buty. I pas ze sztyletem, jeśli chcesz.

Sama Leta stała pośrodku komnaty, odziana w wełnianą suknię i ciepłą podróżną opończę, spiętą misterną srebrną klamrą. Nadspodziewanie wysoka i dostojna.

– Czy... jesteś pewna? – zapytała baronówna.

– Oczywiście, moje dziecko – odparła cierpko czarodziejka. – Kiedy wzywa Aurelianus z Xanty, trzeba jechać. Mam do niego bezwzględne zaufanie.

– Ale...

– Chodzi ci o to, czy w moim wieku dam radę? No cóż, spróbuję. – Uśmiechnęła się. – Wierz mi, potrafię jeszcze niejedno. A ze mną na gościńcu jest bezpieczniej niż w Emain beze mnie.

Kiedy wyjechały za bramę krytym płótnem wozem, Cantia obejrzała się i obrzuciła szare mury melancholijnym spojrzeniem. Siedziba magów, której ciężki zarys wydobywało z mroku poranne słońce, stanowiła kłębowisko zagadek, a czasem sprawiała wrażenie gniazda jadowitych żmij. Ale dla młodej adeptki była jej pierwszym na świecie domem. Baronówna wysiliła spojrzenie, próbując spoza szeroko blankowanego muru dostrzec zarys wieży z wystającym z niej balkonem Lety.

– Nie oglądaj się – szepnęła siedząca obok na koźle wiekowa czarodziejka. – Nigdy nie oglądaj się wstecz.

Minęły tonące w porannych mgłach wioski Itar i Derk, gdzie spomiędzy zabudowań dobiegało pianie kogutów i muczenie krów. Dalej gościniec zagłębiał się w wilgotny las, pełen mchów, paproci i rozśpiewanych ptasich głosów. Słońce wschodziło coraz wyżej i zaczynało już przeświecać na ukos pomiędzy pniami. Cantia wciągnęła w płuca rześkie poranne powietrze i nagle poczuła, że dobrze jest po prostu żyć i tak sobie podróżować w nieznane.

Baronówna bardzo szybko nauczyła się powozić i często siedziała na koźle sama, podczas gdy starsza czarodziejka wypoczywała we wnętrzu wozu na wygodnym posłaniu ze skór. Ze związanymi włosami, w chłopięcym stroju i

kołpaczku z piórkiem Cantia mogła sprawiać wrażenie młodego pacholika, toteż w nielicznych spotkaniach z chłopskimi i kupieckimi wozami oraz konnymi rycerzami nie wzbudzała szczególnego zdziwienia. W razie zaś konieczności wystarczało, żeby ze środka wyłoniła się twarz Lety, która z kolei aż nadto wyglądała na doświadczoną czarodziejkę. Rozpuszczone, ciągle jeszcze gęste srebrne włosy wieńczył diadem z intensywnie błyszczącą na czole diamentową gwiazdą. Pod nim świeciły prawie równym blaskiem świdrujące, przenikliwe czarne oczy. Gdyby tego było mało, wystarczała z reguły runa nakreślona w powietrzu piękną, choć niemłodą białą dłonią. Nie było odważnego, który po tej demonstracji kontynuowałby zaczepkę.

Nocowały z reguły we wsiach, korzystając, dopóki było to możliwe, z dobrodziejstw jakiej takiej, ale zawsze cywilizacji. Wieśniacy bardzo chętnie udzielali jadła i gościny, a w zamian za to Leta leczyła ich choroby i wypowiadała dobroczynne zaklęcia nad dziećmi i chudobą. Niekiedy pozwalała, by z mniej poważnymi dolegliwościami radziła sobie Cantia. W ten sposób, gdy gościniec minął gęściej zamieszkane tereny i skręcił z powrotem w las, miały pełen wóz jaj, serów, podsuszanych kiełbas i wędzonych ryb. Leta żartowała, że brak im bodaj w inwentarzu tylko żywych kurczaków, którymi miejscowi również bardzo chętnie by płacili. Nie sprzeciwiała się gromadzeniu żywności, choć z Emain wzięły ze sobą całkiem solidne zapasy.

Bór zgęstniał, a gościniec stopniowo zwęził się do pooranej bruzdami kół drogi wiodącej małym wąwozem. Boczne ścieżki skręcały czasem w kierunku meandrującej w pobliżu rzeki. W tych miejscach znajdowała się zwykle udeptana trawa i ślady po obozowiskach przejeżdżających tamtędy podróżnych. Wieczorami zatrzymywały się na takich polanach. Cantia rozpalała ogień za pomocą magii, po prawdzie nie mając pojęcia, jak należałoby to zrobić normalną metodą, wieszała nad nim mały kociołek i gotowała ciepłą strawę, którą Leta określała zwykle jako warunkowo zdatną do jedzenia. Warunkiem było to, żeby sama Leta skorygowała na koniec kulinarne poczynania swojej młodej przyjaciółki. Kiedy ograniczyła się do magicznego usunięcia z domniemanej zupy nadmiaru soli, Cantia uznała, że robi zdecydowane postępy. Coraz rzadziej czuła tkwiącą gdzieś koło serca bryłę lodu. Coraz rzadziej budziła się w nocy zlana potem, nie pamiętając i nie chcąc pamiętać snów. Za to wysysała krew z palców poranionych lejcami i cięciwą łuku. Krew miała mocny, słony smak.

*

Verena Haage oparła nogi o jedwabny puf, pilnując, aby spowijająca je szkarłatna aksamitna suknia odpowiednio się udrapowała. Odrzuciła w tył kaskadę czarnych włosów i wypiła łyk wina z małej kryształowej czarki. Jej

wzrok prześliznął się po wnętrzu namiotu, rejestrując brokatowe zasłony, kosztowne wełniane kobierce, kufry z cedrowego drzewa, wyścielające podłogę i siedziska skóry, mały stolik inkrustowany bawolą kością. Mimowolnie pomyślała, że jak na potrzeby i gusta najemnego kondotiera wnętrze namiotu urządzone zostało ze zbyt wielkim przepychem. Widać właściciel lubił się pokazywać. Darowała sobie jednak komentarze.

Naprzeciw Vereny siedział czarodziej w fioletowym płaszczu. Światło świecy lśniło w rubinowym oku pierścienia na jego palcu. Pod płaszczem nosił czarny adamaszkowy kaftan, ozdobiony łańcuchem z matowego złota. Wysokie, miękkie buty z klamerkami i wąskie, doskonale skrojone spodnie dopełniały stroju. Tyle że wysuwająca się z rękawa kosztownej odzieży dłoń była uwiędła i pomarszczona. Długie, założone za uszy włosy czarodzieja zdradzały ślady przerzedzenia i siwizny. Sine worki otaczały zmęczone, przekrwione oczy. Wyrazisty podbródek z małym wgłębieniem z pewnością nie został tego dnia ogolony.

− Jak się masz, Lagercranz? – zapytała Verena Haage. Czarodziej odkaszlnął i machnął ręką.

− Kopę lat – kontynuowała, odrzuciwszy w tył włosy. – Ile to? Nie będę liczyła. I, jak widzę, niewiele zmądrzałeś. Wciąż fascynują cię kosztowne tkaniny, błyszczące kamyczki i brzęczące monety. Ciągle wkupujesz się w łaski możnych albo takich, którzy na możnych wyglądają. I wciąż nieudolnie próbujesz kopiować Adelarda z Tradivy.

Czarodziej posłał jej wściekłe spojrzenie.

− A tymczasem, jak widzę – mówiła dalej, szukając wygodniejszej pozycji na jedwabnych pufach – nawet zaklęcia powstrzymujące upływ czasu ci nie wychodzą. Starzejesz się, Lagercranz. Nieuchronnie się starzejesz.

− Idź do wszystkich demonów, Haage – odchrząknął wreszcie mag. – Po co tu przyjechałaś? Szydzić ze mnie?

− Oj, gniewamy się. – Czarodziejka zacmokała z udanym zmartwieniem. − Niełądnie. Ktoś już zapomniał, jak klękał przede mną, błagając o pukiel mych włosów jako preludium do innych łask. Obiecując, że gotów jest zrezygnować z bycia magiem i z życia w Emain Avallach.

− Lata temu – warknął. – Jak raczyłaś słusznie zauważyć. Ponawiam pytanie. Po co właściwie przyjechałaś?

− Zdobyć pewne istotne informacje. – Czarodziejka odchyliła się i oparła o haftowane poduchy, unosząc ręce, żeby jej biust odpowiednio zarysował się pod suknią. – Ale widzę już, że traciłam czas. Ty ich nie masz.

− Pewnie nie mam. Nie jestem więc łupem godnym twojej uwagi, Haage. Możesz już przestać się wystawiać na sprzedaż.

Palce czarodziejki zacisnęły się na kryształowym pucharku, a zimne oczy zalśniły niebezpiecznie.

− Za droga jestem – syknęła. – Nie stać cię.

− W tej chwili pewnie nie. Ale za jakiś czas… kto wie. – Lagercranz podrapał się za uchem. Na jego chuderlawych ramionach i zapadniętej piersi adamaszkowy kaftan wisiał jak na kołku.

− Życzę ci serdecznie takiego powodzenia, żebyś mógł zacząć żywić podobne złudzenie. Ale zapewniam, że nigdy, przenigdy nie będzie cię stać.

− Być może. I wiesz, Haage, jakoś nie będę płakał. Jak wspomniałaś, minęło wiele lat. Towar już nie ten, a i etap padania na kolana dawno mam za sobą.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, czarodziej nazwany Lagercranzem leżałby już z pewnością na jedwabnych poduszkach nie tylko martwy, ale i zmumifikowany. W tej chwili jednak płachta wejściowa zakołysała się i do środka wkroczył wysoki, szczupły mężczyzna, odziany w czarny skórzany kubrak naszyty srebrzonymi płytami, obcisłe czarne spodnie i wysokie buty. Długi czarny płaszcz spięty miał klamrą wysadzaną ametystami, a biodra opinał mu pas ze srebrnych płytek, do którego przypasany był miecz ze srebrzoną głowicą, w którą wprawiony był ogromny rubin. Verena złowiła okiem błyski ametystów i pomyślała, że czerń, fiolet i srebro w męskiej odzieży będą ją prześladowały do końca jej dni.

− Przykro mi, że muszę przerwać tę miłą pogawędkę – kondotier oparł kostki palców o inkrustowany stolik – ale niedługo czas nam w drogę. Musimy się pożegnać, pani magiczko. Nie zabieram kobiet ze sobą.

− To się jeszcze okaże – syknęła czarodziejka. Była już rozzłoszczona jak kotka i z trudem nad sobą panowała. Jej palce mimowolnie zakrzywiły się lekko i posypały się między nimi drobne iskry.

Kondotier zwrócił się w jej kierunku. Czarne, rzadkie włosy lepiły mu się do czoła, a pośrodku twarzy widniał wydatny, zakrzywiony nos, dzięki któremu zyskał miano Jastrzębia. Oczy były szarożółte, o ostrym, przenikliwym spojrzeniu, jak u drapieżnego ptaka. Mówiono o nim, że wyrok śmierci na dezerterów i na tych, którzy bez jego zezwolenia zabrali się za rabowanie podbitych grodów i gwałcenie niewiast, wydaje samym zmrużeniem powiek. Inna sprawa, że kiedy zezwolenia udzielał, w zdobytych miastach nie pozostawał kamień na kamieniu. Od tych, którzy go wynajmowali, żądał niemożliwie wysokiego żołdu, ale był również przerażająco skuteczny.

Verena dyskretnie rzuciła na siebie zaklęcie uspokajające.

− Dokąd tak spieszycie, panie? – zapytała słodko.

− Czy wyglądam na kogoś, kto odpowiada na pytania? – Jastrząb uśmiechnął się samym kącikiem ust. Drapieżnie.

− Nie. – Czarodziejka zamieszała wino w czarce, po czym wypiła je jednym zamaszystym łykiem. – Absolutnie na to, panie, nie wyglądacie. Zdajecie się raczej być kimś, kto pytania zadaje, i to nie przebierając w środkach. Tyle że zasób odpowiedzi, które w ten sposób możecie uzyskać, jest ograniczony.

− Jest wystarczający. Możecie, pani, wierzyć.

− Upierać się jednak będę przy tym, że jest ograniczony. – Verena popatrzyła prosto w żółte, drapieżne oczy kondotiera. – Za pomocą tortur, zastraszania i przymusu uzyskacie tylko tyle, że ktoś powie wam nie to, co wie, ale to, co pragniecie usłyszeć. Czasami pewnie na tym właśnie wam zależy. Ale jeśli chcecie poznać prawdziwe odpowiedzi, musicie się nauczyć rozmawiać. Co między innymi oznacza odpowiadanie na pytania.

Lagercranz po drugiej stronie inkrustowanego stolika zaczął wiercić się niespokojnie. Jastrząb wyminął go, przysunął sobie rzeźbione karło i usiadł, wyciągając przed siebie długie nogi.

− Sugerujecie, pani czarodziejko – wpatrzył się w Verenę swoimi oczami drapieżnego ptaka – że posiadacie pewne informacje, które mogłyby mnie zainteresować. Nie wiem, skąd czerpiecie wiedzę na temat moich zainteresowań, ale załóżmy, że wam wierzę i gotów jestem, hmm… porozmawiać. Panie mają pierwszeństwo.

Czarodziejka parsknęła perlistym, wymuszonym śmiechem. Poprawiła na nadgarstku bransoletę z agatów. Nawinęła na palec czarny lok.

− Przyjeżdżasz z Castelburga – powiedziała. – Widziałam cię tam w tłumie na ulicy. Nosiłeś opończę z kapturem, ale ten twój nos, panie kondotierze, poznałabym w każdym zaułku portowej dzielnicy. Poza tym ktoś nieostrożny wymienił mimochodem twoje nazwisko. Czy też raczej przezwisko. I przypuszczam, że gdziekolwiek teraz się wybierasz i do kogokolwiek nająłeś się na służbę, tego kogoś rad byś odnaleźć.

− Ten ktoś – kondotier skrzyżował nogi – został w Castelburgu. To, gdzie teraz przebywa, zależy od przekonań metafizycznych. Prawdopodobnie ozdabia sobą koniec łańcucha w zamkowych lochach lub służy za pokarm rybom w kanale.

− Masz do niego wielki żal?

− Nie. Był dobrym graczem, który na koniec swojej kariery spartaczył akcję. I trudno. Na każdego kiedyś przychodzi koniec.

− A akcja wcale nie była prosta.

− Nie.

Umilkli na chwilę. Lagercranz wtulił głowę w ramiona i usilnie starał się udawać, że go tu wcale nie ma. Równie dobrze zresztą mogłoby go nie być, bo z całej tej aluzyjnej konwersacji niczego nie rozumiał. Proporcjonalnie do tego

starał się wyglądać inteligentnie, ale równie dobrze mógłby starać się wypuścić liście i kwiatki.

− Skoro nie masz do niego żalu – podjęła czarodziejka – to zapewne ucieszy cię wiadomość, że on żyje. Do tego ma się dobrze i przebywa niedaleko stąd. Jeśli więc chcesz usłyszeć od niego, dlaczego bez czułego pożegnania wyjechał z Castelburga, twoje życzenie może się spełnić.

Jastrząb przyjrzał się jej badawczo.

− Może na takiego wyglądam – oznajmił sarkastycznie – ale z pewnością nie jestem naiwny.

− Odwrotnością naiwności – mruknęła Verena – jest pewne schorzenie zwane *paranoia*.

Lagercranz drgnął i przewrócił pucharek. Wino zabarwiło czerwienią inkrustowany stolik. Twarz Jastrzębia przypominała kamienną i nieprzeniknioną maskę.

– Dionisius Grandini – czarodziejka przerwała milczenie – przebywa obecnie najprawdopodobniej gdzieś pomiędzy Verit a Ugrią, w kompanii dwojga czarodziejów, jednego prawie nieboszczyka, kilku dziwek, jednego tworu wyobraźni i jednego młodego idioty. Nie jest to, wbrew pozorom, cyrk, a nasz bohater chyba nie bawi się zbyt dobrze. Czy zaspokoiłam twoją ciekawość?

– Zaspokoisz. Jeśli dodasz do tego jeszcze jedną informację – gdzie i kiedy ich zostawiłaś?

– Domyślny jesteś. – Verena pokryła uśmiechem niepokój i napięcie, które narastało w niej podczas tej rozmowy niczym rzęsa na powierzchni stawu. Kondotier wzbudzał w niej irracjonalny strach, podnoszący włoski na karku. Czuła, że z gry, w którą próbowała go wciągnąć, nie wyjdzie zwycięsko, ale nie miała innego wyjścia, jak tylko ciągnąć ją dalej. – Ponad półtora obrotu słońca temu, w zapyziałej karczmie na obrzeżach Verit – odpowiedziała na pytanie. – Jak widzisz, rozmowa całkiem nieźle ci wychodzi.

– Zapominasz, że jestem specjalistą od konwersacji. Choć może nieco jednostronnej.

– Popracujemy nad tym. – Czarodziejka zmusiła się do swojego zwykłego, przewrotnego uśmiechu.

Jastrząb wstał i przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy.

– Czego chcesz w zamian? – zapytał.

– Już teraz pragniesz się odwdzięczyć? Tak szybko zbadałeś granice mojej wiedzy?

Kondotier wyciągnął zza pasa sztylet i szybkim rzutem wbił go w stół. Ostrze utkwiło w inkrustowanym blacie i zadrgało o włos od dłoni Vereny.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków – powiedział zimno. – Jak dotąd sprawdzałem tylko, czy warto rozmawiać dalej. Dlatego zadałem to pytanie. A kiedy ja zadaję pytania, oczekuję odpowiedzi, a nie kolejnych pytań. A tym bardziej nie kobiecych gierek.

Czarodziejka wciągnęła powietrze i spojrzała na niego zza przymrużonych powiek.

– Chcę dowiedzieć się, czy wasz castelburski spisek sięga do Emain Avallach – wypaliła.

Kondotier parsknął.

– Chyba nie spodziewasz się, że ode mnie dowiesz się czegokolwiek. Pojęcia nie mam, co wy, czarodzieje, robicie, żeby skutecznie zniszczyć siebie nawzajem.

Lagercrantz głośno wciągnął powietrze.

– Ale dużo wiesz o sprzysiężeniu zwanym Bractwem Wolnych Miast i o sytuacji w Castelburgu – stwierdziła czarodziejka. – W twojej wiedzy mogą być nici, które zaprowadzą do mojego kłębka.

– Zaciekawiasz mnie. Skąd podejrzenie, że Castelburg ma z tym cokolwiek wspólnego?

– Nie mam żadnych podejrzeń. Jedynie jakieś mętne wiadomości od zadufanego w sobie Tarrentczyka.

Jastrząb przybliżył się, wyrwał sztylet ze stołu i prześwidrował Verenę wzrokiem, nachylając się nad nią.

– Tarrentczyk?

– Jak słyszałeś – wycedziła. – Co w tym takiego niezwykłego? Nie maszerujesz chyba na Tarrent z tą swoją mikroskopijną armią najemników?

Lagercrantz parsknął nerwowym śmiechem, który natychmiast stłumił dłonią.

– Haage, ty naprawdę ostatnio przebywałaś na jakiejś zapadłej prowincji – odezwał się wysokim, sztucznie brzmiącym głosem. – Nic nie wiesz?

– Wyobraź sobie, Lagercrantz, że nie wiem. Więc proszę, panowie, oświećcie mnie – powiedziała zimno, znów opierając nogi na jedwabnym pufie.

Czarodziej już otworzył usta, ale uprzedził go Jastrząb:

– Oficjalna wersja brzmi tak, że nad granicą Tarrentu gromadzą się wojska. Trzon armii cesarza grupuje się w pobliżu przełęczy Tarn, ale kilka kompanii szykuje się do przeprawy przez góry. To trudne, ale nie niemożliwe.

– Chcą zaatakować Południe? Wolne żarty – żachnęła się Verena. – A jak w takim razie brzmi nieoficjalna wersja?

Jastrząb wparł pięści w stół i pochylił się tak, że jego wydatny nos prawie dotknął jej czoła.

– Nieoficjalna wersja – syknął – brzmi tak samo. Z tej racji królowie i pomniejsi władycy stali się szczególnie czuli na Tarrentczyków i tarrenckich

szpiegów. Rad bym się więc dowiedzieć, kim był twój Tarrentczyk i czemu ufasz jego informacjom.

Verena uśmiechnęła się z zaciśniętymi zębami. Słowami „twój Tarrentczyk" miała ochotę splunąć.

– Tego dowiesz się w swoim czasie – odpowiedziała powoli. – A na razie rada bym wiedzieć, jaką rolę ten twój mizerny oddział rynsztokowych rębajłów ma do odegrania w związku z owym rzekomym tarrenckim najazdem.

– Chyba zapominasz – wycedził zimno Jastrząb – kto tu prowadzi przesłuchanie.

– Chyba zapominasz – odpaliła – że to nie miało być przesłuchanie. Uczysz się rozmawiać, szanowny panie kondotierze.

– Ach tak. Racja. Wybacz. Nawyki zawodowe. Wróćmy zatem, łaskawa pani, do owego Tarrentczyka. Czy taka forma zadowala cię?

Verena westchnęła.

– Nigdy nie rezygnujesz, prawda?

– Nie – rozciągnął usta w drapieżnym uśmiechu. – Dlatego zawsze osiągam dokładnie to, czego chcę. A moi mocodawcy nigdy nie ośmielą się zrezygnować ze mnie.

– Twoi zleceniodawcy to w tym przypadku?...

– Nie o tym mieliśmy rozmawiać – powiedział przerażająco łagodnie – tylko o Tarrentczyku.

Czarodziejka wzruszyła ramionami, bardzo się starając, by wyglądało to na nonszalancki gest, a nie wzdrygnięcie się ze strachu.

– Zupełnie nie ma znaczenia, że on jest Tarrentczykiem. Właściwość akcydentalna. Ważne jest, że mówił coś o rzekomym spisku, którego wszystkie nici mają prowadzić do Castelburga. Nic konkretnego powiedzieć nie umiał. To naprawdę wszystko, co wiem.

– Zasmucasz mnie. – Jastrząb znów usiadł w swoim karle i oparł się łokciami o inkrustowany stolik. – Zapewne kiedy trochę się wysilisz, przypomnisz sobie coś jeszcze. Choćby jego imię i nazwisko. Oraz to, gdzie on teraz przebywa.

– On nie jest – Verena przełknęła ślinę – tarrenckim szpiegiem.

– Wzrusza mnie twoja naiwność, pani. – Jastrząb przekrzywił nieco głowę i wpatrzył się w nią pełnym troski spojrzeniem. Mniej więcej tak, jakby wąż troszczył się o mysz.

Czarodziejka pomanipulowała palcami pod stołem. Zdjęła pierścień, wsunęła go z powrotem na palec, zdjęła jeszcze raz. Po chwili ścisk w gardle ustąpił.

– Być może uspokoi cię to – powiedziała swobodnie – że on jest, o ile to możliwe, jeszcze bardziej naiwny ode mnie. To czarodziej, a do tego oderwany od rzeczywistości, zatopiony w swoich badaniach naukowiec. I, dodam złośliwie,

ostatnia oferma. Sam wiesz, jak niewielki z nas, magów, pożytek. – Zatrzepotała rzęsami.

– A nazywa się?...

– Justin Fern. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała dodać: „i co z tego?”.

– I, jak się domyślam, znajdę go w kompanii Dionisiusa Grandiniego?

– Domyślny jesteś. Domyślaj się dalej.

Jastrząb wstał i rozciągnął się, aż zatrzeszczały kości.

– To mi wystarczy. Zapraszam panią Haage na nocleg do namiotu, który na tę okoliczność zwolni dla niej jeden z oficerów. Rano rozjedziemy się w zgodzie, każde w swoją stronę.

– Chwileczkę! Teraz moja część. A spiski w Castelburgu?

– Spiski mogą poczekać – w żółtawych oczach Jastrzębia zamigotał złośliwy ognik – do naszego następnego spotkania. Życzę dobrej nocy.

– Zaczekaj. – Powieki czarodziejki zwęziły się mściwie. – Ja jeszcze naprawdę dużo wiem. Nie masz pojęcia, jak dużo.

– Zapewne. Tylko w tej chwili mnie to zupełnie nie interesuje. Żegnam panią.

Lagercrantz wstał i zajął się przestawianiem na stole pucharków i karafki z winem. Nie patrzył jej w oczy.

*

Nad obozowiskiem wstawał blady świt. Wschodnia strona nieba zabarwiła się intensywnym złotem, zwiastując słoneczną pogodę. Ale na razie wszystko spowijała rzadka, szarawa mgła. Żołnierze Jastrzębia zwijali namioty i rozrzucali popioły po wczorajszych ogniskach. Chrzęściły zakładane zbroje, rżały konie. Kondotierzy poruszali się sprawnie i bez hałasu. Z małym wyjątkiem. Żołnierz, zakuty w dyby i odarty z górnej części przyodziewy, jęczał cicho. Jego plecy, posiekane biczami, były jedną wielką raną. Na otartych nadgarstkach powstała zaschnięta skorupa krwi. Verena starała się nie patrzeć w tamtą stronę, siodłając konia.

Usłyszała kroki za plecami. Chrząknięcie, dźwięk kamyków miażdżonych czubkiem buta. Nie odwróciła się. Udała, że popręgi wymagają dodatkowego sprawdzenia i naciągnięcia od nowa.

– Zatem wyjeżdżasz. Bywaj, Haage – odezwał się.

– Zrób mi przyjemność, Lagercranz – syknęła – i wynoś się do diabła.

– Nie życzę ci źle – mruknął. Kopnął kamyk, który poszybował w powietrzu i upadł nieopodal.

– Twoje życzenia mnie, wyobraź sobie, nie interesują – warknęła Verena. – Jesteś sługusem żołdaka, tchórzem, który potrafi tylko kiwać głową i milczeć.

– Milczenie to niekiedy wielka cnota i trudna sztuka, Haage – powiedział. – Ty jej nie posiadłaś.

Cios był celny. Verena zamarła na moment, ale zaraz potem wyprostowała się niczym sprężona do skoku kobra. Czarne włosy spłynęły po plecach. Kiedy się odwróciła, jej orzechowe oczy płonęły nienawiścią.

– Po to tu przyszedłeś? – rzuciła. – Powiedzieć mi to? Jesteś bardziej żałosny, niż myślałam.

– Nie. – Lagercranz odwrócił głowę i zapatrzył się na dymy z zalewanych wodą ognisk. Skrzywił się, gdy jego wzrok napotkał zakutego w dyby, okrwawionego żołnierza, który przestał już jęczeć i tylko zwisał bezradnie na poranionych nadgarstkach. Czarodziej pogładził nieogolony podbródek. Zalśnił rubin w pierścieniu na jego uwiędłym palcu. Fioletowy płaszcz z kosztownego aksamitu spływał z ramion zgrabnymi fałdami. Podobieństwo do kogoś innego, kto nosił taki płaszcz, stało się dla Vereny nieznośne i męczące – tak jakby oglądała swoją własną suknię na ciele pomarszczonej staruszki, chichoczącej złośliwe *memento mori*.

– Nie – powtórzył. Obejrzał się szybko za siebie. – Przyszedłem powiedzieć ci wszystko to, co mogłaś bez trudu usłyszeć ode mnie podczas wczorajszej rozmowy. Wystarczyło tylko grzecznie zapytać.

Verena poczuła, jak krew wypływa jej na policzki i uderza pulsującym rytmem. Odwróciła głowę. Nieco za szybko. Nie wiedziała, co robić, jeżeli Lagercranz będzie czekał na zachętę. Na prośbę, której za nic w świecie nie była w stanie z siebie wydobyć.

Ale on nie czekał.

– Nie wiem, czy Tarrent rzeczywiście stoi nad granicą i czy cesarskie wojska próbują przekroczyć góry. Ale moim zdaniem jest to tak prawdopodobne, jak to, że orły zrezygnują z gniazd na skałach i osiedlą się razem z bocianami w wieśniaczych sadybach. Za to wszędzie szuka się teraz tarrenckich szpiegów, a kapłani sieją wśród ludu strach przed zepsuciem, roznoszonym niby zaraza przez owych rzekomych wywiadowców i dywersantów.

Chciała zapytać, jaki to ma sens. Pozornie nie miało żadnego. Ale milczała ze wzrokiem wbitym w srebrne klamry przy jego butach. A on mówił dalej.

– Jastrząb jest kondotierem, służy temu, kto da więcej. Z Castelburga wrócił wściekły. Bractwo Wolnych Miast obiecało mu złote góry, po czym efektownie spaliło całą akcję, i to jeszcze zanim na dobre się zaczęła. Przedtem walczył w Tradivie i byłby wygrał, gdyby nie nagłe a niespodziewane pojawienie się tajemniczego castelburskiego Księcia. A tak – konflikt pozostał praktycznie nierozstrzygnięty. Starosta Auberich i seneszal Kayerl chyba się wystraszyli sił,

które rozpętali i – ku rozpaczy takich jak Jastrząb najemników – wybrali rokowania zamiast walki do spalonej ziemi. Dogadali się.

– I cóż w tym interesującego dla mnie? – zapytała przez ściśnięte zęby Verena.

– Słowo „ja” we wszelkich odmianach stanowczo za często gości na twych ustach, piękna. – Lagercrantz znów omiótł wzrokiem obóz, pełen szykujących się do wymarszu żołnierzy. Kondotierzy zwijali ciasno płachty namiotów i pakowali je na wozy. – Czy Jastrząb wie coś na temat twego rzekomego castelburskiego spisku, rzec trudno. Nie wykluczam tego, ale nie chcę spekulować. Powiem ci za to coś, co wiem na pewno. Nasz bohater dogadał się ze swoimi byłymi mocodawcami z Tradivy i tym razem nie zamierza dać się wyrolować. Chce wziąć sprawy w swoje ręce, a seneszal Kayerl udzielił mu swojego cichego poparcia. Wedle mojej wiedzy nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo ze strony Tarrentu. Cesarz siedzi sobie na szczerozłotym tronie w barchanowych gaciach, a rusza się stamtąd co najwyżej do wychodka. To, że ma całe Południe w najgłębszych częściach swych trzewi, sprawia, że nie będzie się interesował tym, że tu u nas nadmiernie gorliwie łapią tarrenckich szpiegów. A tymczasem Tradiva, ustami niezliczonych propagandowych szczurów, rozgłosi wśród ludu swoje orędzie: „Tarrent nadchodzi! Łączcie się, bracia!”. A potem rękami takich Jastrzębi i tym podobnych kreatur zacznie proces pokojowego podboju – przepraszam – roztaczania protektoratu nad słabszymi sąsiadami. Ofiarą padnie Emmendath, Cantalena, Trevia i cholera wie, co jeszcze. Może nawet Blenvingard, choć to bogate i silne miasto. Możliwe, że również Enneada, bo mają tam podobno jakieś kłopoty. Pojęłaś, Haage?

Verena skinęła głową. Rumieniec wstydu i gniewu znów wypłynął jej na policzki. Miała ochotę uderzyć Lagercrantza, zanurzyć paznokcie w jego zwiędłej twarzy i przeorać ją do krwi.

– Jastrzębia nie interesuje, czy ktoś jest, czy nie jest tarrenckim szpiegiem. Jeżeli tylko pochodzi z Tarrentu, nadaje się. Nasz kondotier nie szuka prawdy, tylko ją z pełną premedytacją tworzy. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz. Wydałaś Justina Ferna, skazałaś go na pewną śmierć. A teraz bywaj.

Odwrócił się i odszedł. Fioletowy aksamitny płaszcz zamiótł ziemię, wzniecając kłąb szarego pyłu. Verena dosiadła konia. Zobaczyła dziesiętnika idącego z rozkazem od strony, w której jeszcze niedawno stał namiot Jastrzębia, teraz zwinięty i spakowany. Po chwili zobaczyła również błysk miecza. Głowa zakutego w dyby żołnierza odpadła od karku i wlokąc za sobą fontannę krwi, potoczyła się pod korzenie pobliskiego drzewa.

*

Leta Therrus czesała włosy. Był to jej cowieczorny, nieśpieszny rytuał. Nuciła przy tym cichą, dziwną pieśń, niemającą nic wspólnego z jakimkolwiek wyobrażeniem melodii. Jej piękne, długie palce rozdzielały srebrne pasma i powoli przesuwały po nich kościanym grzebykiem. Pieśń wzbierała lub opadała, niezależnie od ruchu dłoni. To był jedyny moment, kiedy cienka srebrna opaska z diamentem nie znajdowała się na głowie czarodziejki. Potem zakładała ją z powrotem i nie zdejmowała nawet do snu.

Cantia von Essen leżała w rogu krytego płótnem wozu, na posłaniu ze skór, i wpatrywała się w Letę. Swoje własne, kasztanowe i sięgające za ramiona włosy traktowała grzebieniem krótko i brutalnie, zazwyczaj o poranku. Nie przyszłoby jej do głowy staranne czesanie ich wieczorem. Nie uczono jej tego. Nikt jej wcześniej niczego nie uczył, chyba że za naukę uznać strofowanie, upominanie, fukanie. Siedź prosto. Nie garb się. Patrz w dół, skromnie. Milcz. Nie przystoi. Dla ciotki była przezroczysta jak duch przeszłości, jak wyrzut sumienia pozostały po zmarłej siostrze. Dla wuja… była, czym była. Pamięć o tym przypominała lepką, smolistą kałużę. Przylegała brudnymi drobinami, choćby nie wiem jak starannie ją omijać. Służące w tamtym ponurym, wietrznym dworzyszczu ignorowały ją, ledwie przynosząc dzban letniej wody i kostkę popielnego mydła, świadome, że i tak nie spotka ich żadna kara za takie lekceważenie panienki. O pachnących mydełkach z wielkomiejskich perfumerii Cantia mogła tylko pomarzyć.

Pieśń urwała się. Leta schowała grzebień do szkatułki, założyła z powrotem opaskę z diamentem, uśmiechnęła się ciepło do podopiecznej i zdmuchnęła świecę. W ciemności słychać było, jak układa się długo i starannie na posłaniu ze skór. Cantia obróciła się na drugi bok. Płócienne pokrycie wozu nie tłumiło odgłosów z zewnątrz. Głęboko w lesie hukały sowy, w pobliskich trawach grały świerszcze, drobne gałązki trzaskały pod łapami mniej ostrożnych drapieżców. Ostre światło księżyca wciskało się w szpary. Cantia podrapała swędzącą bliznę na grzbiecie dłoni i pomyślała, że musi jutro naprawić poluzowany popręg konia.

*

Było ich dwóch. Starszy z rzadką, siwiejącą szczeciną na brodzie i młodszy, z pasmami tłustych ciemnych włosów opadającymi na twarz. Niedopasowana odzież zdradzała pochodzenie od innych właścicieli. Szpakowaty miał na sobie zbyt obszerne spodnie, a do tego wytarty i wyplamiony myśliwski łosiowy kaftan. Uzbrojony był w kuszę, wyszczerbiony miecz i piękny, wysadzany klejnotami sztylet. Jego towarzysz nosił białą jedwabną koszulę pod wystrzępionym, sztywnym od potu i cuchnącym kaftanem, a jego broń, równie eklektyczna jak u kompana, składała się z miecza przypiętego rycerskim pasem,

łuku i zbójeckiej pałki. Mógł być raubritterem, którego długie buszowanie po gościńcach całkiem zrównało z pospolitymi rozbójnikami. Ale nie musiał.

– Jeden wóz? – Starszy podrapał się z namysłem po ciemieniu. – Od reszty się odłączyli czy jak? A gdzie warty?

– Franca ich tam wie – mruknął drugi. – A może oni sami się ostali? Może kto na tym wozie umiera od jakiej zarazy? Kupce chciwe są, drogi przez chorego opóźniać nie będą, a i sami zarażać się niechętni.

– A my to może chętni. – Szpakowaty splunął przez zęby.

– Ale sprawdzić trza. Taka nasza robota. – Młodszy przesunął łuk na plecach. – Niewdzięczna. A poza tym – dodał – wtedy koni by nie zostawili. A tu konie dwa zacne niby z rycerskiej stajni.

– Cichaj – syknął nagle pierwszy. – Patrzaj tam.

– A niech cię – westchnął raubritter. – Pacholik młody.

Cantia wychyliła głowę z wozu, sprawdzając, czy na pewno jest już dzień. Inspekcja wypadła pomyślnie, więc ziewnęła szeroko, potargała ręką włosy, nabierając przekonania, że należałoby je umyć, po czym zeskoczyła na ziemię. Zaczynała odkrywać zalety zarówno spania w ubraniu, jak i chodzenia w spodniach. Podeszła do wygasłego ogniska i kopnęła na wpół spaloną głownię. Wzniósł się w górę mały obłoczek popiołu, ale pod spodem był jeszcze żar. Wzięła mały kociołek, który wieczorem starannie wyszorowała, i zaczerpnęła trochę wody z przepływającego obok strumienia. Potem zagłębiła się w sosnowy las i zaczęła znosić suche gałązki, rzucając je obok wczorajszego paleniska. Po czym doszła do wniosku, że chyba potrzebuje iść siusiu.

Cantia była baronówną. Niezależnie od nauki chodzenia w spodniach, czyszczenia koni i gotowania strawy na ogniu pod gołym niebem, do pewnych czynności odnosiła się z oporami właściwymi szlachciance. Oznaczało to, że do spraw fizjologicznych podchodziła z zawstydzeniem zupełnie obcym ludziom wychowanym na wsi. Musiała znaleźć nie tylko krzaczek, ale miał to być krzaczek dobrze ze wszech stron osłonięty, co oznaczało w praktyce całą gęstwinę krzaczków. Poszukiwania gęstwiny odpowiednio szczelnej i osłoniętej zwykle zajmowały trochę czasu.

Tym razem dość szybko wypatrzyła bujną kępę jałowca i ściągnęła spodnie.

– Nie pacholik, a dziewczyna – usłyszała szorstki głos i za chwilę mocne uderzenie powaliło ją na ziemię. Silna dłoń przygięła jej twarz do leśnego mchu. Poczuła na karku smrodliwy oddech przetrawionego piwa, paskudnego żarcia i ciała, które przynajmniej od dekady nie zaznało kąpieli. Ohydny, lepki język polizał jej ucho.

– Sama nogawice ściągnęła, popatrz. – Drugi głos zabrzęczał trochę dalej. – Widać swędzi dziewczynkę, oj swędzi. Już my cię podrapiemy, kruszyno. Aż

zaśpiewasz.

Zrozumienie przyszło nagle. Zaczęła się wić i szarpać. Ból. Żelazny uścisk. Zamierający krzyk.

– Albo lepiej nie zaśpiewasz – syknął tuż przy uchu śliski głos – bo towarzystwa nam tutaj nie potrzeba. Aż skończymy. A wtedy szyjkę ukręcimy zgrabnie. Nie bój się, gołąbeczko. Nawet nie zaboli.

– A potem towarzystwa sobie poszukamy na twoim wozie – zarechotał drugi.

– Jeśli nadobne, takoż potańcujem ździebko, a jeśli mniej nadobne, szyjkę utniem.

Krzyk. Bulgot. Mgła przed oczami. Proszę, wuju, nie. Już nie będę. Uwodziłaś mnie, sama mnie uwodziłaś. No, nie wyrywaj się już. Bądź grzeczna. Przecież też chcesz. Nie udawaj, że nie chcesz. Hevardzie, to dziecko jest chyba niedorozwinięte. Patrzy przed siebie jak drewniana lalka. Mgła. Ciemna mgła.

Ten pierwszy przydusza ją do ziemi, drugi przemocą rozsuwa jej nogi. Krzyk. Krzyk stłumiony ohydną, śmierdzącą dłonią. I jeszcze jeden krzyk.

I nagle rozbłysk. Błękitne światło, które unosi raubritterów w powietrze i z rozmachem uderza nimi w pnie sosen. Rozpięte spodnie opadają im komicznie. Leta Therrus stoi naprzeciw, prosta, wyniosła, otoczona delikatną białą poświatą emanowaną przez diament na czole. Długie siwe włosy spływają po jej ramionach. Unosi lekko piękną dłoń.

Szpakowaty bełkocze jakieś niewyraźne przekleństwa i usiłuje dosięgnąć sztyletu. Młodszy pluje wybitymi zębami i gramoli się spod sosny, wyciągając miecz.

– Nie – mówi Leta i wykonuje mały gest dłonią. Broń rozbójników wyślizguje im się z rąk i absurdalnie zawisa w powietrzu.

– O ja chędożę… – jęknął starszy. – Wiedźmaaa…

– Nie uczynicie już nikomu krzywdy. – Spokojnemu głosowi Lety towarzyszy gest wzniesienia obu dłoni, a potem pchnięcia ich do przodu. – Żadnej kobiecie… – Wiszące w powietrzu miecze szybują ku właścicielom i szybkim ruchem wbijają im się w podbrzusze. Rozlega się dziki, nieartykułowany, podwójny wrzask bólu.

– …ani żadnemu mężczyźnie – kończy wiekowa czarodziejka. Łuk i kusza wykonują obrót w powietrzu, a strzały, wyrwane niewidzialną siłą z kołczanów, same układają się w naciągniętych cięciwach. Pierwsza trafia szpakowatego tuż poniżej ramienia, przeszywając na wylot i przyszpilając do drzewa.

– Litości, pani... – jęczy młodszy, konwulsyjnie zaciskając ręce na mieczu. Jego dłonie powoli wypełniają się krwią. Na ustach wykwitają czerwone bąble.

– Jestem Strażniczką Bram – mówi zimno Leta. – Nie znam litości.

Strzały wysuwają się z kołczanów jedna po drugiej. Łuk i kusza szyją umiejętnie, trafiając raz za razem w ręce, torsy i nogi. Starszy wyje. Młodszy konwulsyjnie drapie korę drzewa. Potem słychać już tyko cichnący charkot. Po chwili rozbójnicy przypominają dwa groteskowe, skrwawione jeże, przyszpilone do pni sosen, drgające w agonii. Wtedy czarodziejka wykonuje ostatni gest. Miecze wbijają się głębiej w ciała i tną od dołu w górę, wylewając na ziemię parujące wnętrzności. Rzężenie ustaje wolno, a pęcherzyki krwi na ustach przestają rozpryskiwać.

Cantia zgięła się wpół i wymiotowała długo, wstrząsana drgawkami. Leta Therrus pochyliła się nad nią i długo gładziła jej włosy.

– Chodź, moje dziecko – powiedziała cicho. – Musisz się umyć. A potem zabiorę od ciebie obrzydzenie i strach. Ale nienawiść zostawię.

*

– Od dawna niczego mnie nie uczysz – powiedział Bertoglio di Nero do swojego podstarzałego preceptora, Agostino Valli. Valla czknął i zapatrzył się przed siebie. Mimo wysiłku nie mógł dostrzec w stojącym przed nim kuflu ani odrobiny piwa. Nawet maleńkiej kropli na dnie.

– Ładna mi podróż edukacyjna – narzekał dalej Bertoglio. – Od gospody do gospody. W sakiewce już pomału widać dno, a jak na razie oglądałem tylko kamień, który postawili starożytni Eriowie. I bibliotekę w Tradivie. Z zewnątrz.

– Bzzllurp – odpowiedział Valla.

– A szacowny rodziciel po powrocie odpyta mnie ze wszystkiego, wyindaguje w kwestii owych skamieniałości, które skupować mieliśmy po drodze. Tudzież rękopisów. Tudzież języka staromedyjskiego, tarrenckiego i nordyjskiego, które miałem jakoby przyswoić – jęczał dziedzic rodu di Nero, albowiem jego również wypite piwo wprawiło w nieco żałościwy nastrój. Nie doczekał się reakcji.

– Zamiast opisywać starożytne ruiny, liczę tylko pchły w przydrożnych szynkach – kontynuował litanię narzekań.

Gospoda, w której siedzieli, położona była przy ruchliwym trakcie, wiodącym aż znad morza do Emmendath i dalej, i o tej porze dość zatłoczona. Główną izbę zajmowali przede wszystkim kupcy różnych maści wraz z tabunami pachołków i cechowych uczniów, a czasem nawet bab z dziećmi. Ubożsi handlarze wędrowali od miasta do miasta z całym dobytkiem, a ich krzykliwe połowice i umorusane pociechy czyniły harmider niczym na jarmarku. Na dziedzińcu tłoczyły się tabuny koni i stada owiec. Na płóciennych wozach darły się trzymane w klatkach kury i gęsi. Od czasu do czasu trafiał się w zajeździe bogaty bankier, który wynajmował dla siebie oddzielną izbę i hojnie płacił złotem, albo znacznie mniej

zamożny rycerz, siedzący dla odmiany w kącie i przeżuwający baraninę z grochem z miną zdobywcy świata.

Leta Therrus i Cantia von Essen pozostawiły swój wóz na uboczu i poszły pieszo do gospody, starannie omijając pryzmy końskiego nawozu. Stanąwszy w drzwiach, wiekowa czarodziejka rozejrzała się uważnie i uniosła brwi. Wolne miejsce jakoś nie chciało samo się znaleźć. To nie było duże miasto, gdzie magów rozpoznawano od razu i skwapliwie schodzono im z drogi. Drobni kupcy i wagabundzi wszelkiej maści popasali dalej w najlepsze, przekrzykując się znad parujących półmisków i kufli z piwem. Cantia poczuła, że skręca ją z głodu. Leta wzruszyła ramionami i zaczęła przepychać się do przodu.

– Czy znajdzie się tu wolne miejsce?

Bertoglio di Nero ze zdziwieniem spostrzegł, że pochyla się nad nim kobieca postać o siwych, spływających na ramiona włosach, w prostej białej szacie i z dziwnym, błyszczącym diamentem nad czołem. Zza jej ramienia wyglądała trójkątna twarzyczka młodej dziewczyny z buntowniczo nastroszoną grzywą brązowych włosów.

– Ttak... jak mniemam – wyjąkał i posunął się na ławie, szturchając jednocześnie w ramię swego preceptora, zapatrzonego szklanym wzrokiem gdzieś w krainę poza zasięgiem rozumu. Agostino Valla ocknął się, skoncentrował spojrzenie, drgnął zaskoczony i również ustąpił miejsca na ławie. Usiadła obok niego dziewczyna. Skromnie, na samym brzeżku.

Czarodziejka za to rozsiadła się swobodnie przy di Nero, gestem pięknej dłoni przywołała karczmarza i zamówiła zupę cebulową, pieczone kurczęta ze smażonymi ziemniakami i sałatą, kandyzowane orzeszki oraz lekkie południowe wino. Bertoglio przełknął ślinkę. W towarzystwie Valli już od dawna wyczerpał finansowe rezerwy i kontentował się chlebem z serem, a w przypływie kulinarnej rozpusty baraniną z grochem. Toteż jego zachwyt nie miał granic, gdy po przyniesieniu potraw nieznajoma kobieta uprzejmie zaprosiła go do korzystania z dobrodziejstw stołu.

– Pozwolicie, panowie, że się przedstawię – rzekła kurtuazyjnie, jakby nie dostrzegała, że co najmniej jeden z jej przypadkowych towarzyszy znajduje się w stanie, który można by określić jako lekką i przejściową niedyspozycję. – Jestem Leta Therrus. Z Emain Avallach. A to moja podopieczna i przyjaciółka, Cantia von Essen.

Jeśli próbowała wywołać jakiś efekt, przeliczyła się. Bertogliowi di Nero nazwa Emain Avallach nie mówiła zupełnie nic. Za to w oczach Agostino Valli nagle zapaliły się światełka, świadczące o chwilowym powrocie kontaktu z rzeczywistością.

– Czarodziejka – zachrypiał.

Leta skinęła mu głową z pełnym wdzięczności uśmiechem. Bertoglio rozdziawił usta niczym wiejski głupek. Ciemnowłosa dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie. Wyglądała, jakby miała ochotę pokazać mu język.

– To piękna rzecz, być magiem – powiedział nagle Agostino Valla sentencjonalnym tonem. Jego uczeń nie spodziewał się, że mistrz potrafi w swoim obecnym stanie wygłosić jedno sensowne zdanie bez jąkania się, i to niezawierające prośby o piwo.

– Zależy, jak na to patrzeć – podjęła uprzejmie Leta Therrus. – Zdaje się, panie, że jesteś mędrcem i mógłbyś uprzyjemnić nam czas pożyteczną konwersacją. Wybacz zatem, jeśli ośmielę się zaproponować pewien lek na twoje… hmm, dolegliwości.

Sięgnęła ręką do podręcznej sakiewki i wyjęła z niej mały kamień, który następnie wrzuciła do stojącego przed uczonym pucharu z winem.

– To małe remedium powinno zneutralizować... pewne przykre skutki. Jest trochę gorzkie, ale nie sądzę, żeby stanowiło to wielki problem. – Wyszukany język czarodziejki i fakt, że traktowała Vallę, jakby miała do czynienia z uczonym dotkniętym lekką, wstydliwą dolegliwością, sprawiały, że Bertoglio zaczął się zastanawiać, czy ta istota z innego świata na pewno zdaje sobie w pełni sprawę z tego, gdzie i w jakich okolicznościach się znajduje.

Tymczasem jego preceptor podniósł puchar prosto do ust i gładko wypił zawartość.

– Dziękuję – wyartykułował całkiem trzeźwo. Po czym, niezachęcany przez nikogo, chwacko zabrał się do kurczaków i sałaty.

– Dokąd droga prowadzi? – zapytała białowłosa.

– Przed siebie – mruknął Bertoglio.

– Istotnie, przed siebie, przed siebie – przytaknął nauczyciel. – Gdzie się trafi coś do zobaczenia, bo to podróż edukacyjna. Pozwolicie, wielmożne panie, że ja z kolei się przedstawię. Jestem emerytowanym uczonym akademii w Fiorentino. Na starość przyszło mi zostać wychowawcą tego tu urwisa, jedynej latorośli szlachetnego rodu di Nero. Zwą mnie Agostino Valla. Zapewne musieliście, pani, o mnie słyszeć.

– Prawdę rzekliście, słyszałam. – Skinęła głową. Bertoglio pomyślał, że chyba się przesłyszał. – Czytałam wasz traktat filologiczny o pochodzeniu nazw roślin w języku medyjskim i małą rozprawę astronomiczną na temat ekliptyki Słońca. Oraz, o ile pamiętam, katalog starożytnych tabliczek glinianych z napisami w różnych językach.

Valla zarumienił się po czubki uszu.

– Wyszły spod mego pióra także inne dzieła i rozprawy – dodał.

– Ach tak. – Ton Lety sugerował, że nie wierzy, choć stara się przekonująco udawać coś przeciwnego.

– A dokąd wy zmierzacie? – zapytał uczony. – Przybywacie, jak rozumiem, z samego Emain Avallach?

– W istocie. A cel podróży to żadna tajemnica. Podróżujemy do Xanty.

– Cudowne miejsce – rozpromienił się Valla. – Położone tam, gdzie nasze południowe krainy prawie stykają się z Pustą Ziemią z jednej strony, a z drugiej z Górami Solnymi, za którymi leży już Tarrent. Przed wiekami mieściła się tam siedziba pewnego odłamu stowarzyszenia Strażników Groty z Evannes. Pełno tam ruin i różnych rękopisów poukrywanych po jaskiniach. Czasem trafi się jakaś rzeźba czy posąg bóstwa. A czarodzieje, którzy tam potem rezydowali, swoim zwyczajem zbudowali wieżę i zgromadzili w niej podobno całkiem pokaźny księgozbiór.

Bertoglio zdumiał się, bo tak długiego monologu na tematy niezwiązane z piwem już od dawna nie słyszał od swojego starego preceptora. Tymczasem Valla rozochocił się na dobre i ciągnął dalej:

– Możecie podróżować głównym gościńcem aż do samego Emmendath, stamtąd dopiero skręcając na wschód, na trakt zwany Pustą Drogą, ponieważ prowadzi do Środka Świata, do Pustej Ziemi. Tam nie radzę jednak się udawać, ale to już, pani magiczko, sami wiecie najlepiej. A jeśli czasu wam starczy, po drodze naoglądacie się prawdziwych cudów. Jest w Kemecie cudowny posąg sfinksa, takiej ni to lwiej, ni to człowieczej, ni to ptasiej poczwary. Cały złocony, o oczach wysadzanych szmaragdami. Ogromny. Strzeże go we dnie i w nocy kohorta specjalnych strażników, inaczej ludność miejscowa już dawno by to dziwo na złote skorupy połupała i wyposażyła potomków zbudowanymi za tę cenę niegustownymi budowlami. Bo trzeba wam wiedzieć, że budują tam koszmarnie, wszystko w kształt ściętej piramidy.

– Durnie – skomentowała pod nosem Cantia, odzywając się po raz pierwszy od momentu przyłączenia się do tej osobliwej kompanii.

– A jeszcze wcześniej – ciągnął nauczyciel, wspierając swoje słowa coraz żywszą gestykulacją – zobaczyć możecie świątynię bogini Antarie w Efessie, wspartą na sześćdziesięciu marmurowych kolumnach. Kraj tam bogaty – ziemie żyzne, gaje oliwne, winnice, stada kóz i owiec, wszelkiego dobra obfitość. W samym Efessie pałaców mnóstwo, pomniejszych świątynek, rzeźb, malowideł i tych, którzy z nich żyją: artystów, muzyków, rzeźbiarzy, malarzy, a i filozofów niemało – zakończył, uśmiechając się znacząco.

– Niestety, nie po drodze nam owe cuda – odpowiedziała Leta, z gracją krojąc kurczaka nożem. Di Nero gapił się na to niczym owca w płot. Sam, choć dobrze urodzony, miał szczerą chęć wziąć udko w dłoń, ograniczając się co najwyżej do

ocierania serwetą skapującego po brodzie tłuszczu. Tylko jakoś nie wypadało. – Chcemy jak najszybciej dotrzeć do celu – kontynuowała czarodziejka – więc edukację trzeba będzie trochę odłożyć w czasie. Co nie znaczy, że zupełnie zaniechać. – Uśmiechnęła się przez stół do skulonej na brzegu ławy i nastroszonej Cantii.

– Jeśli wam tak pilno, pani – Valla wręcz tryskał humorem i chęcią niesienia pomocy – to jest gościniec inny, wiodący w stronę gór, aż do Przełęczy Tarn. Tamtędy przechodzą karawany kupców, którzy krążą pomiędzy Tarrentem a Wolnymi Miastami na południu. Ci, którym spieszno do Verdii, też tamtędy chodzą, jeśli nie chcą się przedzierać przez Góry Błękitne, gdzie droga znacznie krótsza, ale trudna, skalista, stroma, wozy ledwie przejeżdżają, a i od zbójców się roi. Przeprawa możliwa jest jednak dla tych, którzy nie zboże ani oliwę wiozą, ale to, co tylko verdyjscy piraci oferować mogą: perły, bursztyn, jedwabie, bisior, dziwne czarne drewno, hebanem zwane, imbir, cynamon, kardamon, goździki…

– O gościńcu kupieckim mi wiadomo – przerwała czarodziejka. Bertoglio pomyślał, że w uzasadnionej obawie, czy jego preceptor kiedykolwiek skończy. – Coś jednak wspominaliście, panie, o drodze do Xanty…

– Jest taka droga – przytaknął Valla, energicznie podnosząc puchar z winem i kulturalnie wypijając długi łyk. – Prowadzi od Przełęczy Tarn wzdłuż południowego pasma Gór Solnych, aż do Xanty, Evannes i dalej, w kierunku Pustej Ziemi. Obecnie prawie całkiem już zapomniana, zwana była niegdyś Drogą Mędrców, nią bowiem północni mistrzowie wyruszali zbadać tajemnice grot, w których odbywały się misteria. Tarrentczycy też miewali mistyczne ciągoty – wyszczerzył w uśmiechu rzadkie zęby – choć dziś zapewne trudno w to uwierzyć.

– Czy jednak aby ta droga ciągle jeszcze nadaje się do użytku? – wyraziła wątpliwość Leta.

– Jak najbardziej – Agostino Valla rozpromienił się z dumy. – Szedłem nią.

Przez chwilę stary nauczyciel napawał się pełną szacunku i zdziwienia ciszą, która zapanowała po tym stwierdzeniu.

– W jakim stanie jest ten gościniec? Przejedzie nim wóz? – zapytała rzeczowo czarodziejka.

Agostino skinął głową.

– To starożytny trakt – wyjaśnił. – Bity, a na trudniejszych odcinkach układany z kamieni, które mogły co prawda się miejscami wykruszyć, ale nie uległy poważniejszym zniszczeniom. Byłem tam w młodości, całe lata temu, ale nie podejrzewam, żeby cokolwiek się zmieniło. Pewnie nawet gospód nie wybudowali – westchnął żałościwie. – Nikt tamtędy nie chodzi i gdyby nie to, że trasa wiedzie przez górskie pustkowie, dawno by pewnie wszystko zielskiem

zarosło. Ale, pani, przyjemniejsza jest droga prowadząca bardziej na południe, jako rzekłem, gościńcem na Emmendath, gdzie po drodze i świątynię ową, i złotą maszkarę można zobaczyć, i świątynek różnych, kamieni z napisami bogactwo wielkie. Gdybym tedy mógł ofiarować...

– Nie – przerwała stanowczo Leta. – Bardzo zależy nam na czasie. Pojedziemy kupieckim gościńcem do Przełęczy Tarn, a dalej Drogą Mędrców.

Bertoglio zauważył, że dziewczyna o trójkątnej twarzyczce podniosła wzrok na swoją starszą towarzyszkę i poszukała w jej twarzy zrozumienia. A może odpowiedzi.

*

W różnobarwnym świetle z witrażowych okien rozrzucone księgi wyglądały groteskowo. Grube foliały piętrzyły się pod ścianami niczym stos pozostający po przejściu barbarzyńców, pootwierane, wymięte. Ich karty z pięknego welinu, na których rzędy run i egzotycznych alfabetów tworzyły regularne mrowiska, były poszarpane i poplamione. Skórzane, tłoczone okładki z poczerniałymi srebrzonymi okuciami sterczały we wszystkie strony. Fioletowe i różowe światło barwiło stronice łuną do złudzenia przypominającą krwawo zachodzące słońce. Stojący samotnie pulpit rzucał ostry cień. Nakryty był czarnym aksamitem, na którym widniał jeszcze odciśnięty ślad po Glinianej Pieczęci. Zdmuchnięte ze stołu papiery malowniczo zaścielały pozostałą część kamiennej posadzki. Gruba zasłona, do połowy odsunięta, odsłaniała zmatowiałe zwierciadło.

Adelard z Tradivy siedział na podłodze. Była to, musiał przyznać, dość niecodzienna perspektywa. Na lepszą jednak chwilowo nie mógł liczyć. Wyścielane fotele, rozbite w drzazgi, z tapicerką sterczącą ze środka jak pakuły ze szmacianej lalki, nie nadawały się do niczego, a już najmniej do tego, żeby na nich usiąść. Czarodziej przyszedł tu z oporami. Perspektywa kolejnej lustrzanej konwersacji z Evelyn von Stein sprawiała, że chłodny, elektryzujący dreszcz podnosił mu włoski na karku, ale poczucie obowiązku nakazało zjawić się, więc przybył. Szczycił się swoim opanowaniem i nieprzeniknioną twarzą, tym, że niewiele rzeczy jest w stanie wytrącić go z równowagi. Ale to, co zobaczył, sprawiło, że usiadł, nie zważając na kurz, brudzący aksamitny fioletowy płaszcz.

Wszystko wirowało. Pośrodku, niczym oko cyklonu, trwał nieruchomo pulpit, na którym spoczywać powinna Gliniana Pieczęć. Inkunabuły i grymuary kłapały w powietrzu okładkami. Wielki rzeźbiony globus nieba zerwał się ze stelaża i latał po kolistej trajektorii jak planeta po swojej orbicie. Zasłona łopotała niczym rwany wiatrem żagiel. Kilka szklanych retort i alembików wzbiło się pod sufit, gdzie kołowały przez chwilę, a potem porozbijały się, oblewając wszystko wokół różnokolorową, syczącą i parującą zawartością. Pióra i kałamarze fruwały jak

żywe ptaki, tyle że chlapiące atramentem. A potem wszystko opadło z głośnym łupnięciem. Księgi posypały się, sucho szeleszcząc kartami. Pod ścianą, trzymając się za głowę, jęczał Hargon z Emmendath. Zielony na twarzy, wyraźnie powstrzymywał mdłości. W dłoni ściskał mały kryształowy flakonik, napełniony gęstą czarną cieczą. Jego wodniste oczy miały wyraz tępego przerażenia, jak u prowadzonego na rzeź barana, który właśnie zobaczył nóż.

– Wynoś się – zacharczał, posyłając Adelardowi udręczone spojrzenie.

– Z chęcią. – Mag rozejrzał się po pomieszczeniu. – Tyle że wtedy sam będziesz musiał złożyć raport. – Drgnienie w jego głosie zdradziło przestrach, który próbował ukryć pod zwykłą, udawaną nonszalancją.

– O ile będzie co i komu składać. – Hargon jęknął, złapał się za głowę i spróbował powstrzymać odruch wymiotny.

Adelard nie był z natury lękliwy, ale to, co zobaczył, przeraziło go. Gliniana Pieczęć była namacalnym symbolem potęgi Emain Avallach, skoncentrowaną mocą, gwarantem całości systemu, który stworzono, aby świat nie zniszczył magii bądź magia nie zniszczyła świata. A teraz jej brakowało. Coś niedobrego działo się z tym małym uniwersum, którego Adelard do tej pory był częścią. Siedział więc pod ścianą i spróbował zrozumieć wszystko ze swojej nowej, niecodziennej perspektywy. Czekał, ale Hargon nie sprawiał wrażenia, że szybko dojdzie do siebie.

Meble i przedmioty widziane z dołu wydawały się większe. Przybierały nowe, groteskowe kształty. Rzucił okiem na stos foliałów obok. Tytuły pysznie złociły się na okładkach. *O pustce, która zapanuye we Wszechświecie naszem, wtenczas gdy się spełni opowyeść*, przeczytał. *Dwakroć po pięć sposobów dotarcia do Środka Świata, któren w Pustey Ziemi z pewnością wszelaką znachodzi się*. Adelard parsknął. Nie znosił metafizycznych bzdur. O ile wiedział, Evelyn też ich nie znosiła. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat te księgi, zamiast w przepastnych głębiach Biblioteki, znalazły się w podręcznym księgozbiorze, w Komnacie Pieczęci. Być może zalegały jakieś odległe półki i dopiero to nagłe i miejscowe tornado wyrwało je stamtąd i rzuciło pod ścianę.

Hargon jęknął i zabulgotał. Adelard się skrzywił.

– Podejrzewam, że nie jesteś w stanie odpowiedzieć mi na pytanie, co tu się właściwie stało – rzucił w przestrzeń. Odpowiedzi, zgodnie ze spodziewaniem, nie otrzymał. Sięgnął ręką i podniósł najbliższą sobie książkę. *O końcu świata*, przeczytał na okładce. Zmełł w zębach brzydkie przekleństwo i rzucił dziełem w przeciwległe okno. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Kolorowe szybki witraża rozbiły się, pozostawiając dziurę wypełnioną pustym konturem ołowianych ramek.

– Przestań… – Hargon zakwiczał i zwinął się w kłębek, zakrywając uszy rękami.

– Dobrze. Przestanę. Ty również przestań. Co to za świństwo, którego się napiłeś?

Czarodziej z Emmendath jeszcze mocniej ścisnął w dłoni kryształowy flakonik.

– Nic takiego. Wspomagacz… – wychrypiał. – Booo już… nie moogłem. – Wstrząsnęła nim kolejna fala torsji i zwymiotował na podłogę. Adelard odwrócił się ze wstrętem.

– Ale to – dodał Hargon po kilku głębokich oddechach – nie ja…

– Więc co?

– Nie wiem. Wyszło z lustra. Uruchomiłem komunikator, o tej porze co zwykle. I wtedy się zaczęło.

– Jesteś pewny, że nie ma to nic wspólnego z twoim… wspomagaczem? – Adelard zagarnął połę aksamitnego płaszcza, próbując odsunąć go z zasięgu miotanego drgawkami towarzysza.

– Nie. Brałem go już wcześniej. Teraz tylko… przedawkowaałeeeem…

Tradivczyk zniecierpliwił się. Ułożył dłonie w trójkątny znak i przesłał Hargonowi nieco uzdrawiającej energii. Nie chodziło mu bynajmniej o poprawę jego samopoczucia, ale o przezwyciężenie własnego obrzydzenia. Czekał przez chwilę, zanim tamten pozbierał się, mozolnie wygrzebał z fałd własnego splątanego odzienia, odetchnął i usiadł, opierając się o ścianę. Jego wytrzeszczone oczy nadal wyglądały jak sadzone jajka, a łysawa głowa budziła skojarzenia z łbem koguta, który zaraz położy głowę na pieńku ku chwale świątecznego rosołu.

– Dziękuję – wymamrotał.

– A teraz odpowiedz – Adelard bardzo się starał, żeby jego głos brzmiał beztrosko – czy będę mógł skomunikować się z Evelyn? Mam jej do przekazania bardzo ważne wieści.

– Nie wiem. – Hargonem zatrząsł dreszcz. – Lepiej zaczekać. Nie wiadomo, co jeszcze z tego wylezie. – Wskazał głową na ciemniejące w rogu komnaty zwierciadło. Jego powierzchnia była teraz ołowianoszara i matowa. Czy coś widać w środku, Adelard wolał nie sprawdzać. Posłał tylko w tamtym kierunku ostrożne spojrzenie.

– Czy coś takiego – Tradivczyk wskazał na pogrążoną w chaosie komnatę – zdarzało się już wcześniej? – Starał się, żeby w jego głosie nie było słychać najmniejszej nawet obawy. Naprawdę bardzo się starał.

– Nnie… – Hargonowi dzwoniły zęby, wybijając dźwięczne staccato.

– Jak więc to wytłumaczysz?

– Nijak. Sam się postaraj coś wytłumaczyć. Albo może lepiej tu posiedź gwoli lepszego zrozumienia. Tam jest, a raczej był siennik. – Wskazał na miejsce za urwaną do połowy zasłoną. – Ja już mam dość. Idę stąd. – Spróbował się unieść.

– Zaczekaj. To są naprawdę ważne wieści. – Adelard nigdy wcześniej nie pomyślałby, że zniży się do zatrzymywania Hargona z Emmendath. Do proszenia go o cokolwiek. Ale teraz, na myśl o tym, że miałby zostać tu i stać się w jego miejsce głównym pomocnikiem Evelyn von Stein, nocować w tej komnacie… Dreszcz zgrozy przebiegł mu po plecach.

– Muszę szybko wracać. – Przełknął ślinę. – O ile to będzie możliwe, przekaż więc Evelyn, że wyruszam dalej realizować misję, którą mi powierzyła. Stało się coś niedobrego. Wygląda na to, że po sławetnej egzekucji Torego Harberga mamy kolejnego kandydata do stanięcia w Kręgu. Dostał się w moje ręce następny plik dokumentów, równie prawdziwych, co obciążających – z kieszeni ukrytej po wewnętrznej stronie kaftana wydobył zmięty pakunek i cisnął go na podłogę, między rozwalone książki. Mistrz Ceremonii przełknął ślinę i sięgnął po paczkę.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – Ostry głos Adelarda powstrzymał jego dłoń w połowie drogi. – Nieważne. I tak ci powiem. W końcu bez ciebie nic się w tym burdelu teraz nie odbywa. – Zaczął odzyskiwać zwykły sarkastyczny ton, zarezerwowany dla kreatur takich jak Hargon.

– Następcę tronu Enneady – kontynuował, nie zważając na to, że jego krótkotrwały czar uzdrawiający najwyraźniej zaczął tracić moc, bo pomocnik Evelyn znów pozieleniał, jęknął i złożył się w pół – otruł ni mniej, ni więcej tylko zasłużony członek Kręgu, marzący o srebrnym płaszczu Kapituły. Haakon Svearson.

– Nie… niemożliwe. – Hargonem znów szarpnęły torsje.

– Zapewne – odrzekł zimno Adelard. Przezornie odsunął się jeszcze bardziej, zebrał ciaśniej połę aksamitnego płaszcza i skoncentrował się na patrzeniu w przeciwną stronę. – Ale prawdziwe. Porozumiewał się listownie z królewskim bratem, Carraganem Vettingiem, którego zdaniem młody królewicz był tylko jedną małą przeszkodą na drodze do tronu, kiedy jego ojciec, Venadan Vetting III, po długiej chorobie wreszcie wyzionie ducha. Listy Carragana Vettinga tchną nadzieją, że tak drobna rzecz jak litera Przysięgi magów nie stanie na przeszkodzie, by Nordyjski Kruk stał się w przyszłości jego doradcą i prawą ręką.

– Venadan Vetting…

– …właśnie zmarł. Nie przeżył wieści o śmierci swojego małoletniego, a wcześniej długo wyczekiwanego potomka.

– Ale skąd pewność, że Nordyjski Kruk to Haakon? – Mistrz Ceremonii jęknął i chwycił się rękami za skronie.

Adelard parsknął.

– Ilu znasz Nordów wśród magów? – spytał sarkastycznie.

– Jednego. Ale to nie znaczy, że…

– Nie. Nie ma żadnego innego. Sprawdzałem.

– Ale to nie znaczy, że to wszystko nie jest jedną wielką mistyfikacją – wyrzucił z siebie Hargon pomiędzy jednym a drugim jękiem. – Próbą rzucenia cienia na dobre imię Kręgu i Kapituły.

– Czasami myślisz. Zdumiewające – powiedział Adelard, zanim zdołał ugryźć się w język. – Ale nie masz racji. Carragan Vetting jest wytrawnym graczem, który niszczył wszystkie listy Haakona Svearsona. Trochę gorzej z samym Haakonem. Zachował wszystko, choć w jego mniemaniu dobrze ukryte. A ostatni list powierzył niewłaściwemu posłańcowi. – Mag uśmiechnął się drapieżnie. – Jest na nim jego podpis.

– A jak…

– Jak do tego dotarłem? To proste, Hargonie z Emmendath. Kobiety. Kobiety gotowe zrobić dla ciebie wszystko. Hrabianki, mieszczanki, szlachcianki i posługaczki. – Uśmiech Adelarda nabrał złowrogiej przewrotności. Przymknął oczy, które zabłysły piekielną pychą, kiedy zobaczył wlepione w siebie ogłupiałe oczy Mistrza Ceremonii.

Przez chwilę panowało ciężkie, nieprzyjemne milczenie, przerywane tylko z rzadka jękami i westchnieniami niedysponowanego maga.

– Powstaje pytanie – wyrzęził w końcu Hargon – co my z tym możemy zrobić? I co powinniśmy?

– Znakomite rozróżnienie. – Adelard parsknął cichym śmiechem. – Zaczynasz się uczyć. Zdumiewasz mnie. Wiedz, że od dość dawna podział na „mogę” i „powinienem” rządzi działaniami znakomitej większości członków Kapituły i Kręgu. Co powinniśmy zrobić, ale tego nie czynimy, bowiem, na przykład, miła nam własna skóra. Albo powinność wydaje nam się anachroniczna i śmieszna, tak jak ślepa lojalność wobec twardogłowych zwolenników Przysięgi. I, po drugie, co możemy uczynić, ale lękamy się, aby ci bardziej lojalni nie uczynili nam z kolei jakichś niebezpiecznych zarzutów. Takich, które wiodą do stanięcia w Kręgu i usłyszenia mało zabawnego wyroku.

– Zboczyłeś z tematu – kaszlnął Hargon. Nie patrzył na rozmówcę, ale przed siebie, jakby kontemplował powybijane szybki witraża.

– Istotnie. Tak czy owak musimy powiadomić Evelyn. I to nie ma nic wspólnego z powinnością. Ona i tak się dowie, więc lepiej, żeby dowiedziała się od nas. I bezpieczniej.

Mistrz Ceremonii wzdrygnął się. Zauważalnie.

– A co z Haakonem? – zapytał. – Do tej pory już pewnie spostrzegł brak swoich cennych listów i obecnie znajduje się za siódmą górą. Albo i dalej.

– Z pewnych względów, których wolałbym nie wyjawiać – Adelard uśmiechnął się z wyższością – jestem w stanie wyśledzić go nawet na końcu świata. Ale wszystko zależy od tego, jaką decyzję podejmie Evelyn. – Przeczesał włosy palcami, na których zalśniły kosztowne pierścienie. – Rozumiesz zapewne, że ona może mieć powody, by nie chcieć powtarzać egzekucji w Kręgu.

– Rozumiem. Aż nadto dobrze rozumiem. Aż mi niedobrze od tego zrozumienia.

Godzina Zmieszania Świateł minęła i za oknem powoli zapadał zmrok. Sina tafla zwierciadła lśniła w ciemności trupim blaskiem próchna. Coś z niego wypełzło, na wpół widzialne, niedookreślone, mgliste. Czar czasu spowił komnatę i uczynił ją jednością z zamkiem, ze światem, z przyszłością i przeszłością tego i wszystkich innych miejsc. Ołowiane ramki stłuczonego witraża tworzyły mroczną pajęczynę. Rubiny w pierścieniach i broszy Adelarda lśniły jak kropelki krwi. Okładki książek sterczały wokół niczym nastroszone skrzydła drapieżnych ptaków. W pobliskim lesie zahukały sowy. Gdzieś dalej, na wzgórzach, zawył wilk, zwołując swoje stado. Nad rybackimi osadami unosiły się blade, przejrzyste widma zatopionych łodzi, których wręgi sterczały niby ogołocone z ciała żebra.

Do gardeł czarodziejów podpełzał zimny strach, mrowiąc skórę lodowymi igiełkami. To było Emain Avallach, magiczny Środek Świata, na którego drugim biegunie znajdowała się Pusta Ziemia, sucha i okrutna kraina bogów. Emain, wspaniałe i straszne. Centrum myśli i delikatna jak pajęcza nić granica szaleństwa. Czar czasu działał, usypiając i iskrząc. W taką noc historia tego miejsca przesączała się przez mury i przenikała w głąb umysłu. Obaj, Adelard i Hargon, zadrżeli, czując, że to nie tylko przeszłość, ale i historia przyszłości. Pierwszy kamień węgielny. Wilgotne głębie lochów i szczyty wież. Resztki rozwalonych murów, porosłych trawą i mchem. Kurhany ostatnich magów, zabitych przez najeźdźców krzywymi szablami i zatłuczonych łopatami przez zwykłych, przesądnych wieśniaków. Mgnienie oka pomiędzy jedną a drugą przepaścią chaosu. Świat wyłoniony z wody to tylko mgnienie wieczności, łańcuch chwil, który zastąpi świat płonący w ogniu. A pomiędzy jednym a drugim małe mrowiska istnień, które odrobinę władają magią, a do tego ustanawiają prawa i sprawują sądy. Małe budowle wznoszone po to, by je zburzono. Stosy. Pochodnie płonących ludzi. Zaostrzone pale. Ławy tortur. Pień, topór i miecz. Obroża z łańcuchem przykutym do ściany.

Emain Avallach. Środek i miniatura świata.

Czar czasu zwinął się w kłąb niewidzialnej mgły i wniknął w lustro.

− Czas na mnie. – Adelard podniósł się z posadzki i wyszedł, zostawiając jęczącego Hargona jego własnemu losowi.

*

− Nie pchaj się! Paniczyk się znalazł – warknął niedomyty kmiotek, odpychając szczupłego, młodego pacholika, skromnie, ale schludnie odzianego w płócienne spodnie, skórzaną kurtę, długie buty i znoszoną aksamitną czapkę, za dużą i zawadiacko przekrzywioną na jedno ucho. Pacholik skrzywił się, ale ustąpił. Na plecach taszczył duży podróżny wór, wyraźnie dla niego za ciężki.

Kończył się zwyczajny targowy dzień w Castelburgu. Słońce zachodziło, barwiąc ognistym pomarańczem brudne szyby i bielone ściany kordegardy. Przed bramą ustawił się spory tłumek kupców i wieśniaków, którzy chcieli przed zmierzchem koniecznie opuścić mury miasta. Skrzypiały napierające na siebie wozy, gdakały kury, darły się gęsi i kaczki. Paletę zapachów targowiska przenikał w tym miejscu niezmienny, wgryzający się w mury odór portowej dzielnicy. Towar przewożony przez handlarzy powiązany był w szczelne pakunki, aby wzbudzić niechęć strażników miejskich do rozpakowywania i babrania się w tym wszystkim. Jedynie część dobytku ustawiano demonstracyjnie na brzegach wozów. Większość z tego stanowiły rzeczy mało wartościowe lub po prostu tanie, ale poupychane wśród nich tkwiły bardziej cenne przedmioty: srebrne sprzączki do pasów i butów, groty strzał, małe paczuszki cudzoziemskich przypraw, owcze sery, szkatułki pachnideł, wieprzowe szynki, pęki pawich piór, wiązki suszonych owoców, kosze jaj, czasem nawet jakiś miedziany albo srebrzony kielich, misa czy dzban. Zadaniem tych przedmiotów było dyskretnie zmienić właściciela w czasie kontroli celnej, aby pozostała na wozie część towaru mogła bez dalszych przeszkód przekroczyć bramę. Ta niepisana zasada zazwyczaj działała bez zarzutu, ku zadowoleniu obu zainteresowanych stron. Nowi kupcy, którzy przybywali do miasta, nie pozostawiając na wierzchu tego rodzaju „podarków”, szybko się uczyli. W każdym razie po tym, jak wypatroszono ich wozy do ostatniego ziarenka i oclono połowę towaru, a drugą połowę skonfiskowano, więcej już nie powtarzali tego błędu. Strach jednak zaglądał w oczy wszystkim, bo pozostawianie na wierzchu prezentów nie stanowiło niezawodnej ochrony przed bezpardonową rewizją. Nie istniały tu żadne reguły. Przedmiot mógł być skromny bądź wartościowy, kupiec tutejszy bądź obcy, biedny czy bogaty. Rewizje zdarzały się od czasu do czasu i zawsze były przypadkowe. Nie chroniły przed nimi modły ani daniny do świątyń. Poddany takiej praktyce kupiec cieszył się, że uniósł cało skórę i nie skończył w lochach pod Zamkiem. Jeśli ocalił część towaru, jego radość tym bardziej nie

miała granic. Czyniło to handel na słynnym targowisku w Castelburgu przedsięwzięciem ryzykownym, a jednocześnie pociągającym jak hazard.

Dlatego też tłum opuszczający miasto tłoczył się i popychał, marząc, by jak najszybciej przekroczyć bramę i uniknąć przenikliwych oczu i lepkich rąk miejskich strażników. Młody pacholik wraz z innymi cierpliwie pchał się do przodu, taszcząc swój ogromny wór. Odpychany zewsząd łokciami, nie miał łatwego zadania. Ale widział już bramę, a jej bliskość zachęcała do zdwojenia wysiłków.

Z przodu rozległy się pokrzykiwania i odgłosy dartego mieczami płótna. Stojący tuż przed kordegardą wóz zachwiał się i runął z trzaskiem. Podniosły się kłęby mąki z rozprutych worków, a z rozbitych w drobny mak dzbanów popłynęło wino. Właściciel tego dobytku nie wytrzymał i wybuchnął litanią narzekań i przekleństw. Wysoki strażnik zdzielił go płazem miecza i wskoczył na przewrócony wóz. Bez pośpiechu, metodycznie zaczął rozpruwać ostrzem worki z mąką i ziarnem, aż w końcu z jednego z nich wysypały się na bruk groty strzał i głownie sztyletów. Z kolejnego popłynął deszcz złotych monet.

Drugi strażnik schwycił za kołnierz opierającego się kupca i powlókł go w stronę kordegardy. Tłum rozstąpił się nieco i cofnął, napierając na tych, którzy stali z tyłu. Wszystkim jakoś na chwilę zrobiło się mniej pilno w stronę bramy, a niektórzy nawet, nagle doszedłszy do wniosku, że jednak zmierzch się przybliża i lepiej zanocować w mieście, podjęli próby odwrotu. Ci, którzy stali obok pechowego kupca, ze wszystkich sił starali się sprawiać wrażenie, że nie tylko nie znają go, ale i głęboką doń od początku czuli odrazę.

Pacholik przeczekał całą tę scenę, wlazłszy na beczkę, która stała pod ścianą narożnej kamienicy. Można stąd było obserwować wszystko, będąc choć trochę ukrytym w cieniu. Przy nim zatrzymała się niewiasta z koszem jarzyn i dzieckiem na ręku.

− Dokąd jego zabrali, mateńko? – zapytał chłopiec, wysuwając do przodu chudą szyję.

− Powiadają ludzie, że do lochów pod Zamkiem Cieni, ale tego nie wie nikt. Cichaj – odpowiedziała kobieta, mocniej przygarniając dziecko do siebie.

− Mateńko, a czy to był zły człowiek? – pytał dalej malec.

− Zły, skarbeńku, zły – powiedziała jeszcze ciszej.

− A czemu?

− Bo tak uznał Książę.

− A czemu Książę…

− Cichaj – syknęła ostro. – Nam nic o tym wiedzieć nie wolno.

Pacholik zwinnie zeskoczył z beczki i wmieszał się w tłum. Zrobił to jednak trochę zbyt gwałtownie, potrącając przy tym owego nerwowego kmiotka, z

którym parę chwil wcześniej miał drobny zatarg. Niedomyty jegomość wycofywał się teraz dyskretnie, ale równie gorliwie, jak wcześniej parł naprzód. Zderzywszy się ponownie z młodzieńcem, po prostu walnął go kułakiem, nie bardzo zresztą dbając o celność ciosu. Pacholik uchylił się zgrabnie i wyprowadził proste uderzenie w żołądek, które odepchnęłoby pewnie kmiotka na znaczną odległość, gdyby nie obfitość jego kałduna i zagęszczający się wokół tłum. Uderzony zgiął się wpół, krew z wściekłości uderzyła mu do twarzy i z tej pozycji runął na młodzieńca niczym szarżujący byk, młócąc pięściami jak wiatrak. Młody rozejrzał się wokół, ale ciżba uniemożliwiała ucieczkę. Uchylił się przed następnym ciosem, lecz rozczapierzone palce napastnika zdarły mu z głowy aksamitny beret. Wokół głowy rozsypały się nagle długie, jasne włosy.

Kmiotek wybałuszył oczy i zaklął szpetnie.

− Tfu, niewista w męski strój przyodziana. – Splunął zamaszyście. – Obraza boska. Nie żal i kułakiem stłuc.

Zdemaskowana w ten sposób dziewczyna cofnęła się dwa kroki i oparła o boczną ścianę wozu, który w tym miejscu tarasował drogę. Nie było dokąd uciekać, tym bardziej, że gapie już zwietrzyli widowisko i poodwracali głowy. Przesunęła swój podróżny wór z pleców na przód i sięgnęła do węzłów.

− Dość tego, córuś. – Z wozu huknął nagle donośny głos. Brodaty kupiec, dostatnio odziany w płaszcz lamowany futrem, zeskoczył na bruk i położył swoją ciężką dłoń na ramieniu dziewczyny. – Gdzie mi się znowu włóczysz, ladaco? Właź na wóz i nie waż się znowu sama po mieście łazić. – Popchnął ją delikatnie w stronę budy. – A wy – zwrócił się do kmiotka – znikajcie stąd i nie ważcie się więcej córki mi niepokoić, żebym waszej mordy durnej końskimi kopytami nie udekorował.

− Ani ja wiedział, że to córka waszmości – wymamrotał brzuchacz i po raz kolejny podjął wysiłek wtopienia się w tłum. Nie był jednak pewien, czy chciałby się przemieszczać w stronę bramy, czy też w przeciwną, wybrał zatem jakiś pośredni boczny kierunek, na którym wśród wozów, koni i tłumu utknął zupełnie, skazany na bierne posłuszeństwo ogólnemu nurtowi.

Kupiec tymczasem wskoczył na wóz i nakazał woźnicy zaciąć konie. Szarpnęło i koła zaturkotały po bruku. Dziewczyna i jej wybawca spojrzeli sobie w oczy. Jej lazurowe i jego piwne, błyszczące inteligencją i siłą w twarzy ozdobionej gęstą kasztanową brodą. Sposób, w jaki poruszała się jego masywna sylwetka, zdradzał człowieka, który wchodzi, gdzie go nie zapraszają, zbiera, gdzie nie posiał i zdobywa, nie prosząc nikogo o pozwolenie.

− Jak mam cię zwać? – zapytał, mierząc ją swoim przenikliwym spojrzeniem.

− Loren.

− A dalej? Loren skąd?

− Z Castelburga – odpowiedziała po krótkim wahaniu.

− Loren z Castelburga. Brzmi tyleż zwyczajnie, co niebezpiecznie. To ostatnio nie jest dobre miejsce. Proponuję Loren z Burga. Znaczyć będzie tyle, co „Loren z każdego miasta” albo „Loren znikąd”. Może być?

Skinęła głową.

− Więc, Loren z Burga, daj mi swój miecz.

Szarpnęła się w tył, zaskoczona.

− No, dalej. Taki długi worek jak twój może zawierać tylko jedno. Oręż, po który sięgałaś, w momencie kiedy wmieszałem się w ten mały incydent. Głupotą było zakładanie, że strażnicy przy bramie nie zajrzą do twojej podróżnej sakwy. A jeśli mamy znaleźć się bezpiecznie poza murami, nie masz wyboru.

Dziewczyna rozsznurowała worek i powoli wydobyła miecz, starannie natarty oliwą i owinięty w szmaty. Kupiec przyjął go od niej, po czym odsunął stertę kosztownych lisich futer i delikatnie wyjął jedną deskę z dna wozu. Pod spodem ukazał się ciemny otwór, zdradzający wąską skrytkę, ulokowaną pod górną warstwą desek. Brodaty mężczyzna wsunął tam miecz i starannie umieścił deskę oraz futra na właściwym miejscu.

− Teraz wszystko powinno być w porządku, Loren z Burga. – Uśmiechnął się. – Ale na razie połóż się tam, nakryję cię niedźwiedzim futrem. Jesteś moją córką i źle się czujesz.

Dziewczyna posłusznie wpełzła pod stos skór. Kupiec zwilżył jej twarz i włosy wodą, żeby wyglądała na spoconą z gorączki.

− A jak mam zwać ciebie? – spytała szeptem.

− Ojcem. – Białe zęby błysnęły spomiędzy zarostu. – A jeśli chodzi ci o moje miano, niektórzy zwą mnie Ventino Strozzi. A inni Il Magnifico.

− Dlaczego mi pomagasz?

− Bo tak mi się spodobało.

Wóz ze zgrzytem osi zatrzymał się na rogatkach. Loren usłyszała, jak woźnica wdaje się ze strażnikami w krótką wymianę zdań. Po chwili dwie bezmyślne twarze w hełmach zajrzały do wozu. I, co ciekawe, na tym poprzestały. Obejrzawszy pobieżnie piętrzące się sterty futer i kilka skrzyń, wartownicy skinęli głowami, a jeden nawet przytknął dwa palce do hełmu w prowizorycznym salucie. Dali znak, wóz szarpnął i ruszył do przodu, przekraczając bramę. Ventino Strozzi uśmiechał się zagadkowo. Loren zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem, ukołysana jednostajnym turkotaniem i uspokojona ciepłem futer, zasnęła.

*

Cantia von Essen powoli, starannie dociągnęła popręg siodła. Zakładanie całej uprzęży nie było łatwe, dlatego bardzo uważała, żeby się nie pomylić. Zwłaszcza

odkąd ten młody szlachcic z uporem godnym uczącego się żaka patrzył jej na ręce i rzucał się do pomocy przy każdej okazji. W końcu zdołała zapamiętać jego imię – Bertoglio – ale kazał mówić do siebie Berto. Było to zarówno mniej skomplikowane, jak i mniej pretensjonalne.

Odkąd on i ten stary dziwak, Agostino Valla, przyłączyli się do nich, skończyło się wysiadywanie wraz z Letą na koźle trzęsącego się wozu. Jej miejsce zajął gadatliwy, ale najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie nauczyciel. Chcąc nie chcąc, zamieniła je na równie kołyszący koński grzbiet. Siedzenie pod wieczór zwykle bolało ją okropnie, ale wstydziła się podróżować na wozie niczym wydelikacona panienka. Była w końcu adeptką magii. Co prawda na usilne prośby Berta, by zademonstrowała mu po cichu jakieś zaklęcie, reagowała zadarciem nosa i oświadczeniem, że czary nie służą do próżnych popisów, ale w końcu kandydatką na magiczkę była w istocie. Zaczęła teraz czuć zawód i żal do Lety, że nie nauczyła się jeszcze niczego.

Za to Bertoglio, jadący zwykle strzemię w strzemię, opowiadał rozwlekle o swoich podróżach z Vallą i narzekał na rajdy po gospodach. Cantia musiała również wysłuchać całej epopei o posiadłości w Nero, o surowym rodzicu i dobrej, poczciwej rodzicielce, która zawsze do kieszeni ciastka z rodzynkami wtykała i ocierała łzy, gdy dostał od ojca baty. O polach zbóż, winnicach i gajach oliwnych, z których zawsze zbiór był obfity, zakończony świętem tłoczenia gron, a potem kosztowania młodego wina. A także o koniach i sokołach do polowania, zającach, dzikach i jeleniach, o poczciwym rotmistrzu, co to na dziedzińcu uczył walki na drewniane miecze i kazał z łuku strzelać do słomianej kukły. Opowieści traktowały również o całych stadach wujów, ciotek, kuzynek i kuzynów, którzy okresowo zjeżdżali się do Nero, by najczęściej pozostać na całe lato.

Cantia milczała. Nie miała kuzynek i kuzynów. Wychowała się we wzniesionym wśród skał, ponurym dworzyszczu w Górach Błękitnych. Pamiętała polowania wyłącznie jako granie rogów o świcie, tupot kopyt koni powracających mężczyzn, dużych i brutalnych, a potem pokrzykiwania na dziedzińcu i zdejmowanie skóry z przywiezionej zwierzyny, co przyprawiało ją o torsje. Całą jej rodzinę stanowiła ciotka. I wuj.

Jej małomówność drażniła Berta. Uważał najwyraźniej, że nie dość się stara, skoro ona odtrąca jego towarzyskie względy, i stawał się jeszcze bardziej miły i układny. Oraz jeszcze więcej mówił. Czasem zdarzało się, że odpowiadała mu ostro, a potem się tego wstydziła. Brzmiało to bardziej sarkastycznie niż chciała i nic nie potrafiła na to poradzić. A on obrażał się i milkł. Ale tylko na chwilę. Potem podejmował znów niekończący się monolog, pełen narzekań na wszystko, w szczególności na konieczność włóczenia się z Vallą po gościńcach i różnych

zaplutych dziurach. Cantia myślała sobie, że gdyby ona miała takie życie, nie narzekałaby na nic, nawet na zawszoną pościel i kwaśne piwo w gospodzie.

O dziwo, Agostino Valla i Leta Therrus najwyraźniej przypadli sobie do gustu. Siadywali razem na koźle i spędzali całe dnie na erudycyjnych rozmowach, których treść była dla uszu ich młodych towarzyszy zbyt ezoteryczna, żeby mogli podejmować jakiekolwiek próby uczestniczenia w nich. Cantia w głębi duszy marzyła o tym, żeby móc się przyłączyć. Żeby rozumieć te wszystkie słowa, znać te wszystkie miejsca i tak samo ze swadą o nich rozprawiać. Berto narzekał.

Właściwie trudno było wskazać moment, w którym uzgodnili, że dalej pojadą razem. Jeszcze w gospodzie Valla rozmarzył się, jak bardzo chciałby jeszcze raz, jedyny raz przed śmiercią przebyć Drogę Mędrców, dotrzeć do Evannes, a może nawet do samej groty Argh. Do serca misteriów. A potem, kto wie… Może gdy będzie czuł, że nadciąga jego kres, podąży sam, zupełnie sam, na Pustą Ziemię, aby tam jako ostatniej rzeczy w życiu doświadczyć obecności bogów. Bertoglio zaczął się wtedy obawiać, że moc antidotum podanego przez starszą czarownicę słabnie i jego preceptor znów pogrąża się pomału w alkoholowym rozczuleniu. Valla zaciął się jednak w swoim postanowieniu i namówił go, żeby napisał list do domu, zawiadamiając, iż podróż edukacyjna okazała się tak inspirująca, fascynująca, *per omnia in genere et caetera* owocna, że, nadzieję mając do źródeł wiedzy podążyć i owe odnaleźć a chłonnym swym umysłem przyswoić, w stronę świątyń starożytnych w Evannes się udają. O czym wielmożnego rodzica potomek jego, Bertoglio, pokornie zawiadamia, upraszając jednocześnie, aby kredyt, który w oddziale banku Fortinarich w Alento zaciągnięty na ten cel zostanie, łaskawie pokryć raczył. Pozostając pokornym sługą, w nadziei, że list łaskawego rodziciela i rodzicielkę w zdrowiu zastał, niżej podpisany syn jego, gałąź szczepu i nadzieja rodu di Nero.

Berto poszedł wygrzebać z sakw podróżnych pergamin, pióro i kałamarz, po czym zasiadł pracowicie do pisania tego listu, sadząc co chwilę kleksy, wysuwając język i narzekając na plamy z rozchlapanego na stole tłuszczu i piwa. Nie pomagało mu, że młoda magiczka uśmiechała się drwiąco. Leta zaprotestowała tylko delikatnie, gdy doszedł do fragmentu o kredycie. Gdy zejdą z gościńca, okazji do wydawania pieniędzy nie będzie wiele, a zbójcom lepiej nie dostarczać pokusy. Ona sama, wzruszona tak miłą ofertą towarzyszenia jej i częściowo służenia za przewodnika, ofiarowuje się pokryć połowę kosztów podróży. Bertoglio zarumienił się nieco, ale Agostino Valla zgodził się z radością, argumentując, że od wieków tak było: jeśli ktoś zapraszał mędrca do kompanii, ten nigdy nie musiał za siebie płacić. Cantia za to nie wytrzymała i parsknęła śmiechem przy „gałęzi szczepu”.

Tym to sposobem, po nocy, którą Valla i jego młody uczeń spędzili w gospodzie, na w miarę czystych i niezamieszkanych przesadnie siennikach, a Cantia i Leta na swoim wozie, wyruszyli wszyscy czworo gościńcem aż do rozstajnych dróg, gdzie wybrali drogę na północny wschód, w kierunku gór. Początkowo było równie tłoczno jak na trakcie do Emmendath. Na południe ciągnęły wozy ze zbożem, chłopskie zaprzęgi, kupieckie kompanie, konni rycerze i od czasu do czasu jakiś wielmoża bądź jaśnie pani w szczelnie zasłoniętej karocy. Okolica usiana była wioskami pobudowanymi z jasnego kamienia i drewna, z wysoko ocembrowanymi studniami, okiennicami ocienionymi dzikim winem, piejącymi do zachrypnięcia kogutami i kurami snującymi się pod kopytami koni. Wieśniacy w zgrzebnych portkach i wystrzępionych słomianych kapeluszach wychodzili do drogi, gapiąc się z rozdziawionymi ustami na srebrnowłosą czarodziejkę z diamentem na czole. A ona uśmiechała się i kupowała od nich żywność: duże, okrągłe chleby z białej mąki, pęta kiełbasy, osełki masła, kosze jaj i serów, kiście winogron i wino, które kazała czerpać z dębowych beczek i nalewać we własne bukłaki. Bertoglio dziwował się w myślach, po co tego aż tyle.

Stopniowo jednak okolica wyludniała się. Wioski mijali coraz rzadziej, a pola i winnice zastąpił gęsty, mieszany las, pachnący mocno sosnowym igliwiem. Trakt stał się odrobinę węższy i piaszczysty, a także znacznie mniej uczęszczany. Podróżowali za dnia, nocą stając coraz częściej nie w gospodach, a w lesie, pod gołym niebem. Zatrzymywali się zwykle, zanim jeszcze słońce dotknęło horyzontu – Leta potrzebowała długiego odpoczynku. Cantia wtedy wdrapywała się na wóz i siedziała przy czarodziejce, gdy ta piła swój eliksir i zapadała po nim w coś w rodzaju półgodzinnego letargu. Dopiero gdy się z niego wybudziła, jedli wszyscy razem wieczerzę przy ognisku. A potem magiczka i adeptka chroniły się w płóciennym wnętrzu. W miękkim półmroku pełnym zapachu skór następowała ulubiona chwila Cantii. Leta zdejmowała opaskę z diamentem i czesała swoje długie włosy, nucąc cichą, niezrozumiałą pieśń. Pod jej wpływem baronówna zapadała w srebrny półsen, w którym koszmary nie przychodziły tak często.

*

Mała Bess wyjrzała ostrożnie przez szparę w płóciennej plandece zakrywającej wejście do wozu. Zobaczyła, że duży, złocisty sierp księżyca wspiął się już ponad drzewa. Pachniały sosny i świerki, a w trawach cykady grały jak oszalałe. Wokół ogniska siedziało bądź leżało kilka ciasno zawiniętych w pledy postaci. Na skraju lasu widniała sylwetka Gilgamesza, który małym toporkiem ociosywał gałęzie i starannie segregował powstały w ten sposób chrust.

Pomiędzy wnętrzem wozu a zewnętrznym światem Bess czuła się najlepiej. Ciemna, ale przytulna przestrzeń za plecami w połączeniu z widokiem i bliską obecnością innych ludzkich istot, które nie biją, nie krzyczą i nie krzywdzą, zmniejszała lęk. To pogranicze dwóch przestrzeni – zamkniętej i otwartej – działało na nią najlepiej. Dlatego dobrowolnie i ofiarnie spędzała długie godziny przy nieprzytomnym Jardalu.

Mała Bess przywykła. Nawet więc nie drgnęła, gdy na wóz wspięła się Mitria. Czarodziejka bez słowa rozsznurowała i zsunęła z siebie wierzchnią suknię koloru brunatnej ziemi i została w luźnej białej koszuli. Skinęła Bess głową, a ta zasunęła szczelniej plandekę, tak aby do wnętrza nie wpadła nawet odrobina księżycowego światła. Dziewczyna oparła się o płócienną ścianę wozu i zamknęła oczy.

Nawet bez patrzenia Mała Bess wie, co się teraz będzie działo. Czarodziejka ostrożnie zdejmie przykrywający Jardala pled. Przez chwilę będzie szybkimi ruchami rąk rozgrzewała jego dłonie i stopy. Potem delikatnie ułoży się na jego ciele, twarz do twarzy, dłoń do dłoni, noga do nogi. Nabierze powietrza i będzie powoli wtłaczała je do jego ust. Wraz z powietrzem popłynie magia. Ich postacie rozbłysną błękitnym światłem. Rude włosy czarodziejki uniosą się jak naelektryzowane, trzaskając iskrami. Być może ciało maga zaczną szarpać drgawki. Być może nie stanie się nic. Być może na chwilę rozsuną się jego powieki i błysną niewidzące źrenice. Być może usta rozchylą się lekko i wydobędzie się z nich krótki, gardłowy jęk. A potem nie stanie się nic. A jeszcze później, po upiornie długiej chwili, ciało czarodziejki zacznie dygotać i pocić się, jak w chorobie albo po długim biegu. Mitria bezwładnie zsunie się z ciała Jardala i ułoży obok, opierając tylko głowę na jego ramieniu. Mała Bess wstanie cichutko i przykryje oboje pledem. Będzie czekała na krótki, gwałtowny szloch. Jeśli go usłyszy, chwyci mocnymi, spracowanymi dłońmi ramię Mitrii i kawałkiem czystego płótna obetrze jej łzy. Potem ułoży się przy wejściu do wozu, lekko rozchyli plandekę i będzie długo w noc patrzyła na sierp księżyca i odległe gwiazdy. Na koniec zapadnie w sen, mając pod powiekami obraz kamiennej sylwetki Gilgamesza, trzymającego wartę przy dogasającym ognisku.

*

– Nasz Eksperyment przestaje mieć sens – powiedziała Pierwsza Prządka.

– Zaprzeczam. Dzieje się tylko w kilku światach jednocześnie – powiedziała Druga.

– Co czyni Obserwowanie bardziej złożonym, ale nie niemożliwym – stwierdziła Trzecia.

– Pojawia się więcej bytów. To staje się trudne – powiedziała Pierwsza.

– Byty mają już to do siebie, że Są – zauważyła sarkastycznie Druga Prządka.

– Obserwowanie w sterylnym środowisku nie jest możliwe – podsumowała Trzecia. – Zawsze pojawia się coś, co zakłóca eksperyment. Tak już jest.

– I Obserwator samą swoją obecnością zmienia naturę obserwowanego obiektu. Pamiętajcie – stwierdziła Druga.

– Obserwowanie jest trudne – powtórzyła uparcie Pierwsza Prządka. – Trzeba skupić się na chwilach i śledzić ich linearny ciąg, zamiast widzieć je wszystkie równocześnie. To męczy.

– Jesteś Zwolennikiem – zauważyła Druga. – To do ciebie należy podtrzymywać nadzieję. Czyżbyś przestała ją dostrzegać?

– On odchodzi – odpowiedziała Pierwsza. – Ona dąży we właściwym kierunku, ale zbyt wolno. Poruszają się jak ćmy we mgle. W tej sytuacji pokusa, aby ujrzeć wszystkie chwile jednocześnie, staje się naprawdę silna.

– Zapewne – zauważyła Trzecia. – Nie zapominajmy jednak, że chmura chwil ukaże nam wszystkie ścieżki. Wszystkie możliwe potencjalności. Kłącze możliwych światów. Na każdym kroku obiekty naszej Obserwacji wybierają swoją drogę. Możemy tylko śledzić to maleńkie, pojedyncze rozgałęzienie Kłącza. Tylko tyle mogą te istnienia. Nie widzą całości, mogą śledzić tylko jedną nitkę.

– Wiem, że Eksperyment musi trwać – powiedziała Pierwsza.

– Nawet jeśli nie przetrwają – powiedziała Druga.

– Nawet jeśli Zwolennik, Przeciwnik i Mediator to sztucznie przydzielone role, którymi swobodnie możemy się wymieniać – dodała Trzecia Prządka.

*

To naprawdę było łatwe. Pomyślał o maczecie i już ją miał. Szeroką, z rękojeścią inkrustowaną kwiatowym wzorem ze słoniowej kości. Lśniącą. Doskonale leżącą w dłoni.

Uśmiechnął się. W tym świecie wszystko wydawało się takie proste. Aż dziw brał, że nikt nie chciał mieszkać tu na stałe.

– To się wkrótce skończy. Zobaczysz – wydyszała Lys, doganiając go. Szafranowa tuniczka lepiła jej się do ciała błyszczącego od potu. Wilgotne włosy przylgnęły do czoła w poskręcanych strączkach. Ona również się zmieniła. Na szyi miała prosty miedziany naszyjnik, ozdobiony kłami jakiegoś zwierzęcia, na rękach pasujące do tego bransolety i naramienniki. Skóra ściemniała jej nieco, jakby od słońca.

Wędrowali przez tropikalną dżunglę, pełną ogromnych drzew o nagich pniach, przetykanych gąszczem poskręcanych lian. Dołem płożyły się gigantyczne paprocie i duże, mocno pachnące kwiaty o jaskrawych barwach, głównie

storczyki i dziwne fiołki o mszystych płatkach. Nie mieli pojęcia, jak długo idą. Las zmienił się w dżunglę stopniowo, ale cały czas panowała przyćmiona jasność nieokreślonego świtu lub wieczoru. Od wielu godzin lub od wielu dni. Nie było niczego, co choć w przybliżeniu pozwalałoby określić upływ czasu. Na początku Jardal sprawdzał stan zarostu na policzkach, ale rychło okazało się, że to na nic. Z brodą było tak, jak z odzieniem – pojawiała się lub nikła, w zależności od nastroju. To był świat bez reguł. Miało to, jak widać, swoje wady i zalety.

Przedzierali się przez gąszcz zarośli, lian i paproci, stąpając po wilgotnym gruncie i poskręcanych, obrośniętych grubym mchem korzeniach drzew. Czarodziej szedł naprzód i torował drogę maczetą, nie zważając na Lys, która wlokła się za nim, potykając się i co jakiś czas wyciągając stopy z grząskiego błota, czemu towarzyszył dźwięk przypominający głośne mlaśnięcie. W oddali, w prześwicie między drzewami widać było góry, wciąż tak samo odległe jak na początku wędrówki. Lys klęła pod nosem plugawie i oganiała się od wielkich komarów, które z jednostajnym brzękiem ciągnęły do jej lśniącej od potu skóry. Ale szła. Ostrze maczety kładło przed nimi równy pokos traw, lian i pnączy.

Zatrzymali się na brzegu rzeki, szeroko i leniwie toczącej brunatne wody i rozmywającej brzeg na grząską maź, z której wystawały tylko gdzieniegdzie korzenie drzew. Lys syknęła i przyklękła, kiedy ostry kamień ukłuł ją w nogę. Jardal wciągnął powietrze w płuca i rozejrzał się. Z obu stron nad wodą zwieszały się gałęzie drzew i długie liany. Środkiem płynęły powoli na wpół zgniłe kłody. Rzeka jednak prowadziła w dół, wprost do doliny leżącej u podnóża dalekich gór. Absurdalnie, bo przecież powinna z gór wypływać. Ale w sposób oczywisty nie wypływała. Czarodziej zamachnął się maczetą i rąbnął w pień najbliższego drzewa. Ostrze weszło jak w masło. Kruche, lekkie drewno z łatwością unosiło się na wodzie.

– Czemu po prostu nie pomyślisz sobie łodzi? Skoro tak bardzo upierasz się płynąć przed siebie… – spytała Lys, gdy po kilkugodzinnym wysiłku zdołał ściąć kilka drzew i trochę lian, a potem zmajstrować z nich prymitywną tratwę. – Ach, wiem – ciągnęła, spoglądając na niego spod rzęs. Siedziała na brzegu, efektownie wygięta, umościwszy sobie wygodne leże z mchu i liści. – Chodzi o to, by czymkolwiek zająć ręce. Wypełnić pustkę. Chodzi o twoją potrzebę ekspiacji. Chcesz odpokutować twoją niepamięć, brak imienia, niezdecydowanie, to, że choć wydaje ci się, że tego pragniesz, nie potrafisz do niej wrócić.

Jardal nie odpowiedział. Odgarnął z czoła wpadające mu do oczu włosy i dociągnął węzeł. Krytycznym okiem obejrzał swoje dzieło. Nie było się czym zachwycać. Bale zostały powiązane krzywo, a przeplecione pomiędzy nimi liany tworzyły istną plątaninę, w której uczciwy żeglarz nie odnalazłby zapewne ani jednego zgodnego z regułami sztuki węzła. Ale to dzieło trzymało się na wodzie.

Czarodziej był z siebie dumny jak mały chłopiec, który właśnie nauczył się porządnie zawiązywać but. Miał poczucie, że nigdy wcześniej niczego takiego nie robił.

Lys drażniła go momentami niemożliwie, ale na to, żeby próbować się jej pozbyć, brakowało mu energii. Miał za to poczucie, że jeśli będzie niestrudzenie parł naprzód, zdoła w końcu dotrzeć do prawdy o samym sobie. Wymyślanie przedmiotów może i było przez pewien czas zabawne, ale wyczuwał w tym jakiś podstęp. Tęsknił do twardej, namacalnej rzeczywistości, do świata, w którym obowiązywałyby jakieś reguły.

Wyciął długi drąg i, odpychając się nim, odbił od brzegu. Szeroki nurt rzeki porwał go i pociągnął naprzód.

− Naprawdę nie rozumiem, dokąd ci tak spieszno – usłyszał za plecami rozkapryszony głos. Wzdrygnął się. Nie tylko nie miał zamiaru zabierać ze sobą Lys, ale wydawało mu się niemożliwe, by zdążyła wskoczyć na tratwę. Nie poczuł zresztą żadnego drgnięcia ani zakołysania. Obejrzał się. Siedziała za nim, z podkulonymi nogami, mierząc go swoim złym, zielonym spojrzeniem. Wydawało mu się, że dostrzegł w jej uśmiechu cień triumfu.

Koryto rzeki zwęziło się, a nurt nabrał tempa. Porastająca brzegi dżungla stała się jeszcze gęstsza i napierała na brzegi, rzucając na wodę głęboki cień. Pachniało błotem, nadgniłymi pniami i egzotycznymi kwiatami. Nie licząc szmeru wody, panowała upiorna cisza. Ten las także nie miał mieszkańców. Przynajmniej tak się z początku wydawało.

Ciszę rozdarł ryk i trzask łamanych gałęzi. Ponad linią lasu ukazała się nagle zębata paszcza, łuskowaty łeb i para żółtych oczu o pionowych źrenicach. Ogromny gad kroczył przed siebie na dwóch tylnych łapach. Przednie, karłowate, unosił przed sobą, prezentując gigantyczne szpony. Przez grzbiet pokryty czerwonawą łuską przebiegał sterczący grzebień.

Potwór wyrwał jakieś drzewo z korzeniami i, wymachując nim, zanurzył się w rzece, z daleka zagradzając drogę tratwie. Lys wrzasnęła i wbiła paznokcie w ramię Jardala.

− Mówiłam, że tak będzie – jęknęła. – Przeszkody i potwory, coraz gorsze koszmary. Tu nie można żyć!

Czarodziej wbił żerdź w dno, próbując szybko zwrócić tratwę na przeciwległy brzeg rzeki. Jednak prąd obrócił tylko zbitą z bali konstrukcją i pognał ją prosto w kierunku ryczącego z wściekłością i wywijającego wyrwanym drzewem gigantycznego gada.

− Co robić, Lys? Szybko, co robić? – krzyknął. – Mówiłaś, że znasz ten świat.

− Cokolwiek – powiedziała ponuro. – To samo, co robisz z przedmiotami i z własnym ciałem. Możesz go zmusić, żeby zniknął. Możesz go po prostu potraktować jak powietrze, a wtedy właściwie się nim stanie.

Jardal puścił żerdź i pozwolił tratwie płynąć wprost na potwora. Przeniknęli przez niego niczym przez zgęstniałe powietrze, które po chwili rozpłynęło się i znikło. Czarodziej wybuchnął głośnym śmiechem.

− Nie ma powodów do radości – posępnie rzuciła Lys. – Będzie ich więcej.

− I cóż z tego? Skoro można je traktować jak powietrze…

− Pomyśl. – Podrapała się po karku, zabijając komara. – Nawet jeżeli to, z czym musisz walczyć, nie jest w dosłownym sensie prawdziwe, nawet jeśli okazuje się łatwe do unieszkodliwienia, jak długo możesz to znosić? Gdy naoglądasz się, bo ja wiem, odartych ze skóry trupów i rozkładających się zwłok ludzi zmarłych na dymieniczną zarazę, jak długo wytrzymasz? Za każdym razem zdołasz przekonać ich, żeby uprzejmie zniknęli?

Jardal, nie odwracając głowy, mocnej ujął żerdź.

− Nie chcę cię martwić – ciągnęła dalej Lys, niezrażona tym, że na nią nie patrzy – ale kiedy umysł zmęczy się koszmarami, panowanie nad nimi staje się coraz trudniejsze. A nie wszystko będzie tak miłe jak ta pocieszna gadzina. A to, czego nie zdołasz zmusić do zniknięcia, stanie się przynajmniej tak materialne jak ta tratwa i maczeta, którą z takim zaangażowaniem siekałeś dżunglę.

Nie odpowiedział. Płynęli w ciszy, porywani coraz silniejszym nurtem. W oddali majaczyły odległe, błękitne góry, tak samo dalekie jak na początku podróży.

*

Kruk przekrzywił łeb i zakrakał głośno. Kamień przeleciał tuż obok jego dzioba i zarył się w leśnym poszyciu, strącając kilka liści z pobliskiej leszczyny. Ptaszysko zakrakało jeszcze raz, najwyraźniej z pogardą. Bertoglio przechylił się w siodle, wypatrując kolejnego kamienia.

– Zostaw go – parsknęła Cantia von Essen, jadąca obok na zgrabnej kasztance. – Gałęzi szczepu rodu di Nero nie uchodzi rzucać kamieniami w ptactwo niczym wiejskiemu chłopakowi.

Berto zaczerwienił się po uszy.

– Kiedy to zła wróżba – burknął. – Siedzi i kracze przeklętnik.

Cantia uniosła w górę nos, ściągnęła popręgi konia i pojechała przodem. Jej mina sugerowała wyraźnie, co myśli o złych wróżbach dedukowanych z ptasich głosów. Zrównała się z kupieckim wozem, który powoli, grzęznąc kołami w koleinach piaszczystego traktu, wlókł się przed nimi. Z tyłu, wyglądając spod płóciennej budy niczym stadko przycupniętych pod miedzą przepiórek, siedziały

rządkiem trzy kupcówny w płóciennych czepeczkach, spod których wysuwały się gładko splecione warkocze. Przyglądały się Cantii z mieszaniną podziwu, przestrachu i mieszczańskiego zgorszenia. Nad nimi, jak kokosz nad stadkiem piskląt, rozlewała obfite kształty jejmość kupcowa.

Na ten wóz natknęli się kilka dni wcześniej na trakcie. Kupiec mozolił się ze złamaną osią, którą wspólnym wysiłkiem pomogli mu naprawić. Przydało się przy tym zarówno młode ramię Bertoglia, jak i magia Lety Therrus. Ponieważ zbliżał się wieczór, zanocowali wspólnie na pobliskiej polanie, a rano razem wyruszyli w dalszą drogę. Kupiec zmierzał na tarrenckie pogranicze, gdzie miał zamiar z zyskiem sprzedać swoje towary – choć nie chwalił się, co właściwie ma na sprzedaż – więc przynajmniej do Przełęczy Tarn było im po drodze. Mało odzywali się nawzajem do siebie. Kupcówny wodziły spojrzeniami zaskoczonych kurcząt zarówno za czarodziejką i nauczycielem, jak i za Bertem i Cantią. Przy czym o ile w przypadku młodego di Nero to spojrzenie stawało się nieco maślane, to kiedy zatrzymywało się na adeptce magii, zaczynało wyrażać coś w rodzaju niemieszczenia-się-w-małej-główce. Dziewczyna w męskim stroju, z obciętymi krótko włosami, przebywająca cały czas w towarzystwie mężczyzny i rozmawiająca z nim swobodnie to było za wiele jak na wyobrażenia o świecie panien kupcówien. Matka zachowywała się, jakby miała ochotę momentami zakrywać im oczy. Jedynie ojciec rodziny, brzuchaty i brodaty, o wyglądzie zamożnego chłopa, próbował czegoś w rodzaju szorstkiej uprzejmości. Objawiało się to tym, że przynajmniej od czasu do czasu się odzywał.

Towarzystwo nie rozmawiało więc prawie wcale, najwyraźniej niewiele mając sobie do powiedzenia. Cantię irytował rządek wpatrzonych w nią oczu. Wspólna wędrówka zawsze zapewniała większe bezpieczeństwo, ale w tym przypadku nie oferowała najwyraźniej dodatkowych atrakcji. Kupiec podróżował przedtem z taborem kilku wozów, zmierzających w tym samym kierunku, ale współtowarzysze – i zarazem handlowi konkurenci – opuścili go w kłopotach, nie chcąc opóźniać własnej podróży. Okolica stawała się dzika, na horyzoncie majaczyło już pasmo Gór Solnych, odgraniczających Tarrent od południowych ziem należących do Wolnych Miast. Las stopniowo się zmieniał, oprócz wysokich sosen zdarzały się wzniesione, skaliste połacie porośnięte wrzosem i kosodrzewiną. Powietrze stało się inne, chłodniejsze i ostre. Woda w strumieniach była czysta jak kryształ i lodowata. Nad drzewami częściej unosiły się wielkie, drapieżne ptaki. Od czasu do czasu napotykali jeszcze skupiska chałup albo gospodę przy trakcie, jednak zamieszkiwali te miejsca ludzie zupełnie inni niż otwarci, gadatliwi rolnicy z żyznych dolin. Tutejsi milczący, odziani w wywinięte wełną na wierzch kożuchy górale wydzielali ostrą woń surowej owczej wełny i wędzonego sera. W gospodzie można było pożywić się

gotowaną baraniną, owsianym chlebem i cienkim, kwaśnym piwem, a cena równała się spożyciu wykwintnego posiłku w eleganckiej tawernie, położonej w dużym mieście. Valla klął pod nosem, Leta płaciła z uśmiechem, a kupiec z rodziną siedzieli na wozie i w milczeniu spożywali własne zapasy.

Takich osad nie spotykali jednak zbyt wiele. Już od dwóch dni wędrowali leśną głuszą, nie napotykając żadnych stworzeń oprócz błyskających białymi zadkami zajęcy i umykających w pośpiechu jeleni. Nie licząc ptasich głosów i odległego skwirzenia orłów, panowała niemal zupełna cisza. Kruk, który siedział przy drodze i głośnym krakaniem irytował di Nero, stanowił osobliwy wyjątek. Mimo kpin Cantii chłopak sięgnął po kolejny kamień i wycelował nim w ptaka. Znowu chybił. Kruk rozwinął skrzydła i odleciał z godnością, kracząc pogardliwie. Berto zaczerwienił się i wyprostował w siodle. Dumny był z tego, że potrafi nie zsiadając z konia zawisnąć w strzemieniu i podnieść z ziemi upatrzony pocisk. Czuł na sobie zdumione i pełne podziwu spojrzenia panien kupcówien. Niemniej dalszy użytek, jaki zrobił z kamienia, zdecydowanie nie poprawił jego reputacji.

Cantia wpatrzyła się w jadący przodem wóz Lety Therrus. Chwiał się, zmagając z piaszczystymi koleinami. Zrównała się z siedzącym na koźle własnego wehikułu kupcem.

– Chłopak ma rację, panienko – niespodziewanie odezwał się brodacz. – Takie kraczące nieszczęście musowo kamieniem przegonić. Nie trza dopuścić, by krakało nad tobą.

Cantia wzruszyła chudymi ramionami i uderzyła piętami konia. Przed wozem Lety rysował się ostry zakręt, częściowo przysłonięty skalnym występem, na którym rosła pojedyncza, karłowata sosenka. Trakt prowadził w tym miejscu zwężającym się wąwozem. Las wspinał się wysoko i gęstniał. Baronówna zaniepokoiła się, czy wóz zdoła pokonać zakręt, czy też utknie na nim. Popędziła konia.

Nagle rozległ się trzask łamanego koła i kwik przerażonych zwierząt. Konie z zaprzęgu Lety Therrrus przysiadły na zadach. Wóz cofnął się i zarył w piaszczystą ścianę wąwozu.

– Uważaj! – Do boku Cantii przycwałował Berto. Chwycił ją za ramię, zmuszając do osadzenia konia w miejscu. Szarpnęła się i wyrwała, chcąc znów skoczyć do przodu, ale w tej samej chwili usłyszała z tyłu huk drzewa, które uderzyło w inne z głośnym trzaskiem łamanych gałęzi. Ogromny pień upadł, zagradzając drogę odwrotu. Z zarośli nagle posypały się strzały.

– Na ziemię! – Berto ściągnął Cantię z konia i razem z nią przywarował pod sterczącymi z piaszczystego zbocza korzeniami sosny. Kasztanek baronówny upadł z przestrzeloną szyją, rzężąc i tocząc z pyska krwawą pianę. Dwie kolejne strzały przeszyły ramię i bok kupca, który zachwiał się, walcząc o oddech, ale po

krótkiej chwili ciężko zwalił się na ziemię. Na jego kamizeli wykwitła wielka plama krwi. Kupcówny darły się wysokimi, piskliwymi głosami. Ich matka wymyślała napastnikom od zbójów i złoczyńców. Porwała z wozu przechowywaną tam nie wiedzieć czemu na wpół zardzewiałą rohatynę i teraz stała z nią niczym wielka, piersiasta kwoka, gotowa bronić swoich kurcząt. Ale napastnicy nie zamierzali podchodzić tak blisko, żeby narazić się na jej ciosy. Jeden z nich, drobny, odziany w barani kożuch i łatane portki, zeskoczył z drzewa i chwycił tuż przy pyskach spłoszone konie. Inni wychynęli z krzaków, nadal szyjąc ze swoich prymitywnych łuków. Najmłodsza kupcówna wypadła z wozu z przestrzelonym gardłem. Średnia, nie przestając wrzeszczeć, zakryła oczy dłońmi. Najstarsza trzęsącymi się rękami wydobyła z głębin wozu nienabitą kuszę i próbowała wycelować ją w napastników.

W kilka chwil było po wszystkim. Dziewczęta leżały na dnie wozu, naszpikowane strzałami jak jeże. Jeden ze zbójców chwycił kupcową za spódnicę, ściągnął ją na ziemię i przejechał nożem po gardle. Krzyki umilkły, zmieniając się w bulgot, a potem w ciszę. Cantia dygotała w uścisku Bertoglia di Nero. Od strony wozu Lety, który utkwił na zakręcie, nie dobiegał żaden dźwięk.

Zbójcy jakby dopiero teraz zauważyli ich dwoje. Czarniawy, który zarżnął kupcową, wytarł nóż o portki i ruszył w ich stronę, uśmiechając się złowieszczo. Przemówił w jakimś niezrozumiałym góralskim dialekcie, pełnym syczących i zgrzytliwych głosek. Cantia złowiła uchem cichy świst. Dźwięk, jaki wydaje lecąca strzała. Nie tandetna, ledwie prosta, byle jak opierzona strzała, jakiej używają wieśniacy do polowań na króliki. Strzała szlachetna, o perfekcyjnie prostej brzechwie, zakończona ostrym grotem z doskonałej stali, wyposażona w znakomitą lotkę. Może nawet barwiona. Na przykład na czarno. Taka, którą łucznik zakłada na cięciwę lekko i zarazem pewnie, ledwie przesuwając między palcami. Napina łęczysko i puszcza przed siebie cicho syczącą śmierć.

Strzała przeleciała ponad ramieniem Cantii i wbiła się prosto w pierś nadchodzącego zbójcy.

Z leśnej gęstwiny wynurzyli się rycerze w czarnych płaszczach i jednakowych pancerzach ze szmelcowanych czarno metalowych płytek, naszytych na skórzane kaftany. Błysnęły wydobywane miecze i topory. Zbójcy umierali z jękiem i krzykiem. Niektórzy w ciszy, jak ten, który próbował ucieczki i zginął przygwożdżony toporem do kupieckiego wozu. Czarni rycerze nie brali jeńców. Baranie kożuchy nasiąkały posoką. Bezużyteczne, byle jakie łuki leżały wdeptane w piasek.

Cantia siedziała w objęciach Berta, do krwi gryząc pięść wciśniętą do ust.

Chwilę później jeden z rycerzy wbił swój miecz w ziemię, tuż obok głowy martwej kupcowej, która wytrzeszczała puste oczy ponad rozharatanym gardłem.

– Za późno przyszlim – rzekł i splunął w krzaki.

Leta Therrus stała obok swojego wozu. Biała, wysoka i smukła, z diamentem na czole. Dotykała wąskimi dłońmi krwawego śladu na skroni. Agostino Valla kulił się obok niej, podtrzymując zwisające bezwładnie ramię. Cantia wyrwała się z uścisku Berta i pobiegła, potykając się i zataczając, w stronę swojej opiekunki. Leta otoczyła ją ramieniem i wyszeptała do ucha zaklęcie. Baronówna poczuła słabość, od której ugięły się pod nią nogi, a uszy wypełnił szum płynącej w żyłach krwi. Jednocześnie spłynęło na nią uspokojenie. Ktoś ostrożnie posadził ją pod drzewem. Przez mgłę obserwowała, jak czarni rycerze, którzy ścigali uciekających zbójców, wracają, wycierają miecze i otaczają kołem Letę i Agostina Vallę.

– Za późno przyszlim – powtórzył dowódca. Wyróżniał go srebrny pas i hełm, jak u wszystkich szmelcowany czarno, ale zdobiony srebrnym wizerunkiem gryfa. – Już od dawna na tę bandę czatujem. Nie uszły, psiejuchy, ale zdążyły krwi upuścić.

– Jeden uszedł – odezwał się któryś. – Rynalf i Ordrey ścigali go, ale przy potoku w wodospad skoczył i zniknął im z oczu.

– To się może i sam zabił.

– Wątpliwe. Te górskie szakale znają teren jak demony, wiedział śmierdziel, co robi. – Dowódca znów splunął w piasek. – Nic to. Banda w puch rozbita, a ten nieprędko nową zbierze. Waszmość państwu dokąd droga? – zwrócił się do Lety. – Ten szlak donikąd nie prowadzi. Zabłądziliście.

– Mylisz się, dobry człowieku. – Agostino wypiął chudą pierś. Głos drżał mu nieco. – Jesteśmy, wedle naszej najlepszej znajomości, na trakcie kupieckim do Tarrentu, wiodącym przez Przełęcz Tarn.

– Tedy zawiodła was najlepsza znajomość. – Dowódca podrapał się po niedogolonym podbródku. – To jest boczna odnoga tego traktu i donikąd, zapewniam was, nie prowadzi.

– Wszelako tego „nikąd” skłonni jesteście bronić z dziwną determinacją – warknął Valla, po czym przestraszył się własnych słów i schował głowę w ramiona.

Rycerz niedbałym gestem położył dłoń na rękojeści miecza. Za nim wszyscy inni lekko zmienili pozycję. Było to małe ugięcie nogi, skręt ciała – ruchy nieznaczne, ale sugerujące, że w ułamku sekundy wszyscy staną się śmiertelnie niebezpieczni. Dowódca podkręcił wąsa.

– Nie jesteście – powtórzył – na trakcie ku Przełęczy Tarn.

– Przypominam sobie, że leżał w tych stronach – odezwała się Leta – mały, ale warowny zameczek.

Rycerze poruszyli się lekko. Zgrzytnęły pasy na obszywanych płytkami pancerzach.

– Jego właścicielem – ciągnęła czarodziejka – był niegdyś stary Vilamius von Tannen. Po nim nastał jego syn, imienia nie pamiętam dokładnie. Ignatius czy Igbertus. Ale miał on córkę, która przez jakiś czas uczyła się w Emain Avallach. Pamiętam ją jako młodziutką dziewczynę. Maria Serena von Tannen. Miła, kasztanowłosa, z dołeczkami w policzkach, rumiana i uśmiechnięta.

Dowódca opuścił dłoń.

– Wybaczcie, pani – rzekł niepewnie. – Ale… hrabina Maria Serena von Tannen to wasza szkolna koleżanka?

– Nie. – Leta uniosła wysoko głowę. – Uczennica.

*

Kilka godzin później Cantia zrozumiała ich zaskoczenie. Godzin wypełnionych milczącym marszem wśród wysokich jodeł i nagich skał, a potem w górę, wąwozem o kamienistych ścianach, wgryzającym się w górski szczyt. Towarzyszył im tylko skwir orłów, hurkot skalnych odłamków osypujących się pod stopami i pod kopytami koni oraz cichy szczęk broni czarnych rycerzy. Leta jechała na wierzchowcu Berta, Agostino Valla na jednym z kupieckich koni, który ocalał z rzezi. Baronówna i młody szlachcic brnęli pieszo kamienistą ścieżką, otoczeni przez ponurą eskortę. Wóz czarodziejki był poważnie uszkodzony, nie mówiąc o tym, że nie zmieściłby się na drodze do zamku. Wojownicy w czarnych płaszczach sprawnie podzielili między siebie jego zawartość i nieśli ją w zgrabnie spakowanych tobołkach. Kilku z nich zostało, gdy drużyna wyruszyła w drogę. Kiedy jakiś czas później Cantia obejrzała się za siebie, zobaczyła strużkę sinego dymu. Nie chciała myśleć o tym, że deski kupieckiego wozu zamieniły się właśnie w prowizoryczny stos. Nie chciała widzieć tych, którzy na nim płonęli.

A potem dotarli do bram zamku Tanis. Żelazna krata w skale rozsunęła się ze zgrzytem. Weszli przez tunel wykuty pod górą na ciasny dziedziniec, ponad którym wznosiła się postrzępiona sylwetka ponurego gmachu z szarego kamienia, z małymi strzelniczymi okienkami. Stado wron krążyło ponad krenelażami wież i blankami murów, kracząc głośno. Cantia zamknęła oczy, gdy dopadła ją ostra woń oprawianej zwierzyny, przepoconych męskich ciał i skórzanych kubraków.

Parę chwil później zrozumiała zdziwienie rycerzy z czarnej drużyny. Hrabina Maria Serena von Tannen okazała się miłą, uśmiechniętą, rumianą staruszką. Wyprostowana, wysoka, pełna godności Leta wydawała się przy niej – ze swoimi długimi, gęstymi białymi włosami i pięknymi dłońmi – prawie młodą

kobietą. Przez chwilę mierzyły się spojrzeniem. A potem w krótkowzrocznych oczach właścicielki zamku Tanis pojawił się błysk rozpoznania. Dolna warga zadrżała jej nieco. Leta rozwarła ramiona, a stara hrabina rzuciła się w nie jak mała dziewczynka. Parę mocnych uścisków i mokrych całusów w policzki dostało się również Bertowi i Cantii. Agostino Valla pozostał, na swoje szczęście, prawie niezauważony.

Baronówna rozejrzała się ciekawie wokół. W przeciwieństwie do ponurego otoczenia zamku sala jadalna sprawiała wrażenie gościnnej i przytulnej niczym wiejska chata. Na ścianach wisiały wzorzyste gobeliny. Drewniane stoły, wyszorowane do czysta, przykrywały haftowane obrusy, a z sufitu zwieszały się suszone bukiety kwiatów i ziół. W wielkim kominku płonął ogień, a umocowane przy ścianach pochodnie dawały dużo światła i bardzo mało dymu. Cantia wzdrygnęła się, gdy przypomniała sobie ponurą, ciemną, lodowatą salę w zamku wujostwa. Tu nawet ławy do siedzenia nakryte były miękkimi, kosztownymi futrami. W kącie przy kominku siedziały kołem czyste i schludne służące, przędąc, zwijając wełnę w pasma, plotkując i od czasu do czasu wybuchając perlistym śmiechem. Hrabina klasnęła w ręce i te same służące zaprowadziły gości do osobnych komnat, w niezwykle szybkim tempie przygotowały ciepłą kąpiel i zabrały się za ściąganie brudnej przyodziewy. Cantia z lubością zagłębiła się w balii pełnej gorącej wody, pachnącej lawendą i rozmarynem. Zanurkowała, puszczając bąbelki nosem, a potem wynurzyła się, wstrząsając krótkimi włosami jak mokry psiak. Rozchichotana nastoletnia służąca wyszorowała ją ostrą szczotką, a potem wytarła szorstkim ręcznikiem i pomogła włożyć czyste odzienie: błękitną atłasową sukienkę, krótki, haftowany perełkami kubraczek i ciemnoszafirowy, obszywany białym futerkiem płaszcz.

W sali jadalnej zamku Tanis płonęły dziesiątki świec. Ustawione w podkowę stoły nakrywały białe obrusy. Hrabina wraz z Letą Therrus i Agostinem siedzieli na poczesnym miejscu, za plecami mając ogromny kominek ozdobiony jelenim porożem. Szczękały srebrne sztućce, mieniło się wino w kryształowych kielichach. Maria Serena nie tolerowała burd przy stołach, więc wszyscy, łącznie z oficerami gwardii, rozmawiali niezbyt głośno i jedli obyczajnie, od czasu do czasu tylko wycierając w obrus umazane tłuszczem paluchy albo wydmuchując zawartość własnych nosów. Cantia rozpoznała jednego czy dwóch spośród rycerzy, którzy ich eskortowali, ale poza tym siedzieli tam ludzie zupełnie jej nieznani, w większości mężczyźni o topornym wyglądzie i nieco mętnym spojrzeniu. Kilka podstarzałych dam pożywiało się w milczeniu, a ich bezbarwne spojrzenia utkwione były w talerzach.

W kącie, jako tło dla konwersacji, cichutko grała lutnia. Lutnię tę trzymała niełądna, kanciasta dziewczyna o szarych, prostych włosach. Spod jej palców

płynęła delikatna, tęskna melodia, pełna zawiłych pasaży. Obok stała śpiewaczka w prostej zielonej sukni – smukła, śliczna, o posągowym wykroju ust, z których wydobywał się bogaty, słodki i perlisty głos. Berto di Nero, siedzący przy narożniku stołu, tuż obok Agostina, gapił się na nią jak kretyn.

– Oczy waćpanu wypadną – mruknęła zgryźliwie Cantia, zajmując miejsce obok i nakładając sobie na talerz bażancie udko.

– Bo i jest na co popatrzeć, i posłuchać czego – skrzeknął siedzący naprzeciw starzec, na którego talerzu pływał chleb zanurzony w gęstym sosie. – To wędrowne muzykantki, które tak się pani naszej spodobały, że już trzeci miesiąc w zamku siedzą. Siostry, choć i nie wygląda na to. Myrra, ta, co gra, i nasza słodka Erian.

Cantia spojrzała tęsknie w kierunku Lety, ale jej opiekunka zajęta była rozmową z dopiero co odnalezioną przyjaciółką. Bertoglio, którego miała z prawej strony, nadal przewiercał maślanym wzrokiem piękną śpiewaczkę. Siedzący z jej lewego boku postawny rycerz o wyglądzie gbura nie nastrajał do konwersacji. Starzec dłubał w zębach. Cantia westchnęła i nałożyła sobie sałatki z karczocha. Lutnia grała melodyjnie i śpiewnie.

*

Niezgrabna dziewczyna szybko przebierała po strunach palcami o kwadratowych, matowych paznokciach. Pochylała mocno głowę, tak, żeby szare proste włosy spadały jej na twarz. Dać im to, czego chcą. Układać ballady, poruszać serca. A w zamian otrzymać codzienny chleb i bezpieczeństwo. Trochę złota lub srebra, jeśli dopisze szczęście. Myrra starannie gromadziła każdą monetę i szczelnie zaszywała w płóciennym pasie, który prawie zawsze nosiła na sobie. Tego, że jest mniej szczupła, niż może się wydawać, nikt i tak nie zauważy. Wszyscy zawsze patrzą tylko na Erian. Śliczną, obdarzoną pięknym głosem. Nie wiedzą, że to Myrra pisze wszystkie ballady, że to ona układa muzykę, której z taką lubością słuchają. A siostra, choć nie umie grać, rozumie każde słowo i każdą nutę. Nie potrzebują dawać sobie znaków. Myrra gra, pochylona i skupiona. Uderzać w struny. Poruszać serca.

*

– Wpadła w oko, co, paniczu? – Starzec mrugnął zwiędłą powieką i zamiast w zębach, zaczął dłubać sobie w uchu. – Ale nic z tego, nic z tego. – Rozciągnął usta w czymś, co miało być zapewne filuternym uśmiechem, a wyszło jak grymas trupa. – Siostra pilnuje jej, że nie wiem co. A i młodsza dla starszej troskliwa niczym gołąbka. Nie rozstają się prawie. Jeślibyś gdzie do komory chciał

śpiewaczkę zaciągnąć na pochędóżkę, tamta chybaby ci tę lutnię, z przeproszeniem, w rzyć wsadziła.

Cantia skrzywiła się z obrzydzeniem, Berto oprzytomniał nagle i spiekł raka.

– Ja nic… ja tylko… słuchałem muzyki – rzekł nieskładnie i zaczął w pośpiechu nadrabiać zaległości w zapoznawaniu się z kulinarnymi zaletami stołu.

– Znamy my taką muzykę. – Starzec zademonstrował nieliczne podpróchniałe zęby w kolejnej parodii uśmiechu. – Bęben od niej rośnie. Ale wybaczcie – ja sobie gadam, a panna twoja się obrazi.

– Nie jestem jego panną – warknęła Cantia.

Starzec pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A nie mówiłem – rzekł, powracając do dłubania w uchu. – Już się obraziła.

Baronówna miała właśnie wymyślić jakąś ciętą ripostę, ale nagle zamilkła i sama zapatrzyła się w śpiewaczkę. Ton lutni stał się odrobinę głębszy, bardziej tęskny.

– Wysłuchajcie państwo – rzekła Erian – pięknej ballady o czarodzieju i czarodziejce, co się miłowali wielce i usychali z tęsknoty za sobą.

Zaczęła śpiewać. Kandelabry jakby przygasły, a goście przestali dziobać resztki na talerzach i zasłuchali się. Leta przerwała rozmowę z hrabiną i pochyliła się do przodu. W jej oczach zalśnił niebezpieczny błysk.

Erian śpiewała do wtóru lutni o tym, jak pewien czarodziej ujrzał na leśnej polanie pewną czarodziejkę i pokochali się od pierwszego wejrzenia. Ale zła wiedźma, zazdrosna o ich miłość, rzuciła na nich zły czar. We dnie on stawał się kotem, a ona w nocy sową. I zamieszkali w leśnej chatce, żywiąc się korzonkami, owocami i tym, co kot i sowa zdołali upolować. Tęsknili nieustannie do siebie, bo choć byli zawsze razem, nie mogli mówić z sobą ani wziąć się w ramiona. W końcu on rzekł, głaszcząc sowie pióra: „Miła, nie możemy dłużej tak żyć. Pójdę do wiedźmy, groźbą lub błaganiem zmuszę ją, by odczyniła czar”. Zostawił ukochaną samą na polanie i poszedł. Przyszedł dzień, sowa zmieniła się w niewiastę. Przyszła noc, nie odmieniła się znowu. Radość przeszyła jej serce: „Widać wykonał swój zamiar mój ukochany! Rychło go tu znów ujrzę”. I siedziała czarodziejka w szałasie z leszczynowych gałęzi, miłego czekając. Siedzi dzień, siedzi drugi, siedzi trzeci. W końcu zaczęła oczy wypłakiwać i załamywać białe ręce: „Zgubił drogę miły mój, albo całkiem zapomniał o mnie”. Następnego dnia wyruszyła szukać ukochanego. Szła przez leśne bagna, szła przez wykroty, przez porośnięte cierniami doliny. Suknię na sobie całkiem poszarpała, pokaleczyła dłonie i stópki. „Och, gdybym ja na sowich skrzydłach umiała, jak dawniej, wzlecieć” – mówiła sobie. Ale nie potrafiła już zmienić postaci.

W końcu doszła do chatki czarownicy, stojącej na samym brzegu morza, nad urwiskiem. Zastukała, zapukała. Nie było odpowiedzi. Weszła. Skrzypnęły stare,

na krzywych zawiasach osadzone drzwi. Pusto było w chatce. Sprzęty pokrywał kurz stuletni. A pośrodku, na podłodze ze zmurszałych desek, leżał jej miły, cichy i blady, jakby spał. Podeszła ku niemu, objęła jego głowę i poczęła go budzić szeptem i pocałunkami. Ale nie obudził się czarodziej. Spostrzegła wtedy, że w serce ma wbity złoty sztylet, aż po rękojeść. Zabiła go zła wiedźma, zazdrosna o ich miłość. Nie zapłakała czarodziejka. Skamieniała z bólu. Wyniosła miłego swego z chaty, ułożyła na brzegu urwiska, na zielonej trawie. Ostatni raz do niego przemówiła: „Gdzie odszedłeś, gdzie teraz jesteś, mój jedyny i ukochany? Usta twoje zimne, już mnie nie ucałują, oczy twoje martwe, już nie spojrzą na mnie z miłością, ręce twoje dalekie, już mnie nie obejmą. Pójdę za tobą, bo co mi teraz na ziemi i pod niebem pozostało?”. Zdjęła czarodziejka pas złocisty, pasem tym się z ciałem miłego powiązała. A potem z urwiska do morza wraz z nim się rzuciła. I zakryły zielone fale czarodzieja i czarodziejkę, co wielką się miłością miłowali. Wieczna im była za życia niedola i tęsknota, śmierć jeno na zawsze ich złączyła. Ją zwali Mitrilla, a on Jareda nosił imię. Fale te imiona szepczą, wiatr je wypowiada, słychać je w skwirze mew. I będą je powtarzać po wiek wieków, aby słodkim cierpieniem przenikały serca.

Erian skończyła swoją śpiewną recytację, odrzuciła na plecy złote włosy o delikatnym, miedzianym połysku. Starsze damy ocierały kułakami oczy i głośno wydmuchiwały nosy. Berto siedział z gębą otwartą jak u pachołka. Cantia przekonywała samą siebie, że nie, wcale jej się nie zaszkliły oczy. To tylko te świece tak dymią. W tym momencie odwróciła wzrok ku stołowi, za którym siedziała Leta, i aż zamarła. Wiekowa czarodziejka pochylona była do przodu, a jej łagodna zwykle twarz stężała w zimnym grymasie. Wpatrywała się w śpiewaczkę wzrokiem, który mógłby palić na popiół. Diament nad jej czołem lśnił jak okruch lodu.

Czas więzów

Deszcz lał, jakby chciał zatopić świat, a przynajmniej tę ponurą, smrodliwą miejscowość o nazwie brzmiącej jak „chrumpf” czy „wumpf”. Hemruv. Kto to wymyślił, zastanawiała się Verena Haage, niecierpliwie bębniąc wypielęgnowanymi paznokciami po doszczętnie przeżartym przez korniki parapecie małego, brudnego okna gospody. Gospoda przypominała rozwalający się chlew. Z dziury w dachu po drugiej stronie izby ciurkał do środka irytująco nierówny strumyk błotnistej ulewy. Umorusana dziewka, poganiana przez gospodarza, przesuwała co chwilę ceber, próbując złapać w niego lejącą się ze stropu wodę. Z nikłym skutkiem. Ceber też był dziurawy.

Całe Hemruv składało się z kilku chałup z porozwlekanymi strzechami i odpadającymi okiennicami, krzywych płotków z przegniłych desek, łysego drzewa poświęconego niewiadomemu bóstwu oraz wszechobecnego smrodu. Mieszkańcy żyli z hodowli świń, które kłębiły się pod krzywymi wiatami przybudowanymi do chałup, kwiczały głośno i rozdeptywały wszystko wokół na niemożliwie cuchnącą, błotnistą maź. Deszcz, który powinien był spłukać choć trochę brud i zagłuszyć smród, rozmywał podwórka i biegnącą środkiem drogę, tworząc płynącą leniwie rzeczkę, której fetor wciskał się w nozdrza z siłą górskiego huraganu. Mieszkańcy najwyraźniej przywykli, toteż już od dawna przestali zwracać uwagę na to, po czym chodzą. Na podwórzu gospody umorusane i radosne prosiaki – oraz dzieci – biegały pomiędzy nogami koni. Ulewa rozmiękczyła i rozlała wokół głęboką po kostki warstwę nawozu. Suknia Vereny momentalnie nasiąknęła od spodu wodą oraz jej zawartością. Czarodziejka najchętniej oczyściłaby ją zaklęciem, ale nie chciała demonstrować swoich mocy. Próbowała pozostać anonimowa. Zostawiając za sobą strumyczek szlamu, wspięła się na górę po krzywych schodach, do sypialnej izby wskazanej przez zezowatą i pryszczatą córkę gospodarza. Tam wyjęła z podróżnej sakwy świeżą suknię i płaszcz. Gdy zeszła na dół – omijając własne, wciąż wilgotne ślady – przekonała się, że karczmarz do higieny w kuchni ma stosunek równie niefrasobliwy, co do porządków w obejściu. Kufle były brudne, na glinianych talerzach widać było zaschnięte na kamień smugi. Verena przełknęła ślinę. Była naprawdę głodna. Do wyboru miała pieczoną świnię albo zupę z grochu na wieprzowinie. Zupa miała nieokreślony kolor i pachniała podejrzanie. Czarodziejka podziękowała. Postanowiła, że pożywi się później resztką owsianego chleba i owczego sera, które wiozła w podróżnym bagażu.

A co się stanie, jeśli on nie przybędzie, myślała, torturując paznokciami parapet. Zajęła miejsce przy jednym z dwóch okien, owinęła się płaszczem i patrzyła na prześwitujące przez szpary w okiennicach strugi deszczu. Hemruv. Uboga osada na pograniczu Gór Błękitnych. Jeszcze nie w górach i już nie na równinie. Na chybił trafił wybrana miejscowość, byle nieznana i odległa od uczęszczanych szlaków. A może z niej zadrwił. A może nie zjawi się wcale, a ona będzie czekała, wpatrując się w deszcz, głodując i próbując nie czuć wszechobecnego smrodu chlewa, niemytych ciał i zakiszonych pomyj.

Kilka dni wcześniej, gdy udało się nawiązać kontakt, Verena była pełna nadziei. Opuściwszy obóz Jastrzębia wędrowała niby w stronę Emain Avallach, ale tak naprawdę czuła się pozbawiona konkretnego celu. Wszystkie nici wysunęły jej się z rąk. Obsesja rozwikłania urojonego spisku rozmyła się w trudach podróży, w noclegach w zapyziałych wioskach i sennych mieścinach. Do nocowania w lesie, pod gołym niebem, czarodziejka czuła nieprzezwyciężony wstręt. Do tego widok tępych fizjonomii mieszkańców równiny zaczynał przyprawiać ją o delikatny obłęd. Nade wszystko pragnęła z kimś porozmawiać, podzielić się swoimi wielkimi nadziejami i równie wielkimi obawami. Pal diabli, niechby nawet z Lagercrantzem. Przynajmniej był inteligentny. Albo i z Grandinim. Na wspomnienie agenta na policzki występował jej delikatny rumieniec wstydu. Nie z powodu uwiedzenia go albo ostentacji, z jaką oddawała się nocnym igraszkom. To akurat Verenie nie przeszkadzało. Osobliwie niemiłe uczucie towarzyszyło jednak świadomości, że nie zdołała go sobie podporządkować. Podobnie jak i Lagercrantza. A ten, na którym usiłowała się w ten sposób odegrać, pozostał niewzruszony. Przekonywała samą siebie, że jest jej to obojętne, podobnie jak jego obecny los. Jakikolwiek by nie był.

Przez moment zastanawiała się, czy nie powinna wrócić, poszukać tych, których opuściła, ostrzec Justina Ferna, że grozi mu niebezpieczeństwo. Ale musiałaby wtedy wyznać, że to ona je sprowadziła. A na myśl o tym czuła bijący na policzki krwawy rumieniec. Nie, Lagercrantz na pewno przesadzał, nie stanie się nic złego. Kondotier ma ważniejsze sprawy na głowie niż uganiać się po pustkowiu za Grandinim i Tarrentczykiem.

Wahała się. Niezbyt długo, ale w końcu nie miała żadnej innej perspektywy. Spotkanie z Jastrzębiem okazało się kompletną porażką, której smak był w ustach tak kwaśny, że wolałaby wyrzucić całe zdarzenie z pamięci. Odjechała stamtąd szybko, bez pożegnania, pragnąc podtrzymać iluzję, że rozstanie z oddziałem kondotiera to jej własna decyzja. W najbliższej gospodzie, w której dostała do dyspozycji samodzielną komnatę ze zmatowiałym lustrem, stojącym na przeżartej przez korniki toaletce, wyjęła z juków małe, kryształowe zwierciadełko i odrobinę proszku, silnie pachnącego ziołami. Zamknęła okno, za

którym zapadał zmierzch, grały w trawach cykady, ryczały sprowadzane z pastwiska krowy i nawoływały się wysokimi, śpiewnymi głosami wiejskie dzieci. Po obu stronach lustra ustawiła lichtarze i zapaliła świece. Swoje zwierciadełko ustawiła naprzeciw, nasypała na nie proszku i zdmuchnęła go w powietrze, mrucząc jednocześnie inkantację. Po chwili powierzchnia starego, matowego lustra rozjarzyła się. Ukazała się twarz Adelarda z Tradivy. Obraz był niewyraźny i rozmazany po brzegach, ale na widok znajomego, drwiącego uśmieszku w kąciku ust Verena poczuła, że drżą jej kolana. Nie zdążyła o nic zapytać, nic powiedzieć. Połączenie ledwo się trzymało, niestabilne i cienkie jak pajęcza nić. Obraz drgał i bladł. Czarodziejka zacisnęła dłonie na krawędziach toaletki. Podbrzusze zapulsowało bólem. Widziała, że on porusza ustami, ale nie słyszała, co mówi. Z wysiłkiem nawiązała mentalne połączenie i przekazała mu tylko jedno pytanie: gdzie? I na to otrzymała tylko tę dziwną odpowiedź: Hemruv. Za pół księżyca. Obraz leżącej z dala od kupieckiego szlaku zapadłej wioseczki prawie rozsadził od środka jej czaszkę. Z jękiem osunęła się na kolana, uderzając czołem o krawędź szafki. Pod powiekami latały kłujące iskry. Hemruv. Za czternaście dni.

A teraz siedziała w małej, zapadłej wiosce, tonącej w błocie, smrodzie, świńskim łajnie i strugach deszczu. Zaczynała wątpić, czy jej zwierciadlane widzenie nie było czasem przywidzeniem, magiczną aberracją. Nie spieszyła się. Przybyła tu dokładnie piętnaście dni po otrzymaniu wiadomości. Przekonana, że to wystarczy na dystyngowane spóźnienie. On będzie czekał, nudził się, wyglądał na drogę i czyścił nożykiem paznokcie. Ale gdy przybyła na miejsce, nie zastała nikogo oprócz brudnego poganiacza mułów, przeżuwającego w kącie swoją porcję kaszy z wieprzowiną. A potem minęły kolejne cztery dni. Gdyby nie paskudna pogoda, zapewne odjechałaby stąd wściekła. Ale deszcze trzymały ją na miejscu, niezdolną do podjęcia jakiejkolwiek decyzji, jakby rozpuściły jej wolę, i tak już mocno nadwątloną.

Nagle na podwórzu gospody zaklaskały w błocie końskie kopyta. Verena drgnęła i przysunęła się do okna. Brudne drewniane okiennice zasłaniały widok, zostawiając tylko małą szparę, przez którą sączyła się szara deszczówka.

– Gospodarzu – rozległ się zachrypnięty okrzyk. Skrzypnęły drzwi i do izby wtoczył się przemoczony do suchej nitki osobnik w filcowym kapelusiku, który ulewa uformowała w kształt grzyba. – Gospodarzu, jesteście? – zawołał ponownie, szczękając zębami. Verena westchnęła.

– A co nie mam być. – Wezwany wynurzył się zza szynkwasu. – A wam czego trzeba?

– Nie pamiętacie mnie, gospodarzu? Niezdek jestem. – Nowo przybyły rozchylił poły płaszcza, z którego spłynęły na brudną podłogę kolejne wodniste

smugi.

– A dyć pamiętam.

– Tedy przyodziewę jaką suchą mi dajcie i ruszcie dupę. I chłopców od Rosomaków i Tęgojców skrzyknijcie.

– A to na co?

– A bo mi rycerz jakowyś, taki syn i przeklętnik, drogę nastąpił i wóz do rowu obalił. I oś przy samym kole złamał, niechby jego osieł chędożył.

– Kiej przy kole – karczmarz podrapał się po głowie – tedy trudna będzie sprawa.

– Toć powiadam.

W tym momencie na podwórzu zaklaskało ponownie. Miękki dźwięk kopyt przebierających w błocie. Skrzypnięcie drzwi i głuche uderzenie, gdy odbijają się od ściany.

– Dyć to on! – Chrypka Niezdka przeszła w piskliwy dyszkant. – Ów rycerz kozą trącany, co mnie wóz obalił!

Rycerz miał fioletowy płaszcz. I iskry w przenikliwych oczach. A jego przyodziewek był suchy i nieubłocony, tak suchy, jakby nad jego głową rozpościerało się podczas jazdy magiczne zaklęcie. Verena wciągnęła powietrze.

Wszystko wydarzyło się szybko, jeden płynny ruch po drugim. Jakby ktoś poruszał kukiełkami, zawieszonymi na cieniutkich sznurkach. W prawo i w lewo. Jak taniec drewnianych manekinów.

Niezdek doskoczył do rycerza i podsunął mu pięści pod nos. Zaczął wywrzaskiwać coś o sądach i starostach. Człowiek w fioletowym płaszczu wyciągnął dłoń. Tamten ją odtrącił. Zamierzył się do uderzenia, wyprowadził cios prawą pięścią. Błysnął nóż. Niezdek runął w tył, na brudne deski, z przeciętym gardłem, z którego sikała krew.

Nóż stuknął o podłogę.

Zapanowała cisza.

Gospodarz przypadł dygocząc do ściany i zerkał spod niej jak przestraszony zając. Człowiek w fioletowym płaszczu przestąpił drgające zwłoki.

– Jak widzieliście, sam mnie zaatakował. Trupa sprzątnijcie i izbę mi dajcie – powiedział. A potem wyciągnął dłoń w kierunku Vereny.

Izba była małą, brudną klitką z cieknącym dachem. Nagle jednak to – jak i wszystko inne – przestało się liczyć. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, zdarł z niej suknię i rzucił na łóżko. Obojętnie i brutalnie. Zachrzęściła i zakłuła słoma, zaskrzypiały stare deski. Verena zachłysnęła się krzykiem złości, nienawiści i obłędnego pragnienia. Ostre paznokcie przecięły powietrze. Wbiły się w skórę na jego plecach, żłobiąc w niej głębokie, krwawe rysy. A potem były

już tylko zimne, białe iskry rozbłyskujące w ciemności. I długie, długie spadanie krętym, powietrznym korytarzem.

*

Leta Therrus obudziła się. Miała wrażenie, że skrzydła mewy tłuką się jej o powieki od środka. Czuła jeszcze w piórach morski wiatr, a na ustach smak soli. Kołowała nad zieloną tonią, obserwując wyniosłą wieżę, na której maleńkim, podniebnym balkonie stały dwie postacie. Dwa cienie. A potem usłyszała skrzypienie poruszonej wiatrem okiennicy, które ją obudziło, w jednej chwili przenosząc ze świata białych piór i wilgotnego powietrza do świata kruchego, starczego ciała wyciągniętego na ogromnym, pozapadanym łożu. Otworzyła oczy i wpatrzyła się w gruby, haftowany wypłowiałą nicią i przetykany złotem baldachim. Od strony okna kładł się ostry promień księżycowego światła, jakby przecinając komnatę na pół. Leta przymknęła oczy i spróbowała przypomnieć sobie pracę skrzydeł i wydobywany z gardła skwir. Ale sen zacierał się już i odchodził w niepamięć. Ułożyła się wygodniej, próbując ignorować nierówność materaca, wbijającą się w plecy tuż pod łopatką. Zamknęła oczy. To było ważne. Ale nie mogła sobie przypomnieć. I nie wiedziała dlaczego.

Ostrożnie wysunęła się spod puchowej kołdry i dotknęła zimnymi stopami lodowatej posadzki. Przyszło jej do głowy, żeby wykorzystać czar przywołania, ale po chwili zrezygnowała z westchnieniem. Jeśli chce zrobić to, co właśnie ma zamiar, będzie potrzebowała całej swojej siły. Kuląc się z zimna, przeszła przez komnatę i z małej szkatułki, z którą nigdy się nie rozstawała, wygrzebała flakonik z ciemnozieloną substancją. Szybko wróciła do łoża i wśliznęła się z powrotem w ciepłe piernaty. Zimno. Zimno stóp, aż bolesne, zimno wewnątrz, gdzieś koło serca.

Korek wysunął się łatwo. Dwie krople dotknęły jej suchych ust. Zimno. Szarpnięcie.

Leć!

Długie, długie spadanie w dół, w objęcia pustki.

Chichot.

Jesteś, srebrnowłosa. Długo cię nie było.

Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Pochyliłaś się. Zmierzasz ku Nicości. Zmierzasz ku Pustej Ziemi.

Nie teraz. To ważne. Leć, mewo, leć!

Cóż ty możesz wiedzieć o tym, co i kiedy jest ważne.

Chichot. Spadanie. Lot. Słony wiatr.

A potem długie, długie kołysanie w pustce. W objęciach Nicości.

*

Jedwabna suknia leżała na spróchniałych, niedomytych deskach, pomiędzy którymi widniały nierówne, czarne szczeliny. Mysz przebiegła po niej i popiskując schowała się w niewidocznej dziurze w ścianie. Verena wstrząsnęła się ze strachu i obrzydzenia.

– Przeszkadza ci to? – Adelard przeciągnął się na łóżku, wyciągając ramiona nad głowę. – Jeśli tak, możemy to bez trudu zmienić. – Posłał jej uśmiech pełen kretyńskiego samozadowolenia, jakby był mężczyzną, który uległ pokusom dziwki, umiejącej subtelnie przekazać mu niepodważalną prawdę, że jest panem świata. Podniósł w górę dłoń i pstryknął palcami. Komnatę zalało ostre światło, wypełniła dusząca woń egzotycznych roślin, szmer strumienia i świergot ptaków. Verena zmrużyła oczy, a potem otworzyła je szerzej ze zdumienia. Leżeli pośrodku ogrodu pełnego owocowych drzew, na wielkim, wyścielonym haftowanymi poduszkami łożu. Pod drzewami rosła szmaragdowozielona, równiutko przystrzyżona trawa, a powyżej, na niebieskim jak lazuryt niebie przesuwały się białe obłoki, które wyglądały, jakby ktoś je starannie zrobił z waty. Liście drzew połyskiwały jak nawoskowane, a wiszące na gałęziach wielkie brzoskwinie wydzielały sztuczną, duszącą, owocową woń.

– Skoro chcesz, proszę bardzo. – Adelard zaplótł ręce za głową. – Jak zapewne zauważyłaś, stworzenie takiej niewielkiej iluzji nie jest dla mnie żadnym problemem. Choć osobiście wolę brzydotę. Piękno mnie nudzi. Pociągają mnie zatęchłe nory, wilgotne lochy, szczury i gnijące zwłoki.

Wstrząsnęła się. Nie z powodu obrzydliwości, o których wspomniał, ale woskowej grozy stworzonego przez niego sztucznego raju. Źle zrozumiał jej odruch i znów uśmiechnął się z wyższością.

Podniósł się, sięgnął po płaszcz i okrył nim nagie ciało. Przez moment widziała zarys jego pleców. Przymknęła oczy. Nie czuła nic oprócz pustki i obrzydzenia do samej siebie.

Iluzja zniknęła. Deszcz bębnił o dziurawy dach, a myszy harcowały po śmierdzącym sienniku.

Wyruszyli, kiedy blade słońce wzniosło się ponad horyzont. Z liści przydrożnych drzew kapała woda. Zimne krople spadały za kołnierze, powodując dreszcze. Kopyta koni mlaskały w błocie. Nie odzywali się do siebie. Wszelkie pytania Adelard zbywał krótkimi, niecierpliwymi syknięciami.

Wioskę Hemruv zostawili daleko poza sobą i podążyli krętą ścieżką w stronę gór. On przodem na dumnym, karym ogierze, ona z tyłu, próbując popędzić do szybszego chodu spokojnego gniadego wałacha. Nad szczytami znów zaczęły gromadzić się ciężkie deszczowe chmury. Czarodziejka zacisnęła zęby. Wolała nie sprawdzać, czy doczeka się odpowiedzi na proste pytanie, dokąd zmierzają. Do południa wlekli się przed siebie w drobnym deszczu, który znów zaczął

kapać, mocząc płaszcze i skręcając włosy w wilgotne, lepiące się pasma. Tym razem ona również roztoczyła wokół siebie ochronne zaklęcie.

Adelard zatrzymał się na przełęczy między dwoma ostro zakończonymi szczytami. Rozejrzał się, a potem skręcił ze szlaku i ruszył w dół. Drobne kamienie zaczęły osypywać się spod końskich kopyt.

– Tu nie ma ścieżki! – zawołała Verena.

Nie obejrzał się. Kary momentami przysiadał na zadzie, ześlizgując się ze żlebu. Zaklęła pod nosem i ruszyła za nim.

Zeskoczył z konia pod wysoką, ciemną skałą.

– Zapraszam – powiedział. I wszedł w mrok, prowadząc wierzchowca za uzdę.

Czarodziejka również zsunęła się z siodła i wkroczyła za nim do wysokiej, mrocznej jaskini, zamaskowanej iluzją. Koń szarpał wodze, drobił w miejscu i lekko się opierał. Uspokoiła go zaklęciem.

– Nic nie widzę – zawołała cicho. Jej głos odbił się echem od mrocznego sklepienia groty.

– Jeszcze chwila – usłyszała głos pełen energii i satysfakcji. Skuliła się i krzyknęła, kiedy nad jej głową przemknęły z piskiem nietoperze. Końskie kopyta zastukały na skale.

Idący przed nią Adelard skrzesał ogień i zapalił łuczywo, oświetlając osadzone w skale masywne, żelazne wrota, wyrzeźbione w motywy zaplatanych gałęzi, liści i smoków o otwartych paszczach. Zamiast klamki tkwiła w nich masywna kołatka, ozdobiona wizerunkiem wilczej paszczy. Czarodziej położył na niej dłoń i wypowiedział kilka słów w nieznanym Verenie języku. Czekał przez chwilę, ale nic się nie stało. Syknął zniecierpliwiony, uderzył kołatką i powtórzył jeszcze raz:

– Öppna dörren… den klokaste trollkarlen… Herren av Urdr…

Zza drzwi rozległ się ogłuszający, sardoniczny śmiech. Wrota uchyliły się z lekkim zgrzytem.

– Jak zwykle masz beznadziejny akcent – rozległo się nie wiadomo skąd. – Wejdźcie.

Za drzwiami jaskinia nagle się kończyła. Dalej była obszerna sień. Adelard zabrał wodze jej konia i zniknął w bocznych drzwiach, prowadzących zapewne do stajni. Po chwili wrócił i razem wkroczyli do rozległej halli – Verena nie wiedziała, skąd to słowo nagle pojawiło się w jej świadomości – wyłożonej jesionowym drewnem i oświetlonej blaskiem ognia. Dym z paleniska unosił się do góry przez dymnik. Wokół stały stoły i długie ławy, zastawione jak do uczty. Pieczone mięsa, stosy płaskich chlebów, dzbany miodu i zdobione rogi do picia. Ławy zaścielały wilcze i niedźwiedzie skóry, a na ścianach wisiały zwierzęce łby z wyszczerzonymi paszczami.

Halla kończyła się z drugiej strony otwartymi wrotami. Czarodziejka spojrzała przed siebie i zamarła ze zdumienia. Za nimi widać było szare niebo, kamienistą plażę i morskie fale, delikatnie szturmujące brzeg. W przesyconym solą powietrzu ze skwirem kołowały mewy, co chwilę nurkując w fale w nieustępliwym polowaniu na ryby. Na piasku, obmywany przez wodę, stał drakkar z wyrzeźbioną na bukszprycie głową wilka. Jego burtę pokrywały malowane różnymi godłami tarcze, a kadłub kłęby pąkli i wodorostów. Pachniało zbutwiałym drewnem, rybami, morskim zielskiem i solą. Zapach ten mieszał się w nozdrzach z dochodzącą z halli wonią pieczonego mięsiwa i miodu.

Przed wejściem, na drewnianej ławce, siedział mężczyzna odziany w skórzane spodnie, płócienną tunikę i płaszcz spięty zapinką w kształcie rzeźbionego w skomplikowany wzór młota. Na szyi miał torques wyglądający jak spleciony srebrny sznur, również zakończony motywem wilczych głów o rozwartych paszczach. W ręku trzymał ozdobny róg i powoli z niego popijał.

– Pierwszy raz w moim królestwie – raczej stwierdził, niż zapytał, patrząc na Verenę. – Jak ci się tu podoba?

Miał jasne, prawie białe, sięgające ramion włosy i bladoniebieskie oczy, otoczone siateczką drobnych zmarszczek.

– Haakon Svearson – wyksztusiła, w końcu go poznając.

– To ja. – Uśmiechnął się. – I nie pytaj, kiedy ostatnio byłem w Emain Avallach. Hipokryzja już dawno mi się znudziła.

– Wydawało mi się, że to twoja cecha narodowa – uśmiechnął się Adelard z Tradivy.

– Trochę subtelności, bracie magu. – Nordyjczyk uniósł w górę róg pełen miodu. – Zasadzki i podstępy, owszem. Ale to nie to samo.

Popatrzyli na siebie i roześmiali się.

Verena spojrzała wokół. Wiatr zmierzwił jej włosy, sól osiadła na wargach. Nad głową przeleciała mewa, nurkując i unosząc w dziobie rybę.

– To… niemożliwe. To wszystko jest iluzją… – Czarodziejka wciągnęła powietrze, patrząc na rozległe morze i niebo, pokrytą porostami i niewysoką trawą równinę, kilka stojących w oddali drewnianych chat.

Roześmiali się jeszcze głośniej. Ten śmiech zawierał w sobie jakąś niełądną nutę.

– Można powiedzieć, że tak – Haakon Svearson wytarł z kącika oka łzę – ale niezupełnie. A nawet gdyby – cóż złego może być w dobrej iluzji? W Emain wywoływaliśmy je cały czas.

– Nie jest prawdziwa – odpowiedziała głucho Verena. I przypomniała sobie sztuczny raj pełen woskowych owoców, który na moment stworzył dla niej Adelard w paskudnej klitce w Hemruv. Wzdrygnęła się. Było w tym coś

ohydnego, ta perfekcja, ideał bez skazy, pozbawiony autentyczności i życia, przekolorowany, pachnący jak wytwórnia fatalnych perfum. Pod tym względem iluzja Nordyjczyka miała przynajmniej cechy solidności i prawdziwości. I to właśnie przerażało Verenę najbardziej. Jeśli nie wiedziało się, że jest nieprawdziwa, była nie do odróżnienia.

– Twoje jedzenie nie karmi, miód nie upija, woda nie gasi pragnienia. Wyprawę drakkarem na twoje morze zatrzyma ściana jaskini. To samo z podróżą lądem – powiedziała.

– Cóż, może rzeczywiście na razie jest tu trochę ciasno – odrzekł – ale przyznasz sama, że w ogóle tego nie widać. A poza tym mylisz się. Jedzenie, wino i niektóre przedmioty są prawdziwe. Mam swoje dostawy. – Uśmiechnął się chytrze. – A jeśli chodzi o resztę… też nie jest to miejsce aż tak małe, jak myślisz. Mam tu nawet całkiem spory padok dla koni. Rozgośćcie się.

Poprowadził ich z powrotem do halli, gdzie zasiedli na ławach. Adelard nałożył sobie potężną porcję pieczonego mięsa i wychylił róg miodu. Verena skubała posiłek nieufnie, rozglądając się po ścianach. Dym z paleniska szczypał w oczy, powodując łzawienie.

Skończywszy jeść, Tradivczyk przeciągnął się. Potem wyjął zza pazuchy plik listów opatrzonych woskowymi pieczęciami i podał je Haakonowi.

– Zgodnie z umową – powiedział.

Svearson niedbale przerzucił papiery.

– Jednego brakuje – zauważył.

– Również zgodnie z umową – wyszczerzył zęby Adelard. – Nie obawiaj się, jest w naprawdę bezpiecznym miejscu. Poza zasięgiem magii i czyichkolwiek oczu. Tak samo jak – zgodnie z twoim zapewnieniem – dowody, które ty masz przeciwko mnie.

– Nie mógłbym cię oszukać, bracie magu. – Nord przybrał poważny i namaszczony wyraz twarzy.

Tradivczyk spojrzał na niego przeciągle i parsknął śmiechem. Haakon wyszczerzył się w odpowiedzi. Stuknęli się pełnymi po brzegi rogami. Miód pociekł po stole.

– Evelyn?… – zapytał Svearson, wycierając grzbietem dłoni usta.

– Będzie wiedziała wszystko o twojej zdradzie. To znaczy o interwencji w interesy dynastyczne Enneady, chciałem powiedzieć. Ten dureń Hargon niezawodnie jej przekaże. O ile znów nie przedawkuje jakiegoś świństwa i w ogóle będzie w stanie mówić. Jak się miewa twój przyjaciel, przyszły król, Carragan Vetting?

– Wyśmienicie. I zgodnie z obietnicą nadal mi sprzyja. A cesarz?

– Śledzi pilnie rozwój wydarzeń. Mam wrażenie, że mi wierzy. Gotów nawet przysłać wojska, ale powtarzam mu, że jeszcze nie czas.

– Słusznie. Najpierw niech Evelyn przetrawi nowinę i zdecyduje się na kolejne spektakularne morderstwo w Kręgu. Wtedy będzie można wkroczyć. Żyjemy w cywilizowanym świecie. Emain nie może już dłużej samo dla siebie stanowić prawa.

Verena z rosnącym niedowierzaniem śledziła ich twarze. Rozgorączkowane, radosne, pełne przebiegłości oczy, które jej nie widziały. Wstała, zamachnęła się i rąbnęła ozdobnym rogiem o przeciwległą ścianę.

– O czym wy w ogóle, do ciężkiej, cholernej francy, mówicie! – wrzasnęła. – Dwóch pijanych durniów! Przypominam, że ja też tu jestem i nie zamierzam słuchać jakichś bredni o zdradach. Niech dotrze do waszych zakurzonych łbów, że w tym, co do tej pory powiedzieliście, nawet przecinki łamią Przysięgę. A jeśli oczekujecie ode mnie, że się do was przyłączę…

Haakon Svearson popatrzył na nią z politowaniem.

– Nikt – powiedział, kręcąc głową – tego od ciebie nie oczekuje, Haage.

– Chyba już czas – stwierdził Adelard. Łagodnie ujął jej nadgarstki. I nagle poczuła, jak zaciskają się na nich bransolety z gwiezdnego żelaza. Szarpnęła się.

– Twoja kolej – powiedział do Haakona Tradivczyk. – Ja już się… hm, naładowałem – uśmiechnął się drapieżnie.

Ujęli ją pod ręce i delikatnie, ale stanowczo poprowadzili w kąt halli, gdzie za zasłoną ze skór znajdowały się kolejne drzwi, a za nimi sąsiednie pomieszczenie, również wyłożone jesionowym drewnem. Verenę nagle ogarnęła zgroza. Zaczęła się wyrywać, ale chwyt dwóch par rąk nie dawał jej żadnych szans.

– Spokojnie, ślicznotko – rzekł do niej Haakon. – Tak jak mówiłem, jest w tym dworzyszczu, które, trzeba ci wiedzieć, istnieje nie tylko jako iluzja, ale leży częściowo w Międzyświecie, kilka prawdziwych mebli. Moim ulubionym jest łóżko. Duże, zasłane zwierzęcymi skórami, naprawdę bardzo wygodne. Zaraz się przekonasz.

Verena wrzasnęła. Szarpnęła się, ale dwie pary silnych rąk osadziły ją w miejscu. Nordyjczyk uniósł jej podbródek i zajrzał prosto w oczy.

– Nie wymagamy od ciebie współpracy, wcale a wcale – powiedział. – Bo, widzisz, w opowieściach o tym, że spółkowanie czarodzieja i czarodziejki wyzwala ogromną moc, jest bardzo dużo prawdy. Okłamali nas jednak kiedyś ci szlachetni założyciele Kręgu. Istnieje pradawna magia, która pozwala nad tą mocą zapanować. W głębiach biblioteki w Emain są księgi pełne starej nordyjskiej wiedzy, które o tym mówią. Wiedzieli o tym wioskowi czarownicy i skaldowie z moich ojczystych stron. Ci, którzy znali runy i zaklinali je w pieśniach. Ale nasi ojcowie nie odkryli jeszcze jednej ważnej rzeczy. Żeby

wyzwolić tę moc, wcale nie jest potrzebna miłość. Wystarczy jakakolwiek silna emocja. A gniew, nienawiść i strach bardzo dobrze się do tego nadają.

Delikatnie odgarnął czarne, splątane włosy z jej twarzy. Próbowała na niego splunąć, ale tylko zaśliniła sobie podbródek. Poczuła silne uderzenie w twarz. Adelard brutalnie rzucił ją na wielkie, wsparte na kolumienkach łoże. Przeciągnął łańcuch przez kajdany z gwiezdnego żelaza i przykuł ją ciasno. Verena szarpała się, groziła, wrzeszczała i łkała. Haakon Svearson dłonią zakrył jej usta. Drugą ręką rozdarł suknię i uważnie przyjrzał się piersiom.

– A co się stało z tą adeptką, którą ostatnio tu przywiozłeś? – mruknął Adelard, dociągając łańcuchy.

– Zmarła, biedactwo. Za dużo emocji. Pochowałem ją gdzieś w górach, w pięknej dolinie – westchnął Haakon Svearson. Verena próbowała kopać, ale przygniótł jej nogi własnym ciężarem.

– Ta musi starczyć na dłużej. Pamiętaj, że to czarodziejka, naprawdę ma moc. Smakuje jak dobre wino. – Rozciągnął usta w swoim zwykłym, drapieżnym uśmiechu.

– Idź już – warknął Nordyjczyk. W jego głosie i przyspieszonych ruchach, którymi zdzierał z niej suknię, drżało wzrastające podniecenie.

– Jak chcesz. – Za Adelardem ze skrzypieniem zamknęły się drzwi.

Verena, dusząc się łzami i krzykiem, zapadała się w otchłań.

*

Leta Therrus podążała na dół i w mrok, tuż za małą służką niosącą migoczące łuczywo. Ostrożnie stawiała stopy na śliskich kamiennych stopniach. Chropowate skalne ściany połyskiwały gdzieniegdzie odpryskiem krzemienia czy miki. Schody skręcały łagodnie, więc biała, krótka tuniczka małej służki niekiedy prawie nikła z pola widzenia. Odblask płomienia pełgał po ścianach i sklepieniu.

W dole korytarz rozszerzał się w niewielką jaskinię, której środek wypełniał basen z parującą wodą. Pod ścianami kręciły się inne małe służki w krótkich tunikach, przynosząc sterty białych ręczników, tace, na których piętrzyły się owoce, karafki wina i kielichy. Nieliczne pochodnie płonęły pod ścianami, rozjaśniając wnętrze migotliwymi rozbłyskami i kopcąc ciemnym dymem. W basenie siedziała Maria Serena von Tannen, przystrojona tylko w kunsztowną fryzurę ozdobioną sznurami pereł. Podniosła głowę i gestem wskazała prowadzące do wody stopnie. Leta zeszła po nich ostrożnie, zrzucając wierzchni płaszcz i pozostając tylko w cienkiej koszuli. Zanurzyła się, z lubością wdychając gorącą parę. Hrabina kolejnym gestem odprawiła służki. Znikły cicho, wspinając się po kamiennych schodach w niewydających odgłosów sandałach.

– Dziękuję za to ekstrawaganckie zaproszenie – wymruczała stara czarodziejka. – Zawsze uwielbiałam gorące kąpiele. Chociaż w moim wieku…

Maria Serena parsknęła.

– W twoim wieku ja będę już przesypującą się w grobowcu garstką prochu.

Sięgnęła do patery, oderwała winogrono i wrzuciła je sobie do ust. Leta przymknęła oczy i zanurzyła się tak głęboko, jak tylko mogła, pozwalając, by gorąca woda ogarnęła jej włosy i twarz.

– Lubię tu przychodzić – powiedziała hrabina. – Kąpiel to bardzo dobry moment, żeby pomyśleć.

Leta skinęła głową.

– A ty lubisz myśleć – zauważyła. – W przeciwieństwie do twoich rycerzy, którym, jak się zdaje, w większości głowa służy do noszenia hełmu.

– I dlatego moje małe państewko jako tako trzyma się kupy. W tych flakonikach są pachnące olejki, jeśli będziesz miała ochotę. Nie krępuj się. Róże z Tarrentu. Medyjskie kasje. Verdyjskie kadzidła. A z tamtego rogu basenu bije gorące źródło. Świetnie masuje plecy. Spróbuj.

Odpowiedzią były ciche pomruki zadowolenia.

– Swoją drogą – rzuciła Maria Serena w przestrzeń gdzieś pod sklepieniem jaskini – nie musiałaś aż tak strasznie naciskać tej śpiewaczki.

Pomruki ustały.

– Nie musiałam – w głosie Lety zadźwięczał metal – ale nie darowałabym sobie, gdybym tego nie zrobiła. Ktoś znał historię Jardala i Mitrii, ktoś wyniósł ją poza Krąg, a nawet poza Emain, i uczynił ludową legendą. Dowiedzieć się, skąd przybyła i w jakim stopniu się rozprzestrzeniła, było koniecznością.

Hrabina wzdrygnęła się. Przypomniała sobie szczegóły blisko dwugodzinnego przesłuchania, rozpaczliwe łzy Erian i głuchą rozpacz Myrry. Nie wiedzą. Nie pamiętają. Ballady nauczyły się od innego wędrownego barda. A może i było dwóch bardów. Naprawdę nie pamiętają. Nie uważały. Czy bard mógł być przebranym magikiem? Nie wyglądał. Czy ktoś jeszcze śpiewał tę pieśń? Tak, wzdłuż całej równiny blenvingardziej napotykały ludzi, którzy ją już znali, słyszeli, dopowiadali inne wersje. Jakie? W jednej to czarodziejka w wieży była zamknięta, w sowę przemieniona. Czarodziej ów uwolnił ją. W innej ona poślubiona została możnemu królowi zza morza, któremu on służył. Zawieźć ją miał do małżonka na magicznej łodzi. Ale po drodze rozmiłowali się w sobie. Do lasu uciekli. Tam ich dosięgła klątwa.

Wersji legendy było kilka, każda inna. Wszystkie jednak zdawały się prowadzić do wspólnego motywu: chatki w lesie, przemiany w sowę i kota, tragicznej śmierci. Leta zorientowała się, że opowieść żyje już własnym życiem, a wtedy opuściła ręce i poddała się. Spiskowa teoria mówiąca o podstępnym

magu, rozsiewającym wśród ludu baśnie, jakoś przestała ją przekonywać. Czarodziejka znała siłę opowieści. Wiedziała, że opowieść, raz uwolniona, rozprzestrzeni się, ubierze w tysiące odmian i wprzęgnie każde wydarzenie w swoją treść, zawładnie każdym sensem. I nie wydarzy się naprawdę to, co nie zaistniało w opowieści. Cokolwiek zostanie wciągnięte w jej tryby, wyjdzie z nich odmienione, nieprawdziwe, a zarazem prawdziwsze niż najrzetelniejsze zapiski skrupulatnych kronikarzy.

– Jeśli opowieści szkodzą twoim celom – powiedziała Maria Serena, nalewając sobie wina – spróbuj z nimi walczyć za pomocą innych opowieści.

– Nie. – Leta potrząsnęła mokrymi włosami. – Chcę zobaczyć, dokąd zaprowadzą. Gdzie to wszystko zmierza i jak się skończy.

– Więc nie zamierzasz pomóc Mitrii i Jardalowi? Czy nie po to wyruszyłaś?

Stara czarodziejka rozciągnęła plecy, pozwalając gorącemu strumieniowi uderzać prosto w jeden, szczególnie bolesny punkt kręgosłupa.

– Przyczyny to bardzo złożony problem, moja droga uczennico – mruknęła. – Można by na przykład zastanowić się nad przyczyną, dla której dwie stare kobiety moczą swoje zwiędłe ciała w gorącej wodzie, w jaskini pod górami, z dala od wścibskich oczu i uszu. – Przeciągnęła się i zmieniła pozycję. – Wyruszyłam, bo odebrałam dziwne wezwanie od starego przyjaciela, który jest też przypadkiem najwybitniejszym magiem naszych czasów. Oprócz tego w drogę pognało mnie paskudne, ale niejasne przeczucie i przygnębiająca pustka w Emain, połączona ze świadomością, że w sercu zamku nie bije już Źródło. Gliniana Pieczęć opuściła nie tylko wieżę w Emain Avallach, ale również nasz wymiar. Czuję to.

Maria Serena gwizdnęła cicho. Całkiem wprawnie jak na staruszkę.

– Oprócz tego – kontynuowała Leta, podstawiając pod bijący strumień lewy bok – do podjęcia decyzji o wyjeździe przyczyniły się zbierane z dziedzińca emocje. Było w nich coraz więcej mroku, nienawiści i fanatyzmu. Wiesz, że ciągle jestem Strażniczką Bram. Jeśli czegoś w tej sprawie nie zrobię, przyjdzie moment, kiedy będę musiała ich wszystkich, jednego po drugim, zaprowadzić do lochu i przykuć łańcuchem. To dlatego…

– Tak. – Hrabina skuliła się, jakby pośród gorącej wody nagle przeszyło ją zimno. – To dlatego kiedyś wybrałam małżeństwo i normalne życie. Nie chciałam skończyć na łańcuchu.

– Magia nie zawsze prowadzi do szaleństwa – stwierdziła łagodnie Leta.

– Ale jeśli ktoś czuje w głębi siebie, że mógłby w nim wykiełkować choć mały zarodek… Nieważne. Nie mówmy już o tym. Wspominałaś o innych przyczynach, które skłoniły cię do wyruszenia w podróż.

Stara czarodziejka przymknęła oczy i oparła głowę o brzeg basenu.

– Przeczucia to trudna sprawa – powiedziała powoli. – Moje było wyjątkowo paskudne. Gęste i lepkie jak bagienny opar. Aurelianus mnie wezwał, Gliniana Pieczęć zniknęła wraz z Evelyn, a ja chciałam ekspiacji. Nie było mnie, kiedy zamordowano Torego Harberga. Bo to było morderstwo, Sereno. Brudna, ohydna zbrodnia w majestacie prawa. Nawet jeśli on naprawdę był autorem tych listów, nie zasłużył na taką karę. A Hargon z Emmendath, Aurelianus, Jardal, Odo Trevelius, Adalia z Bergen, Mitria, Justin Fern i wielu innych – oni wszyscy tam byli i pozwolili na to. Nie potrafię tego zrozumieć. Dlatego chcę – tak, masz rację, chcę – odnaleźć Mitrię i Jardala i pomóc im w przezwyciężeniu klątwy. To będzie moja pokuta za to, że mnie tam nie było.

Leta otworzyła oczy i wbiła spojrzenie w przyjaciółkę. Diament nad jej czołem zapłonął zimnym, złowieszczym blaskiem. Hrabina wzdrygnęła się i skuliła, choć woda wokół niej parowała z gorąca.

– Nie wiem, czemu Aurelianus mnie wezwał – powiedziała czarodziejka głosem ciężkim jak kamienna lawina. – Nie mogę się od tamtego czasu z nim skontaktować. Milczy. Ale chcę pojechać do Xanty, spojrzeć mu w oczy i zapytać dlaczego. Choćby po drodze miały się rozsypać moje stare kości.

Maria Serena von Tannen podciągnęła kolana i rzuciła okiem na własne zwiędłe, teraz dodatkowo zniekształcone załamaniem obrazu w wodzie piersi, na szerokie biodra, wokół których formowały się opadające w dół wałeczki. Westchnęła i rzuciła dyskretne spojrzenie na Letę. Czarodziejka nie zrzuciła koszuli, która unosiła się wokół niej w wodzie jak ogromny anemon, odsłaniając szczupłe, gładkie jak marmur ramiona i kolana. Nieco tylko przywiędłą skórę. Piękne, smukłe dłonie odgarnęły z czoła mokre, srebrzyste włosy.

– Leto… czy to prawda, że… gdybyś chciała, mogłabyś wyglądać jak młoda kobieta?

Uśmiech. Jasny jak promień słońca i ostry jak stalowa głownia miecza.

– W zasadzie tak. I, szczerze mówiąc, przez pierwsze sto pięćdziesiąt lat tak wyglądałam. Próżność.

Autoironiczny uśmieszek.

– A potem mi się znudziło. Zapragnęłam więcej szacunku. Zapragnęłam go tyle, ile nigdy nie uzyskałabym, wyglądając jak młódka. Znowu próżność.

Odbiła się od krawędzi basenu i przepłynęła na drugą stronę. Nalała sobie wina i opróżniła kielich do dna, a potem znów oparła się o krawędź basenu.

– Czuję, że ta podróż dobrze mi robi – uśmiechnęła się drapieżnie.

*

Cantia von Essen i Berto di Nero siedzieli w kuchni zamku Tannen i kłócili się zawzięcie. Kucharz wetknął tylko głowę przez drzwi, po czym wybrał się na

inspekcję spiżarni, zabierając tylko po drodze mały miedziany czerpak, przypomniał sobie bowiem, że nalewka z pigwy domaga się pilnej degustacji. Dziewki podkuchenne ukryły się w serowni, wykorzystując czas na chichoty i plotki. Mały, łaciaty, kłapouchy psiak, który pętał się zwykle służbie pod nogami, utknął pod stołem, popiskując żałośnie, kiedy czubek buta gałęzi rodu di Nero trafił go przypadkiem w bok. Strącony ze stołu kot wydał ostrzegawczy syk i ulokował się w wykuszu okna, z godnością wylizując sobie futro. Cantia i Berto, czerwoni na twarzach, wrzeszczeli na siebie, ustawiwszy między sobą barykadę składającą się z pieczonego bażanta, kawałka twardego sera, glinianego kubka pełnego miodu i kulek z chleba, których cały szereg baronówna kompulsywnie ulepiła. Agostina Valli nie było – odkrył, że zamek Tanis posiada całkiem przyzwoitą bibliotekę, nie odkrył zaś, na szczęście, nalewki z pigwy. Jego młodzi podopieczni mogli więc bez przeszkód pospolitować się ze służbą i naruszać reguły dobrego wychowania.

Poszło o to, że kiedy szli z sypialnych komnat do jadalni, spotkali na wąskich schodach Erian, wyjątkowo pozbawioną towarzyszącej jej zwykle jak cień Myrry. Bertoglio złożył głęboki ukłon i usiłował śpiewaczkę przepuścić. W wyniku tego skomplikowanego manewru potknął się na stopniach i poleciał głową do przodu, niemal w objęcia swojej bogini. W ostatniej chwili odzyskał równowagę i przeprosił, cały w pąsach i ze zwichrzoną czupryną. Erian, której oczy błyszczały rozbawieniem, a kąciki ust drżały niebezpiecznie, odwzajemniła ukłon i szybko odeszła. I wtedy dopiero Berto pogrążył się ostatecznie, w wyszukanych i rozwlekłych słowach przepraszając Cantię. To nie jest tak, że nie zwraca na nią uwagi ani że ona nie robi na nim wrażenia jako kobieta, ale niewiastę godzi się na schodach przepuścić, zwłaszcza jeśli czystym przypadkiem zdarzyło się tak, że… Baronówna wściekła się i nazwała go baranem wzdychającym do ryczącej oślicy. Takiego afrontu z kolei on – dziedzic rodu di Nero – nie miał zamiaru znosić. Nazwał ją niewypierzoną gęsią, której się wydaje, że może znosić magiczne jaja. Do kuchni dotarli już wrzeszcząc na siebie i obrzucając się nawzajem coraz bardziej wymyślnymi obelgami. Służba szybko wycofała się na z góry upatrzone pozycje.

Cantia, czerwona jak piwonia, otworzyła usta, żeby wykrzyczeć kolejną morderczą zniewagę. Kot w wykuszu okna podniósł się, najeżył, wygiął grzbiet w pałąk i miauknął ostrzegawczo. Łaciaty psiak pod stołem zapiszczał żałośnie. W tym momencie stojące na stole naczynia uniosły się, jakby porwane niewidzialnym wiatrem, zakręciły w koło, rozlewając miód, śmietanę i mleko, zatoczyły kilka coraz szybszych kręgów i z impetem ruszyły w stronę młodego di Nero. Cantia wrzasnęła. Berto, który wygłaszał akurat jakiś napuszony wywód, zamilkł w pół słowa i wybałuszył oczy. Gliniane garnuszki oraz deski serów i

pęta kiełbas wirowały wokół niego z wzrastającą prędkością, po chwili tworząc już białawą i lepką smugę z rozchlapanego nabiału.

– Ja nie… ja nie chciałam. – Cantia zacisnęła dłonie na krawędzi stołu.

Wiktuały najwyraźniej polatały sobie wystarczająco, bo chyba miały już dosyć. Zawisły w powietrzu, a potem ciężko zwaliły się w dół – trafiając w stół, podłogę lub w Berta di Nero, w zależności od tego, gdzie akurat wypadła im droga lądowania. Tylko jeden wyjątkowo wredny garnek jakby z rozmysłem zawrócił i walnął go w skroń, rozcinając ją do krwi i solidnie brudząc śmietaną całą twarz i większość odzienia.

Po chwili wszystko było tylko stertą umorusanych na biało i lepko skorup. Berto, lekko oszołomiony, wytarł twarz rękawem.

– Jestem ranny – wymruczał, wpatrując się w biało-czerwone smugi. – Powinnaś mi pomóc! – Podniósł na baronównę oskarżycielski wzrok.

– Widzisz – powiedziała mściwie Cantia – naprawdę potrafię czarować.

Podniosła się, zadarła nos najwyżej, jak mogła, i powoli wymaszerowała z kuchni.

*

W bibliotece zamku Tanis Agostino Valla przeżywał chwile doprawdy niebiańskich intelektualnych rozkoszy. Były one tym intensywniejsze, że w zbiorach hrabiny von Tannen odnalazł nawet swoje własne dzieło, ustawione na półce równie pieczołowicie jak wszystkie inne. Biblioteka oczywiście nie mogła równać się nawet w przybliżeniu ze wspaniałym księgozbiorem zgromadzonym w Emain Avallach. Niemniej była wcale zasobna, a poza tym urządzona z nadzwyczajnym gustem. Miała niezwykły, kolisty kształt, a pomiędzy wąskimi, wysokimi oknami w kształcie strzelistych ostrołuków wznosiły się pod sam sufit regały z kosztownego, ciemnego drewna, wypełnione, a raczej wypchane woluminami. Do działów położonych wyżej – i starannie opisanych mosiężnymi tabliczkami – prowadziły przesuwane drabiny. Bibliotekę wypełniała cisza i delikatne światło, w którym wirowały drobinki pyłu. Zdawało się, że stronice zamkniętych ksiąg szepcą i szeleszczą. Pomiędzy półkami uwijały się bibliotekarki, odziane w fiołkowe peleryny, wyjmując lub odkładając na miejsce poszczególne woluminy, zajmując się nieustannie cichą, mrówczą pracą katalogowania i indeksowania. Pośrodku, ustawione w trójkąt, stały trzy długie stoły na rzeźbionych nogach, pełne małych skrzyneczek na fiszki, mosiężnych kałamarzy, zwojów pergaminu i piór. Połowę wysokiego regału, stojącego tuż obok drzwi, zajmowały maleńkie katalogowe szafki. Valla obejrzał się za bibliotekarką, której zgrabny tyłeczek wypiął się podczas wchodzenia na drabinę, i z westchnieniem powrócił do studiowanego właśnie dzieła. Było jednym z

wielu, które wyjął z półek i przeglądał, czasem niedbale przerzucając strony i podczytując jakiś fragment tu i tam, a czasem przez dłuższą chwilę skupiając się na jednym.

Jego wzrok przykuła rycina przedstawiająca wysoką kamienną wieżę, wznoszącą się na małej wyspie pośrodku wzburzonego morza. Baszta zwieńczona była zębatym krenelażem. Na jej szczycie stały dwie postacie – mężczyzna i kobieta. On miał na sobie pelerynę maga, ona czarną przepaskę na oczach. Na jej ramionach siedziały dwa kruki, a u nóg stały dwa wielkie, szare wilki. W rogu ryciny, ponad głowami przedstawionych na niej postaci, unosiła się pojedyncza, biała mewa. Valla podrapał nieogolony podbródek, zaznaczył stronicę niezbyt czystym paznokciem i przewrócił ciężkie karty księgi do strony tytułowej. Tu zdumiał się niepomiernie. Tytułu i nazwy drukarni nie było. Zamiast tego widniała czysta karta z czerpanego papieru, trochę grubszego od tego, na którym wydrukowana była sama księga. Najwyraźniej inkunabuł utracił pierwotną okładkę i oprawiono go powtórnie. Krój czcionki wskazywał, że tomisko było bardzo stare, więc choć skóra oprawy również przytarła się tu i ówdzie, a złocenia przyblakły, okładka mogła być i tak o wiele młodsza od zawartości.

Valla przekartkował dzieło, po czym, znów zaznaczając intrygującą ilustrację paznokciem, przewrócił strony do tyłu w poszukiwaniu kolofonu. Nawet się nie zdziwił, kiedy go, podobnie jak karty tytułowej, nie znalazł. Poskrobał się palcem wolnej ręki po łysinie, po czym wrócił do ilustracji. Kruki miały przenikliwe, czarne jak paciorki oczy, a wilki delikatnie obnażały kły. Suknię kobiety i płaszcz czarodzieja poruszał delikatny wiatr od morza.

– Wspominałaś, że Erian to również jedno z imion Mear de Witten? – W świadomość Valli, razem z głosem hrabiny von Tannen, wdarł się stukot dwóch par kobiecych trzewików i szelest sukien. Podniósł głowę. Bibliotekarki w fiołkowych szatach zastygły wokół w pozach pełnych szacunku. On sam też wstał i zastygł w kurtuazyjnym półukłonie, na tyle, na ile pozwalały jego zesztywniałe od artretyzmu stawy.

– Witaj, Agostino – powiedziała miękko Leta Therrus. – Przyszłyśmy tu poszukać pewnych informacji dotyczących sprawy, która dosyć mnie frapuje.

– Jeśli przeszkadzam…

– Nie, możesz zostać. Nie widzę powodu, żeby tę sprawę przed tobą ukrywać. Ale dziewczęta… – Spojrzała z wahaniem na Marię Serenę.

– To wszystko moje wychowanki. Musisz wiedzieć, moja droga, że od lat prowadzę tu szkołę. Te dziewczyny to młodsze czy też mniej chciane córki z rodzin wszelkiego stanu – chłopskich, kupieckich, szlacheckich, nie wiadomo jakich. Porzucane pod płotem bądź oddawane do świątynnych szkółek, bo

rodziców nie stać było albo na posag, albo na wyżywienie kolejnej gęby. Ja daję im wykształcenie, utrzymanie i pracę. Tu są równe. Nikt nie pyta, skąd pochodzą. Mniej zdolne szyją, pracują w kuchni i w ogrodach, tkają, haftują – zależy, do czego tam która ma talent. Te zdolniejsze uczą się dalej. Mogą, kiedy chcą, wyjść za mąż za chłopaka, którego sobie z wzajemnością upatrzą. Prostego stanu albo rycerza. Niedaleko stąd jest żyzna dolina. Mam tam już ze dwie wioski moich wychowanków. – Hrabina uśmiechnęła się i z dumą popatrzyła na bibliotekarki, które, choć stały przy półkach spokojnie i grzecznie, miały na ustach chochlikowate uśmiechy, a w oczach błyski inteligencji. Pod ciemnofioletowym płaszczem każda z nich nosiła inną sukienkę.

– Rozumiem, że jeśli nie chcą wychodzić za mąż, nie muszą? – Leta omiotła dziewczyny lustrującym spojrzeniem.

– Oczywiście. Te z reguły nie chcą – westchnęła Maria Serena. – Wśród tutejszych rycerzy nie ma zbyt wielu takich, którzy mogliby zaimponować wykształconej kobiecie. A o małżeństwie z prostakiem noszącym wielki miecz sama wiem, wyobraź sobie, aż za dużo, więc nigdy nie będę ich do czegoś takiego zmuszać. Zdarza się, że wyjeżdżają gdzieś w dalekie kraje, w poszukiwaniu uniwersytetu, który przyjąłby kobiety. Bywa z tym różnie. Niewielu się udało. Kilka wróciło. Jedna podobno została ukamienowana, a dwie zgwałcone i zabite przez bandytów.

Usta Lety zacisnęły się, drgnęły.

– Uciekać, skrzaty. – Maria Serena zamaszystym ruchem ramienia wygoniła bibliotekarki, które zniknęły cicho, przepychając się w drzwiach i chichocząc.

Valla chrząknięciem przypomniał o swoim istnieniu.

– Jeśli wolno mi o coś spytać – rzekł z kurtuazją – powiedziałaś, pani, że odbierałaś dziewczęta z przyświątynnych szkółek. Jakim cudem udało ci się tego dokonać?

– Nic skomplikowanego. – Hrabina zmrużyła filuternie oko. – Od czasu do czasu robię objazd moich włości, w tym wszystkich terenów świątynnych. Po prostu pytam dziewczęta, czy chcą odejść, a potem zabieram te, które sobie tego życzą, nie zważając na protesty i klątwy świątobliwych kapłanek. Zostawiam te, które nie chcą. Proste.

– I nikt nie reaguje? Lud bywa bardzo przywiązany do świątyń…

– Maestro Valla – Maria Serena przerwała mu niecierpliwie – te dziewczęta są tam głodzone, pozbawiane snu, zmuszane do wielogodzinnych kultowych praktyk. Czasami bite. Niszczy się ich wolę, osobowość i rozsądek. Nie będę oglądała się na to, że ktoś mógłby zaprotestować. Mój zamek ma grube mury.

Agostino skłonił się układnie.

– Wracając do tematu – Leta oderwała wzrok od księgozbioru – pytałaś, Sereno, o imię Erian. Nasza biedna śpiewaczka to córka barda i tancerki, nie ma pojęcia, czemu dostała takie imię. A oznacza ono „pochodząca z Eriu". Z północnej krainy pełnej mgieł, wrzosowisk, leprechaunów, skrzatów, harf, opowieści i wojowników. Piękne imię. Dużo w nim treści.

– Ale czemu zostało nadane córce księcia Cantaleny?

– Jej matka pochodziła w którymś pokoleniu od jakiegoś iryjskiego władyki. Przekazała córce bladą skórę i rude włosy.

– Czemu prawie nic o niej nie wiemy?

– Zmarła, kiedy Mear miała pięć lat.

– Mówimy – upewnił się Valla – o księżniczce de Witten? Czarodziejce, bohaterce ludowej legendy? Nie jestem zbyt biegły w genealogiach.

– O niej samej. – Maria Serena podeszła do półki, przeciągnęła palcem wzdłuż złoconych grzbietów, a potem wyciągnęła jeden z tomów opasłej serii, której wytarty, złocony tytuł głosił *Rodów Xiążęcych Ziem Wolnych Opisanye*. Trzasnęła woluminem o stół i zaczęła przewracać pożółkłe karty.

– Leta koniecznie chce dowiedzieć się wszystkiego o dwójce naszych bohaterów – powiedziała. – Poszukuje klucza do opowieści.

– Tej ballady?

– Nie – zaprzeczyła czarodziejka. – Większej opowieści, która rośnie wokół nas. Splecionej, rozgałęzionej, wielowarstwowej. Tej, w której wydarzyło się – a może się wydarzy – coś tragicznego. A może o włos unikniemy tragedii. Nie wiem. Zacieśnia się wokół mnie krąg symboli, każdy drobiazg zaczyna coś znaczyć, a ja nie wiem co. Mam dziwne sny, a śpiewaczka o imieniu Erian recytuje balladę o ludziach, których znałam. Nie podoba mi się to. Tak jakby ktoś bez naszej wiedzy i zgody prządł nici naszego życia.

– Zawsze tak jest – powiedział sentencjonalnie Valla. – To po prostu los.

– O, jest. – Maria Serena entuzjastycznie przewróciła kartę. – De Wittenowie. Wywodzą się od mitycznego bohatera Witynga, który zabił smoka i postawił siedzibę na Pustej Skale.

– Każdy książęcy ród wywodził się od jakiegoś mitycznego bohatera, a każdy mityczny bohater zabijał smoka. Opuść to – mruknęła Leta.

– Czterysta lat temu Rudolf de Witten, przodek naszej Mear, zbudował siedzibę w Cantalenie.

– Wciąż za wcześnie.

– Jak sobie życzysz. Poprzednie pokolenie. Emerald de Witten. Ożeniony z Florellą Melindą de Villanouva, hrabianką z Enneady. Synowie: Alfred, Erred i Fiorentino. Ostatni zmarł w niemowlęctwie. Alfred ożenił się z Adeliną Sorro. Jedna córka, Julia. Następczyni tronu, bo dwóch synów również zmarło w

niemowlęctwie. Za to Erred, po ukończeniu iluś tam akademii, bez zgody rodziców poślubił Mear O’Callaghan, Iryjkę. Przez jakiś czas przebywali na wygnaniu, potem wrócili, chyba wyjednawszy przebaczenie. Też mieli jedną córkę, naszą Mear Melindę Erian.

– Wiemy już, że matka zmarła. Co się stało z ojcem?

– Również zmarł. Wydziedziczony. Tak tu napisali, ale to nie do końca prawda. Pamiętam plotki. Po śmierci żony zaczął pić, grać w karty, włóczyć się jak zwykły zabijaka. Przegrał kawał ziemi, który Alfred łaskawie mu nadał. Ktoś go w końcu pchnął nożem pod żebro. Pamiętam, bo plotkowano o tym, kiedy jeszcze jeździłam z małżonkiem z podróże.

– Czy imię Mear również coś znaczy? – zapytał Valla.

– Tak. – Leta skinęła głową. – W języku północy oznacza morze. I to nie, jak mam wrażenie, lazurowe wody, które widzimy na medyjskim wybrzeżu, ale szarozielone, groźnie, zasnute mgłą Morze Iryjskie.

– Symbol śmierci?

– I życia. Tajemnicy, niewiadomej, wieczności – zależy, jak na to spojrzeć.

– Więc tylko drugie imię wiąże ją z rodem de Wittenów – zauważyła Maria Serena.

– Tak, ale wydaje mi się, że to wariant imienia Melissa lub Melita. – Leta w zamyśleniu przerzuciła kilka dalszych kart księgi.

– A to w staromedyjskim oznacza pszczołę – odezwał się Valla tonem erudyty. – Niekiedy atrybut księżycowych bogiń albo symbol nieśmiertelności, bo dawniej zmarłych składanych w grobowcach z piaskowego kamienia smarowano miodem, aby zapobiec rozkładowi.

– Same sprzeczności. – Hrabina ciężko westchnęła z obfitej piersi. – Dosyć już tej symboliki, bo się pogubimy. To donikąd nie prowadzi.

– Na razie nie – zgodziła się Leta. – A teraz przydałaby się genealogia drugiego bohatera ludowej ballady. – Podeszła do półek i zaczęła spacerować wzdłuż równo ustawionych szeregów ksiąg, dotykając grzbietów, muskając mosiężne tabliczki z nazwami działów, mrucząc pod nosem.

– To na nic – powiedziała w końcu, odwracając się. – Niczego nie znajdę, skoro nie wiem nawet, czego szukać. O ile rodowód Mitrii jest dość oczywisty, Jardal ginie gdzieś w czasie i przestrzeni. Wszyscy podejrzewali, że jest niskiego rodu, dlatego nie chce nawet nosić przydomka. Taka fałszywa duma. Za plecami nazywali go Jardalem Znikąd, choć oficjalnie raczej Mistrzem Jardalem. Wyczuwało się w nim wyjątkowy dar. Rozsądniejsi wiedzieli, że choć rzadko pojawiał się w Emain, nawet Evelyn odnosiła się do niego z czymś w rodzaju respektu.

– Więc nawet nie wiemy, skąd on się wywodzi? – zafrasowała się pani zamku.

– Ta niewiedza, Sereno, zaczyna być intrygująca. – Leta wznowiła swój spacer wzdłuż szpaleru ksiąg. – Jeśli się zastanowić, potrafię powiedzieć wiele rzeczy o każdym, kto przynajmniej przez pewien czas uczył się w Emain, a już na pewno o każdym, kto przywdział w końcu srebrny płaszcz. A o nim… wiem wiele, ale są to wyłącznie oczywistości: został członkiem Kręgu, a potem von Stein awansowała go do Kapituły. Co ciekawe, w ogóle nie pamiętam go jako adepta. Choć to może nie jest takie dziwne, nie uczę już od lat, a na tych młodzieniaszków prawie nie zwracałam uwagi. Opiekował się nimi Odo Trevelius. Tylko że…

– Że co? – przerwała niecierpliwym pytaniem hrabina.

– Ja go w ogóle nie pamiętam jako młodzieńca. Pojawił się w Emain na pewno kilka – a może wiele – lat przed Mitrią, i… pamięć mnie zawodzi. – Czarodziejka ścisnęła palcami skronie. Diament na jej czole zamigotał niespokojnie.

– Czy mógłbym o coś jeszcze spytać? – odezwał się Valla. – Wymieniłaś, pani, wiele imion księżniczki de Witten, a teraz nazywasz ją jeszcze jednym. Czy ono również coś znaczy?

– Tak. – Grymas skupienia przeszedł w uśmiech. – To akurat pamiętam bardzo dobrze. Młodziutka Mear sama nadała sobie to imię. Chciała być anonimowa, odrzucić cały swój bagaż zubożałej krewnej arystokratycznego rodu. I trafiła dość paradoksalnie – Mitria, Mitriyah, Mitrilla to imię dumnej bogini, siostry Mitry, Słońca…

Agostino parsknął śmiechem.

– No właśnie – przytaknęła Leta. – Ostatnie możliwe rozwiązanie dla istoty, która pragnie pozostać niewidoczna. A wybrała to imię niemal na chybił trafił z wielkiej księgi zawierajacej opowieści o bogach, pierwsze na literę M, które jej się spodobało. Meduza, rzecz jasna, nie wchodziła w rachubę.

Maria Serena mechanicznie kartkowała inkunabuł, bez nadziei znalezienia czegokolwiek ani nawet bez wyraźnego zamiaru poszukiwania.

– Cóż – westchnęła czarodziejka. – Jeszcze tu wrócę. Na razie trzeba odłożyć poszukiwania i dać starym kościom trochę odpoczynku. Będziesz nam towarzyszył podczas wieczerzy, Agostino?

– Z najwyższą przyjemnością, pani. – Hrabina przysięgłaby, że stary preceptor lekko się zarumienił. – Pozwolę sobie jednak jeszcze przez kilka chwil na kontynuowanie moich badań. – Przybrał swój zwykły, lekko chełpliwy ton.

– A czym się zajmujesz, jeśli wolno wiedzieć? – zapytała z uśmiechem Leta.

– Mitologią ogólną i historiami bogów – zełgał gładko. – Studiuję teraz dzieło, które wyjątkowo mnie zaciekawiło, zwłaszcza z uwagi na powiązania ze światem wierzeń Nordów. – Przesunął starą księgę, którą wcześniej oglądał i zademonstrował oryginalną rycinę.

Leta wyciągnęła dłoń, która zawisła nad kartą inkunabułu jak biały ptak.

Mewa.

Dwa kruki siedzące na ramionach kobiety, której oczy przewiązane są czarną opaską. Dwa wilki u jej nóg.

Leć, srebrnowłosa!

Szybko! Morski wiatr rozwiewa pióra. Unosi.

Chichot.

Czerń.

– Leto! – wrzasnęła hrabina Maria Serena, gdy głowa czarodziejki stuknęła o posadzkę.

*

Postanowili ominąć Ugrię. Pomimo tego, że Janto serdecznie ich zapraszał, nie mieli najmniejszej ochoty na gościnę u jego matki, zwłaszcza że sam zainteresowany jeszcze do domu nie dotarł. Po doświadczeniach z Verit mieli zdecydowanie dość odwiedzania małych miasteczek i widywania ludzi. Zwłaszcza takich, którzy lubią wieszać nieistniejących tarrenckich szpiegów i palić czarodziejki. Z szerokiego gościńca skręcili więc w leśny dukt, na którym wóz wiozący Jardala tłukł się koleinami i chybotał niczym wracający do domu pijak. Grandini powoził, co jakiś czas spluwając i klnąc. Virbio jechał konno, zamykając ich mały orszak. Zakupiony na targowisku łuk przewiesił luźno przez plecy, a kołczan pełen strzał wiózł przytroczony do siodła, w zasięgu ręki. Lustrował czujnym spojrzeniem las, usiłując dostrzec zawczasu ewentualne zagrożenia, ale na razie udawało mu się wypatrzyć tylko czujne, bystre oczy saren, zajęcy i wiewiórek. Zwierzęta zresztą uciekały szybko, nie dając nawet szans na upolowanie swoich skórek. Poza tym las, jak to las, był zielony. Tę dominującą barwę łamały tylko niekiedy rude pnie sosen i wielość odcieni, od zielonobrunatnego poprzez brunatnozielony do całkiem brunatnego. Virbio westchnął. Wysoko, w gałęziach drzew, śpiewały ptaki, za nic mając przesuwający się w dole niewielki orszak. Chłopak spiął konia i podjechał do przodu, zrównując się z tkwiącym na koźle Grandinim.

– Napiłbym się – mruknął.

Szpieg rzucił mu opleciony gąsiorek.

– Wody. – Virbio skrzywił się, ale pociągnął solidny łyk. – Po tym już w południe będę pijany jak katowski pachołek na sianokosach.

– W wodzie – beknął Grandini – pływają takie małe robaczki. I rybki. I kijanki.

Młody Allenmargh postanowił nie dociekać, jak dogłębną znajomość z gąsiorkiem zawarł już tego dnia jego towarzysz. Popatrzył w przód, na drobną, okrytą burym płaszczem postać czarodziejki, jadącej przed nim na swoim kasztanku. Rude włosy, niedbale zebrane w węzeł na karku, rozwiewał lekko wiatr. Virbio westchnął. Od tamtej nocy w Zamku nie odezwała się do niego, nawet na niego nie spojrzała. Może pożałowała. Może ją też opanowała jakaś inna, obca magia, potężniejsza od niej samej. Raz, tylko raz, spróbował potem dotknąć jej dłoni, udając, że pomaga dociągnąć popręgi konia. Nie zareagowała. Spokojnie wysunęła rękę i odeszła, nie zaszczyciwszy go ani jednym spojrzeniem. Nie opędzała się od niego, po prostu w ogóle go nie widziała. Zacisnął zęby.

Gaga, ta druga dziwka, próbowała umizgać się do niego. Podsuwała mu różne smakołyki, przysuwała się blisko, ocierała o jego ramię obfitym i niemal pozbawionym okrycia biustem. Odtrącił ją, nie kryjąc obrzydzenia. Obraziła się i dla odmiany zaczęła z niego pokpiwać. Najpierw rumienił się jak żaczek, ale potem postanowił mieć to gdzieś. W końcu był już z prawdziwą kobietą, nie musi się przejmować opinią prostackiej ladacznicy. Widział, że mieszczaneczka na jego widok rumieni się nieco. To również miał gdzieś.

Zrównał konia z czarodziejką, a potem pogalopował naprzód. Minął Justina Ferna, który jak zwykle patrzył przed siebie czujnym i pozornie obojętnym spojrzeniem arystokraty. Przed nim podrygiwała w siodle Fionka, która uparła się, że nie będzie razem z dziwkami obijała sobie tyłka na wozie. Czyniła to więc w siodle, kołysząc na wszystkie strony kuprem niczym kaczka, która nie może się zdecydować, w którą stronę płynąć. Co wieczór zsiadała z konia poobijana jak worek grochowin, ale dumnie zadzierała nos i nazajutrz znów sadowiła się w siodle. Będąc istotą praktyczną, podkładała sobie jednak pod szeroką pupę poduszkę.

Przodem sprężyście kroczył Gilgamesz – pieszo, bo tak wolał – a poza tym nie było chyba rumaka, który zdołałby udźwignąć jego masywną postać. Przez ramię przewieszony miał łuk, a w ręku dzierżył solidną włócznię, którą zrobił z młodego drzewka. Sam je na którymś postoju wybrał, ściął, okorował, zaostrzył i opalił w ognisku. U pasa nosił miecz, kupiony na targowisku w którymś z miasteczek. Choć normalnych rozmiarów, a dla młodego Allenmargha nawet zbyt ciężki, przy boku Gilgamesza sprawiał wrażenie nieco większego sztyletu.

Virbio westchnął i zawrócił konia, zmierzając na swoje miejsce w tylnej straży. Po drodze rzucił ukradkowe spojrzenie na czarodziejkę. Miała skupioną twarz,

ściągnięte brwi, usta lekko zaciśnięte. Szarozłote oczy patrzyły przenikliwie, ale nie na niego. Westchnął.

Żadne z nich nie znało terenów, w które się teraz zapuszczali. Jeszcze w Verit Grandini, Justin i Mitria zasięgnęli języka. Czarodziejka dysponowała dość wiekową mapą, ale przejeżdżający kupcy niewiele potrafili z niej wydedukować. Mówili tylko, że aby dojechać do Xanty, trzeba albo zapuścić się w Góry Solne, gdzie i wozem przejechać trudno, i po jaskiniach zbójcy się kryją, albo okrążyć je pomniejszymi, południowymi szlakami, przez lasy, na północny wschód od Emmendath. Sugerowali tylko, że przyczyn tak dalekiej podróży nie rozumieją. W głębi lasu żyją ponoć – tam, gdzie nie ma zbójców – olbrzymie pająki i wiedźmy, które nocami w kociołkach gotują wywary z kociąt albo i niemowląt, a dalej, na otaczającym Xantę pustkowiu, mieszkają podobno koźlonodzy ludzie, gigantyczne ogniste węże i skorpiony o ludzkich twarzach, gnomy, trolle, lamie, lemury, dwugłowe bestie o niezliczonych oczach i językach, ludzie o psich głowach i niezliczone inne dziwadła i straszydła. Bronią one dostępu do Pustej Ziemi, której granice zaczynają się nie wiedzieć gdzie, ale właśnie ponoć gdzieś za Xantą. Zresztą to miejsce przeklęte, od dawna siedzibą czarnoksiężników będące i nie wiadomo (tu podejrzliwe spojrzenia), czemu tak szacowna kompania tam interes ma. Mitria wzruszała tylko ramionami, Justin kiwał głową nad prostaczą głupotą, Grandini bekał znad kolejnego gąsiorka, a mieszczaneczka Fionka rozcierała gęsią skórkę, która jej od słuchania tych dziwów na rękach powstała. Gilgamesz nie mówił nic, patrzył tylko przed siebie, jakby widział rzeczy niedostępne dla ludzkiego wzroku.

Bardziej ze względu na wóz niż na czyhające w górach zagrożenia wybrali szlak przez las, omijając zarówno zbyt niedostępne tereny, jak i położone bardziej na południowym zachodzie Emmendath. Czarodziejka uzupełniła dane na mapie wedle wskazówek starych kupców, którzy rzeczywiście bywali w pobliżu Xanty, po czym z kawałka sznurka, kilku paciorków, pióra, kamienia, drewnianej szpulki po niciach i żelaznej igły stworzyła jakiś magiczny przyrząd, który rzekomo miał pokazywać kierunek. Wyruszyli.

I oto jechali już od tygodnia przez gęste lasy, zatrzymując się z rzadka na popas i nocleg. Zapasy chleba powoli się wyczerpywały, choć kaszy i fasoli mieli jeszcze pod dostatkiem. Czasami Gilgameszowi udawało się ustrzelić królika albo bażanta, który trafiał wieczorem do kociołka zawieszonego nad ogniskiem, a z dodatkiem kaszy, ziół i dzikiej marchwi smakował wybornie. Ku rozpaczy Grandiniego zasoby wina również miały się ku końcowi. Podobnie było z zawartością beczki piwa, która wraz z innymi zapasami spoczywała w kącie wozu.

Jak dotąd żadnych gigantycznych pająków, lemurów, lamii ani innych szkaradzieństw nie spotkali. Wieczorami w trawach grały świerszcze, głośne i wielkie, ale do mitycznych stworów było im trochę daleko. Virbio zwykle kładł się w nocy przy dogasającym ognisku, przeżuwał wetknięte w usta źdźbło trawy i gapił się w gwiaździste niebo, słuchając cichych, charakterystycznych odgłosów nocy. Gdzieś na krawędzi wzroku miał kamienną sylwetkę Gilgamesza, który co noc stał na warcie, jakby w ogóle nie potrzebował snu.

Dziewięć dni później wynurzyli się z lasów na szeroką, pokrytą prostokątami pól dolinę. Daleko przed nimi widniało kilka chłopskich chałup i otoczone murem miasteczko. Z kominów unosił się dym. Pachniało zżętą trawą, koniczyną, końskim nawozem, dymem i gotowanymi ziemniakami. Bezpiecznie i swojsko. Grandini poweselał i zaciął konie lejcami. Wyglądającym zza jego ramienia dziewczynom i tłukącej się w siodle Fionce również roześmiały się oczy. Tylko Gilgamesz i czarodzieje pozostali spokojni i poważni. Wymienili spojrzenia. Czujne i ostrożne.

Kiedy mijali pierwsze chałupy, wybiegły im na spotkanie umorusane dzieciaki i psy. Świergot i jazgotanie odprowadziły ich prawie do bram miasteczka. Mitria zatrzymała konia.

– Wjeżdżamy do środka – zapytała zrównującego się z nią Justina – czy nocujemy tu, na podgrodziu?

– Zostałbym na zewnątrz – wycedził czarodziej. – Coś mi tu źle pachnie. Zbyt spokojnie.

– Dajcież spokój, magicy zapowietrzeni – splunął Grandini. – Gotowiście w misce żuru podstępów szukać. Mnie się podoba i na podgrodziu, ale w środku zapewne nic groźniejszego od gąsiorka wina nas nie czeka.

– Nie ma tam magii – Mitria posłała w kierunku miasteczka delikatne tchnienie skanującej mocy – ale coś mi się nie podoba.

– Jak chcecie. Zresztą jednego i drugiego godzi się spróbować – oznajmił szpieg. – Mnie tam pasuje i grochówka ze słoniną pod strzechą, i pieczony kapłon w zajeździe. Hej, gospodarzu – okrzyknął chowającego się za brogiem chłopa – o gościnę prosim, krzywdy nie czynim, a srebrem płacim. Gość w dom, godzi się wędrowca przygarnąć. Przyjmiecie?

Kmieć wychylił się ostrożnie z kryjówki i przyjrzał im krytycznie, zmrużywszy kaprawe ślepia. Potem wylazł cały, podciągnął brudne portki, charknął, splunął i podrapał się po łbie. Był starszawy, żylasty, chudy i niedomyty, ale mięśnie miał jak ze stali.

– Nie nada, pane – powiedział, dziwacznie akcentując słowa. – My tu ludzie spokojne, a obce k’nam nie przyjeżżają. Nie nawyklim. Bida u nas, obroku la konie nie najdziesz, a i ludzisków wyżywić ni ma czym.

– A ta kasza ze słoniną, co ją przez komin wyczuwam, to niby nic jest? – zaperzył się szpieg.

Kmieć wzruszył ramionami.

– La mne, la matuli, la baby i dziecisków ledwusieczko stanie – wymemłał. – W grodzie, łaskawe państwo, gościny szukajcie.

– Kiedy tak, jedziemy do grodu. – Mitria szarpnęła wodze Farasa.

– Naści srebrnego talara, skoro was taka bida ciśnie. – Moneta, rzucona tłustą ręką Grandiniego, poszybowała łukiem i wylądowała prościutko w dłoni chłopa. Kmiotek zerknął na nią przelotnie, wytarł o spodnie i zacisnął w garści. W jego chytrych oczkach na moment zalśniła chciwość.

Wóz zaskrzypiał i potoczył się przez podgrodzie. Mitria i Justin jechali na przedzie, mając przy boku spokojnego jak kamień Gilgamesza, na którego wiejskie dzieciaki gapiły się z rozdziawionymi buziami. Pochód zamykał jak zwykle Virbio na melancholijnej kasztance, która ogonem oganiała się od brzęczących w gorącym powietrzu much.

Drewniane wrota były otwarte, jedyny strażnik drzemał, oparty o włócznię z zardzewiałym grotem. Zaśniedziały hełm zjechał mu na oczy. Na tych dwóch atrybutach kończyły się oznaki jego funkcji, bowiem poza tym odziany był w zwykłe płócienne portki i kubrak miejskiego pachołka. Butów nie nosił, a barwa jego stóp mogła wskazywać na to, że mycia też specjalnie nie uznawał.

Obudzony stukotem koni i skrzypieniem wozu, poderwał się na równe nogi i wyprostował hełm.

– …śnie państwo! Do miasta wjeżdżacie! Myto zapłaćcie – zakrzyknął, lustrując niewielki orszak nieco krzywym spojrzeniem. – Towary dajcie do oclenia!

– Nie jesteśmy kupcami – odpowiedział flegmatycznie Justin Fern.

– Tedy kim?

– Spokojnymi podróżnymi.

– To se bądźcie. Nie moja rzecz. Jeno myto zapłaćcie – upierał się strażnik.

– Pierwsze słyszę – uniósł się Grandini – żeby za przekroczenie bram takiej dziury trzeba było płacić myto! Jak się w ogóle to wasze sioło nazywa?

– Nie sioło, jeno miasto. Na prawach. Gołodupce się zwie.

Grandini się zakrztusił.

– Na cześć rajców dzielnych, którzy przez władykę bez portek w sromocie popędzeni byli – perorował dumny obywatel Gołodupiec. – A potem przeciw onemu powstanie podnieśli, i po dziś dzień my bez władyki, samorządni są – podniósł podbródek, a hełm zjechał mu na tył głowy. – A wy myto zapłaćcie.

Mitria wygrzebała z sakiewki dwa srebrne talary i rzuciła strażnikowi.

– Możemy przejechać? – zapytała.

– Prosim, a jakże – zasalutował, uderzając się włócznią w hełm. Zadźwięczało, a żelastwo przechyliło się dla odmiany na jego lewe ucho.

Gołodupce, stosownie do nazwy, składały się z ubogich, byle jak skleconych i potwornie śmierdzących domów, stokroć gorszych na wygląd od pobudowanych ze świeżego drewna chłopskich chałup na podgrodziu. Cuchnęło końskimi szczynami, podłą, przypaloną strawą, stęchłymi murami, zbutwiałym drewnem i nie wiedzieć czym jeszcze. Grandini już pożałował i zaczął oglądać się za siebie. Przy tym, co widzieli, nawet Verit ze swoim rządkiem przysadzistych kamienic, apatycznymi rajcami i zadzierzystym kapłanem wydawało się metropolią.

Rynku jako takiego nie było, kiedy jednak przejechali kilka krzywych uliczek, kierując się do hipotetycznego centrum, ich oczom ukazał się dość wysoki, kamienny gmach z zakratowanymi oknami, udekorowany nad wejściem krzywym napisem „Magystrat", wymalowanym na desce. Naprzeciwko mieściła się przysadzista budowla z gankiem wspartym na kolumienkach. Niezidentyfikowane zwierzę wyryte w drewnie kołysało się, skrzypiąc, przy wejściu, a jego anatomię pozwalał rozszyfrować dopiero krzywy napis: „Karczma pod Prosiaczkiem". W pobliżu kręciło się kilku pachołków, a na dziedzińcu stały uwiązane porządne, zadbane konie.

– Widno przejezdnym jakimś droga tędy wypadła, jako i nam – mruknął Grandini – bo nie widzi mi się, żeby tutejsi…

W środku unosił się odór niedomytej podłogi i kwaśnego piwa. Ludzi było niewielu. Bezzębny staruszek siorbał polewkę, ktoś w kącie przeżuwał suchy chleb z serem, przy sąsiedniej ławie kilku mieszczan w milczeniu popijało ze swoich kufli podejrzanej jakości płyn.

– Niedobre miejsce – powiedział Gilgamesz niskim głosem kamiennego gromu. – Lepiej jest pod słońcem i gwiazdami.

– Jeno żarcia brak – sapnął Grandini.

Obsiedli ciasno jedyną ławę, która wydawała się względnie czysta. Po chwili z nieokreślonego wnętrza tego przybytku wynurzył się chudy, brudny i zarośnięty karczmarz. Skłonił się nerwowo, oblizał wargi i, wycierając ręce w zatkniętą za pas, mocno używaną ścierkę, wymamrotał pytanie, co może gościom podać. Wymienił na jednym oddechu kaszę ze skwarkami, coś tam z bobem, polewkę piwną z twarogiem i baraninę z grochem. Po czym skłonił się jeszcze raz, obejrzał przez ramię i trochę składniej powiedział, że w kupieckiej sali grupa możniejszych państwa spożywa pieczone prosiątko, specjalność zakładu. Widzieli oni oknem przyjazd jaśnie państwa i do kompanii proszą. Grandini wyraźnie poweselał. Pozostali też odetchnęli z ulgą, podnosząc się z ławy. Wszystko było lepsze niż to, co frontowa izba „Karczmy pod Prosiaczkiem" miała do zaoferowania.

Karczmarz wskazał małe boczne drzwiczki i puścił ich przodem, ciasnym korytarzykiem, który kończył się wspomnianą kupiecką salą. Przez otwarte drzwi wkroczyli do środka.

Zaskoczyła ich ciemność.

Nie ciemność pomieszczenia pozbawionego światła, ale kilka indywidualnych ciemności. W czasie krótszym niż mgnienie oka każde z nich poczuło narzucony na głowę worek i krępujące ramiona więzy. Rozległy się stuki, stłumione krzyki, odgłosy daremnej walki. Szybciej, niż trwa okrzyk ostrzeżenia, odebrano im broń. Mitria i Justin poczuli, jak coś w rodzaju niewidzialnej obręczy zsuwa się po ich ramionach w dół, przywiązując ręce do ciała, blokując jakąkolwiek możliwość użycia magii. Gaga wrzasnęła ile sił w płucach, choć worek tłumił jej głos. Uciszył ją silny cios pięścią.

Napastnicy nie byli przygotowani na Gilgamesza. Strącił ich z siebie jak odyniec małe pieski, strząsnął z głowy worek, którego nie zdołali mu nałożyć. Zaatakowali go ze wszystkich stron. Słychać było odgłosy ciał uderzających o meble i mebli uderzających o ciała. Jęki i krzyki.

– Spokój! Siecią – rozległ się nagle cichy, syczący odgłos komendy. – Nie tą. Tamtą na magów. Z gwiezdnym żelazem.

Odgłosy upadków. Jęki. Tupot stóp. Szamotanina. Wrzask. Cisza. Upadek, głośniejszy od wszystkich poprzednich.

*

Grandini ocknął się w ciemności. Czuł się, jakby oberwał po łbie kowalskim młotem, czego zresztą nie wykluczał. Miał pewne trudności z przypomnieniem sobie ostatnich zdarzeń. Pod plecami wyczuwał twardą, kamienną posadzkę. Na razie brakowało mu sił, by zastanawiać się nad kształtem całego pomieszczenia. Podniósł rękę, ciężką jak z ołowiu, i obmacał głowę. Nad lewym uchem wyczuł solidnego guza i ranę. Syknął z bólu.

Poleżał jeszcze chwilę, robiąc w myślach inwentaryzację całego ciała. Boli, ale wygląda na to, że obeszło się bez poważniejszych obrażeń. Poruszył palcami u rąk i nóg. Na nadgarstkach wyczuł bolesne, lekko podpuchnięte rany. Dotknął. Syknął. Co to mogło być? Otarcia od sznura. Wszystko jasne. Ktokolwiek go tu wrzucił, nie pieścił się z nim. Pomacał u boku. Brakowało i pasa, i sakiewki. Samo życie. Jeśli to raubritterzy, tylko przytomność umysłu i własny giętki język może go uratować. Ale, co w tej chwili najważniejsze, nie był teraz związany. Mógł ruszać wszystkimi kończynami.

Spróbował się podnieść. Poszło ciężko, a w dodatku zakręciło mu się w głowie, ale dał radę. Posiedział chwilę, a potem chwiejnie wstał. Poleciał do tyłu i dzięki temu odkrył ścianę, z którą dość boleśnie się zderzył. Kamienną,

piwniczną, zimną i lekko wilgotną. Uświadomił sobie, że ssie go z głodu, a w ustach zaschło z pragnienia. Dotknął ściany, a potem oblizał własną dłoń. Za mało. Była na tyle wilgotna, by ciągnęło od niej chłodem, ale niewystarczająco, by rzeczywiście poczuć smak wody.

Obszedł pomieszczenie, macając ściany na swojej wysokości i trochę ponad głową. Dopiero po minięciu trzeciego narożnika wymacał drzwi. Pomieszczenie było niewielkie i nie odkrył w nim żadnego okna, co wskazywałoby na piwnicę. Albo też okna znajdowały się za wysoko, jak w więziennym lochu. Nie widzi ich, bo na zewnątrz panuje noc. Nie, Grandini skarcił się w myślach. Zaczęła mu wracać zwykła umysłowa sprawność. Ostatnio była piękna, bezchmurna pogoda, a księżyc zbliżał się do pełni. Nawet w nocy byłoby wystarczająco jasno, żeby czytać, a co dopiero zobaczyć zarys okna. Tu go nie ma. A zatem piwnica. Wskazywałyby na to również drzwi, solidne, ale zwykłe, drewniane, bez dodatkowego okucia, bez okienka z kratą.

Usiadł pod ścianą i zaczął myśleć. Miał problem z odtworzeniem ostatnich wydarzeń. To pewnie efekt ciosu w głowę. Przypomniał sobie wjazd do miasteczka i powolne człapanie jego brzydkimi, brudnymi i ponurymi uliczkami. Odtworzył rozmowę ze strażnikiem przy bramie i skonstatował w myślach, że dać się schwytać w miejscu o nazwie Gołodupce wydaje się doprawdy głupio. Dalej nie pamiętał nic. Nie miał nawet przybliżonego pojęcia, jak długo tu leżał. Oprócz tego, że skurcze żołądka wskazywały na dość dużą czasową odległość od ostatniego posiłku, a ból głowy i pragnienie na niezaleczonego kaca.

W korytarzu usłyszał kroki. Zamarł na chwilę. Stukot ciężkich butów ucichł pod drzwiami do jego celi. Zazgrzytał klucz. Grandini zastanowił się w pośpiechu, czy lepiej położyć się i udać, że wciąż jest nieprzytomny, czy też zostać tak, jak jest. Ponieważ zamarł w obecnej pozycji i nie zrobił nic, rzeczywistość zdecydowała za niego. Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem, a oślepiające światło pochodni sprawiło, że zmrużył oczy.

Dwóch odzianych po żołniersku drabów brutalnie wzięło go pod ręce i powlekło korytarzami. Komnata, do której go wprowadzili, była niezbyt duża i najwyraźniej pamiętająca czasy większej świetności. Na niewielkim wzniesieniu stał ciężki, stary dębowy stół. Otaczały go karła z wysiedzianymi, wyblakłymi poduszkami. Na ścianie wisiał spłowiały gobelin przedstawiający scenę polowania na jelenia. Jeleń przypominał skrzyżowanie muła z żyrafą.

Stół zastawiony był prostymi, ale pożywnymi potrawami: chleb, mięso, pieczone ziemniaki i kapusta z grochem, podane na cynowych talerzach, obok których leżały powyginane sztućce.

Siedzący za stołem człowiek podniósł pucharek wina do wąskich, bladych ust. Miał rzadkie, czarne włosy, świdrujące żółte oczy i wydatny nos.

– Kwaśne – skrzywił się, patrząc wprost na Grandiniego. – Podły gatunek. Ale nic lepszego panowie rajcy z Gołodupiec zdaje się nie mają.

– Jastrząb – powiedział Grandini.

– Jako rzeczesz. Siadaj.

Szpieg usiadł. Założył ręce na otyłym brzuchu. Zerknął na stół.

– Częstuj się. – Kondotier szerokim gestem wskazał zastawę. – Prosta, żołnierska strawa – powiedział, odcinając kawałek mięsa nożem i wkładając sobie do ust. – Nie to, do czego przywykłeś, ale w pewnych warunkach nie do pogardzenia.

Grandini nałożył sobie w milczeniu pełen talerz pieczonych ziemniaków.

– Śmiało, nalej sobie. – Jastrząb podsunął mu dzban wina. – Chociaż, jak mówiłem, podłe.

Grandini nalał. Odrobinę. Ręka mu zadrżała.

– Srodze mnie, druhu, rozczarowałeś – powiedział kondotier, odcinając sobie kolejny kawałek mięsa. – Zniknąć tak bez pożegnania, bez zapłaty, zostawiając mnie z niezrealizowanym zleceniem i stadem trzęsących portkami łyczków… Niełądnie, oj, niełądnie.

– Wiesz, czemu sprawa wzięła w łeb – odezwał się Grandini. Wyszło bardziej ochryple, niż zamierzał.

– Aresztowali czarodzieja. – Człowiek o haczykowatym nosie skinął głową. – A ty zamknąłeś się na kilka dni w wieży magów, a potem zniknąłeś. Ktoś doniósł, powiadasz. Nikomu nie można było ufać. Łyczkowie i patrycjusze czmychnęli w popłochu, mało gaci nie pogubili, albo przyczaili się, mocząc portki na każdy dźwięk kroków, w strachu, że oto idzie po nich książęca straż.

– Nie moja wina.

– Nie twoja, powiadasz. – Kondotier wwiercił w niego spojrzenie żółtych oczu. – A ja czekałem jak ten durny. Wojsko moje czekało i nudziło się. W gospodach okolicznych dukaty traciło na karty i dziwki. A żołnierz zaciężny jest od tego, druhu mój, żeby pieniądz zarabiać albo i rabować, a nie go wydawać. Przestój wojska zaciężnego sporo kosztuje.

– Znajdę środki… – Grandini kaszlnął i zaczerwienił się.

– Może i znajdziesz – Jastrząb przekrzywił głowę, co jeszcze bardziej upodobniło go do drapieżnego ptaka – ale czasu straconego mi już, druhu, nie wrócisz. Ani mojego kondotierskiego honoru. Śmieją się teraz ze mnie, że zamiast wojaczką zaciężną się parać, poszedłem jak kto głupi za czyste idee się bić, za powietrze, słusznej sprawy jako rycerz prawy bronić. Tfu.

– Nikt – zapewnił Grandini – się z ciebie nie śmieje. Już ja widzę takiego, który by próbował. Bractwo zapłaci. Dostaniesz tyle złota, że nikt ci nie będzie mógł zarzucić szlachetności.

Kondotier odchylił głowę w tył i roześmiał się chrapliwie. Potem pochylił się i błyskawicznym ruchem chwycił dłoń szpiega. Wygiął mu palce pod nienaturalnym kątem i zmiażdżył w uścisku silnym jak żelazne kleszcze. Grandini wrzasnął.

– Ból – powiedział Jastrząb tuż nad jego uchem – to bardzo skuteczny eliksir prawdomówności. Najskuteczniejszy, jaki znam.

Grandini chciał zapewnić, że mówi prawdę, ale nie dał rady. Przycisnął rękę do piersi, gdy tamten wreszcie ją puścił.

– Co chcesz wiedzieć? – wydyszał. – Powiem ci nawet bez stosowania barbarzyńskich metod. Byliśmy sprzymierzeńcami.

Jastrząb uśmiechnął się wrednie. Bardzo wrednie.

– Sprzymierzeńcami, powiadasz. Ano, byliśmy. Tylko ty, Grandini, podobno nie jesteś głupi. Powinieneś zatem wiedzieć, co oznacza profesja kondotiera. Sprzymierzam się z tym, kto płaci i tylko dotąd, dopóki płaci. Bractwo nie zapłaciło ani złamanego półgroszka.

– Jastrząb, ja wiem, że z ciebie kawał sukinsyna – odpowiedział szpieg, masując rękę. – Nie musisz mi tego udowadniać. Ale ja też nie należę do bractwa miłosiernych pątników, więc możemy się dogadać.

Żółte oczy kondotiera zaświeciły. Znów się uśmiechnął. Wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy i obszedł stół dookoła. Potem nagle kopnął karło, na którym siedział szpieg. Mebel zleciał z podwyższenia. Grandini ciężko wylądował na posadzce. Jastrząb podszedł i z metodyczną dokładnością kopnął go w nerki. Potem w kolano. Potem w krocze. A potem jeszcze kilka razy, chaotycznie, byle jak, dla poprawienia efektu. Grandini z bólu stracił oddech. Leżał, kuląc się i jęcząc.

– Dam ci trochę czasu, żebyś mógł lepiej zastanowić się nad odpowiedzią. – Jastrząb krążył wokół niego, podkutymi butami wystukując na kamieniach spokojny rytm. – Nie będę cię wypytywał, kto wtedy zdradził, bo myślę, ptaszyno, że to byłeś ty. Mam swoje oczy, uszy i nosy w mieście. Przyznaję, że kiedy zamknąłeś się w wieży magów, przestałem cię obserwować, ale też muszę z żalem przyznać, że cię nie doceniłem. Myślałem, że podobnie jak inni trzęsiesz gaciami ze strachu i zaszyłeś się byle gdzie, byle bezpiecznie.

Kopnął jeszcze raz, z rozmachu, w krzyż. Grandini zawył.

– A potem zniknąłeś. – Jastrząb przybrał teatralnie zasmucony ton. – A ja, durny, założyłem, że dosięgła cię owa słynna Gwardia Morgh, że gnijesz gdzieś w zamkowych lochach albo na dnie morza wyprawiasz ucztę dla ryb. Już nawet wypiłem za twoją śmierć. Wyobraź sobie, jak się zdziwiłem, kiedy niedawno dowiedziałem się, że żyjesz, masz się dobrze i w osobliwej kompanii podróżujesz

na północ. Postanowiłem, druhu, koniecznie odszukać ciebie i zapytać o zdrowie. Jak również o parę innych szczegółów.

Szpieg otworzył usta i zdobył się na charczący szept:

– Nie zdradziłem.

Kolejny kopniak, tym razem w usta. Grandini poczuł słony, żelazisty smak krwi.

– Obrażasz mnie, mój druhu. Obrażasz mnie sądząc, że jak małe dziecię dam się nabrać na proste kłamstwa. Żyjesz. Zgoda, uciekłeś. Wielu innych też uciekło. Ale czemu znajduję razem z tobą i twoją kompanią czarodzieja, który jakoby zniknął bez wieści w zamkowych lochach? Ten wasz wóz, co stał przed karczmą, moi ludzie też przeszukali.

Szpieg, pomimo zalewających całe ciało fal ostrego bólu, zaczął myśleć. Intensywnie.

– Rozumiem cię – wychrypiał w końcu. – Teraz widzę, jak to mogło wyglądać.

Jastrząb obszedł go dookoła, pochylił się i żółtymi oczami zajrzał mu prosto w twarz. Przypominał drapieżnego ptaka, stojącego nad upolowaną ofiarą, z której zaraz zacznie odrywać dziobem kawałki żywego mięsa.

– Czyżby? – zapytał. – A jak w rzeczywistości wyglądało?

Grandini nabrał powietrza. Splunął krwią, wypluł ząb.

– Nie chcę ci sprzedawać ładnych bajeczek – wycharczał. – Wiem, że potrafisz rozróżnić ziarno od plew. Ale prawda jest prozaiczna i niezgrabna jak gruba dziewka.

– Nie pleć mi tu i nie gadaj przypowieściami, szpiegu – warknął kondotier – bo nie jesteś prorokiem. Do rzeczy.

– Prawda jest taka – Grandini przymknął oczy – że stchórzyłem. Nie miałem pojęcia, kto nas wsypał i spanikowałem. Bałem się, że będę następny. A ciało czarodzieja wydostali z zamku konfratrzy, nie pytaj jak, bo mnie przy tym nie było. Jeno że on nie bardzo od nieboszczyka się różni. Coś mu tam zrobili. Pożytku z niego żadnego. Kiedy magowie powiedzieli, że wyjeżdżają z miasta, zabrałem się z nimi. Wszystko było lepsze od siedzenia w Castelburgu i czekania na Gwardię Morgh. Gdybym wiedział, kto to był, już leżałby na dnie morza w worku albo ze sztyletem w plecach w miejskim kanale.

– Ale tego nie wiesz? – zapytał Jastrząb. Upiornie łagodnie.

– Nie. – Grandini przełknął ślinę.

– A masz może jakieś przypuszczenia?

Agent Bractwa zawahał się. Ale tylko przez chwilę.

– Mam. Myślałem o tym. Tyle że każde wydaje się niewiarygodne.

– Podasz mi jakieś przykłady? – Jastrząb usiadł na krześle i skrzyżował nogi w kostkach.

Grandini sapnął. Znów splunął krwią.

– Fosci – mruknął. – Odechciało mu się nas finansować. Druga strona zapłaciła, żeby się wycofał. Dostał jakieś bankowe przywileje czy coś. Jest tylko jeden szkopuł. On by na tym na dłuższą metę nie zyskał i bardzo dobrze o tym wiedział. Najbardziej mu zależało na przywróceniu Rady Pięćdziesięciu i starych porządków, i na… osobistych korzyściach.

– Jeszcze jakieś pomysły, kto mógł być zdrajcą? – zapytał obojętnie Jastrząb.

– Chianti. To szczur, kanalia, która chce się tylko wzbogacić. Głupi i naiwny pętak. Mógł uwierzyć, że jeśli nas wyda, obsypią go złotem i zaszczytami. Jeśli to on, już pewnie skończył z poderżniętym gardłem.

Jastrząb oglądał swoje paznokcie. Wziął ze stołu nóż i zaczął je czyścić.

– Wtedy w lochach wspomniałeś o jakimś kontakcie w Zamku. O kimś, kto chce pozostać bezimienny. Kto to był? – zapytał, przyglądając się efektom swoich kosmetycznych zabiegów.

Grandini zawahał się.

– Giulia Baldini. Ochmistrzyni.

Kondotier parsknął.

– To nie mogła być ona – zapewnił szpieg. – Starsza dama, potwornie skrzywdzona przez Księcia. Nienawidziła magów.

– No właśnie. – Jastrząb rozciągnął usta w brzydkim uśmiechu. – Nienawidziła magów.

Wstał, przeciągnął się, odłożył nóż. Podszedł do Grandiniego i znów zawisł nad nim jak drapieżny ptak.

– Twoje tłumaczenia mają jedną poważną wadę – powiedział. – W ogóle, ale to w ogóle ci nie wierzę.

Dalsze słowa, o ile w ogóle padły, utonęły we wrzasku.

*

Drzwi uchyliły się z potwornym zgrzytem zardzewiałych zawiasów. Jakiś ciężar ciągnięto, potem rzucono. Szelest słomy w sienniku. Kroki. Po chwili rozległ się szczęk zapadającej sztaby i przekręcanego klucza. Mitria obróciła się na posłaniu. Ręce wciąż miała ciasno przywiązane do boków czymś, co krępowało ją w pasie i uwierało drobnymi grudkami żelaza. Jakieś płynące z tego odczucie, niczym ciężar leżący na piersi, blokowało i zamykało w niej moc. Potwornie zaschło w ustach. Zaczęła wić się w więzach i trzeć nimi o siennik, próbując się oswobodzić.

– Uspokój się – usłyszała. – Zaraz ci pomogę. Pomożemy sobie nawzajem.

Zastygła. Spróbowała się rozejrzeć. Wysoko umieszczone, zakratowane okienko dawało niewiele zamglonego, księżycowego światła. Po chwili zaczęła jednak rozróżniać kształty wydobyte z mroku. Coś tam było. Sąsiednia prycza, na której spoczywał jakiś kształt.

– To ja. Justin.

– Nic ci nie jest?

– Jeśli pytasz o to, czy mocno oberwałem w łeb, to nie. Co do reszty, nie bardzo jest się czym cieszyć.

– A inni?

– Nie wiem.

– Jesteśmy tu sami?

– Również nie wiem. Nikt się nie odzywa. Ale może są nieprzytomni. Podobnie jak ty, nie bardzo mogę się ruszyć.

– Ktoś przed chwilą otwierał drzwi.

– Uhm. Ale nas nie rozwiązali. Pewnie się boją. A jeśli planują w ogóle nas karmić, to może liczą na to, że te gustowne opaski zdejmiemy sobie sami. Zaczekaj. Możesz zejść z pryczy i do mnie podejść?

– Chyba mogę. Spróbuję.

Mitria podniosła się powoli. Chwilę siedziała bez ruchu, żeby powstrzymać zawroty głowy, a potem opuściła nogi na posadzkę.

– W porządku. Mogę chodzić.

– Dobrze. Jestem tu. Kilka kroków od ciebie.

Podeszła do pryczy, na której leżał Justin i obróciła się.

– Czekaj. Tak nie da rady. Ja też nie mogę poruszyć rękami. Musisz się przy mnie położyć.

Wykonała polecenie. Poczuła, jak dłoń Justina wsuwa się między jej ciało a więzy.

– W porządku. Tu jest węzeł. Zaraz go rozluźnię. Jeszcze chwila. Dobrze. Teraz możesz spróbować się z tego wysunąć.

Skuliła się w sobie, wciągnęła powietrze i przesunęła się na posłaniu w dół. Więzy rozluźniły się, ale nie puściły całkowicie. Justin trzymał krępującą ją pętlę, a ona powoli się z niej uwalniała. Rękaw sukni rozdarł się z trzaskiem, twardy kawałek metalu rozorał skórę do krwi. Ale udało się. Po chwili była wolna.

– Dobrze. Teraz ty – powiedziała. – Usiądź. Po prostu to z ciebie ściągnę.

Jej szczupłe palce przez chwilę manipulowały przy węźle, który był związany raczej mocno niż kunsztownie. Po chwili udało się jej go poluzować. Justin roztarł zdrętwiałe ramiona.

– Rzemień nabijany okruchami gwiezdnego żelaza. – Mitria obejrzała w nikłym świetle to, czym zostali związani. – Broń na magów. Ktoś był

przygotowany.

– Teoretycznie – stwierdził Justin, rozciągając ręce – powinna teraz wrócić mi moc. A jakoś tego nie czuję.

Mitria sprawdziła. Kamień milczał. Drewno milczało. Milczało powietrze.

– Ja też nie – powiedziała głucho.

Posiedzieli chwilę w ciszy. Potem obeszli pomieszczenie. Miało kształt litery L. Za rogiem stały jeszcze dwie prycze. Jedna z nich była pusta. Na drugiej odkryli bezwładne ciało. Mitria odsunęła z twarzy tego człowieka rąbek płaszcza i dotknęła czoła, którego kształt znała tak, jak żaden inny na świecie.

– To Jardal.

*

Leta Therrus poczuła, że ktoś dotyka jej ręki. Słyszała szepty i szelesty. Pulsowanie krwi w uszach. Szum.

– Puls normalny – usłyszała. – Nie wiem, czemu wciąż jest nieprzytomna.

Zamrugała i otworzyła oczy. Agostino Valla zaczerwienił się i puścił jej dłoń.

– Jak dobrze, że znów jesteś z nami, pani – powiedział, cofając się. – Wybacz. Mam trochę wiedzy medycznej i uznałem, że…

Leta spróbowała się uśmiechnąć. Leżała w swojej sypialnej komnacie, na łożu z haftowanym baldachimem, a nad nią pochylała się z troską pomarszczona twarz Marii Sereny. Biało ubrane służki szeptały przy drzwiach.

– Wystraszyłaś nas – powiedziała z wyrzutem hrabina. – Zemdlałaś w bibliotece.

– Chyba pamiętam. – Czarodziejka z wysiłkiem przełknęła ślinę. Odetchnęła głęboko, uniosła się na poduszkach i przez chwilę zajmowała się w skupieniu powracaniem do rzeczywistości. – Agostino, na komodzie, po twojej prawej ręce, stoi mała rzeźbiona szkatułka. Otwórz ją. Czwarta z lewej strony buteleczka z ciemnozieloną zawartością. Podaj mi ją, proszę – powiedziała.

Valla gorliwie wykonał polecenie, lustrując przy okazji zawartość skrzyneczki. Magiczne eliksiry. Co najmniej dwanaście różnych flakoników. Zadrżał z ciekawości, żądzy wiedzy i chęci, by któryś wypróbować.

Leta poprosiła o puchar wina i wlała do niego dwie małe zielone krople. Przymknęła oczy i powoli zaczęła pić.

– Księga – odezwała się. – Przypominam sobie. Księga z ryciną. Przynieście ją, proszę.

– Nie wiem, czy to dobry moment – odezwała się ostrożnie hrabina. – Powinnaś odpocząć.

Czarodziejka popatrzyła na nią przenikliwymi, czarnymi oczami. Diament nad jej czołem zamigotał. Maria Serena westchnęła i posłała po bibliotekarki. Zjawiły

się po chwili, taszcząc wielkie, wytarte po brzegach tomisko. Ułożyły je tuż przy łóżku Lety na pulpicie do czytania. Valla odszukał stosowną stronę.

Wieża.

Morze.

Wiatr.

Kobieta i mężczyzna, stojący naprzeciw siebie na blankach.

Opaska na jej oczach. Dwa kruki i dwa wilki.

Samotna, wysoko kołująca mewa.

– Interesuje cię ta rycina, pani? Oczywisty odnośnik do mitologii Nordów – zaczął Valla, przybierając swój akademicki ton. – Dwa kruki siedzące na ramionach boga Odina to Munin i Hugin, Pamięć i Myśl. Pierwszy przynosi wieści ze świata zmarłych, a drugi lata po świecie żywych. Odin oddał jedno swoje oko za wodę mądrości ze studni Mimira, stąd zapewne ślepota naszej bohaterki. Wilki natomiast… – zamilkł, widząc zamknięte oczy i skupienie na twarzy czarodziejki. No tak, skarcił się w duchu. Ona to wszystko wie. Zerknął na hrabinę, stroskaną i zaniepokojoną. Chyba w ogóle go nie słuchała i miała szansę nigdy nie dowiedzieć się, co znaczą wilki.

– Interesuje cię ta rycina, Leto? To stara księga z Tarrentu, sprowadziłam ją, kiedy żył jeszcze mój małżonek.

Czarodziejka otworzyła oczy.

– To prawda, niewiele wiemy o Tarrencie – stwierdziła. – Wszystkie ich opowieści zostają po tamtej stronie gór.

– Ale tę legendę opowiedział mi stary, wędrowny uczony. Jest zresztą również zapisana w tej książce. – Hrabina pogłaskała stronicę starego woluminu. Valla zaczerwienił się po uszy. – To odmiana tarrenckiego eposu miłosnego.

– Chyba prześladują nas ostatnio ballady o miłości – mruknęła Leta, poprawiając poduszkę i sadowiąc się wyżej. – Cóż, opowiadaj.

– Nie zrobię tego tak pięknie, jak nasza Erian – zaczęła hrabina. Czarodziejka skrzywiła się. – Ale skoro sobie życzysz… Opowieść pochodzi zdaje się z czasów albo z miejsc, w których nie słyszeli jeszcze o Przysiędze Magów. Wielcy władcy mieli wtedy nadwornych czarodziejów, tak samo jak lekarzy, kapłanów i wróżbitów. Legenda mówi, że był kiedyś król, który władał ziemiami Erd na północy. Na jego dworze przebywała czarodziejka Eleyna, służąc mu radą i pomocą. Władca ten bardzo pragnął zdobyć wielką moc i zawładnąć wieżą pośrodku morza, w magicznym Miejscu na Krańcu Ziemi.

Leta parsknęła, ale nie przerwała opowieści.

– Niestety, tego samego pragnął jego rywal, król południowej ziemi Urken – ciągnęła Maria Serena. – Namówił on potężnego maga Artheniusa, aby do niego przybył. Niestety, zadanie było ponad siły obojga czarodziejów. Każde z nich

obiecało swemu władcy, że poświęci rok, aby udać się do Pustej Ziemi i zdobyć potrzebną moc i mądrość. Każde tego pragnęło, oddałoby wszystko za łyk wody ze źródła wiedzy.

Przybyli z przeciwnych stron do Środka Świata, miejsca otoczonego płomieniami. Ci, którzy nie byli wybrańcami, nie mogli do niego wejść, ale Artheniusowi i Eleynie to się udało. Spotkali się tam, spojrzeli na siebie i zapłonęli do siebie miłością. Nie wyjawili sobie jednak nic, tylko swoje prawdziwe imiona. Trwali tam, zaczarowani, wpatrując się w swoje oczy, łącząc usta i dotykając twarzy. Złożyli przysięgę, że już nic ich nie rozdzieli. Każde z nich miało jeszcze zadanie do wykonania, ale obiecali sobie, że gdy spełnią to, co powinni, odnajdą się i pozostaną ze sobą już na zawsze.

Rozeszli się w swoje strony, szukając mądrości. Pokonali wiele przeszkód i niebezpieczeństw. Jednak każde z nich musiało za wiedzę zapłacić swoją cenę. Eleyna spotkała trzy Prządki, unoszące się w powietrznym wirze. Powiedziały, że uczynią ją Panią Wiatru, jeśli odda im coś cennego, co do niej należy. Zgodziła się, więc odebrały jej wzrok. Ślepa wracała do swojego królestwa na skrzydłach wichrów, które były jej posłuszne. Miała potężną moc, lecz i ciężar w sercu. Udało jej się przywołać dwa kruki, które były odtąd jej oczami i dwa wilki, które strzegły jej kroków. Nie było to łatwe, bo ptaki widziały to, co było, jest i będzie, wskazywały drogi w krainie żywych i umarłych. Wilki szły przy jej nogach, ale czuła, jakby pożerały świat.

Arthenius wędrował jakiś czas w samotności, a potem również napotkał trzy Prządki, stojące po drugiej stronie ciemnego strumienia. Zaśmiały się, gdy poprosił o mądrość i moc. Kazały mu napić się mętnej wody ze źródła. Arthenius stał się Panem Ziemi, ale w zamian za to utracił część swojej pamięci. Zapomniał wszystko, co było w jego życiu dobre, w tym również Eleynę i przysięgi, które sobie składali. Wracał na południe pełen mroku, obaw, przerażenia i niechęci. Świat wokół niego ogarnęła ciemność.

Tymczasem królowie Erd i Urken zdążyli już rozpętać wojnę. Każdy z nich oskarżał drugiego o napaść na jego terytorium i żaden nie był daleki od prawdy. Gdy magowie powrócili, władcy zażądali od nich, by jak najszybciej wypełnili obietnicę i zdobyli dla nich Miejsce na Krańcu Ziemi. Arthenius i Eleyna wyruszyli, prowadząc oddziały bezlitosnych i dobrze wyszkolonych wojsk. Stoczyli krwawą bitwę. Wielu żołnierzy zginęło. A potem rozpętała się walka potężnych magicznych mocy. Eleyna uniosła się na skrzydłach wichru, osiadła na szczycie wieży i otoczyła ją potężnym huraganem. Arthenius sprawił, że ziemia rozwarła się przed nim, tworząc tunel pod morskim dnem. Czarodziej przeszedł nim pod samą wieżę i wspiął się do góry po schodach. Stanęli naprzeciwko siebie.

Eleyna nie widziała Artheniusa, a on jej nie rozpoznawał. Odezwał się do niej szyderczo, grożąc i wzywając do tego, by poddała się i uznała jego władzę. I wtedy rozpoznała jego głos. Kruki przyleciały, zatrzepotały skrzydłami i usiadły jej na ramionach. Wilki zatrzymały się przy stopach, obnażając kły. Oczami ptaków widziała inaczej, ale i tak poznała tego, którego pokochała. Była jednak zbyt dumna, by przypominać mu ich wzajemne przysięgi. Uznała, że zwiódł ją kłamliwymi obietnicami. Miłość w jej sercu stwardniała jak lód. Uniosła ramiona i wezwała wielki wicher.

Tymczasem on, choć nie pamiętał Eleyny, poczuł nagle drgnienie czułości i współczucia wobec tej wyniosłej, ślepej czarodziejki. W tamtej chwili miłość narodziła się w jego sercu po raz drugi. Pożałował swoich dumnych słów i przemówił do niej łagodnie, delikatnie, prosząc, by zechciała go wysłuchać. Tym razem to ona wzgardliwie odrzuciła jego prośby. Arthenius zaś zrozumiał, że gotów jest na wszystko, byle tylko zdobyć jej miłość. Wykrzyczał, że jeśli ona go pokocha, gotów jest oddać swoją magiczną moc. W tym momencie wróciła mu pamięć. Prządki odebrały swój dar.

Eleyna wahała się jeszcze przez chwilę, zanim uwierzyła Artheniusowi. O jedną chwilę za długo. Wicher, który lekkomyślnie wezwała, zmienił się w potężny huragan. Wzniecił wielką falę i gnał w ich stronę na jej grzbiecie, burząc wszystko po drodze. Czarodziejka wstrzymała wiatr, ale było już za późno. Żadne z nich nie miało mocy panowania nad wodą. Eleyna i Arthenius chwycili się za ręce i razem stanęli naprzeciw fali, która zmiotła z powierzchni ziemi magiczną wieżę i na zawsze pokryła wodą Miejsce na Krańcu Ziemi. Nikt już nigdy nie zdołał go odnaleźć.

− Ładna opowieść – stwierdził nieco protekcjonalnie Valla. – Nie dotarłem do niej jeszcze, studiując tę księgę. Powiadasz, pani, że jest tu zapisana?

Hrabina skinęła głową.

− Chętnie ją skopiuję i poszukam jej źródeł. Ja również jestem zbieraczem i badaczem opowieści. – Dumnie wypiął chudą pierś.

Leta milczała, wpatrując się w ilustrację. Maria Serena również milczała. Diament nad czołem czarodziejki migotał niepokojąco.

− Ciekawi mnie pochodzenie nordyjskich elementów tej legendy – zaczął znów Agostino.

− Masz rację – przerwała mu zmęczonym głosem Leta. – To tarrencka opowieść zdradzająca nordyjskie wpływy. Ale jestem prawie pewna, że wiem, gdzie leży Miejsce na Krańcu Ziemi. To obecnie Emain Avallach.

− Pani, przecież ta opowieść to oczywista fikcja – zaperzył się uczony. – Żaden z jej elementów nie jest prawdziwy.

− Mylisz się. – Czarodziejka poprawiła się na poduszkach i wąską dłonią odgarnęła srebrne włosy z twarzy. – Być może źródło tej legendy nie tkwi w naszym świecie, ale na pewno nie jest ona tylko folklorystyczną ciekawostką. Ta opowieść, w przeciwieństwie do balladek wyśpiewywanych przez śliczną Erian, jest przynajmniej w jakimś odmiennym sensie prawdziwa.

− Więc Emain leży nad zatopioną wieżą? – zapytała Maria Serena. Pamiętała jeszcze pobyt w zamku magów, dziwne wibracje jego ścian, niepokojące lśnienie morza. Przebywała tam jako młoda dziewczyna, ale przez wszystkie minione lata nosiła ten obraz w sobie, świadoma, że ją ukształtował, że nadawał kierunek jej myślom i czynom.

− Niezupełnie – odpowiedziała Leta. – W pobliżu zatopionej wieży. Ona rzeczywiście zniknęła z powierzchni ziemi. Przez długie stulecia nikt nie osiedlał się na tamtym brzegu. W końcu morze wymyło cypel, tworząc wąziutką groblę, półwysep, na którego końcu leży teraz zamek Emain. Nie przypadkiem założono go właśnie tam. To biegun świata. Tak jak drugim biegunem jest Pusta Ziemia.

Valla się wzdrygnął. Znał wiele opowieści o krainie, którą zamieszkiwali bogowie i płomiennookie demony. W swoich wędrówkach dotarł kiedyś prawie na jej skraj, ale uczucia, jakiego wtedy doznał, nie potrafił odtworzyć. Z jednej strony naprzód gnała go nieuleczalna ciekawość, z drugiej powstrzymywała jakaś nieuchwytna groza. Entuzjastycznie przyłączył się do wyprawy, bo wszystko, co wiązało się z Letą Therrus – począwszy od uzdrowienia go z oparów alkoholowego zamroczenia poprzez wiedzę, magię i niepokojące piękno – silnie go pociągało. Z drugiej strony łudził się, że czeka go tylko coś w rodzaju turystycznej wycieczki do Xanty. Taka – rzeczywiście zamierzona – podróż edukacyjna. Jednak najpierw napaść zbójców, a teraz skutki niewinnych, zdawałoby się, odkryć w bibliotece zamku Tanis powoli rozmywały w nim tę pewność.

Czarodziejka potarła skroń.

− Na rycinie jest jeden element, którego nie było w twojej opowieści, Sereno – powiedziała. – Mewa. Czy legenda o niej wspomina?

− Nic o tym nie wiem. – Hrabina przyjrzała się ilustracji, mrużąc niedowidzące oczy. – O ile pamięć mnie nie myli, ani to, co zapisano w księdze, ani opowieść przekazana mi przez wędrownego uczonego nie zawierają żadnej wzmianki o mewie. Może to tylko dodatek ilustratora. Kopiści i iluminatorzy mają niekiedy bujną wyobraźnię.

− W tym przypadku nie sądzę. – Czarodziejka sięgnęła znów po puchar, do którego wpuściła poprzednio dwie krople zielonego płynu. Zamieszała lekko, po czym wychyliła resztę wina jednym długim łykiem. – Ja tę mewę widzę – powiedziała nieswoim głosem.

Opadła na poduszki, wygięła się i wykrzywiła jak w epileptycznym ataku. Puchar wyleciał jej z dłoni i brzęknął o posadzkę. Valla i pani zamku Tanis obserwowali ją w przerażeniu. Ciało Lety najpierw konwulsyjnie drżało, a potem opadło na poduszki i zastygło. Z półotwartych ust ledwie wydobywał się oddech. Agostino jęknął i pochylił się nad nią. Jednak kiedy chciał sprawdzić tętno na szyi, czarodziejka otworzyła oczy i przytomnym głosem poprosiła o kubek wody. Wypiła go chciwie, po czym opadła na poduszki i zapadła w mocny sen. Oddychała równo, głęboko, spokojnie, od czasu do czasu tylko szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa. Maria Serena i Agostino Valla przesiedzieli przy niej całą noc.

*

− Czarodziejka staje się zbyt potężna – powiedziała Pierwsza Prządka.

− Zaprzeczam. Nie potrafi zawładnąć Opowieścią – odrzekła Druga.

− Ale z Obserwatorów powoli stajemy się Obserwowanymi. To nieprzyjemne – zauważyła Trzecia.

− Obserwowanie zaczyna sprawiać, że Opowieść się rozrasta – zaniepokoiła się Pierwsza.

− Nie potrafię Zaprzeczyć. Rola Przeciwnika staje się trudna – powiedziała Druga.

− Wszystkie Zaprzeczamy cały czas. I również cały czas Potwierdzamy. Opowieść wciąga nas, oplątuje siecią, wsysa w odnogi Kłącza – podsumowała Trzecia.

− Nie ma powodu do niepokoju. Taka jest natura Opowieści – powiedziała Pierwsza Prządka.

− Więc to było wiadome, że Obserwowanie nie stanowi procesu metatekstowego, lecz włącza się w ciąg narracji? Wiedziałyśmy o tym cały czas? – zdziwiła się Druga.

− Tak. Musimy się na to zgodzić. Wymaga tego Przędza Opowieści – powiedziała Trzecia.

− A co z czarodziejem i czarodziejką? – zapytała Pierwsza. – Zdołają spleść z powrotem swoje światy?

− Będą próbować, ale za to płaci się cenę – powiedziała druga. – Opowieści nie przebaczają. Jeśli znaleźli się w trybach Narracji, wir porwał ich i umieścił tam, gdzie są. Na oślep wybierają swoje ścieżki. Dążą naprzód jak mewy pod wiatr.

− Opowieść trwa wiecznie – stwierdziła Trzecia – ale poszczególne Opowieści się kończą. Ich Opowieść też w końcu napotka swój koniec.

− Obserwujmy dalej – powiedziała Pierwsza.

− Obserwowanie obiektów rozgałęzionych jest trudne, ale my nie znamy zmęczenia – dodała Druga.

− Zwolennik, Przeciwnik i Mediator to tylko punkty widzenia na krawędzi Opowieści – podsumowała Trzecia.

*

Nie odezwał się, kiedy go wprowadzili i zamknęli za nim okute drzwi. Nie jęknął. Nie opadł na pryczę. Pochylił się tylko nisko, prawie zgiął wpół. Ręce znów miał przywiązane do tułowia rzemieniem nabijanym okruchami gwiezdnego żelaza.

Mitria podeszła i delikatnie rozplątała węzeł. Trwało to dłuższą chwilę. Był mocno zaciśnięty. Zauważyła rozciętą wargę Justina i siniec pod okiem. Drugi, wielki, na przedramieniu. Palce lewej dłoni zostały zmiażdżone ciężkim wojskowym butem. Spuściła wzrok.

Usiadł na pryczy, zaciskając zęby.

− Już jestem trupem – powiedział. – Za parę dni spłonę na stosie jako tarrencki szpieg. – Splunął krwią.

Mitria milczała.

− A ponieważ i tak mam umrzeć, więc nie krępowali się zbytnio. Sporo się dowiedziałem. – Uśmiechnął się cynicznie. – Trzymają nas razem, bo nie mają tyle gwiezdnego żelaza, żeby przygotować cele dla trójki czarodziejów. Umieścili nabijane metalem sieci na zewnątrz tych ścian. Dopóki siedzimy tutaj, nie możemy używać mocy. Gdy stąd wychodzimy, krępują nas tym – wskazał na rzemień. – Powinni byli to stąd zabrać, kiedy mnie odprowadzili, ale zbyt się boją magii. I chyba nie bardzo wiedzą, co zrobić z tobą i z nim. – Wskazał na nieprzytomnego Jardala.

− Kto? – Mitria podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Kto to jest?

Justin wzruszył ramionami. I syknął.

− Jakiś najemny zbir, którego nigdy w życiu nie spotkałem. Nie mam pojęcia, dlaczego uwziął się wieszać urojonych tarrenckich szpiegów, ale przeczucie mówi mi, że przedstawienie z kapłanem i szubienicą w Verit to również jego sprawka. A przynajmniej tej samej bandy.

Czarodziejka przemierzyła celę kilka razy w obie strony. Prawie zderzyła się ze ścianą.

− Wyjdziemy z tego – powiedziała stanowczo, zatrzymując się. – Coś wymyślimy. Nie pozwolę, żebyś przypłacił życiem to, że pojechałeś ze mną.

Justin zaśmiał się krótko.

− Byłbym za tym – powiedział – bo bardzo, ale to bardzo nie chce mi się umierać. Ale, wybacz mi, na razie nie widzę szans. Oni są naprawdę piekielnie

skuteczni. Pomóc mogłaby nam w tej chwili jedynie magia, a tego cudownego remedium jesteśmy w tej chwili pozbawieni.

− Wydostaniemy się stąd. – Podniosła nabijany gwiezdnym żelazem rzemień. – Sam powiedziałeś, że nie powinni byli tego zostawiać…

*

Siedzieli w mroku, odkąd zaszło słońce. Odrobina księżycowego światła przedostawała się przez małe, zakratowane okienko.

− Mitrio – odezwał się Justin.

− Tak?

− Kto wie, może jutro mnie zabiją. – Poruszył się, zachrzęściła słoma. – W Tarrencie jest zwyczaj, że gdy ktoś wypadnie z łask cesarza, nie czeka, aż przyjdą po niego siepacze. Zaprasza przyjaciół i urządza pożegnalną ucztę. Wzywa śpiewaków i tancerki, zastawia obficie stoły, nie szczędzi wina. A o świcie, gdy biesiada dobiegnie końca, słudzy napełniają wannę gorącą wodą, a on wchodzi do niej i srebrnym nożykiem podcina sobie żyły.

Mitria wzdrygnęła się.

– Nie chcę umierać, ale chyba nikt mnie nie będzie pytał o zdanie – ciągnął Justin. Siedział na pryczy oparty o ścianę. W księżycowym świetle jego profil rysował się ostro. – Nie chciałbym odchodzić, nie opowiedziawszy nikomu mojej historii. Nie zostawiając po sobie nic, nawet słów. Gdybym miał wybór, chciałbym odejść w wielkim stylu, jak prawdziwy tarrencki arystokrata. Dlatego zapraszam cię na moją pożegnalną biesiadę. Gdybym mógł, napełniłbym kielichy dobrym, lekkim winem z południowych zboczy Serratu, poczęstowałbym cię orzechowymi ciastkami, które potrafią wypiekać tylko cesarscy cukiernicy. Ale mamy tylko wodę, suchy chleb i stary ser.

− Nie żegnasz się, Justinie. – Mitria przełknęła ślinę.

− Może nie zginę. Ale, przyznasz sama, nie można tego wykluczyć. Zrób to dla mnie, proszę. Przyjmij kubek wody, kawałek chleba z serem i parę słów prawdy.

Usłyszał, jak zachrzęściła słoma na jej posłaniu. Kilka kroków, odgłos podnoszonego dzbana. Po chwili poczuł, jak usadowiła się obok niego i wsunęła mu w rękę kubek. Stuknęli się w milczeniu, wznosząc niewypowiedziany toast. Justin wychylił parę łyków wody. Miała metaliczny smak.

− Naprawdę… − zaczął.

− Jeśli – weszła mu w słowo – jeśli przeżyjesz, a taką mam nadzieję… Nie chcę, żebyś żałował, że to opowiedziałeś.

− Nie będę. Już czas, żeby zostało opowiedziane.

Napłynęły chmury i księżyc zastąpiła srebrzysta ciemność. W małej celi zapanował niemal całkowity mrok.

− To paradoks, Mitrio – zabrzmiał głos Justina – ale ja jestem kimś w rodzaju tarrenckiego szpiega. – Zaśmiał się cicho. – Nie tak, jak oni – kimkolwiek są – to rozumieją. Nie w ten prostacki, z ludowych bajd wzięty sposób. I nie po stronie cesarza. Przeciwnie. Gdyby cesarz dostał mnie w swoje lepkie ręce, czekałaby mnie długa, powolna i bolesna śmierć. Jeśli porównać z tą perspektywą mój obecny los, i tak mogę uważać się za szczęściarza. Są też w Tarrencie inni, którzy być może wynieśliby mnie na równie fałszywy piedestał jako urojonego bohatera. A tak naprawdę jestem tylko sentymentalnym durniem.

− Więc o tym chcesz mi opowiedzieć? O spisku na cesarskim dworze?

− Na bogów, nie! Żadnych władców, królestw, stronnictw, obalania tronów i tym podobnych głupot. Uciekłem od tego wszystkiego, bo chciałem być magiem. Miałem talent, a w Tarrencie rozwijanie go było niemożliwe. Większość tamtejszych uczonych nienawidzi magii, a niektórzy zaprzeczają nawet istnieniu Emain Avallach. Ale nie o tym miałem mówić. Chcę ci opowiedzieć tylko o Niej. Pragnę, żeby nie całkiem odeszła. Żeby pozostał choć najmniejszy jej ślad. Chcę, zanim odejdę, wystawić jej pomnik ze słów. Bo to dzięki Niej zapragnąłem stać się kimś więcej, zacząłem się uczyć, a potem zakochałem się w wiedzy.

Oparł się wygodniej o ścianę. A potem zaczął mówić zupełnie innym tonem. Powolnym, rozlewnym nurtem opowieści. Mitria zacisnęła dłoń na glinianym kubku pełnym wody. Był wilgotny, chłodny i rzeczywisty. Głos Justina brzmiał w mroku cicho, ale głęboko i dźwięcznie.

− Ona była kuzynką cesarza, a ja młodym i naiwnym dworzaninem. Pierwszy raz ujrzałem ją w ogrodzie, przy fontannie. Stała obok figury trytona, odziana w czerwoną suknię z jedwabiu, i spoglądała w toń na tłuste, obojętne karpie. Sama też wydawała się obojętna i w każdym calu doskonała. Miała małe, kapryśne usteczka, długie, złote włosy i lazurowe oczy. Nie dostrzegła mnie, ale w jednej chwili zawładnęła moim życiem. Postanowiłem stać się jej godny, nawet jeśli miałaby nigdy nie zwrócić na mnie uwagi. Studiowałem po nocach, a nad ranem pisałem sonety, w których upamiętniałem moją miłosną mękę. Nie jadłem, nie spałem. Wyglądałem jak cień. Chodziłem do biblioteki i rozczytywałem się w dziełach opisujących wszystkie stadia miłosnej choroby. Pewnej nocy w przypływie rozpaczy cisnąłem wszystkie swoje wiersze w ogień. Postanowiłem nie pisać o Niej więcej, dopóki nie osiągnę takiej wiedzy, która pozwoliłaby mi ułożyć gigantyczny poemat, powiedzieć o Niej to, czego nigdy jeszcze nie powiedziano o żadnej śmiertelnej. Zdaje się również, że solidnie się wtedy upiłem starym winem.

We dnie chodziłem po ogrodach, tropiąc ślady jej stóp, delikatne znaki na piasku. Wieczory spędzałem w bibliotece, studiując pilnie, by zrealizować mój wielki zamiar. Nocami przewracałem się w łożu, nadaremnie próbując przywołać wspomnienie grymasu jej ust, zmarszczenia brwi. Starożytni uczeni mieli rację: miłość to groźna choroba. Dotknięty nią blednie, zaniedbuje przyjmowanie posiłków i sen, wzdycha, cierpi i wszystkie myśli poświęca przedmiotowi swej namiętności. Wiedziałem, że zachorowałem, ale za żadne skarby nie chciałem wyzdrowieć. I to, o paradoksie, zgadzało się z diagnozą. Ale żyłem wtedy samymi paradoksami. Chłodzącym ogniem, zimnym popiołem, milczącym krzykiem, martwym życiem jej jedynego spojrzenia. Za dnia wybierałem ścieżki, na których mogłem ją przypadkowo spotkać. Kłaniałem się jej uniżenie, z daleka. Kiedy odwzajemniła ukłon, trwałem w zachwyceniu. Gdy się uśmiechnęła, byłem szczęśliwy przez cały dzień. Nie pragnąłem więcej, tylko dostrzec w jej oczach cień sprzyjającej łaski. Jak się z tego wyleczyć, wielce uczeni starcy zapomnieli powiedzieć. Domyślasz się, gdzie miałem remedia typu zimne kąpiele, chłosty, puszczanie krwi i picie osłabiających ziółek.

A potem, pewnego dnia, stał się cud. Odezwała się do mnie. Uprzejmie odpowiedziała na moje pozdrowienie. Przyjęła różę, którą jej ofiarowałem. Rozmawiałem z nią. Pytała, a ja odpowiadałem, płoniąc się jak żak i bredząc jak człowiek niespełna rozumu. A potem każdego dnia błądziłem po ogrodzie, oczekując jej. Przychodziła w południe, czasem trochę później, czasem wcześniej. Siadaliśmy w oplecionej pnącymi różami altanie i rozmawialiśmy o poezji, muzyce, sztuce, gwiazdozbiorach. Była uprzejma i wykształcona, a jednocześnie stanowcza i władcza. Jej sąd o każdej sprawie wydawał się ostatecznie ukształtowany i niezmienny. Trzeba przyznać, że rzadko się jej sprzeciwiałem. Przedmiot rozmowy nie był dla mnie ważny.

Pewnego dnia, odchodząc, wsunęła mi w rękę niewielką kartkę. Możesz się domyślić, że trafiłem nocą do jej komnaty, błądząc we śnie jak odurzony narkotykiem, ciężko skretyniały somnambulik. Te noce przy jasnych i ciemnych księżycach, na miękkim łożu, podczas których z ust do ust przelewaliśmy nasze błądzące dusze, do dziś odwiedzam we śnie. Niech opadnie na nie pajęczy woal milczenia, bo nie potrafię o nich mówić. Nie teraz, nie dziś. Nie przed śmiercią ani nie w oczekiwaniu życia. Nigdy.

Justin milczał przez chwilę z głową opartą o kamienną ścianę, z zamkniętymi oczami, z zaciśniętymi ustami. Mitria zamykała dłonie na glinianym kubku, zimnym, wydzielającym porami krople wody.

− We dnie wykonywałem jej polecenia – podjął znów. – Przekazywałem tajemne znaki. Dostarczałem informacje. Przenosiłem listy. Po jakimś czasie zorientowałem się, że jeśli to nawet nie Ona stoi na czele spisku zmierzającego

do obalenia cesarza, to w każdym razie jest w niego poważnie wplątana. Mimo mojej miłosnej choroby miałem jeszcze dość rozumu, by zorientować się, w czym rzecz. Po miesiącu udawania biernego narzędzia znałem już wszystkich przywódców spisku i sposoby działania każdej jego gałęzi. Zgadzałem się z nimi. Z żarliwością neofity uwierzyłem, że obalenie cesarza może zaowocować zmianą tyranii w ustrój gwarantujący powszechne szczęście i dobrobyt wszystkich stanów, a tym samym każdego obywatela.

Już kończę, Mitrio. To tylko o Niej chciałem opowiadać, choć tamta opowieść też pewnie by cię zainteresowała. Wy tutaj, na Południu, szczególnie interesujecie się wszystkim, co pochodzi z Tarrentu. Nie myśl, że tego nie zauważyłem.

Krótko mówiąc, nasz spisek został wykryty. Ale nic nie stało się tak, jak moglibyście się spodziewać wy, mieszkańcy Wolnych Miast. Żadnych pokazowych procesów, żadnych widowiskowych egzekucji. Zamiast tego wiele zniknięć i kilka tajemniczych śmierci. Ani słowa o tym, że jakiekolwiek sprzysiężenie w ogóle istniało.

Gdy Pierwszy Wezyr zginął od zatrutego owocu, zrozumiałem, że nas wykryto. Biegłem do jej komnaty w biały dzień, przez ogród pełen róż, mijając fontanny w kształcie fantastycznych zwierząt, marmurowe ganki, odkryte kolumnady, białe schody, puste tarasy. Znalazłem ją na posadzce. Wokół szyi miała czerwoną, siniejącą pręgę. Nie uduszono jej pospolitym sznurem, lecz jedwabną szarfą. Wyrafinowana, kurewsko cesarska śmierć. Gdy ją uniosłem, wyczułem resztki oddechu, ulatujące z jej ust.

Miała na imię Iris.

I nigdy, przenigdy nie dowiedziałem się, czy byłem dla Niej czymś więcej niż tylko posłusznym narzędziem.

Justin uniósł w dłoni kubek wody, wznosząc toast. Brzegi glinianych naczyń stuknęły o siebie. Wypili w milczeniu.

− Ten kuferek, który cały czas nosiłeś przy sobie… − zaczęła Mitria.

− Zawierał wszystkie listy, które znalazłem wtedy w jej biurku, a także każdy skrawek papieru, jaki kiedykolwiek mi przekazała – odpowiedział. – Było tam kilka brudnopisów i trochę niewysłanej korespondencji. Listy do arystokratów i nadwornych urzędników różnego szczebla. Niektóre chłodne i rzeczowe, inne kokieteryjne. Dwa bezwstydnie perwersyjne, jeden miłosny, w tkliwie sentymentalnym stylu. Każdego umiała podejść. Każdemu ofiarowywała dokładnie to, czego oczekiwał i pragnął. Była mistrzynią. Oplotła cesarski tron tak misterną siecią, że wystarczyło jedno pociągnięcie za sznurek i wszystko by runęło. Zabrakło może jednego dnia.

− Wybacz, że spytam, ale… czemu tego nie zniszczyłeś?

− Nie wiem. Może z beznadziejnie głupiej potrzeby zrozumienia. Gdy wreszcie wypuściłem z objęć jej ciało, po prostu wygarnąłem wszystko z tajemnej skrytki w sekreterze. Wiedziałem, gdzie szukać, bo wielokrotnie ją przy mnie otwierała. A potem wyszedłem z komnaty, spokojnym krokiem udałem się do stajni, osiodłałem konia i pojechałem przed siebie. Byłem jakby martwy w środku, chyba stąd wziął się w tamtej chwili mój spokój. Wtedy było mi wszystko jedno, czy przeżyję, czy też dopadną mnie, kiedy tylko przekroczę mury cesarskiego miasta. Od kiedy uciekłem z Tarrentu, czytałem te listy w kółko. Każdego dnia. Prawie do granicy obłędu.

− Mogłeś stanąć za to w Kręgu.

Parsknął i pokręcił głową.

− Mało prawdopodobne. Przeszłość jest przeszłością, jak mówią budowniczowie kamiennych kalendarzy. To działo się, zanim przybyłem od Emain i zacząłem studiować magię. Ale w Cesarstwie byłbym trupem bądź bohaterem, w zależności od punktu widzenia. Wiem, że wciąż żyją ci, którzy chętnie zobaczyliby spływający krwią cesarski tron. Ale to w tej chwili naprawdę jest najmniejszym z moich zmartwień. Gorzej, że teraz…

− Szkatułka dostała się w ręce tych tajemniczych zbirów, którzy nas tu uwięzili.

− Tak.

− Nie mają prawa. – Mitria potarła dłonią czoło. – Nie mają prawa sądzić cię za coś, co ich nie dotyczy. Co ja mówię. W ogóle nie mają prawa cię sądzić.

− Nie będą się tym przejmowali. Widziałaś radnych miasta Verit. – Uśmiechnął się smutno.

Mitria widziała. I naprawdę bardzo, bardzo nie chciała oglądać znów.

− Te listy to żaden dowód – powiedziała cicho. – Wręcz przeciwnie. Jeśli czegoś dowodzą, to tego, że jesteś obecnie w Tarrencie wrogiem numer jeden. Ale masz rację. Oni nie będą się tym przejmowali. Do powieszenia Janto wystarczyły im jego jasne włosy i fakt, że nikt go w mieście nie znał, a przynajmniej nie przypomniał sobie.

Potarła ramiona, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

− Taką cię wolę. – Uśmiechnął się. – Prawda jest lepsza od zapewnień i pocieszeń. Jeśli mi wolno, pragnę wyrazić wdzięczność, że poświęciłaś mi ten wieczór. Zawsze chciałem… jeżeli już muszę zejść z tego świata… zrobić to tak jak prawdziwy tarrencki arystokrata. Z pożegnalną ucztą, pieśniami i w odpowiednio elegijnym nastroju.

Usłyszał chrzęst słomy, gdy zsuwała się z jego posłania. W ciemności podeszła do Jardala. Ułożyła się wzdłuż jego nieruchomego ciała. Dotknęła ramienia. Wsłuchała się w płytki oddech.

− Tutaj nie możesz podtrzymywać jego życia − rozległ się cichy głos Justina. Bardziej stwierdzenie, niż pytanie. – Ta blokada działa.

− Nie mogę. Mogę tylko wlewać mu w usta odrobinę wody i karmić okruchami chleba, którymi prawie się dławi. Nie wiem, jak długo… zanim się podda.

Poruszenie. Chrzęst słomy.

− Mitrio, ty… wiesz, co z nim jest, prawda?

Chwila ciszy.

− Wiem.

− Powiesz mi?

Milczenie.

Justin podniósł się i wysikał do stojącego w kącie celi cebrzyka.

− Niedługo będzie świtać – zauważył.

Mitria przyłożyła usta do nieruchomych, lodowatych warg Jardala. Wdmuchnęła w nie odrobinę ciepłego oddechu. Nic się nie stało. Zwinęła się w kłębek jak kot i ułożyła z głową na jego piersi. Gdyby ktoś mógł to obserwować w ciemności, widziałby, jak rude włosy rozsypały się po jego ramionach. Żebra nie unosiły się najmniejszym nawet oddechem. Ten ktoś zobaczyłby, jak czarodziejka przykłada dłoń do jego dłoni, dokładnie, palec po palcu. A potem nie dzieje się nic.

Zachrzęściła słoma. Justin położył się na pryczy i podłożył ręce pod głowę.

− Jak ty się naprawdę nazywasz? Bo zakładam, że Justin Fern to nie jest twoje prawdziwe nazwisko – odezwała się Mitria z drugiego końca celi.

Zaśmiał się cicho.

− Justinian Bonifacius Theodoros Frenetius.

*

Potwór miał szarozieloną, pomarszczoną skórę, łysą czaszkę, długie, połamane pazury i ostre zębiska. Siedział na brzegu tratwy, skurczony niczym nieduży gnom. Tylko zielone, złe i smutne oczy w jego obwisłej twarzy przypominały Lys. Patrzyły na czarodzieja z wyrzutem, nienawiścią i nieokreśloną tęsknotą.

Jardal co jakiś czas oglądał się przez ramię. Najchętniej nie spuszczałby potwora z oczu, ale sterowanie tratwą nie pozwalało na to. Czuł się dziwnie nieswojo i był zmęczony, choć jednocześnie czerpał siły nie wiadomo skąd. Odnosił wrażenie, że mógłby sterować w nieskończoność. Góry tkwiły wciąż w oddali, błękitne i mgliste. Rzeka wiła się poprzez dżunglę, która anektowała jej brzegi za pomocą przegniłych, obrośniętych pni i poplątanego gąszczu lian. Tratwa co jakiś czas wpadała w wir, mijała zakole lub uderzała w tkwiący na płyciźnie kamień.

Nie potrafił określić upływu czasu. Nie było słońca, księżyca ani gwiazd, nocy i dnia. Cały czas panowało to jednostajne, przyćmione światło, sugerujące wczesny wieczór albo późny poranek. Płynęli.

Najpierw były komary, ogromne jak flamingi, atakujące ze wszystkich stron. Odruchowo bronił się żerdzią. Dłoń sama złożyła się w gest magicznego zaklęcia, które nie zadziałało. Poczuł kilka bolesnych ukłuć, jakby nóż przecinał mu ramię. Lys wrzeszczała, oganiając się bezładnie. A potem sobie przypomniał. Opuścił żerdź, oczyścił umysł, skupił się na sterowaniu tratwą. Komary zniknęły nagle i bez najmniejszego dźwięku.

Potem były trupy. Nabrzmiałe, zielone, oplątane wodorostami. Tratwa uderzała w nie z paskudnym chlupotem. Obracały ku niemu swoje opuchnięte twarze z pustymi oczodołami, opadnięte szczęki, nabrzmiałe języki. Szorowały wygniłymi ciałami pod dnem. Skupił się na oczyszczeniu umysłu. W końcu zamknął oczy. Na długo. Tratwa uderzała w coś, ale nie zwracał na to uwagi. Walczył. Przywoływał obrazy, których pochodzenia nie był w stanie sobie uzmysłowić. Jakaś przestrzeń. Drewniana podłoga, schody, półki pełne ksiąg. Okno. Nic więcej. Próbował wmyślić się w tę przestrzeń, przenieść się tam. Odeszła miękko, stając się tylko niewyraźnym, świetlistym konturem pod powiekami. Otworzył oczy. Wizja topielców zniknęła. Znów miał przed sobą tylko rzekę, dżunglę i odległe góry.

Przez długi czas panował spokój. Jardal wiedział, że radość z tego powodu byłaby naiwna i przedwczesna. A potem się odwrócił. Zamiast Lys siedziała za nim starucha z obwisłą wargą, z ciemnymi obwódkami wokół oczu, z resztkami włosów zwisającymi z niemal łysej czaszki, odziana w czarną, brudną i zawszoną szatę. Nieco później starucha zmieniła się w zielonego, szponiastego potwora. Tylko oczy pozostawały cały czas takie same, zielone i złe. Jardal czuł na plecach oddech ohydnego stworzenia. Bał się spoglądać do tyłu i jednocześnie bał się tego nie robić – nie wiedząc, w co jeszcze przepoczwarzy się ta istota.

Zaczął wątpić w sens podążania w stronę gór. Jak wszystko w tym miejscu, nie były prawdziwe. Wybrał je, bo były jedynym możliwym punktem, do którego można było zmierzać. A on potrzebował nadać sobie jakiś kierunek. Jakikolwiek. Miał przeczucie, że mózg pozbawiony zajęcia zaatakowałby go koszmarami szybciej i skuteczniej. Musiał coś robić, dokądś zmierzać. Dokądkolwiek. Czuł tylko, że nie może przenieść się do innego świata. Nie wiedział dlaczego i ta niewiedza niepokoiła go. Była jednak jedynym, co miał, więc trzymał się jej jak rozbitek pojedynczej deski.

Zaczął wątpić. Góry rozmyły się, spłaszczyły, zbladły, zmieniły się w pojedynczą kreskę na horyzoncie. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden krzyk. Dżungla zniknęła, niczym wessana przez gigantyczny powietrzny

wir. Tratwa płynęła w powietrzu przez zupełną pustkę, totalną, pozbawioną barw nieobecność wszystkiego. A potem nicość przeszła gładko w ciemne niebo poznaczone pojedynczymi kropkami gwiazd. Płynęli poprzez przestrzeń, mając pod sobą i nad sobą pustkę i czerń.

− Umysł nie znosi próżni – rozległ się chrapliwy głos potwora za jego plecami. Jardal obejrzał się. Coś falowało, zmieniało się. Brudna, ohydna starucha. Zielonoskóry potwór. Ziejąca czerń. Migotanie. Coś, z czego znów wyłania się to samo goblinowate stworzenie.

− A ty, Lys? – zapytał. – Czemu cię nie ma? Ja jestem. Mam na sobie wciąż to samo ubranie. Spodnie i koszulę.

Zamigotało. Starucha zarechotała szyderczo i znów zmieniła się w potwora.

− A skąd wiesz, że w ogóle istnieję? – zaskrzeczała. – W końcu to twój Międzyświat. Może stworzyłeś sobie mnie tak samo jak wszystkie te rzeczy wokół siebie?

− Nieprawda.

− Od zaprzeczania ci się nie poprawi. – Głos utonął w skrzekliwym, jadowitym śmiechu.

Jardal zaprzestał prób skupienia wzroku na czymś, co na jego oczach przekształcało się w kolejne formy. Zamiast tego wpatrzył się w gwiazdy. Żeglowali pośród nich spokojnie, przemierzając ocean wielkiej ciemności.

*

Verena Haage uniosła się na łóżku i wierzchem dłoni otarła krew z popękanych ust. Zamknęła oczy, co nie uczyniło żadnej różnicy, bo w sypialni Haakona i tak panowała ciemność. Brak możliwości widzenia wyostrzał inne zmysły. Czuła wilgotną woń drewnianych ścian i ostry zapach okrywających łóżko futer. A także, co było nieznośnie upokarzające, smród własnych ekskrementów z wiadra obok łóżka, który skutecznie maskował zaduch przepoconej koszuli. Słyszała ciche brzęczenie łańcucha, wciąż przykuwającego ją do ściany. Drugiej nocy spróbowała udusić nim Adelarda. Nie udało się, za to dawny kochanek pobił ją i ciasno skrępował rzemieniami. Łańcuch skrócił tak, że teraz prawie nie mogła poruszać rozciągniętymi na boki rękami. Zresztą zaczęła unikać poruszania się. Za bardzo bolało.

Czasu na rozmyślania miała aż za dużo. Poza krótkimi chwilami, kiedy któryś z nich przychodził, leżała sama w ciemności. Każdy z nich odwiedzał ją raz dziennie. Przynosili kopcące pochodnie i osadzali je we wbitych w ścianę obejmach. Początkowo Verena krzyczała, rzucała się, drapała, kopała i próbowała każdego innego rodzaju bezskutecznej obrony. Adelard zwykle łapał ją za gardło i wciskał w poduszki. Twarz miał obojętną, tylko gdy kończył, jego usta

wykrzywiały się, a na skórze pojawiały kropelki potu. Potem schodził z niej, dopinał spodnie i metodycznie poprawiał łańcuchy. Na wyzwiska i klątwy nie reagował. Co innego Haakon. Jego uniesiona górna warga odsłaniała w grymasie okrucieństwa ostre jak u wilka zęby. Oczy błyszczały radością. Objawy nienawiści czarodziejki wydawały się sprawiać mu dodatkową rozkosz.

Karmili ją dwa razy dziennie, poluzowując łańcuch na tyle, żeby mogła usiąść na łóżku, zjeść kawałek chleba i mięsa, wypić kubek wody albo słabego piwa. Próbowała odmawiać jedzenia, ale nie dała rady. Skręcało ją z głodu. Z poczuciem głębokiego upokorzenia wsuwała do ust kawałki pożywienia i połykała je szybko, łapczywie. Po każdym takim posiłku zbierało ją na wymioty. Tym bardziej, że któryś z nich zawsze stał i obserwował.

Zrozumiała wreszcie, po wielu godzinach rozmyślania w ciemnościach, doznawania bólu, ciężaru kajdanów, głodu, wściekłości i upokorzenia. Celowo trzymali ją w warunkach, które mogły spowodować szybki rozpad osobowości. Sycili się nie tylko energią seksualną, ale również jej odrazą, przerażeniem i wszystkim, co odczuwała. Ani na chwilę nie zdejmowali jej obręczy z gwiezdnego żelaza, żeby ona sama nie mogła korzystać z mocy wyzwolonej w ten sposób. Im więcej było w niej buntu i nienawiści, tym skuteczniej oni osiągali swój cel.

Verena była kiedyś uczennicą Lety Therrus. Przypomniała sobie ze wstydem, jak bardzo wtedy, gdy jeszcze biegała po korytarzach Emain jako młoda adeptka w białej sukience, lekceważyła tamte lekcje. Z radością chodziła na zajęcia Odona Treveliusa, który uczył prawdziwej, czynnej magii, przekształcania rzeczy w inne rzeczy. Trochę mniej chętnie uczęszczała na perypatetyki i dysputy do Aurelianusa z Xanty. Filozofia wszechświata nie pociągała za bardzo młodej Vereny, która chciała przede wszystkim mieć władzę nad rzeczywistością. Zupełnie natomiast nie pociągały jej zajęcia Lety, która uczyła kontroli nad umysłem, kontaktu z ożywioną i nieożywioną materią, rozpoznawania i wykorzystywania emocji. Musiała chodzić na te lekcje, jeśli chciała stanąć w Kręgu, przejść Test, dotknąć Glinianej Pieczęci, złożyć Przysięgę i otrzymać szary (okropny) płaszcz. Siedziała jednak na nich bardzo często zamyślona i zupełnie zdekoncentrowana. Wydawało jej się, że to, czego uczy Leta, to rzeczy tak banalne i oczywiste, że w ich przyswojenie nie trzeba wkładać aż tak wielkiego wysiłku.

Teraz, leżąc w ciemności i smrodzie, sztywna z przerażenia i spuchnięta od łez, przypomniała sobie nauki Lety. Napięła całe ciało, a potem gwałtownie je rozluźniła. Spróbowała wysondować przestrzeń wokół, ale nie była do tego zdolna. Czuła się tak, jakby pozbawiono ją jakiegoś ważnego zmysłu, wzroku czy słuchu. Umysł nie dotykał rzeczywistości. No tak. Kajdany z gwiezdnego

żelaza. Spróbowała skupić się na sobie. Tego, co wewnątrz niej, nie można było jej odebrać. Nie mogli odciąć jej od niej samej. Wyobraziła sobie swoje ciało, błękitne żyły pełne czerwonej krwi, tętniącej rytmem pracy serca i oddechu. Zwarte szeregi mięśni obudowane na białych kościach. Wyniosły labirynt wewnętrznych narządów. Porowatą tkankę płuc. Tunel krtani. Sklepienie czaszki. Mocne rzędy zębów. I mózg, a raczej umysł. Zamiast pomarszczonej masy postarała się zobaczyć mikrokosmos. Cały ogromny wszechświat umieszczony pod czaszką. Miriady świetlnych punktów w ciemnym, rozszerzającym się potężnie polu czasoprzestrzeni. Ten mikrokosmos znajdował się ponad wszystkim. Był wolny. Nie zdołałaby nakazać mu spokoju, ale delikatnie wyłuskała z niego wszystkie czarne i przerażające rzeczy (wyglądały jak wijące się węże) i rzuciła je w dół, w tunel krwi. Niech spłyną jej wartką rzeką, niech oczyszczą każdy mięsień ze strachu, wstydu i wściekłości. Niech odejdą wszystkie odczucia. Niczego się już nie boisz. Niczego nie pragniesz. Niech nastanie pustka i cisza.

*

Turgut Vosok zrobił interes życia. Tak przynajmniej się czuł, ważąc w ręku ciężką od złota sakiewkę. Siedział rozparty w swoim namiocie, na posłaniu ze skór. Przez odkrytą wejściową płachtę miał miły widok na pogrążony w zapadającym zmierzchu padok i ognisko, nad którym Selko zawiesił bulgoczący kociołek polewki, gęstej od kawałków tłustego mięsa i aromatycznie woniejącej przyprawami.

Zaczynał już rozważać zwinięcie interesu i przeniesienie się gdzie indziej, byle dalej od Castelburga. Pod względem handlowym miasto, do niedawna tak sławne ze swojego portu, do którego zawijały korwety verdyjskich kupców, oraz targowiska, na którym można było kupić wszystko, co tylko oferowały Wolne Miasta, ewidentnie podupadało. Kto tylko mógł, przenosił się w pobliże Tradivy albo Enneady. Bezwzględne rządy Księcia położyły się ponurym cieniem na wolnym handlu. Konfiskaty i rewizje stanowiły codzienne urozmaicenie życia drobnych kupców. Turgut początkowo kpił sobie z tego, co go, jako rezydującego i handlującego na podgrodziu, nie dotyczyło. Szybko jednak zrozumiał, jak bardzo się mylił. Zła sława Castelburga spowodowała, że znaczniejsi rycerze zaczęli omijać miasto szerokim łukiem, szybko dając mu odczuć bolesny brak klienteli. Zamożni kupcy czasem kupowali konie, ale i oni powoli wycofywali swoje interesy z miasta, w którym powoli zaczynali rządzić zamkowi strażnicy, sutenerzy i piraci, wszyscy jednako drżący przed gwardzistami w białych płaszczach.

Tego dnia Turgut Vosok postanowił wreszcie napisać list do żony, informując ją o zmianie planów i szybszym powrocie pana męża w domowe pielesze. Tyle że w pisaniu był niezbyt biegły, do czego ani przed Selkiem, ani przed pozostałymi koniuchami nie chciał się przyznać, więc odkładał tę czynność z godziny na godzinę, stale wynajdując wiarygodne wymówki. A to Karego kazał sobie przyprowadzić, bo chodził krzywo, jakby coś mu się wbiło w kopyto, a to o zakup owsa się martwił, a to dzban wina kazał sobie przynieść.

I wtedy pojawili się oni. Jechali w asyście kilku pachołków. Kupiecki wóz kryty białą płachtą zatrzymał się przy padoku. Konie, jak zawodowym okiem ocenił Turgut, mieli silne, choć niezbyt piękne. Z wozu zeskoczył rosły człowiek z kasztanową brodą, w bogatym płaszczu lamowanym futrem. Podał rękę jasnowłosej dziewczynie w męskim stroju. Podeszli. Kupiec krótko, energicznie skinął głową Vosokowi.

− Koni nam potrzeba – zaczął bez zbędnych wstępów. – Pod wierzch. Pięknych i silnych. Najlepszych, jakie macie.

Turgut zatarł ręce i kazał Selkowi przyprowadzić kasztana i siwą. Kątem oka przyjrzał się kupcowi. Zamożny, konkretny. Prawdziwy człowiek interesu, ale co szkodzi wypróbować na nim tę sztuczkę. Najpierw pokazać mu dobre konie za ogromnie wygórowaną cenę. Kiedy zażąda innych, tanie i słabe chabety. Dopiero na końcu wystawić konie prawie równie dobre jak pierwsze, ale za cenę rozsądnie zawyżoną. Taką, z której po niewielkich targach dla Turguta i tak zostałby konkretny zysk, mierzony brzęczącą monetą.

Ku zdumieniu Vosoka kupiec nie zażądał innych koni. Dokładnie obejrzał kasztana i siwą, rzucił okiem na pozostałe, które skubały trawę za ogrodzeniem, a potem powiedział po prostu:

− Nie. Sprzedasz mi je za cenę dwukrotnie niższą, która, jak sam wiesz, stanowi realny odpowiednik ich wartości ustalonej w monecie Wolnych Miast. Zrobisz to, ponieważ kupuję od ciebie wszystkie konie, które widzę na tym padoku. Te dwa wezmę od razu, pod wierzch dla mnie i dla córki. Pozostałe zobowiążesz się przyprowadzić mi do mojej posiadłości w Strozzo, leżącej w dolinie pomiędzy Firenze i Nero, w terminie dwóch tygodni od dziś. Dostaniesz teraz zaliczkę w wysokości jednej trzeciej wartości twoich koni w złotych florenach. Drugą połowę otrzymasz po przybyciu na miejsce.

− To znaczy… − wyjąkał Turgut Vosok – ile chcesz za nie zapłacić, panie?

− Widzę tu w sumie osiemnaście koni – odpowiedział brodaty kupiec. – Nie liczę dwóch chabet służących mamieniu naiwnych klientów, którymi nie jestem zainteresowany. Zatrzymaj je sobie. Zatem osiemnaście. Cztery z nich to piękne wierzchowce, zdatne do boju, uczone chodzić w szyku. Każdy z nich wart jest dwadzieścia złotych florenów. Dziewięć to konie zdatne pod siodło, ale jeszcze

niezbyt dobrze ułożone. Niektóre młode. Warte po dwanaście florenów za sztukę. Pięć to wytrzymałe wierzchowce albo konie pociągowe. Osiem florenów. To daje razem… niech pomyślę. Dwieście dwadzieścia osiem złotych florenów. Płacę z góry jedną trzecią, to znaczy siedemdziesiąt sześć. Czy to cię zadowala?

Turgut Vosok miał ochotę płakać, podskakiwać i śmiać się ze szczęścia. Natychmiast zapomniał o przejściowych problemach z pisaniem. Kazał sobie podać pergamin, pióro i butelkę inkaustu. Zbeształ Selka, że nie dość szybko przyniósł dla gości gąsiorek najlepszego wina. Szybko spisano kontrakt, kupiec najwyraźniej nie lubił marnotrawić czasu. Pożegnali się, dosiedli zakupionych wierzchowców i ruszyli, wyprzedzając wóz, który wzbijał na drodze tuman pyłu. A Vosok został w namiocie, trzymając w jednej ręce jeszcze wilgotny od niewyschniętego atramentu dokument, a w drugiej brzęczącą nowymi monetami sakiewkę.

*

− Czemu kupiłeś od niego wszystkie konie? – zapytała Loren, rozczesując swoje długie, jasne włosy szylkretowym grzebieniem. Nocowali pod gołym niebem, tuż obok czyjejś winnicy, na stoku wzgórza. Słudzy Ventina Strozzi sprawnie rozbili obozowisko i przygotowali prosty posiłek.

Strozzi leżał na plecach w pobliżu ogniska, patrząc w niebo i gryząc źdźbło trawy. Winorośl pięła się tuż obok, tworząc zielone kolumny i baldachimy, ciężkie od dojrzałych gron.

− To bardzo dobra stadnina – odpowiedział. – Trzy lub cztery zatrzymam, a resztę sprzedam z zyskiem.

− To możliwe? – zapytała. – Hojnie zapłaciłeś.

Zaśmiał się i wypluł trawę, ale zaraz wyrwał sobie następną.

− Tak ci się wydaje i to oczywiście prawda. Jestem, panno Loren z Burga, uczciwym kupcem.

− Ale również bardzo zamożnym kupcem.

− Co wydaje ci się sprzecznością.

− Właśnie.

Oparł się na łokciu, przewracając na bok całą swoją potężną sylwetkę. Jego obramowany futrem płaszcz nie spoczywał na trawie, ale na rozesłanej na ziemi derce. Ramiona dziewczyny również okrywał ciepły płaszcz, a pod sobą miała kilka warstw poduszek, które skutecznie chroniły ją przed wieczornym chłodem. Ventino Strozzi umiał dbać o swoich gości.

− W moich stronach, panno Loren, takie konie warte są nieporównanie więcej, ponieważ nikt ich tam nie hoduje – powiedział, patrząc na nią przenikliwie orzechowymi oczami. – Sprowadzamy je z daleka. Turgut Vosok to bardzo

znany hodowca. Miałem w planach odwiedzić go w powrotnej drodze z Castelburga. Ale nie musiał o tym wiedzieć. A do tego – zaśmiał się – przez najbliższe dwa tygodnie to on będzie karmił moje konie.

− Nie zorientuje się, że go oszukałeś? – Loren schowała szylkretowy grzebień, rozdzieliła włosy na pasma i zaczęła z nich splatać długi warkocz.

− Nie oszukałem. To uczciwy handel. On na tym zarobił, ja zarobię jeszcze więcej.

Czuła, że się jej przygląda. Płomień ogniska zaróżowił jej policzki. Poduszki grzały przyjemnie, podobnie jak nowy płaszcz. Ziewnęła, zakrywając usta dłonią i zmrużyła oczy.

− Chyba pójdę się położyć. – Zerknęła w stronę wozu.

− Nie opowiesz mi o sobie, Loren z Burga?

− Tego nie było w umowie.

− Istotnie. O ile w ogóle była jakaś umowa. Ale jeśli nie chcesz, twoja wola. Jesteś moim gościem, nie więźniem. Dobrej nocy.

Odwrócił się, włożył do ust kolejną trawę i zaplótł ramiona za głową, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

*

Myrra stała w wejściu na krużganek, skryta w cieniu. Patrzyła na Erian. Erian stała w krużganku, oparta o balustradę. Obserwowała to, co działo się na dziedzińcu.

Wyruszali. Zaprzęgano zwrotny dwukołowy wóz, którym miała podróżować stara czarodziejka. Hrabina podarowała jej jeden z wehikułów, którymi sama czasem przemieszczała się po górzystej okolicy. Wymoszczony skórami i jedwabnymi poduszkami, przypominał sypialnię na kółkach, a raczej olbrzymie łoże – Leta pozwoliła sobie nawet na parę pikantnych żartów, zważywszy na to, że razem z nią miał tym wynalazkiem podróżować Agostino Valla. Wóz przypominał trochę bojowe rydwany, którymi podobno posługiwali się starożytni tarrentczycy. Maria Serena powiadziała, że skonstruował go dla niej tarrencki specjalista od machin oblężniczych, w czasach, kiedy jeszcze podróżowała razem z małżonkiem trochę dalej niż rzut kamieniem od rodzimych włości. Wóz był znacznie bardziej zwrotny niż ciężkie pojazdy, którymi przemieszczali się kupcy, ale niestety w ogóle nieprzystosowany do transportowania czegokolwiek, w związku z tym zmuszeni byli do wzięcia ze sobą dwóch obładowanych żywnością osiołków. Hrabina dostarczyła podróżnym wszystkiego, czego tylko mogli potrzebować. Dopakowywanie drobiazgów, które w ostatniej chwili przychodziły jej do głowy, wydawało się trwać bez końca. Leta sarkała na opóźnienia w podróży, tym bardziej, że nikomu jakoś nie chciało się wyjeżdżać.

Agostino Valla żałował ksiąg z pięknej bibliteki w Tanis, które, pozostawione same sobie, będą się kurzyły w oczekiwaniu na jego ponowną wizytę. Żałował również, do czego przyznawał się znacznie mniej skwapliwie, bibliotekarek. I nalewki z pigwy, którą ostatecznie, ku swojemu ukontentowaniu, wyśledził. Cantia żałowała wygodnego łóżka, czystej pościeli i codziennych kąpieli w balii gorącej wody pachnącej rozmarynem i lawendą. Berto żałował wieczornych uczt, w czasie których mógł (troszeczkę) patrzeć na Erian. Oboje żałowali możliwości zwiedzania zamkowych zbrojowni w towarzystwie życzliwego rycerza Erica, który uczył ich walki na miecze i strzelania z łuku do słomianej tarczy. O ile Berto lepiej radził sobie ze sztychami i paradami, Cantia jako łuczniczka biła go na głowę.

Żałowali również buszowania po składzikach i spiżarniach, w których zawsze znalazło się coś dobrego do przegryzienia pomiędzy późnym śniadaniem a spożywaną wspólnie w sali biesiadnej kolacją. Ochmistrzyni i kucharki prześcigały się w podsuwaniu im ciastek z rodzynkami, jabłek, miodowych pierniczków czy chleba ze śmietaną. Jeśli Leta Therrus czegoś żałowała, nie powiedziała tego.

Myrra patrzyła na Erian, która na przemian rumieniła się i bladła. Erian patrzyła na Cantię i Berta, pogodzonych ze sobą po tym, jak Leta Therrus do spółki z Agostinem porządnie natarli im uszu za uczynione w kuchni magiczne spustoszenie. Berto przytrzymał Cantii strzemię. Baronówna wskoczyła na siodło, zarumieniła się, zadarła nosek i odwróciła głowę w drugą stronę, demonstrując w całej okazałości aksamitny beret przystrojony piórem. Twarz Erian była całkowicie pozbawiona wyrazu.

Myrra dotknęła swojej talii. Wyczuła twardość i kształt monet zaszytych pod suknią. Musnęła struny małej lutni zawieszonej u boku na aksamitnej taśmie, ale zaraz przycisnęła je dłonią, żeby nie wydały dźwięku. Prawie słyszała w swojej głowie myśli Erian.

Jak pięknie byłoby móc odjechać. Konno, swobodnie, w nieznane. Bez lęku o to, że nie będzie kąta do spania i łyżki strawy. Jak dobrze byłoby mieć przy boku ukochanego, dobrą matkę czy ojca. Uśmiechnąć się do młodego człowieka i zaufać jego słowom. Być czymś więcej niż turniejową nagrodą i przelotną zabawką. Jak dobrze byłoby naprawdę żyć. Zaręczyć się z kimś. Znaleźć miejsce, które będzie można nazwać domem. Czerpać codziennie wodę z własnej studni. Urodzić dzieci, które biegałyby po podwórzu, goniąc koty i szarpiąc psy za ogony. Piec chleb. Zginać plecy, wbijając motykę w szczodrą ziemię.

Myrra podeszła do Erian i stanęła tuż obok. Jak cień. Zaskrzypiał kołowrót i osadzona w bramie masywna krata pojechała w górę. Wóz wytoczył się przez nią, eskortowany przez rycerzy z załogi zamku Tanis. Podążyli za nim konno

Cantia i Berto. Maria Serena, która w otoczeniu dwórek stała na dziedzińcu, przytknęła dłoń do ust. Wyruszyli. Za nimi był ostatni przyjazny zamek. Przed nimi ścieżka wśród gór i wejście na Drogę Mędrców.

*

Puszczyk zahukał głucho. Nieco dalej, bardziej stłumionym głosem, odpowiedział mu drugi. Konie zaparskały. Jeden z nich szarpnął się, trąc powrozem o drzewo, wystraszony nocnym krzykiem lisa. Poza tym było cicho.

Potężne ciało Vettina Strozzi przewróciło się na plecy. Kupiec zachrapał przez sen. Jego pas leżał tuż obok, w zasięgu ręki. Podniosła się ostrożnie, unikając skrzypienia desek w podłodze wozu. Zsunęła się z posłania i na czworakach podpełzła w jego kierunku. W ciemności, rozświetlonej tylko wpadającą od strony wejścia księżycową poświatą, sięgnęła po pas. Namacała sakiewkę, ale nie zatrzymała się przy niej. Jej dłoń posunęła się dalej, w kierunku sztyletu. Znalazła go po chwili i powoli wysunęła z pochwy. Podpełzła jeszcze bliżej. Błam okrywający potężną sylwetkę kupca zsunął się. Szeroka pierś pod rozchełstaną koszulą unosiła się głębokim, równym oddechem.

Przyłożyła koniec sztyletu do mostka, pośrodku piersi. Dokładnie w jednej trzeciej wysokości. Ujęła rękojeść obiema dłońmi. Odchyliła się lekko do tyłu, wznosząc łokcie, szykując się do jednego, zdecydowanego ciosu.

− Uderzaj – usłyszała. Zamarła.

− Śmiało – powiedział ponownie, nawet nie otwierając oczu. – Sakiewka przy pasie jest, niestety, zawstydzająco mała. Więcej znajdziesz w skrytce pod podłogą i w żelaznym kuferku, do którego klucz mam w kieszeni.

− Ja… nie dlatego. – Osunęła się na kolana. Sztylet zadrżał w jej dłoni.

− A dlaczego, jeśli wolno spytać?

− Leżysz na moim mieczu – powiedziała oskarżycielsko.

− I tylko tyle? Wystarczyło poprosić. Skrytka jest dla ciebie, panno Loren, w każdej chwili otwarta. Schowałem twój miecz dla twojego własnego bezpieczeństwa. Możesz go sobie odebrać. A także zabrać konia i odjechać w siną dal, jeśli taka twoja wola. Mówiłem już, że nie jesteś moim więźniem.

− Konia?

− Tak jest, konia. Kupiłem ci go, a prezentów się nie odbiera. A teraz zabierz już, z łaski swojej, ten sztylet.

Cofnęła dłoń. Niepewnie. Usiadła na podłodze. Ventino Strozzi obrócił ku niej twarz i otworzył swoje błyszczące, orzechowe oczy.

− Wygląda na to, że jednak czeka nas rozmowa – powiedział.

Dziewczyna objęła nogi ramionami, wciąż trzymając sztylet w palcach. Strozzi wstał, w ciemności odszukał gąsiorek miodu, odkorkował, nalał. Wcisnął jej

pucharek w lewą dłoń, a sam usiadł na posłaniu, trzymając w rękach drugi.

− Pohandlujemy, Loren? – Zmierzył ją długim spojrzeniem. – Miecz za opowieść.

− Powiedziałeś, że miecz jest mój.

− Bo jest. Ale, jak błyskotliwie zauważyłaś, chwilowo na nim siedzę. Dostaniesz go o świcie, podobnie jak konia i trochę złota, żebyś nie zginęła z głodu. Ale do rana mamy jeszcze trochę czasu. – Rozparł się wygodnie i pociągnął łyk miodu.

− Zapytam jeszcze raz: dlaczego mi pomagasz?

− A ja raz jeszcze odpowiem: bo tak mi się podoba. – Wzruszył ramionami. – W moich stronach, niedaleko Firenze, nazywają mnie Il Magnifico. Wspaniały. To zobowiązuje. – Mrugnął szelmowsko.

− Jakoś trudno mi w to uwierzyć. – Loren zakręciła pucharkiem, nie umoczywszy w nim nawet ust.

− I z powodu tego braku wiary decydujesz się na mordowanie ludzi w środku nocy, zamiast na zadanie im paru niezbędnych pytań?

Odwróciła głowę. Widział, jak jej twarz czerwieni się w obramowaniu jasnych włosów.

− Teraz ja będę pytał – powiedział. – Nie zapytam, skąd przybywasz, bo odpowiedź jest dla ciebie krępująca, a dla mnie zbyt oczywista. Powiedziałaś mi tylko, że jesteś z Castelburga. Zakładam, że to prawda. Byłaś wtedy zbyt zaskoczona, żeby szybko wymyślić wiarygodne kłamstwo. Nie jesteś w tym dobra. Twoja metoda to raczej przemilczenia. Potrafisz wymyślić sobie jakąś jedną wiarygodną wersję i się jej trzymać. Improwizacje cię przerastają.

Loren milczała. Strozzi nachylił się, dolał sobie miodu i mówił dalej:

− Zakładam, że jesteś nieślubnym dzieckiem jakiejś dość wysoko postawionej osoby. Nie wyglądasz ani na dziecko miejskiej biedoty, które musiało pracować, ani – wybacz – na tłuściutką i wychuchaną mieszczkę. Na szlachciankę masz zbyt dużo swobody, na kogoś niżej urodzonego zbyt dużo ogłady. Ktoś cię uczył miecza. Nie dedukuję tu tylko z faktu posiadania przez ciebie takiego oręża. Masz odciski na dłoni, a kiedy przy bramie zaatakował cię ten prostak, błyskawicznie przyjęłaś bojową postawę. Taką drogę życia może przyjąć tylko dziewczyna urodzona dość wysoko, przed którą jednak wszystkie drzwi, otwarte dla jej rówieśniczek, są zamknięte. Mimo to ktoś zadbał o twoje wychowanie i wykształcenie. Dorastałaś, panno Loren, w dwóch możliwych miejscach: albo jako córka pirata, na statkach i w porcie, albo w Zamku, jako nieślubne dziecię któregoś z dobrze sytuowanych urzędników. Obstawiam Zamek.

− Dlaczego?

− Jako córka kapitana statku miałabyś trochę inny chód, bardziej opaloną skórę i… powiedzmy, barwniejsze słownictwo. A ty mówisz czystą, mieszczańską *lingua*.

Oparł się o konstrukcję wozu, wyciągając przed siebie długie nogi. Jego nagi tors w rozcięciu koszuli lśnił w świetle księżyca, poruszając się spokojnym, miarowym oddechem.

− Naprawdę możesz już odłożyć ten sztylet – powiedział. – Nie zamierzam cię napadać, krępować ani krzywdzić. Wiesz dobrze, że gdybym chciał uczynić ci coś złego, już dawno bym to zrobił. Miałem tysiące okazji.

Powoli, z wahaniem odłożyła ostrze.

− Dobrze. A teraz powiedz mi, dokąd zmierzasz, Loren z Castelburga.

Milczała przez chwilę.

− To naprawdę taka straszna tajemnica?

− Do Emain Avallach – wypluła z siebie.

Zagwizdał.

− Chcesz zostać czarodziejką?

− Nie twoja sprawa.

− Nie moja. Ale i tak będę pytał. Przypominam, że targujemy się o twój miecz.

− Mówiłeś, że dostanę go o świcie.

− I dostaniesz. Ale do tego czasu musisz znosić moje pytania. – Uśmiechnął się w ciemności.

− A jeśli teraz pójdę spać? – Spojrzała na niego zadziornie.

− Nie przeszkodzę ci. – Wzruszył ramionami. – Rano odjedziesz. Z sakiewką złota i na własnym koniu. Ale nigdy nie dowiesz się, jakie jeszcze korzyści mogłaś odnieść z naszej znajomości. Kto wie, może zmierzamy w tę samą stronę, a podróż w mojej kompanii może okazać się zarówno – pochlebiam sobie – przyjemniejsza, jak i mniej niebezpieczna. A może twoi wrogowie są również moimi wrogami.

− Nie sądzę – powiedziała zimno. – Myślisz, Ventino Strozzi, że jesteś bardzo wspaniałomyślny i wielkoduszny. Nie bierzesz tylko pod uwagę, że kiedy dowiesz się tego, co chcesz wiedzieć, nie będziesz chciał mi dłużej pomagać.

− Tak myślisz? Zatem spróbuj. Śmiało.

− Nie jadę do Emain Avallach, aby zostać czarodziejką. – Loren nabrała powietrza w płuca i wypuszczała je powoli, z każdym słowem tracąc oddech. – Nie jestem głupią gęsią, która wymarzyła sobie wieczną młodość i aurę wyjątkowości. Jadę tam, żeby odnaleźć i zabić swojego ojca.

Strozzi odwrócił głowę i zapatrzył się w przestrzeń. Pociągnął łyk miodu. W pogrążonym w mroku lesie nadal przekrzykiwały się puszczyki.

− Dlatego chciałam zabić ciebie – dodała bezlitośnie. – Żeby nabrać wprawy.

− To wiele tłumaczy.

Podniósł się, wyprostował, aż zatrzeszczały stawy.

− Do granic Enneady nasza droga prowadzi razem – powiedział. – Możesz ze mną podróżować, jeśli chcesz. Jeśli nie chcesz, jesteś wolna i możesz natychmiast odjechać. Ale masz rację, Loren. Nie będę ci więcej pomagał. A teraz wybacz, muszę trochę się przejść.

Zeskoczył z wozu i zagłębił się w mrok. Puszczyk zahukał donośnie. Loren siedziała, oplatając ramionami kolana, skamieniała i sztywna. Miała ochotę za nim zawołać. Miała ochotę krzyczeć. Dlaczego teraz, gdy powiedziała to, co najcięższe i mogła wreszcie zacząć naprawdę mówić, on przestał słuchać? Dlaczego nie interesowały go powody? Czemu nie przyjął jej opowieści, poprzestając na swoich własnych błyskotliwych dedukcjach i paru ostrych słowach prawdy?

Uderzyła pięścią w deski i poczuła płynącą krew. Dopiero chwilę później przyszedł ból przeciętej skóry. Zapomniała o sztylecie, leżącym tuż obok jej stóp.

*

Szczur przebiegł pod ścianą, szybko przebierając łapkami. Stanął słupka i uniósł w górę pyszczek, węsząc. Dołączył do dwóch innych, które popiskiwały, kłócąc się o coś nad pustym, nadtłuczonym dzbanem po piwie, leżącym w kącie przy drzwiach. Mitria odłamała kawałek zeschniętego chleba i rzuciła w ich kierunku. Najbystrzejszy natychmiast podbiegł, obwąchał znalezisko i zabrał się do konsumpcji.

− Zostaw – mruknął Justin. – Najpierw zjedzą chleb, potem zabiorą się za nas. Proszę bardzo, mogę skończyć w żołądku szczura, ale niech najpierw mnie powieszą.

− Przestań narzekać – parsknęła Mitria. – To, że…

Nie dokończyła. Pierwszy huk rozdarł powietrze. Za nim nastąpił kolejny, a potem wrzask, jakby dwie setki kotów obdzierano ze skóry. Mury zadrżały.

Justin zerwał się i podbiegł do okna. Próbował się do niego wspiąć i wyjrzeć, ale okazało się, że jest umieszczone za wysoko. Rozległ się kolejny huk. Murami targnął wstrząs. Przez okienko posypał się strumień pyłu, pokrywając Justina grubą białą warstwą. Drugie tyle tynku opadło z sufitu. Mitria objęła ramionami Jardala, chroniąc go przed odpryskami zaprawy murarskiej i cegły.

− Co się tu dzieje? Jakiś atak czy coś? – Justin otrzepał się z grubsza i ponownie spróbował wspiąć się na ścianę. Udało mu się chwycić kratę, ale zanim podciągnął się w górę, kolejne uderzenie zachwiało budynkiem. Z zewnątrz słychać było pojedyncze głosy, wybijające się z chóralnego wrzasku.

− Cofnij się, idioto, jeśli ci życie miłe! – krzyknęła Mitria, z wysiłkiem odciągając Jardala w najdalszy kąt, pod drzwi. Szczury rozproszyły się z piskiem.

−Właśnie dlatego, że mi miłe – odkrzyknął Justin, mocując się z kratą – chcę stąd wyjść!

W tym momencie zabrzmiał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Ktoś nieudolnie mocował się z drzwiami. W pośpiechu. Szarpnięcie, drugie szarpnięcie, trzask. Szpara. Przestraszone, zaczerwienione oczy w postarzałej twarzy. Czarny adamaszkowy kaftan i fioletowy płaszcz. Rubin w pierścieni tkwiącym na dłoni, trzymającej absurdalnie wzniesiony w górę klucz.

− Lagercranz! Co ty tutaj robisz?

− Nieważne. Khy, khy. – Zakrztusił się pyłem, który przeniknął do korytarza z celi. – Uciekajcie.

− A gdzie reszta?

Spłoszone spojrzenie w bok.

− Wypuszczę ich później. Uciekajcie. Szybko. Tędy. Wasze konie stoją w stajni na tyłach budynku.

Mitria doskoczyła do niego, chwyciła za poły płaszcza i z impetem przygwoździła do ściany.

− Mów, gdzie są moi towarzysze! Już!

Zaniósł się kaszlem, uniósł lewą dłoń i wskazał nieokreślony kierunek.

– Dobrze. Poprowadzisz nas do nich – warknęła.

Justin wyszedł z celi, uginając się pod ciężarem Jardala. Zerwał wiszącą na drzwiach sieć nabitą gwiezdnym żelazem i rzucił ją pod ścianę.

− Czujesz? – Uśmiechnął się szeroko do Mitrii.

− Czuję! – Odwzajemniła uśmiech i strzeliła palcami, z których posypały się iskry. – Naprzód!

Szarpnęła Lagercranza i zmusiła go do podążania przed nimi wąskim korytarzem.

− Kto to jest? – mruknął Justin, wskazując go ruchem głowy.

− Czarodziej – odpowiedziała. – Taka mała kreatura, która plątała się po Emain jeszcze przed twoim przybyciem.

− Wypraszam sobie – sapnął Lagercranz, z trudem łapiąc oddech.

− To sobie wypraszaj. Ciebie też kiedyś wyproszono. Naraziłeś się zbyt wielu. Kiedy już ma się tak wielką potrzebę służenia komuś, Lagercranz, lepiej wybrać sobie jednego pana.

W miarę jak zagłębiali się w piwniczne korytarze, cichły dobiegające z zewnątrz dźwięki, choć cały czas dawało się wyczuć odległe wstrząsy. Czarodziej doprowadził ich pod wysokie, dębowe wrota, opatrzone solidną sztabą i zamkiem wielkim jak drzwi chlebowego pieca.

− Nie mam klucza, khy khy. – Kaszlnął, podnosząc na Mitrię spłoszony wzrok.

− Nie szkodzi.

Czarodziejka podeszła do drzwi i przyłożyła do nich dłonie. Przez chwilę nie działo się nic. Potem zawibrowało. Uderzenie powietrza podniosło włosy na głowach magów. Dębowe deski rozchybotały się, tłukąc o siebie jak zęby przestraszonego potwora. Na ich oczach wielkie hufnale mocujące okucia zaczęły z drżeniem wysuwać się z drewna. Mitria odskoczyła do tyłu dokładnie w momencie, kiedy wielka sztaba z głośnym hukiem zwaliła się w dół. Gwoździe posypały się wokół, dzwoniąc jak zderzające się z kamieniem sztylety. Po chwili drzwi były tylko kupką drewna i metalu, malowniczo rozrzuconą w wejściu.

Gilgamesz pierwszy przekroczył próg. Poważnie skłonił głowę przed Mitrią, a potem wziął bezwładne ciało Jardala od Justina, który uginał się pod jego ciężarem. Gaga, Fionka i Mała Bess, rozczochrane i przerażone, z piskiem rzuciły się przed siebie i prawie uściskałyby czarodziejkę, gdyby nie powstrzymał ich jej groźny wzrok. Ostatni wyszedł Virbio, powoli, noga za nogą. Kolejny huk wstrząsnął budynkiem, choć wrzasków nie było słychać. Cela, w której ich trzymano, położona była głębiej w lochach. Przypominała starą piwnicę na wino.

− Co się tu dzieje? – Mitria zwróciła się do Lagercranza. – I gdzie jest Grandini?

− Pojęcia nie mam. Wygląda na to, że ci prostacy z Gołodupiec dorwali jakąś zabytkową oblężniczą machinę i zaatakowali własny magistrat. Diabli ich wiedzą dlaczego. – Podstarzały mag wzruszył ramionami. – Grandiniego trzymają w oddzielnym pokoju. Gdzieś w pobliżu kwatery Jastrzębia. Nie radzę wam tam iść. – Obejrzał się trwożnie.

− Jastrząb! Więc ten anonimowy kondotier to on. – Mitria znów chwyciła Lagercranza za kołnierz. – A ty mu służysz. Nie udało ci się znaleźć dobrego pana w Emain Avallach, więc teraz próbujesz szczęścia gdzie indziej.

− Uwolniłem was – powiedział płaczliwie – a ty chcesz mnie zgubić. Uciekajcie. Zostaw Grandiniego, on już jest stracony.

− Łżesz! Prowadź nas do niego.

− Nie gub mnie! Nie pójdę. Najlepiej mnie zwiąż i tu zostaw – załkał. – Jakoś przekonam Jastrzębia, że zmusiliście mnie…

− Dobrze. – Mitria skrzywiła się z obrzydzeniem. – Na górę tamtędy?

Skinął głową.

− Rozdzielmy się. – Głęboki głos Gilgamesza odbił się echem w piwnicach magistratu.

− Słusznie. – Czarodziejka otaksowała wzrokiem swoją miniaturową armię. – Tylko ty i ja. Reszta po konie do stajni. I niech ktoś go zwiąże. – Skinęła głową w stronę Lagercranza.

Virbio wystąpił naprzód, wyciągając broń.

− Pani Mitrio, ośmielę się zauważyć, że ja…

− Osłaniaj ich – przerwała. – Broń Jardala. Proszę.

Zarumienił się i cofnął do szeregu. Gilgamesz ostrożnie złożył nieprzytomnego czarodzieja z powrotem w rękach Justina. Mitria podtrzymała mu głowę. Cofnęła dłonie, gdy przy jej boku bez słowa pojawiła się Mała Bess. Ruszyli korytarzami. Przodem Gilgamesz, za nim drobna figurka czarodziejki. Schody w górę. Szereg pustych pokoi, zapełnionych ponurymi szafami, pełnymi poszarzałych dokumentów. Przybrudzone ściany pokryte grubym, byle jakim tynkiem. Wszędzie pusto. Tylko z góry dobiegał tupot nóg i krzyki.

Biegli środkiem korytarza, otwierając każde drzwi. W dwóch przypadkach Gilgamesz wyłamał zamki tylko po to, by odkryć, że pomieszczenia nie zawierają nic oprócz zawalonych papierami biurek. W jednym stała żelazna szafa, otwarta i pusta. Dalej korytarz zakręcał i kończył się spiralą tylnych schodów. Mitria wskazała na nią ruchem głowy. Wspięli się na wyższe piętro, co chwilę przystając i nasłuchując. Gilgamesz zdjął ze ściany pordzewiałą halabardę, obrócił nią w ręku i skrzywił się. Ostrze odpadło od drzewca i z brzękiem potoczyło się po schodach. Czarodziejka zaklęła, ale na szczęście piekielny hałas został zneutralizowany przez kolejne uderzenie kamieni miotanych przez machinę oblężniczą. Obawa, że ktoś mógłby cokolwiek usłyszeć, była płonna. Budynkiem wstrząsało w kilkuminutowych odstępach coś w rodzaju gigantycznej czkawki. Kiedy machina uderzała w mury, tynk sypał się z sufitu, poręcze trzeszczały, a cały wiekowy gmach magistratu chwiał się w posadach. Mitria potknęła się na schodach. Zaklęła.

Na końcu korytarza zobaczyli sylwetki żołnierzy, którzy z wprawą ładowali kusze, opierali je o parapety okien i posyłali bełty w dół. Potem cofali się, by napiąć broń i stanąć do nowego strzału. Komenderował nimi człowiek o wydatnym nosie i rzadkich, lepiących się do czoła czarnych włosach. Gilgamesz i Mitria przylgnęli do ściany i cofnęli się na schody.

− Trzecie piętro – szepnęła czarodziejka. Pobiegli w górę.

Trafili wprost do sali miejskiej rady, z której ktoś najwyraźniej zrobił sobie kwaterę. Stół zastawiony był niesprzątniętymi resztkami posiłku. Gilgamesz przystanął, sięgnął po dzban miodu i kilkoma długimi łykami wychylił go do dna. Oderwał udko kapłona i zjadł je w marszu, oblizując tłuszcz z palców. A potem wybiegli na korytarz. Z jednego z sąsiednich pomieszczeń dobiegł jęk.

Wyważyli drzwi, które tym razem narobiły potwornego hałasu. Grandini leżał na sienniku. Całą twarz i dłonie pokrywały mu sinofioletowe pręgi. Podarta koszula gdzieniegdzie przesiąkła krwią, która zakrzepła w ciemne strupy. Nie ruszył się na ich widok. Próbował się uśmiechnąć, ale przez twarz przemknął mu tylko spazmatyczny grymas.

− Miłło, że pssyszssliście, ale gospodaszsz lekko niedyspoonoowany. Krótko mówijąc, nie dam rady – wystękał, gdy Mitria przyklęknęła przy nim i dotknęła jego ramienia. W miejscu wybitych przednich zębów miał otwartą ranę.

− Nawet… nie próbuj – jęknął, gdy Gilgamesz pochylił się, by go podnieść.

Olbrzym wyprostował się i spojrzał bezradnie na Mitrię.

− Uśmierzę ból – zadecydowała. – Na jakiś czas to pomoże.

Dotknęła jego skroni, zasięgnęła do umysłu, do miejsca, gdzie ciało potrafiło odczuwać. Westchnął i rozluźnił się. Mitria, zgięta w pół, próbowała przewalczyć mdłości.

Wyszli na korytarz, rozglądając się ostrożnie. Grandini szedł o własnych siłach, lekko tylko wspierając się na Gilgameszu. Na twarzy miał upiorny, kretyński uśmiech.

Budynkiem targnął kolejny wstrząs. Na ich oczach kamienny pocisk przebił ścianę, która zmieniła się w kupę gruzu. Chmura pyłu zakotłowała się i powoli zaczęła opadać. Przez dziurę w murze zajrzało do wnętrza czyste niebo.

Na zewnątrz piętrzyła się barykada z chłopskich wozów, wymoszczonych workami siana i trocin. Tyły tej militarnej formacji zabezpieczał przysadzisty front Karczmy pod Prosiaczkiem oraz otaczające ją krzywe kamienice. Z przodu, spomiędzy wozów, wystawały ramiona nie jednej, ale aż dwóch katapult, przystosowanych do miotania wielkich kamieni. Pomiędzy nimi, na wozie wypełnionym zardzewiałymi hełmami, pikami, halabardami i rozmaitym innym żelaztwem, stał mieszczanin w czerwonej czapce przekrzywionej na bok.

− Słuchajta, wy takie syny i najemniki przeklęte! – darł się. – My tu w Gołodupcach samorządne mieszczany są! Nijakiej władzy nad sobą nie uznajem, ani nie damy sobie magystratu zajmować. Wynośta się do ufajdanych czartów, albo skądeśta tam przyszli!

Bełt z kuszy świsnął tuż przy uchu mówcy, który w odpowiedzi pokazał wulgarny gest.

− Jendryk, naciągajta – wrzasnął. Potężne ramiona machin zaskrzypiały, odwodzone do tyłu obrotowymi mechanizmami. Kilku silnych, żylastych chłopów wpakowało w zagłębienia ramion potężne kamienie. Tym razem jednak nie wszystko poszło tak, jak trzeba. Grube powrósło, mocujące ramię jednej z machin, trzasnęło i z potężnym świstem zatoczyło koło, kosząc stojących w pobliżu mieszczan, a głowę jednego z nich zamieniając na krwawą miazgę.

Rozległy się wrzaski bólu i przerażenia. Przywódca w czerwonej czapce jeszcze bardziej się rozsierdził i zaczął miotać przekleństwa w kierunku magistratu, chowając się jednak przezornie za ustawioną na wozach piramidą worków z piaskiem.

Kamień z drugiej katapulty trafił w mur, nie uczynił jednak większych szkód.

− Ot, takie mury – splunął Gilgamesz. – Byle jak postawione i byle zaprawą klejone. Kopnąć i się rozsypią. Inaczej budowaliśmy w Uruk.

Zbiegli na dół i rzucili się do tylnej bramy. Na dziedziniec i do stajni.

*

Osaczyli ich przy bramie. Bełty kusz zadźwięczały na kamieniach. Virbio wyprowadził już wóz ze stajni. Zaprzęgli konie. Liczyli na to, że awantura na froncie budynku wystarczająco zaangażuje kondotierów.

Chyba się przeliczyliśmy, pomyślał Justin.

Chwilę wcześniej dopadła ich zdyszana Mitria i lekko pobladły Gilgamesz. Grandini, o ciele pełnym sińców i zakrzepłej krwi, dołączył do Jardala złożonego na wozie. Rozległ się tupot żołnierskich nóg. Nie zdążymy, Justin prawie usłyszał własne myśli. Nie zdążymy.

Mitria odwróciła się z półobrotu, jak szermierz albo tancerka. Machnęła ręką i przed twarzami żołnierzy rozpostarła się nieprzebyta ściana świetlistego deszczu. Nie wystarczyło na długo, bo czarodziejka opadała już z sił. Na szczęście zdążyli dosiąść koni, a niestrzeżona tylna brama stała otworem. Gilgamesz uniósł Mitrię i posadził ją na koźle, a potem sam wskoczył na miejsce obok niej. Wóz, skrzypiąc, ruszył z miejsca.

Jeśli żołnierze dosiądą koni, nie mamy szans, pomyślał po raz kolejny Justin. Nie z tym wozem.

Magiczna bariera puściła i bełty znów zaczęły dzwonić po kamieniach dziedzińca. Kilka utknęło w deskach wozu. Ktoś wrzasnął. Virbio zawrócił konia i pogalopował wstecz. Skrzyżował miecz z żołdakiem, który ich doganiał i przebił mu gardło gładkim sztychem. Następnemu rozchlastał twarz ukośnym cięciem. Kolejni dwaj zwolnili nieco i osaczali go wolniej, metodycznie, próbując zajść z obu boków. Siedząc na koniu miał przewagę nad pieszymi. Ale nadbiegali następni. Na szczęście, bojąc się trafić swoich, przestali strzelać z kusz.

Justin również zawrócił. Nie miał broni. Magia musiała mu wystarczyć.

Tylko jaka magia, pomyślał w panice. Nie ma już we mnie nic. Nic oprócz przerażenia, śmierci, pustki i wspomnienia durnej miłości.

Gilgamesz zeskoczył z wozu i dołączył do nich, spokojny jak posąg. Miecz w jego ręku, który przy ogromnej postaci wydawał się mały, wykonywał oszczędne

ruchy, jak czające się do skoku zwierzę.

Wóz przekroczył bramę i turkotał naprzód, powoli się oddalając. Żołnierze wciąż wysypywali się z tylnego wejścia magistratu. Otoczyli ich półkolem. Zasyczały naciągi kusz.

Justin wzniósł w górę ramiona i wykrzyczał inkantację. Dziedziniec przeciął cień, jakby przeleciał ponad nim gigantyczny ptak. Mury po obu stronach bramy wzniosły się nagle z grzechotem wyrywanych z podstaw kamieni. Wyrosły z nich bezkształtne skalne olbrzymy. Uniosły potężne ramiona i ruszyły naprzód, w stronę żołnierzy, ciągnąc za sobą bryły ziemi. Kondotierzy zamarli, a potem zaczęli się cofać. Justin krzyczał i wył. W jego głosie dźwięczała i wibrowała, rosnąc, pojedyncza monotonna nuta, wzbierająca jak głos dzwonu. Czarodziej wysnuwał z siebie pustkę i przyoblekał ją w kamień.

To zaklęcie też nie mogło trwać długo, ale jego ustanie miało katastrofalne skutki. Kiedy głos Justina urwał się nagle, tony kamienia i ziemi runęły w dół i lawiną potoczyły się w stronę kondotierów. Ci, którzy zdążyli, z wrzaskiem rzucili się do drzwi. Dla innych było za późno. Justin przyglądał się temu z upiornym uśmiechem i krwią na popękanych ustach. Gilgamesz chwycił za uzdę konia czarodzieja i zmusił go do odwrotu. Virbio już galopował w stronę oddalającego się wozu. Za plecami wciąż słyszeli rumor osuwających się kamieni. Dziedziniec przestał istnieć.

CZAS ROZSTAJNYCH DRÓG

Gaga łapała powietrze jak ryba, rozwartymi ustami, na których pojawiały się krwawe bąble. Z jej prawego boku sterczał czarno opierzony bełt. Krew przesiąkła przez koszulę i rozlała się na spódnicę.

− Tak i mnie, białce, przyszło – sapnęła – nie od bachora, a od grotu zemrzeć.

− Nic nie mów. Oszczędzaj siły. – Mitria opalała nad ogniskiem nóż.

− Nic mnie już, pani, po owych siłach – wydyszała. Kilka krwawych baniek znów wydostało się jej przez usta i rozprysło. – Wiem ja, kiedy śmierć nadchodzi.

Nie odpowiedzieli. Stali wokół niej kręgiem i patrzyli w ziemię. Mała Bess na przemian zaciskała i rozwierała palce. Fionka usiadła najbliżej, podtrzymując głowę rannej. Justin dotykał jej boku i szeptał zaklęcia powstrzymujące upływ krwi.

Nie zauważyli. Nie wiedzieli nawet, jak to się stało. W pośpiechu złożyli na wozie Jardala, potem Grandiniego. Wtedy dopadli ich wybiegający z magistratu kondotierzy. Mała Bess zwinęła się obok czarodzieja i zamknęła oczy. Zbyt się bała. Fionka dosiadła swojego konia i pognała naprzód. Teraz na to wspomnienie czerwieniła się od dekoltu po cebulki włosów.

Gaga chciała chwycić za broń, ale nie zdążyła. I nie miała broni. Nikt nie zauważył, kiedy trafiona bełtem z kuszy ciężko upadła obok Grandiniego. A moment później, kiedy Justin Fern obrócił w perzynę dziedziniec, walka się skończyła. Pojechali naprzód, byle szybciej, byle uciec. I nie zauważyli.

Mitria skończyła opalać nóż i skinęła głową Justinowi. Mag, wciąż mamrocząc zaklęcia, szarpnął bełt. Gaga zawyła nieludzko. Czarodziejka przyłożyła rozpalony nóż do rany, żeby zatamować upływ krwi.

− To nie wszystko – odezwał się głucho Justin.

Wpatrzyli się w ułamany bełt, którego druga część ciągle tkwiła w ciele dziewczyny.

− Za głęboko. – Mitria poruszyła ustami, prawie nie wypowiadając słów.

− Nie żywie – szepnęła Mała Bess, patrząc na bladą i nieruchomą twarz Gagi.

− Nie – powiedziała głucho Mitria. – Tylko zemdlała z bólu.

Gaga konała do świtu. Siedzieli przy niej na zmianę. Ci, którzy akurat nie siedzieli, ułożyli się w pewnym oddaleniu i próbowali zasnąć. Gilgamesz trzymał straż. Czarodzieje opadali z sił, a zaklęcia znieczulające przestawały działać. Tym bardziej że w nocy ocknął się również Grandini, cierpiąc potwornie. Mitria wygrzebała ze swoich zapasów zioła i próbowała uwarzyć przeciwbólową

miksturę, ale to wymagało czasu. Włożyła tylko dziewczynie łodygi maku pomiędzy zaciskające się konwulsyjnie zęby.

Dopiero nad ranem ciało Gagi wyprężyło się, a ręce zaczęły bezładnie błądzić wokół. Oczy uciekły w głąb czaszki. Skonała.

Pochowali ją nad rzeką, w brzozowym gaiku. Oznaczyli miejsce niewysokim kopcem z darni i kamieniem. Okazało się, że nikt nie znał jej prawdziwego imienia. Dopiero Bess przypomniała sobie, że Mimi na pożegnanie nazwała ją Gwidoną. Najwyraźniej jednak Gaga nie cierpiała tego miana, zdecydowali więc, że nie umieszczą go na nagrobku.

*

Podążali leśnym duktem, wystarczająco szerokim, żeby mógł po nim przejechać wóz. Przez jakiś czas obawiali się pościgu, ale najwyraźniej Jastrząb miał w tej chwili własne problemy. Głupi konflikt z mieszczanami w Gołodupcach mógł poważnie nadszarpnąć jego reputację niezwyciężonego kondotiera, więc podejrzewali, że będzie się chciał stamtąd jak najszybciej wynieść. Dopiero Grandini, plując krwią i ułamanymi zębami, powiedział im, że Jastrząb dostał jakieś rozkazy od swoich aktualnych mocodawców i musi szybko wracać na południe. Ktoś przyniósł listy, kiedy dowódca zabawiał się przesłuchiwaniem jeńca. Kondotier rozmawiał z podwładnym bez skrępowania. Dla niego Grandini tak czy owak był już martwy. Poza tym Jastrząb nie będzie ich ścigał również z innych powodów. Nie są dla niego ważni sami w sobie. Chodziło tylko o pokazową egzekucję tarrenckiego szpiega. A kiedy łyczkowie z Gołodupiec podnieśli głupi bunt przeciwko zaciężnemu wojsku, rzeczą znacznie istotniejszą od urządzania dla nich demonstracyjnej kaźni będzie stracenie ich samych.

*

Po kilku dniach stało się oczywiste, że nie uratują Grandiniego. Kaszlał, pluł krwią i cierpiał potworny ból. Mitria siedziała na wozie pomiędzy nim a Jardalem, szara jak popiół i śmiertelnie zmęczona. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała nastroszoną sowę. Justinowi wydawało się nawet, że prawie słyszy żałosne pohukiwanie. Ani ona, ani czarodziej nie mieli już siły na znieczulanie bólu magią. A Grandini wciąż tego potrzebował. Tak jak Jardal potrzebował codziennej dawki życiowej energii.

Na kolejnym postoju Mitrii udało się sporządzić przeciwbólowy eliksir. Co dwie godziny wlewała Grandiniemu kilka kropel do ust. Potem zajęła się tym Fionka, a czarodziejka zwinęła się w kłębek przy ognisku, szczelnie okryła płaszczem i zasnęła kamiennym snem.

*

Grandini umierał. Leżał na posłaniu z liści i skór, wbijając wzrok w dziurawą powałę. Przez oderwane klepki dachu przeświecały promienie słońca. Czasem jęczał. Czasem prosił o wodę. Wtedy Fionka podawała mu kubek, ale prawie nie mógł pić. O jedzeniu nie było mowy. Zwracał wszystko, co tylko próbował wziąć do ust.

Czasem widział morze. Czuł charakterystyczny portowy zapach zgniłych ryb, wodorostów, wilgotnych desek, smoły, rynsztoków i wszelkiego śmiecia. Zlizywał sól z zaschniętych ust. Czuł kołysanie pokładu, słyszał skrzypienie want napinających maszty i trzepot żagli przechodzących linię wiatru. Było mu niedobrze, ale czuł się dziwnie lekki i szczęśliwy. Patrzył w szczere, niebieskie oczy swojego ojca, starego pirata z białą brodą i ogromnym kordem za pasem. Widział kąciki jego ust uniesione w kpiącym uśmiechu. Oto stoi pierwszy raz za sterem. Koło żyje pod jego rękami. Rozpiera go duma. Ojciec udaje, że patrzy w inną stronę. A potem mostek kapitański i wywrzaskiwane krótko komendy. Pierwszy abordaż. Deski pokładu zalane krwią. Skrzynie złota i kosztowności, bele jedwabiu, beczki wina, woreczki cudzoziemskich przypraw. Sól, krew i wiatr.

Zakaszlał. Fionka delikatnie wlała mu do ust kilka kropli przeciwbólowego eliksiru.

Odsunął jej rękę.

− Dlaczego? – Usta poruszyły się, prawie nie wydając dźwięku.

− Dlaczego zostałam?

Zamknął oczy, nie mając siły skinąć głową ani wypowiedzieć słowa „tak”.

Fionka wzruszyła ramionami.

− Nie wiem. Ktoś musiał. Żal mi was, panie Grandini. Nie na to tyle podjęliście starań i taki świat drogi się tłukliście, żeby teraz zdychać jak ten pies. Ale... ja też… – Objęła się ramionami, wstrząsnął nią dreszcz. – Ja mam dość – szepnęła. – Chciałam przygody, pragnęłam uciec z miasta, od ojca kupca, podłej macochy, zazdrosnego rodzeństwa i wiecznego wycierania butami chodnika między magazynem, kamienicą a sklepem. Ale teraz się boję. Nie pojadę z nimi nawet milę dalej. Może to – obejrzała się trwożnie przez ramię, jakby tam miała stać jakaś niewidzialna groza – może to przekleństwo, któreśmy z tego zapowietrzonego Zamku ze sobą przywlekli. Nie rozumiem tego. To już wolę, panie Grandini, waszą śmierć. Wytrzymam, a i przydam się na co. A wy nie będziecie zdychali samotnie jak kobyła pod płotem.

Kaszlnął. Poszukał jej dłoni. Tej, w której trzymała flakonik. Zacisnął na niej palce. Zrozumiała. Odkorkowała buteleczkę i wsunęła mu ją do ręki. A potem

wyszła z izby.

Stanęła przed chatą i wciągnęła w płuca świeże, wilgotne powietrze znad jeziora. Popatrzyła w kierunku konia, który spokojnie przeżuwał obrok z zawieszonego na szyi worka. A potem posłała spojrzenie na poznaczony śladem wyrębów leśny dukt, który zaczynał się na pobliskiej polanie. Z drugiej strony jeziora wiatr przywiewał dym z kominów i szczekanie psów. Fionka potarła dłońmi zmęczoną twarz, usiadła na progu i objęła kolana ramionami.

Rozstali się dwa dni wcześniej. Grandini odmówił dalszego podróżowania wozem. Każdy podskok na wyboistej drodze oznaczał dla niego paroksyzm potwornego bólu. Zmuszanie go do dalszej podróży stało się bezcelowym okrucieństwem.

Naradzali się. Milkli. Robiło się niezręcznie. Justin powrócił do skrobania patyków. Virbio siedział przy Grandinim, zdezorientowany i zniechęcony. Mitria chodziła w kółko, gnana niepokojem, niczym drapieżnik uwięziony w klatce.

− Musimy zostać – westchnął melancholijnie Justin. – Wygląda na to, że nie będą nas ścigać.

− Powinniśmy tak postąpić. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego i tak dalej. Ale nie możemy – wybuchnęła czarodziejka. – Jardal słabnie. – Wbiła wzrok w ziemię. – Tracę z nim kontakt. Robi się coraz zimniejszy, coraz bardziej odległy. Bardzo mu zaszkodził czas spędzony w zamknięciu, kiedy nie mogłam przekazywać mu energii. On też jest bliski śmierci. – Ramiona jej zadrżały.

– Boisz się, że nie dożyje końca podróży – stwierdził Justin.

Skinęła głową.

− Jest tak, jak mówiłem, czarodziejko. – Gilgamesz podniósł na nią spokojne oczy kamiennego posągu. – Nie godzisz się przede wszystkim na jego śmierć – powiedział dudniącym, głębokim głosem.

− Zostańcie – odpowiedziała szorstko. – Wszyscy. Wezmę wóz i dalej pojadę sama. Do Xanty nie jest już daleko.

− Wystarczy, jeśli się rozdzielimy, pani Mitrio – odezwała się Fionka. Głos drżał jej lekko, zawieszając na samej granicy oddechu ledwie wyczuwalną nutę histerii. – Ja przy panu Grandinim zostanę i będę go pielęgnować, aż zemrze. Nawykłam. Matkę moją i babkę do grobu odprowadziłam. Dla nas w mieście śmierć to zwykła rzecz. A ja… już nie chcę jechać dalej. Dość mam czarów, dziwów, porwań, szubienic i więzień. Chcę znów między zwykłych ludzi. Jak będziecie z Xanty wracać, zabierzecie mnie i do Castelburga odprowadzicie, jeśli wam wola będzie wracać. Nie, to gdzieś między dobrymi ludźmi ostanę.

Zaprotestowali. Nie pozwolą, żeby została sama. Poza tym trzeba by znaleźć dobre miejsce, ukryte w głębi lasu. Najlepiej byłoby, gdyby razem z nimi został Virbio.

Chłopak sprzeciwił się nieśmiało i został zakrzyczany. A potem do dyskusji włączył się Grandini, który ocknął się właśnie ze snu po kolejnej dawce przeciwbólowej mikstury. Sklął ich malowniczo i zażądał, by zostawili go samego. Jeśli Fionka nie chce dalej podróżować, jej wola, ale innych on już nie życzy sobie oglądać na oczy. I lepiej, żeby się pospieszyli. Nie cierpi sentymentalnych pożegnań.

− Znajdźcie mi na tym pustkowiu jakieś przyzwoite lokum, a potem wynoście się do wszystkich diabłów, byle prędzej – wymruczał i rozkaszlał się, spluwając krwią.

Wydawało się, że o dobre miejsce będzie trudno. Ale wkrótce trafili na polanę.

Chata wyglądała malowniczo. Drewniane ściany były podpróchniałe, a częściowo zapadnięty dach porastała darń i kępy mchu. Wypaczone okiennice zwisały krzywo. Wysypana piaskiem, częściowo zarośnięta ścieżka mijała zapadnięty płot i prowadziła wprost nad jezioro, po którym snuły się poranne mgły. Kiedy wzeszło słońce, na wodzie zamigotały plamki światła. Nisko nad taflą jeziora leciały rzędem kormorany.

We wnętrzu chaty stały krzywe i połamane meble: brudny stół, zydel bez jednej nogi, zarzucone przegniłą słomą łóżko. Palenisko częściowo skruszyło się i osunęło na brudne klepisko, ale komin nie zapadł się i wciąż ciągnął dym.

Stali przed wejściem. Poważni i milczący. A potem wzięli się do pracy. Fionka i Mała Bess chciały uprzątnąć izbę, ale Justin powstrzymał je gestem. W jednej chwili magiczny wiatr przeciągnął przez wnętrze chaty, tworząc z pyłu, popiołu, pajęczyn i przegniłej słomy małe tornado, które następnie efektownie wyleciało przez komin. Mieszczaneczka westchnęła i opadła na zydel, który tymczasem zdążył podnieść się na cztery niepołamane nogi. Pokruszona glina paleniska scaliła się zgrabnie, a ze stołu zniknęła warstwa brudu. Po chwili wicher ucichł, a czarodziej zachwiał się i osunął po ścianie.

− I zrobione – westchnął.

Gilgamesz wrócił z głębi lasu z upolowanym jelonkiem. Virbio nazbierał opału i porąbał drwa na zgrabne szczapy. Fionka cieknącą łódką znalezioną w pobliskich trzcinach wypuściła się na jezioro i nałapała ryb, które następnie zawiesiła w kominie, żeby się uwędziły. Mała Bess nazbierała liści i traw, okryła je derką i zabranym z wozu futrem, tworząc wygodne posłanie. Gilgamesz ostrożnie ułożył na nim Grandiniego.

Virbio pochlipywał jak dzieciak. W ostatniej chwili zdecydował, że jednak zostanie, ale Grandini ponownie sklął go, wyzwał od osłów i nakazał nie pokazywać się na oczy. A potem konwulsyjnie zacisnął palce na jego rękawie i wychrypiał:

− Obiecaj mi, że wrócisz do miasta i zwołasz Bractwo. Musicie wejść do tego przeklętego Zamku Cieni i zrobić, co trzeba… Potrzebujesz czarodziejów – odkaszlnął – dlatego trzymaj się ich, durniu. Musisz… Przyrzeknij, że oddasz moje miasto Radzie. − Dalsze słowa utonęły w rzężącym sapaniu.

Virbio przyrzekł.

Wyszedł z chaty, walcząc z pieczeniem pod powiekami.

Ostatnia żegnała się Mitria.

Powoli zapadał zmierzch. Przez szpary w deskach i dziurę w dachu przeświecały jaskrawopomarańczowe promienie słońca, w których tańczyły drobiny kurzu.

Ten sam blask przecinał na pół twarz Grandiniego, jego spierzchnięte, rozchylone usta, w których ziała rana po wybitych zębach, opuchniętą, zsiniałą twarz i rozjarzone gorączkowo oczy. Czarodziejka bez słowa wzięła rękę szpiega i zacisnęła jego palce na małym flakoniku z ciemnego szkła.

− Przepraszam, Grandini – powiedziała cicho. – Gilgamesz miał rację. Tylko o Jardala walczyłam.

Odetchnął kilka razy. Głęboko. Żebra unosiły się i opadały. Wdech. Wydech. Grymas. Skurcz.

− Cholernie mi się nie chce umierać, wiedźmo. Ale skoro już muszę, lepiej zrobić to jak trzeba.

Odwróciła głowę. Wziął jej rękę i ścisnął. Mocno. Aż zabolało.

− Wszyscy jesteśmy – powiedział wolno, jakby zasypiał – wewnątrz waszej opowieści. Czuję, jak nas oplata. Jak jej sieć zaciska się wokół naszych snów. Ktoś musiał przypłacić to życiem, bo opowieści nie przebaczają. To niesprawiedliwe. Każdy chciałby mieć własną opowieść. Ale wydaje się, że te o wielkiej miłości są takie jakby… silniejsze. Zagarniają wszystkie inne.

− Nic już nie mów.

− To bez znaczenia. Gorzej, uwierz mi, nie będzie. – Uśmiechnął się krzywo.

Nie patrzyła mu w oczy. Moja opowieść, myślała. Nie ma gwarancji, że skończy się dobrze. Dla mnie, dla Jardala, dla kogokolwiek. Nie kieruję swoją opowieścią, Grandini. W pięknej opowieści o miłości nikt nie powinien czuć się tak podle. Tak jak ty. I tak jak ja w tej chwili.

Wypuścił jej dłoń. Ostrożnie. Powoli.

− W tym flakoniku… − zaczęła.

− Wiem.

− To jest mocne. Kilka kropli wystarczy, żeby stłumić ból.

− A kiedy będę chciał… − zawiesił głos. Nie wykonał nawet żadnego gestu. Nie musiał. Mitria odwróciła głowę i wpatrzyła się w promień światła, wpadający przez dziurawy dach.

− Wtedy wypij wszystko – powiedziała cicho.

− Wystarczy?

− Tak.

Znów zaniósł się kaszlem. Przycisnął do ust rękę, na której pozostała smuga krwi.

− Dziękuję, czarownico – odetchnął. − Mimo wszystko dziękuję.

Odwróciła się jeszcze raz, od drzwi. Teraz to Grandini wpatrywał się w smugę światła wzrokiem, który powoli tracił ostrość.

*

Jardal spadał. Nieuchronnie, nieustannie, powoli leciał w dół, w głąb granatowych niebios bez dna. Gwiazdy wokół niego rozmazywały się w świetliste smugi. Obok leciała Lys, znów w swojej własnej postaci. Szafranowa tunika trzepotała, jakby rozwiewał ją niewidoczny wiatr. Tylko u rąk wciąż miała szpony długie jak sztylety. Wrzeszczała, ale głos był niesłyszalny. Widać było tylko rozwarte w przerażeniu usta. Jardal też wrzeszczał, ale nie słyszał nic. Jakby ktoś odebrał światu dźwięk.

Spadali w nierealnej ciszy, wśród rozbłysków absurdalnych gwiazd. Świat wydawał się nie mieć dna. Jardal zacisnął mocno powieki i spróbował przywołać znów tamten obraz. Deski podłogi, biurko, rozrzucone książki. Czyjś cień. Niewyraźna obecność na samej krawędzi świadomości.

Wiedział już, że niemyślenie w niczym nie pomaga. Pozbawiony zajęcia umysł natychmiast próbuje produkować własne światy. Obleka w ciało lęki i koszmary, wydobyte gdzieś z najgłębszego dna jaźni. Teraz Jardal bał się racjonalnie tylko jednej rzeczy: obecności Lys. Dlaczego nie znikała, jeśli była koszmarem? Dlaczego tak bardzo się zmieniała, jeśli nim nie była? Czemu towarzyszyła mu cały czas? Paradoksalnie te właśnie rozważania ratowały przed szaleństwem. Były jedynym problemem, który mógł jakoś uchwycić, o którym mógł rozmyślać, pozbawiony imienia i pamięci. Coraz bardziej bał się Lys, a jednocześnie obawiał się, że ona zniknie i zostawi go samego w pełnej grozy pustce zmieniających się światów. A gdzieś w głębi coś w nim zaczynało krzyczeć, boleśnie pragnąc utraconej tożsamości. Międzyświat, początkowo tak obiecujący, rozpadł się jak potłuczone lustro i to o wiele szybciej, niż można było przewidywać.

Upadek był nagły, twardy, choć niemal bezbolesny. Wokół wciąż zalegała gęsta ciemność. Jardal leżał na plecach, czując pod sobą twardy grunt. Cisza w uszach niemal rozsadzała mu czaszkę. Uniósł się na łokciach, oszołomiony.

Nad horyzontem nagle wybuchł świt, ciemnopomarańczowy na tle czerni, ostry jak nóż. Czarodziej zasłonił dłonią zranione blaskiem oczy. Słońce rodziło

się ponad horyzontem w wielkiej, ognistej symfonii barw. Gdyby ten widok był muzyką, brzmiałby podniośle i triumfalnie, z bębnami, kotłami i fanfarami. Światło zalewało ten pusty świat, suchą, spękaną, pustą aż po horyzont ziemię.

Jardal ostrożnie rozejrzał się wokół. Lys leżała obok niego, bezwładnie jak worek szmat. Nogi miała podkurczone, a ręce rozrzucone na boki. Głowa była przekrzywiona pod nienaturalnym kątem, a z kącika ust ciekła strużka śliny. Czarodziej się wzdrygnął. Chciał jej dotknąć, sprawdzić puls, upewnić się, czy żyje, ale jednocześnie ogarnął go strach przed zetknięciem z trupem.

Ale głowa Lys poruszyła się, a po chwili kończyny drgnęły i rozpoczęły nieskoordynowane ruchy, niczym u popsutej mechanicznej zabawki. Usiadła nagle i wlepiła w Jardala wytrzeszczone oczy. Poruszyła szczęką. Przełknęła ślinę. Zatoczyła wokół głową. Stopniowo wzrok jej się wyostrzył, ruchy straciły sztywność, a oczy znów stały się zielone i złe. Przeczesała palcami krótkie czarne włosy. Jardala na widok tego powrotu do normalności ogarnęła szczera, bezdenna groza, o wiele większa niż wtedy, kiedy patrzył na jej nieruchome ciało.

− Kim ty jesteś, Lys? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

Przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie, jakby widziała go pierwszy raz.

− Jestem Wędrowcem Światów – odparła mechanicznie, jakby powtarzała wyuczoną lekcję. – Mam prawo przebywać w Międzyświecie i dowolnie przemieszczać się pomiędzy wszystkimi możliwymi odnogami Multiwersum. Jestem potencjalnie nieśmiertelna. Można mnie zabić w dowolnym świecie, ale to oznacza tylko, że natychmiast pojawię się tu.

− Tu… to znaczy?

− W Międzyświecie, głupku. To ciągle jest Międzyświat, którego ty uparcie nie chcesz opuścić.

− Ale ty przecież nie musisz trzymać się mnie. Możesz wyruszyć w dowolnym momencie.

Odwróciła głowę.

− Niby tak. Ale jakoś… nie mogę – powiedziała bezradnie. – Nie mogę się z tobą rozstać. Nie wiem dlaczego.

− Ale ja już wiem, Lys. – Jardal wstał i rozprostował się. Spojrzał w stronę horyzontu, tam, gdzie jaskrawymi barwami rozpalało się słońce. – Ty nie istniejesz. Jesteś fantazmatem, częścią mnie, jakimś elementem mojej pamięci. Tym, który zna Międzyświat i rozumie jego zasady. A we mnie pozostało tylko to, co chce wrócić tam – do świata, którego nie pamiętam – i odzyskać imię. Uwodziłaś mnie, bo chciałaś pochłonąć tę część mojej tożsamości. Ty dążysz w stronę wędrówki, ja w stronę powrotu. Nie mogę cię zabić, ale nie zamierzam cię słuchać.

− Zginiesz! – krzyknęła histerycznie. – Beze mnie przestaniesz istnieć! Zresztą skąd wiesz – może to ty nie istniejesz, może to ty jesteś moim fantazmatem… − Osunęła się na suchą ziemię i rozszlochała jak dziecko.

− Teoretycznie nie mogę wykluczyć takiej możliwości – powiedział zimno.

Słońce wzeszło już wysoko, na ich nieruchome postacie padł jaskrawy promień światła, odcinając ostre, czarne cienie. Lys zasłoniła oczy.

Jardal ruszył przed siebie, w stronę wschodu. Jego stopy nie pozostawiały śladów na wyschniętej ziemi.

− Zaczekaj! – Lys wstała z trudem i, zataczając się, pobiegła za nim.

Nie zatrzymał się.

Wędrowali tak w milczeniu, w stronę rozpalonej słonecznej tarczy, która stopniowo wyłaniała się zza horyzontu. Przodem czarodziej, wyprostowany, z uniesioną głową i zmrużonymi oczami, stawiający pewne, miękkie, kocie kroki. Za nim Lys, zgięta w pół, słaniająca się, czasem przystająca z wyczerpania, a czasem podbiegająca kawałek. Za nimi podążały ich czarne cienie, ostro odcinające się od płowej, oświetlonej słońcem ziemi.

Szli i nie wiedzieli, jak długo wędrują. W tym miejscu nie istniał czas. Słońce zatrzymało się w pół drogi na nieboskłonie i trwało tak, najwyraźniej niegotowe, by wzejść. Nie było żadnego znaku, za pomocą którego mogliby określić, jak długą przemierzyli drogę. Wokół nich jak okiem sięgnąć rozpościerała się ta sama płowa, gliniasta, spękana od żaru pustynia. Lys oblizywała spierzchnięte i popękane wargi. Jardal zachwiał się kilka razy, aż w końcu usiadł.

Tarcza słońca zawisła przed nim na niebie, półokrągła, rozpalona, otoczona ognistym pióropuszem. Czarodziej wyciągnął przed siebie dłonie. Otworzył usta i wydobył z nich jedną nutę, niską i gardłową.

Horyzont spienił się i podbiegł mu do stóp. Zielonkawe fale oceanu obmyły suchą ziemię, zatrzymując się tuż przed miejscem, na którym siedział. Pustynia wokół zazieleniła się trawą. Nad wodą zaczęły kołować mewy. W oddali wzniósł się las, a przed jego mroczną ścianą pojawiły się baraszkujące na stepie antylopy. Słonie podnosiły trąby i nawoływały się głośno. Żyrafy skubały liście z wysokich drzew.

− To mój świat – powiedział Jardal, uśmiechając się władczo i dumnie – więc mogę go stworzyć.

Lys skuliła się w sobie, przerażona. Patrzyła, jak czarodziej siedzi ze skrzyżowanymi nogami i wzniesionymi dłońmi, głosem i gestem powołując elementy świata do istnienia. Tworzył z pustki – to było więcej, niż Międzyświat mógł dotąd zaoferować.

− Mogę to opanować – odezwał się Jardal. – Mam w sobie jakąś moc. Magię. Czuję, że tam, skąd tu trafiłem, również potrafiłem robić różne rzeczy…

Lys rozsiadła się na trawie i skrzyżowała nogi w kostkach. Zamknęła oczy. Trawy pachniały i cicho szeleściły, poruszane wiatrem.

− Dobrze, że to zrozumiałeś – powiedziała.

− Co, twoim zdaniem, zrozumiałem? – zapytał ostro.

− Że czas wybrać siebie. – Wzruszyła ramionami.

− Niczego takiego nie powiedziałem. – Głos czarodzieja zawibrował gniewem i niepokojem.

− Być może nie – zgodziła się uprzejmie. – Ale właśnie to robisz.

Odwrócił się i zmierzył ją niechętnym spojrzeniem.

− Co takiego robię? – zapytał.

Znów wzruszyła ramionami.

− Zadomawiasz się tu. Przyjmujesz ten świat i przekształcasz go w swój. Zagarnąłeś kawałek Międzyświata i zacząłeś stwarzać. I to stwarzać ładnie, jakbyś był jakimś cholernym demiurgiem. Gratuluję.

− To niczego nie dowodzi, Lys. Wolisz koszmary? Albo pustkę. Proszę bardzo. Już wspominałem, że wcale cię nie zatrzymuję.

− Ty może nie. – Przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się spod rzęs. – Ale już twoje działania… Czuję się jakoś lepiej, Xen. To dowodzi, że jednak tak do końca mnie nie odrzucasz.

Zerwał się, w jednej chwili dopadł do niej i chwycił za gardło.

− Jak mnie nazwałaś?… – warknął.

Patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami, a w złych zielonych oczach po raz pierwszy zakiełkowało przerażenie. Uczepiła się palcami jego dłoni, zaciskającej się na jej szyi. Rozluźnił chwyt.

− Daję słowo, że nie wiem, skąd mi się to wzięło – wyszeptała, patrząc na niego ze strachem. − Xen… Przed chwilą mi się przypomniało. Twoje imię. *Xenos*. Imię Wędrowca. Mówiłeś, że jestem tobą, jakąś częścią ciebie… i zacząłeś stwarzać, więc chyba po prostu… wraca nam obojgu pamięć Międzyświata.

Wstał i odwrócił się od niej. Potarł czoło.

− Ale to oznacza, że…

− …że wracasz tutaj – dokończyła triumfalnie. Jej oczy znów zalśniły złym blaskiem. – Skończą się twoje cierpienia, będziesz mógł zapomnieć i znów zmienić świat.

Rozejrzał się wokół, omiatając wzrokiem to, co stworzył. Zieloną, spokojną i bez wątpienia piękną ziemię. Westchnął.

− Lys – zapytał – czy jesteś pewna, ale to absolutnie pewna, że… nie jesteś oddzielną istotą, tylko częścią mnie?

Zmierzyła go długim spojrzeniem.

− Sam powinieneś odpowiedzieć sobie na to pytanie – odrzekła. – Podobnie jak ty, nie mam całkowitej pewności co do natury własnego bytu. Skąd miałabym to wiedzieć, skoro ty nie wiesz?

− Zakładając jednak, że nie istniejesz samodzielnie, a jedynie jesteś częścią mnie – odwrócił się do niej – czy myślisz, że mógłbym cię zabić?

*

− Obserwowanie niedługo dobiegnie końca – powiedziała Pierwsza Prządka.

− Zaprzeczam – powiedziała Druga. – Ta sprawa będzie się ciągnęła aż po granice czasu.

− Nawet jeśli nici życia zostaną przecięte? – zapytała trzecia.

− Mam tu jego nić – powiedziała Pierwsza. – Ledwie drży. Świeci słabym, złotym światłem.

− Nie przetniesz jej – zaniepokoiła się Druga.

− Nie – powiedziała Pierwsza. – On sam to zrobi. To Wędrowiec Światów. Możemy go tylko Obserwować. Nie mamy nad nim żadnej władzy.

− Miałaś być Zwolennikiem – przypomniała jej Trzecia. – To na tobie miał spoczywać ciężar Wiary w Eksperyment.

− Jestem nim cały czas – zaoponowała Pierwsza Prządka. – Moja rola nie miała jednak polegać na byciu Zwolennikiem czarodzieja i czarodziejki. Jestem zwolennikiem Opowieści.

− Ale to ich Opowieść – przypomniała Druga.

− Będą musieli rozplątać, złączyć lub przeciąć swoje nici na własny rachunek – stwierdziła Trzecia. – Ich wybory ograniczone są do rozgałęzień Opowieści.

− To wciąż pozostawia im całkiem dużo władzy nad rzeczywistością – zauważyła Pierwsza.

− Zaprzeczam – stwierdziła Druga.

− Doskonale – podsumowała Trzecia Prządka. – Role Zwolennika, Przeciwnika i Mediatora funkcjonują dokładnie tak, jak powinny.

*

Leta Therrus obudziła się z okropnym bólem głowy. Sklęła samą siebie w myślach za nadużywanie zielonego eliksiru, w tym momencie jednak nic już nie można było na to poradzić. Czuła się tak, jakby kowalskie młoty próbowały od środka rozsadzić jej czaszkę. Każdy dźwięk i promień światła był nie do zniesienia. Do tego zaczynały ogarniać ją mdłości, ściskając gardło i zawiązując żołądek na ciasny supeł. Pomyślała, że pewnie ma to jakiś związek również z tym, że poprzedniego dnia odesłali do zamku eskortujących ich rycerzy Marii Sereny i wkroczyli na Drogę Mędrców. To miejsce miało w sobie dziwną magię,

tak jakby ujemną. Nie oznaczało to, że złą. Był to raczej wyczuwalny niemal fizycznie – zwłaszcza dla kogoś tak uwrażliwionego jak ona – brak magii. Droga odbierała moc i dawała w zamian namacalną pustkę. Leta bała się myśleć o tym, jak będzie się czuła na Pustej Ziemi, skoro już jej przedsmak na szlaku daje takie efekty uboczne. A przecież po drodze leżała jeszcze Xanta i kilka innych cywilizowanych osad.

Tajemnicza Droga Mędrców okazała się niezbyt szerokim traktem prowadzącym przez skaliste pustkowia, poprzecinane gdzieniegdzie karłowatymi lasami. Nad pustaciami przelatywały czasem stada kruków. Cantia nieodmiennie wzdrygała się na ich widok. W górze kołowały sępy, a niekiedy unosiły się majestatycznie górskie orły. Skalisty grunt pokrywała zbrązowiała trawa i rudawe porosty. Niebo przez cały czas miało kolor poszarzałego chalcedonu, jakby zasnuwała je równomierna warstwa chmur, które nigdy się nie rozstępują, żeby ukazać najmniejszy choćby promień słońca. Podróżowali w milczeniu – przodem Bertoglio i baronówna na koniach, a z tyłu Leta i Agostino w dziwnym rydwanie, który na takiej drodze zadziwiająco dobrze się sprawdzał, choć stary uczony ciągle narzekał na bóle stawów i na to, że czuje każdy wybój na drodze. Obozowali zwykle w cieniu dużych skał albo w zagajnikach karłowatych drzewek.

Leta jęknęła, gdy ktoś przy ognisku uderzył chochlą w kociołek. Zawołała Cantię, ale krzyk ledwie wydostał się z jej ust. Jednak młoda adeptka usłyszała głos i po krótkiej chwili zjawiła się w namiocie. Leta, skrzywiona z bólu, wskazała jej głową szkatułkę z medykamentami. Gdy baronówna ją przyniosła, czarodziejka wygrzebała stamtąd płaski biały kamień i przyłożyła go sobie do skroni. Po chwili z westchnieniem ulgi osunęła się na poduszki. Cantia przysiadła przy niej i oplotła kolana ramionami.

− Leto – zapytała – czy ja będę czarodziejką?

− Dlaczego masz wątpliwości? – zapytana uśmiechnęła się kpiąco. Poprawiła się na poduszce i znów westchnęła z ulgą, czując, jak przemija również ból pleców i ramion. – Po tym, jak magicznie zdemolowałaś kuchnię w zamku Tanis i nabiłaś solidnego guza naszemu drogiemu Bertoglio…

− Nie chodzi mi o umiejętności. – Cantia potrząsnęła głową. – Już wiem, że potrafię… coś. Niekoniecznie to, co chciałabym zrobić, ale…

− Więc o co chodzi? – spytała cierpliwie Leta.

− Ja nie wiem, czy… dam radę. No wiesz. Nie złamać Przysięgi.

Stara czarodziejka zapatrzyła się w wiszące ponad jej głową płótno namiotu.

− To bardzo delikatna sprawa, moja mała – powiedziała po chwili. – Po ukończeniu nauki w Emain można dokonać różnych wyborów. Ja postanowiłam

przejść wtajemniczenie i otrzymać szary płaszcz. Maria Serena zrezygnowała. Sama będziesz musiała zdecydować, co dla ciebie najlepsze.

− Tyle że ja wiem, czego bym chciała – westchnęła rozpaczliwie Cantia. – Naprawdę chcę zostać czarodziejką. Nie wyobrażam sobie innej drogi. Ale…

− Ale co, moje dziecko?

− Najbardziej – baronówna wypuściła powietrze z płuc – chciałabym być Mitrią z Cantaleny.

Leta Therrus milczała przez chwilę, gładząc miękkie, kasztanowe włosy Cantii. Ramiona dziewczyny drżały. Opuściła głowę, prawie dotykając nią kolan.

− Życie Mitrii jest pełne cierpienia – powiedziała miękko Leta.

− Domyślam się tego. Ale ja i tak… − szepnęła baronówna.

− To normalne, moja droga. Wciągnął cię wir opowieści. Pięknej historii o tragicznej miłości, która zmieniła się w legendę. Śpiewają o niej wędrowni bardowie. Chciałabyś znaleźć się wewnątrz takiej opowieści, prawda? Stać się jej bohaterką? Marzysz, żeby to o tobie pieśniarki, takie jak Erian i Myrra, układały ballady, powtarzały opowieść o twoich niezwykłych losach przy stołach książąt, przy kominkach, w jadalnych salach zamków wielkich panów?…

Cantia przytaknęła. Oparła głowę o posłanie, na którym spoczywała stara czarodziejka.

− Leto…

− Tak, dziecko?

− Czy oni zostali już na zawsze wygnani, dlatego że złamali Przysięgę?

Strażniczka Bram wciągnęła powietrze i znów na chwilę zamilkła.

− Przysięga nie jest ostateczną instancją regulującą życie magów – powiedziała w końcu ostrożnie. – To my ją ustanowiliśmy, szukając sposobów, aby zapobiec deprawacji, bezprawiu i szaleństwu. Nikomu jeszcze tego nie mówiłam, Cantio von Essen, ale powiem to teraz tobie. Uważam, że Przysięga jest narzędziem niedoskonałym i w wielu wypadkach krzywdzącym. A złego prawa nie należy bezwzględnie egzekwować, ale przemyśleć je na nowo i zmienić. I tym właśnie my, magowie, powinniśmy się zająć. Podejmę kroki w tym kierunku, kiedy tylko wrócimy do Emain.

− A czy… − Cantia zawahała się.

− Tak?

− Czy Przysięga nie jest gwarantowana magią Glinianej Pieczęci? Przecież wszystkie wyroki zatwierdza się właśnie w ten sposób…

− Nie. Dziwi cię to? Pozwól, że wyjaśnię. Magią Pieczęci włada tylko jej Nosiciel, czyli w tym wypadku Nosicielka, Eveyln von Stein. Istnieje niepisane prawo, mówiące, że Pieczęć nigdy nie powinna opuszczać Emain. Ale Przysięga to tylko słowa, a nie jakiś magiczny pakt, który zawieramy. Wyroki feruje – a

przynajmniej powinna ferować – Kapituła, a zatwierdza je Nosiciel Pieczęci. To my sami egzekwujemy na sobie nawzajem przestrzeganie litery Przysięgi. Gliniana Pieczęć, choć potężna, nie ma tu, wyobraź sobie, nic do rzeczy.

Leta poczuła, jak sztywność ramion jej młodej podopiecznej ustępuje. Cantia rozluźniła się i wtuliła policzek w futro okrywające posłanie czarodziejki.

− Więc będę mogła kochać – westchnęła. – Nawet jeśli spotka mnie kara, pozostanę czarodziejką i nie będę przeklęta…

− To nie takie proste – powiedziała chłodno Leta. – Uważam, że jeśli zasada jest zła, sprzeczna z rozumem i doświadczeniem, można i należy ją złamać, a najlepiej zmienić. Ale zasada jest zasadą – dopóki nie zostanie zmieniona, obowiązuje. Przynajmniej z formalnego punktu widzenia. Jeśli chcesz ją złamać, musisz liczyć się z konsekwencjami, które prędzej czy później cię spotkają.

− Więc odradzasz mi łamanie zasad, Leto? Lepiej poczekać, aż zostaną zmienione?

− Nie, moja droga. Jak powiedziała pewna moja przyjaciółka, jeśli chcesz łamać zasady, łam je mocno i na dobre.

Cantia parsknęła śmiechem i na moment przytuliła się do Lety. Potem wybiegła z namiotu i zaczęła pokrzykiwać na Berta i Agostina Vallę, żeby przynieśli więcej chrustu do ogniska. Czarodziejka słyszała wesołe postukiwanie łyżki o ścianki kociołka, kiedy jej podopieczna energicznie mieszała w garnku kaszę ze skwarkami. Westchnęła i przycisnęła ręce do skroni. Ból głowy minął, ale pozostało dziwne pulsowanie i szum.

Leta otworzyła puzderko i zdjęła z niego górną warstwę, na której stały w równych rzędach flakoniki z eliksirami. Pod spodem krył się schowek, zawierający zbiór przedmiotów, na pierwszy rzut oka przypadkowych. Było tam kilka kamieni, sznurek, jedwabna chusteczka, srebrny pierścień, ptasie pióro i kilka innych drobiazgów. Czarodziejka wygrzebała z dna nieduży okruch lusterka, nie większy od trzech złożonych razem złotych monet. Przesunęła po nim dłonią i wyszeptała zaklęcie. Powierzchnia zwierciadła powlekła się mleczną mgłą.

− Aurelianus! – zawołała cicho.

Obraz zamglił się jeszcze bardziej, a potem spowił go ciężki, ciemny dym. Leta krzyknęła. Powierzchnia lusterka zamigotała obsydianową czernią, a potem wszystko znikło.

W tej samej chwili przybiegła Cantia. Wsadziła głowę do namiotu i zaczęła paplać bez opamiętania:

− Choć już do nas, Leto, kasza stygnie, a te uczone i szlachetnie urodzone ciamajdy oraz gałęzie rodu nie potrafią nawet ogniska porządnie rozpalić. Z gałęzi. Prawdziwych.

Czarodziejka westchnęła. I poszła. Cóż było robić.

*

Ręce Vereny Haage drżały. Gliniany kubek pełen pitnego miodu lekko postukiwał o zęby. Gdy wypiła kilka dużych łyków, prawie się zachłystując, i odstawiła go na gliniany talerz z resztką chleba, zadrgał i zabrzęczał.

Verena potarła nadgarstki. Kajdany obtarły jej skórę prawie do krwi. Teraz natarte maścią rany zaczynały się goić, swędząc nieznośnie. Łańcuchów nie było, a obręcze z gwiezdnego żelaza czarodziejka wsunęła trochę wyżej, do połowy przedramion. Odrzuciła głowę w tył i wciągnęła w płuca słone morskie powietrze. Palce bosych stóp zagłębiła w chłodnym piasku.

Wypuścili ją. Naprawdę ją wypuścili. Co prawda tylko z ciemnego pokoju do tego dziwnego świata stworzonego przez Haakona Sverasona, ale i tak musiała się postarać, żeby stłumić w sobie odruch bezrozumnej wdzięczności. Słyszała kiedyś o tym, że ofiara, osamotniona, przerażona i trzymana w zamknięciu, zaczyna czasem ślepo przywiązywać się do swojego oprawcy – jedynego człowieka, który ją karmi i odwiedza. Wymachujący mieczami wyzwoliciele, których oprawca się boi, zaczynają być postrzegani jako zagrożenie. O ile w ogóle takowi się znajdą.

Głęboko odetchnęła. Spokoju, który w sobie odnalazła, musiała teraz użyć jako broni przeciwko samej sobie. Musiała pozwolić radości i wdzięczności roztopić się w nim tak samo, jak zrobiła to poprzednio z gniewem, strachem i nienawiścią. Gdy o tym pomyślała, poczuła przypływ odrazy do Adelarda z Tradivy. Wzięła głęboki wdech, wsłuchała się w szum własnej krwi, pulsującej w sercu i gdzieś blisko uszu, i spróbowała o niej zapomnieć, schować ją gdzieś w najgłębszych zakamarkach umysłu. To nie znaczyło, że zapomni. O, nie. Musi tylko poczekać. Chwilowo stało się to łatwiejsze, bo Adelarda od kilku dni nie było. Verena zastanawiała się dlaczego, ale nie ciekawiło jej to za bardzo. Pewnie wyjechał gdzieś knuć dalsze intrygi. Ale jego nieobecność sprawiła jej ulgę i jednocześnie powodowała napięcie – porównywalne z oczekiwaniem na cios.

Pomimo chwilowej poprawy swojego położenia Verena nie potrafiła pozbyć się tego uczucia. Instynktownie cały czas czekała.

Kroki zachrzęściły na piasku. Haakon Svearson usiadł obok niej, objął kolana ramionami i głośno wciągnął w płuca słone powietrze.

− Brakowało mi tego – rzucił. Verena milczała. – Południowe morze w Emain Avallach to nie to samo. Zbyt ciepłe, zbyt… hm, nijakie. Nawet ci kmiotkowie, którzy zamieszkują okoliczne wioski i trudnią się połowem ryb, jacyś nie tacy. Głupawi jak nie przymierzając te owce, które hodują. Żaden z nich nie utrzymałby miecza w dłoni, ba – nawet by nie wiedział, jak go chwycić. Co

innego na Północy. Tam każdy zagrodnik wyrusza na wiking. My nie hodujemy, my wpadamy jak północny sztorm i zabieramy, co nasze. A opornym podrzynamy gardła.

Verena pomyślała sarkastycznie, że jest to sposób życia ze wszech miar cywilizowany i godny pochwały, ale nie powiedziała nic. Zbyt się bała. Sama obecność Norda sprawiała, że ciarki przebiegały jej po skórze. Pod spojrzeniem jego bladych oczu miała ochotę się skulić. Trwała więc bez ruchu, jak sparaliżowana, zmuszając się do trwania w tej samej pozycji.

Była wolna (pozornie) od zaledwie kilku dni. Jej taktyka poskutkowała. Oprawcy nagle zorientowali się, że moc, którą czerpali z gwałcenia jej, z jej przerażenia, wściekłości i nienawiści, stopniowo słabnie. Przypisali to normalnemu otępieniu, spowodowanemu pobytem w ciemnicy. Byli przekonani, że to symptom stopniowego rozkładu osobowości, więc nawet nie obserwowali jej dokładnie. A Verena nauczyła się udawać. Patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem, jadła mechanicznie, ruchy miała spowolnione i oszczędne. W końcu Adelard uwolnił ją z łańcucha i wyprowadził na światło, zostawiając tylko obręcze na przegubach rąk. Nie byli aż takimi głupcami – chowali wszystkie ostre przedmioty, a jeść musiała palcami. Ale stopniowo pozwalali jej na coraz więcej swobody. Mogła nawet odbywać krótkie przechadzki brzegiem morza. Ze zdziwieniem zaobserwowała, że iluzja Haakona obejmuje znacznie większą przestrzeń, niż wcześniej w ogóle uznawała za możliwe.

A potem Adelard bez słowa zniknął i – jak dotąd – nie wrócił.

Verena bała się odetchnąć z ulgą. Czekała wciąż na zaczajonego w mroku drapieżnika.

Bała się tego, co zrobi Haakon, pozostawiony z nią sam na sam. Ale on najwyraźniej nie miał zamiaru robić nic. Dotarło to do niej po kilku dniach chowania się przed nim po kątach i zamierania na sam dźwięk jego kroków. Przemoc już chyba po prostu go znudziła. Nie lubił przesady, wolał sycić się wrażeniem, które na niej wywiera i – jak się domyślała – obietnicą powrotu do dawnych zwyczajów, kiedy tylko czarodziejka odzyska psychiczne siły i minie jej zobojętnienie. Na razie był dla niej uprzedzająco miły. Chyba go to bawiło.

Teraz, kiedy siedział obok niej i rzucał gawędziarskim tonem niezobowiązujące uwagi, poczuła kiełkującą nadzieję. Przeciągnęła się lekko i poprawiła włosy.

− Chciałabym się uczesać – powiedziała. – To chyba nie tak wiele. Czuję się jak sfilcowana owca.

− Nie myśl sobie…

− Grzebień, Haakon. Taki mały przedmiot z kości. Niegroźny. Jest w moim bagażu.

Wzruszył ramionami, podniósł się i oddalił w stronę chaty. Do tej pory żaden z nich nie pozwolił Verenie dotknąć jej rzeczy. Nawet nie wiedziała, gdzie schowali podróżną torbę, którą miała przytroczoną do siodła.

− I kilka spinek! – krzyknęła za odchodzącym.

Haakon wrócił po chwili i rzucił jej pod nogi cały sakwojaż. Najwyraźniej odnalezienie grzebienia w damskim bagażu go przerosło.

− Tylko nic nie kombinuj – mruknął.

Posłała mu spojrzenie będące mieszaniną lęku i pobłażania. Jak ktokolwiek rozsądny – mówiło – mógłby przypuścić, że w kobiecych drobiazgach znajdzie się cokolwiek choćby w przybliżeniu przypominającego broń.

Bez trudu odnalazła grzebień w małej wewnętrznej kieszonce, rozdzieliła włosy na pasma i zaczęła je czesać. Haakon usiadł obok i przyglądał się jej z zainteresowaniem. Czarne fale uwalniały się ze skołtunionego nieładu i zaczynały lśnić.

− Nasi mężczyźni sporo by za ciebie dali – rzucił Nord. – Mogłabyś zostać nawet żoną jarla.

Czarodziejka nie skomentowała. Svearson rozparł się na piasku, z dumą obserwując drobne fale marszczące powierzchnię morza, polatujące nad wodą mewy i wyciągnięte na brzeg łodzie. Verena podążyła za jego wzrokiem.

− Pąkle, wodorosty i mchy też stworzyłeś? – zapytała, patrząc na obrośnięty zielskiem kadłub na wpół przegniłej łodzi, niknący pod ciężkimi girlandami skorupiaków.

− Uhm – mruknął. – Chciałem, żeby było bardziej wiarygodnie. Rzeczywistość nigdy nie jest idealna, pełno w niej skaz, oznak zepsucia, rozkładu i walki o przetrwanie. W gruncie rzeczy to piękne, nie uważasz? Przynajmniej ja tak sądzę, choć twój Adelard pewnie by się ze mną nie zgodził. On preferuje dążenie do ideału – dodał kpiąco.

Verena poczuła ściskanie w gardle na sam dźwięk słów „twój Adelard”.

− Gdzie on… gdzie on teraz jest? – spytała, przełykając ślinę.

− Ach, stęskniłaś się, gołąbeczko. Urocze. Właściwie nie powinienem udzielać ci żadnych informacji. To nasze tajemne plany, wiesz.

Czarodziejka nadal zapamiętale czesała włosy. Powoli, metodycznie, pasmo po pasmie. Nie odrywała wzroku od starannych ruchów grzebienia.

− Ale właściwie… skoro i tak stąd nie wyjdziesz, co mi szkodzi – zarechotał Haakon. – Nasz przyjaciel wyjechał w interesach. Zapytasz jakich. No cóż, jeśli nie jesteś tak głupiutka, jak mi to przez cały czas przedstawiał, zrozumiesz, że naszym celem jest przegrupowanie sił w świecie, którym do tej pory władała stetryczała Kapituła. Sprowokujemy Evelyn von Stein do kolejnego fałszywego ruchu, który rozdrażni tych zdemenciałych durniów w srebrnych płaszczach. Ci

w błękitnych, jak sama wiesz, się nie liczą. Krąg, dobre sobie – prychnął – skaczący tak, jak zagra mu przekonana o własnej ważności idiotka z bryłką suszonego łajna na szyi.

Verena nie zaprotestowała. Podniosła tylko na rozmówcę wzrok. Już nie przelękniony, ale pełen nieśmiałego podziwu. Taki, który zachęcał: „mów dalej”.

I Haakon mówił.

− Kiedy już dojdzie do wrzenia w Kapitule, do akcji wkroczy mój królewski protektor, Carragan Vetting. Enneada leży o miedzę od Emain. Władca będzie miał pełne prawo odczuwać niezadowolenie z powodu niepokojów w sąsiedztwie, i do tego sąsiedztwie magicznym. – Haakon Svearson wyszczerzył w uśmiechu swoje wilcze zęby. – Więc po prostu wkroczy i zrobi porządek. Jak w każdym innym państwie. Nie napotka najmniejszych przeszkód. Jak to? – zapytasz z pewnością. Przecież połączone siły największych magów naszych czasów powinny wystarczyć do tego, by zmieść śmieszną armię Vettinga z powierzchni ziemi, zakręcić nią młynka i pomachać na pożegnanie.

Verena postarała się, żeby to pytanie było bardzo wyraźnie widoczne w jej oczach. Naprawdę się postarała.

− Pewnie nawet byś się nie myliła – kontynuował Svearson, przeciągając się z miną czatującego na ofiarę drapieżnika – ale nie bierzesz pod uwagę wszystkich zmiennych. Część tych stetryczałych staruszków, na czele z wiedźmą od Glinianej Pieczęci, zakrzyknie pewnie, że to łamanie Przysięgi, popychanie naprzód mistyczno-bzdurnego Koła Dziejów i tym podobne dyrdymały. Inni, pewnie młodsi, będą wrzeszczeć, że w sytuacji zagrożenia mamy prawo się bronić. Powstanie małe pandemonium, a Carragan Vetting zdąży pozakuwać wszystkich w zgrabne kajdanki z gwiezdnego żelaza, zanim w ogóle zorientują się, co się dzieje.

Twarz Vereny nadal nie zdradzała niczego poza uprzejmym zainteresowaniem. No, może jeszcze odrobinkę czegoś innego. Czarodziejka przechyliła lekko głowę, szeroko otworzyła oczy, starając się nadać im blask, odrobinę rozchyliła wilgotne usta. Gdyby mogła, magicznie rozszerzyłaby sobie źrenice, ale tej możliwości była chwilowo pozbawiona.

− Zapytasz pewnie – Haakon wpatrzył się w jej oczy – czemu nie zareagują na to pozostałe Wolne Miasta? Czemu nie zakrzykną w głos, że dzieje się gwałt i niesprawiedliwość?

Czarodziejka przytaknęła skinieniem głowy.

− I to jest najsprytniejsza część planu, a zarazem powód, dla którego nasz drogi Adelard z Tradivy przebywa teraz daleko stąd – wyszczerzył się Nord. – Na dworze Carragana Vettinga będzie wówczas przebywał ambasador Tarrentu, którego twój luby podjął się sprowadzić. Ogłosi on wszem i wobec, że cesarstwu

głęboko znudziło się wysłuchiwanie pomiaukiwań przedstawicieli tych wszystkich śmiesznych południowych państewek i jeśli cesarz zażyczy sobie, może przekroczyć góry i wreszcie zrobić z nimi porządek. Wszystko zostało już w tym celu przygotowane. A Enneady niech nikt nie waży się ruszyć, bo pozostaje ona pod ścisłym protektoratem cesarza Tarrentu i od pewnego czasu gości kilka oddziałów jego armii. Jakim cudem wojska cesarskie miałyby znaleźć się tak daleko od domu, i to nie nawiedzając po drodze innych Wolnych Miast? – Svearson coraz bardziej się zapalał. – Zapominacie, panowie i panie, o verdyjskich kupcach i piratach, którzy co prawda płynąć muszą trochę okrężną drogą, ale za odpowiednim wynagrodzeniem gotowi są przerzucić morzem choćby transport słoni, a co dopiero parę setek żołnierzy…

− Ale co cesarz będzie z tego miał? – zapytała Verena, na chwilę wypadając z roli idiotki. Skarciła się w myślach, po czym pochyliła głowę, prawie dotykając twarzy Norda i wpatrując się w jego blade tęczówki rozszerzonymi źrenicami.

− Ha! Dobre pytanie. – Haakon na szczęście tak już uległ potędze własnej wizji, że zmianę w zachowaniu czarodziejki uznał za naturalną. Oblizał usta. – To, co zwykle, moja mała. Władzę, pieniądze i wpływy. Kiedy obsadzi swoimi ludźmi Enneadę i Emain Avallach, zyska klucz do południowego morza i zacznie kontrolować wszystkie szlaki handlowe, a wraz z nimi południowe państwa-miasta. Nie trzeba będzie nawet wojny, a już na pewno nie wielkiej. – Wyciągnął rękę i zanurzył dłoń w jej włosach. Verena poddała się z westchnieniem, odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy. Opadli na piasek. Przez chwilę mocował się z jej sukniami i z własną klamrą od pasa. Pomogła mu zręcznymi palcami. Zadarła spódnicę powyżej talii. Gładziła go po plecach, ramionach, twarzy. Znała już jego nawyki i potrzeby.

Wszedł w nią pospiesznie, niecierpliwie. Chrapliwy oddech nagle zmienił się w nieartykułowany wrzask.

− Ogniwo z łańcucha – wysyczała Verena – zwinięte w spiralę. Z takim wrednym zakrzywieniem do środka. Mnie nie boli. Po prostu tam jest. Wewnętrzną stronę trochę naostrzyłam kamieniem, więc ciebie, jak przypuszczam, boli bardziej.

Skulił się na niej, niezdolny do wykonania ruchu w żadną stronę. Czarodziejka wysunęła skrywaną w dłoni szpilkę do włosów, którą chwilę wcześniej wyciągnęła z fałd sukni, gdzie ukryła ją, udając, że przeszukuje torbę. Wbiła szpilkę w oko Haakona. Głęboko, aż do mózgu. Przewróciła go na plecy i zsunęła się na piasek, z obrzydzeniem wycierając w jego koszulę zakrwawioną dłoń. Nord konał, drgając i rzężąc. Verena odsunęła się od niego i, dygocąc, usiadła na piasku. Nie odrywała od niego wzroku, dopóki nie przestał się poruszać i nie zesztywniał z rozdziawionymi ustami, wywalonym językiem i

jednym zeszklonym okiem wpatrzonym nieruchomo w niebo. Zamiast drugiego ziała makabryczna, zakrwawiona rana.

Świat wokół nie zniknął. Svearson musiał ustabilizować go jakimś czarem niezwiązanym z samym sobą.

Verena podpełzła na brzeg morza i zaczęła obmywać się z krwi. Ręce drżały jej tak, że z trudem kontrolowała ich ruchy. Cała suknia nasiąkła wodą, ale czarodziejka nie zwracała na to uwagi. Siedziała na granicy piasku i wody, trzęsąc się spazmatycznie, rozmazując na twarzy krew i muł.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim wstała i powlekła się w kierunku chaty. Z drugiego, większego sakwojażu wydobyła zapasową suknię i przebrała się w nią. Szukała jakiegoś przedmiotu, za pomocą którego mogłaby zdjąć żelazne obręcze z przedramion, ale niczego takiego nie znalazła. Sztylet się nie nadawał, a nawet gdyby – nie była w stanie zrobić tego sama, nie kalecząc się. Obeszła wszystkie pomieszczenia i ze zgrozą przekonała się, że nie jest w stanie otworzyć niczego, co zostało zamknięte za pomocą magii. Żadnych drzwi, żadnej szafki ani nawet skrzyni. Gwiezdne żelazo na jej nadgarstkach wciąż działało.

W nagłym przypływie lęku przeszła przez hallę, weszła do przedsionka i stanęła przed żelaznymi wrotami osadzonymi w skale. Nie miały klamki ani nawet kołatki. Otwierały się wyłącznie magicznie. Zaklęciem znanym najwyraźniej tylko twórcy tego miejsca. Być może po jego śmierci zareagowałyby również na inny magiczny rozkaz, ale Verena nie dysponowała w tej chwili nawet mocą zdolną otworzyć kasetkę z biżuterią.

Dotknęła drzwi i nie poczuła żadnych wibracji. Próbowała przypomnieć sobie formułę, za pomocą której Adelard usiłował wejść do środka. Pamięć odmówiła jej posłuszeństwa, a próby przypominania sobie wydały jej się z góry skazane na niepowodzenie. Przecież zaklęcie wypowiedziane przez tradivczyka również nie zadziałało. Wrota otworzyły się dopiero na rozkaz Haakona.

Osunęła się na podłogę i wybuchnęła płaczem. Tama się zerwała i strumień przerażenia, histerii, obrzydzenia i bezradności wreszcie wyrwał się na zewnątrz. Siedziała tak, kołysząc się w przód i w tył, obejmując ramionami i szlochając.

Dni, które potem nastąpiły, mijały monotonnie. Umościła sobie w halli, tuż przy palenisku, legowisko ze skór. Progu ciemnej i cuchnącej sypialni z ogromnym łożem nie chciała nawet przestępować. Znalazła zapasy solonego mięsa, kaszy i chleba, wystarczające, by przeżyć jeszcze przez jakiś czas. Piwa i miodu było za to pod dostatkiem. Rozpalała ogień i za pomocą kociołka zawieszonego nad paleniskiem przyrządzała sobie proste posiłki. Nie wychodziło jej to najlepiej, bo tak naprawdę w ogóle nie umiała gotować, ale przynajmniej nie była głodna. Odkryła, że boczne wejście prowadziło do stajni i do padoku dla koni, gdzie jej wierzchowiec pasł się spokojnie razem z gniadoszem Haakona.

Karmiła konie owsem i szczotkowała je. Dużo spała. Teraz, gdy opadły emocje i wróciło minimalne poczucie bezpieczeństwa, cały czas chciało jej się spać.

Nie mogła zmusić się do tego, żeby pogrzebać leżące nad morzem truchło. Raz przemogła się na tyle, żeby obszukać zwłoki i powyciągać z kieszeni i sakiewek przyczepionych do pasa wszystkie przedmioty, które Haakon Svearson nosił przy sobie. Nie było tego wiele. Kilka monet z wizerunkiem wilka, drakkaru albo młota, parę płaskich pierścieni, które też wyglądały na środek płatniczy, kilka amuletów i klucze do skrzyń. To ostatnie znalezisko okazało się cenne. W skrzyniach znalazła trochę złota, bogatą odzież, ciepły, podbity futrem płaszcz, kosztowne końskie rzędy i ozdobną broń – ale nic, co pozwoliłoby uwolnić się z kajdan czy otworzyć wrota.

Próbowała nie myśleć o tym, co się stanie, kiedy wróci Adelard. Może zdoła wejść, a może nie. Jeśli tak, będzie musiała znów stanąć oko w oko z oprawcą i byłym kochankiem w jednej osobie. Jeśli nie, być może nigdy stąd nie wyjdzie, a wtedy czeka ją powolna głodowa śmierć, bo zapasy kiedyś się skończą. Żadna z tych opcji nie wydawała się szczególnie pociągająca.

Codziennie co najmniej raz stawała przed wrotami. Ich powierzchnię, kutą w przeplatające się gęsto roślinne motywy, znała już prawie na pamięć. Obejrzała dokładnie ich krawędzie i potężne zawiasy. Nigdzie nie było najmniejszej nawet szparki. Żeby wyważyć te drzwi, trzeba by było machiny oblężniczej – a i nie każda dałaby im radę.

Recytowała próżne zaklęcia, wybrzmiewające w ciszy martwym szeptem. Próbowała przepiłować żelazne kajdany sztyletem, ale tylko poraniła sobie ręce. Wszystko na nic. Siadała na niskim stołku naprzeciw paleniska i wpatrywała się w ogień. Po kilku dniach nie miała już siły na łzy.

*

− Vana! Uważajże, smarkulo, bo wpadniesz do strumienia! – Schrypnięty głos praczki Sonny rozbrzmiał na brzegu, wśród szumu wody i rytmicznego plusku kijanek.

− Nie krzyczcież, kumo, na dziecko. – Stara Oda wyprostowała się, pocierając obolały grzbiet. – Wypluskać się musi, a może i pstrąga jakiegoś na kolację złowi.

Pozostałe praczki zarechotały życzliwie, ale Sonna, z uniesioną głową i zmarszczonymi brwiami, wciąż obserwowała córkę. Dziewięcioletnia Vana stała po kolana w wodzie, unosząc w górę rąbek białej koszuliny, i zafascynowana wpatrywała się w rwący nurt, który z sykiem omijał największe kamienie.

− Więc jak to było z owymi przybyszami z dalekich stron? – zapytała Krzywa Teska, kobiecina chuda jak szczapa i tak powykręcana, jakby model, na

podstawie którego jakiś artysta zobowiązał się ją wykonać, spadł z wysokości. Nos miała długi i zakrzywiony w lewą stronę, jedną łopatkę wyższą, a biodra wykręcone w prawo, przez co jej kościste ręce i nogi też wydawały się nierównej długości. Dłonie miała węzłaste od wiecznego namaczania w wodzie. Jako jedyna spośród zgromadzonych tego dnia na brzegu strumienia była zawodową praczką, trudniącą się opieraniem brudów bogatszych gospodyń. Pozostałe przyszły tylko uporać się ze stosami własnej brudnej bielizny i prześcieradeł. Żadna z nich się nie odezwała, ale wszystkie nadstawiły uszu. Za nic w świecie nie przyznałyby się, że pali je ciekawość. Tylko Krzywa Teska ze swoimi rozbieganymi oczami była na tyle śmiała i bezczelna, żeby zadać pytanie.

Sonna odwróciła wzrok od córki i westchnęła.

− Nadjechali koło południa, traktem od strony Pustej Drogi.

Rozległo się kilka szmerów i westchnień, ale stara Oda natychmiast uciszyła kobiety dyplomatycznym sykiem. Nie trzeba było Sonnie przerywać, skoro już wreszcie zaczęła, niech mówi. Kilka kijanek zapluskało, wybijając odpowiedni dla opowieści rytm.

− Ilu ich było? – zapytała bez skrępowania Krzywa Teska. Oda syknęła.

− Kilkoro – odparła ostrożnie Sonna, która niezbyt dobrze umiała liczyć, ale za nic w świecie nie przyznałaby się do tego. – Na przedzie czarodziejka – zaczęła wyliczać – młoda i kraśna, rudowłosa, na koniu kasztanowej maści.

− A suknię jaką miała? – nie wytrzymała młoda Adna, niezwykle zainteresowana strojami.

− Prostą, ciemnozieloną, bez żadnych ozdób – odpowiedziała Sonna. – Spod sznurowania tylko koszula biała wyglądała, a na wierzchu nosiła płaszcz brunatny, z kapturem.

− A skąd wiedzieliście, Sonno, że to czarodziejka, a nie zwykła jakaś szlachcianka? – zapytała znów Krzywa Teska.

Sonna odgięła się w tył, prostując kręgosłup.

− Ano, poznałam – odpowiedziała nie bez dumy w głosie. – Dziad mój za młodu w wieży u maga służył i to mi przekazał, że jeśli ktoś na pozór młody, skórę ma gładką, włosy lśniące, ale w oczach jakąś taką głębię, niby starość – musi czarodziej. A po prawdzie to oni i o magii gadali – dodała już mniej butnie. – I był tam jeszcze jeden…

− Co wy powiadacie? – przerwała jej gruba Marcyna. – Drugi czarodziej?

Sonna przytaknęła. Zerknęła w bok na Vanę, która, znudzona moczeniem się w strumieniu, usiadła w pobliżu na trawie i zaczęła przysłuchiwać się rozmowie, bawiąc się wygrzebanymi z dna kamykami.

− Drugi – przytaknęła. – Poważny, jasnowłosy, z orlim nosem, w szarym płaszczu. Elegancki taki, niby jakiś pan, choć wcale bogato nie odziany. Na

karym, pięknym jechał ogierze.

− I kto więcej? – dopytywała Krzywa Teska.

− Olbrzym taki, jakiegoście jeszcze nie widziały. Ogromny. Głową powały w chałupie dosięgał. Kamaszy nie nosił, tylko takie jakieś sandały z rzemyków plecione, wysoko, aż pod kolano wiązane. Tunikę miał szafirową, ale uda gołe. Widno bez portek.

Kobiety zachichotały, ale stara Oda zgromiła je surowym spojrzeniem.

− Za olbrzymem dziewuszka mała, niepozorna, ze dwadzieścia roków może mająca – mówiła dalej Sonna – i jak w obrazek w niego wpatrzona. Za nimi młodzik rycerskiego stanu, w aksamitnym kubraku, przy mieczu. Ten na kasztanowej jechał kobyłce.

− I to wszyscy już? – indagowała niestrudzenie Teska.

− Prawie wszyscy – odrzekła tajemniczo Sonna.

− A kogóż tam jeszcze ze sobą mieli? – Tym razem sama Oda nie zdołała już powstrzymać ciekawości.

− Niedokładnie wiem, bom na własne oczy nie widziała. – Sonna obtarła czoło grzbietem dłoni i znów zgięła plecy nad koszulą, którą chwilę wcześniej zapamiętale tłukła kijanką. – Ale wóz ze sobą mieli, a na nim trzymali kogoś czy coś. Może potwora jakiegoś w klatce. Trudno rzec. Tyle wiem, że od wieczerzy czarodziejka dwa razy wstawała, a czarodziej raz – i na ów wóz się wspinali. Wracali potem bladzi, chwiejący się, a wzrok szklił im się niby w gorączce. A na noc czarodziejka i ta dziewuszka młoda zamiast w izbie u mnie zostać, na tym wozie spać się pokładły. A to wam powiem, że magiczka o poranku wyglądała jak sama śmierć. Kiedy im śmietanę na stół stawiałam, to małom nie rozlała, tak się na nią zagapiłam.

− I dokąd pojechali?

− Do wieży. Uparli się, choć im tłumaczyłam, że u nas, w Xancie, żadnego maga nie ma już od siedmiu dziesiątków lat.

− A dawno odjechali?

− O poranku. – Sonna wzruszyła ramionami. – Mój im drogę pokazał, tamtą obok muru, gdzie stał kiedyś gród, i dalej w górę, na samiutki szczyt.

− Ale że w dawnej wieży magów tylko nietoperze teraz pomieszkują, to pewnie oni dzisiaj wracać będą – dodała domyślnie Krzywa Teska. – Ciekawe, czy znowu u was na mieszkanie staną?

− Na pewno nie u ciebie – zadarła nos Adna, gospodyni młoda, lecz niezwykle ambitna. Teska wymemłała nieartykułowane przekleństwo. Była biedna, ale czysta, porządna i pracowita.

W tej chwili od strony wioski doleciał krzyk. Praczki podniosły głowy i wyprostowały grzbiety niczym stado żerujących czapli, które nagle usłyszały coś

niepokojącego.

− Matkaaa! – darł się wniebogłosy piegowaty Tido, syn grubej Marcyny, błyskając w biegu brudnymi piętami i wymachując trzymaną w ręku czapką.

− A czego, nicponiu? – odkrzyknęła mu Marcyna. Udawała złość, ale tak naprawdę aż pokraśniała z dumy, patrząc na potomka – zdrowego, rumianego i wyrośniętego, nad podziw też posłusznego i pomocnego w gospodarstwie.

Tido dobiegł do nich i przez pewien czas wyrzucał z siebie tylko urywane sylaby, nie mogąc złapać tchu.

− No, co tam? Pożar, trzęsienie ziemi czy też matkę starego… tfu, babuleńkę przywiało? – ponagliła go Marcyna.

− Nic z tych rzeczy – odsapnął w końcu chłopak. – Jeno do naszej chałupy, tak jak wczoraj do kumy Sonny, obcy na koniach przybyli! I z takim wozem dziwacznym, co na dwóch ogromniastych kołach jeździ! Chodźcie prędko, matulu, bo strawy im trza nagotować. To możne jakieś państwo!

Marcyna aż pokraśniała z dumy i zadarła w górę nos. Sonna nie omieszkała pochwalić się sąsiadkom, ledwie je spotkała, hojnym datkiem, który czarodzieje jej na odjezdnym zostawili. A i zaszczyt był niemały.

− Kiedy tak, to lećcie do chałupy, Marcyno – odezwała się przymilnie Adna. – Ja wam pranie pozbieram i odniosę, toć prawie mam po drodze. – Zaczerwieniła się i widać było, że ma ogromną ochotę pod byle pretekstem zajrzeć do domu, na który spłynął taki splendor i obejrzeć sobie cudzoziemskich gości.

− Cichaj, głupia – zgromiła ją Oda. – Bo i my wszystkie pomóc możemy, kiedy sąsiadka w potrzebie. Wiadomo, kto tu piecze najlepsze miodowniki. – Uniosła w górę nos i rozejrzała się wokół, jednak żadna z kobiet nie miała zamiaru kwestionować jej wyższości.

− A kto tym wozem przyjechał? – wypytywała syna Marcyna.

Tido podrapał się po głowie.

− Pani jedna można z klejnotem na czole. W jakich ona latach, nijak rzec nie umiem. Nie młódka już, ale skóra gładka, jeno włosy białe zupełnie, a oczy przenikliwe, że aż mnie ciarki brały.

− Widać znaczna jakaś czarodziejka – odparła Oda tonem znawczyni.

− Z nią na wozie jechał taki stary tetryk, marudny strasznie – kontynuował Tido – a na koniach paniczyk młody i panienka, widno szlachta oboje. – Chłopak niespodziewanie się zaczerwienił.

− I do obejścia ich wprowadziłeś? Jeść co dałeś? – zapytała pociechę Marcyna.

− A tak… − Tido poczochrał się za uchem. – Pod gruszą ich posadziłem i kołacza z maślanką dałem, a potem po was pobiegłem…

− O bogowie! – zawołała Marcyna. – Takiemu państwu kołacza z maślanką! Bogini Antarie mi niedojdę za syna dała… − Zebrała fałdy spódnicy i poleciała truchtem tak szybkim, na jaki pozwalała jej tusza, nawet nie oglądając się na pozostawione na brzegu strumienia pranie.

Tido popatrzył w ślad za nią i wzruszył ramionami.

− A oni – stara Oda wymierzyła w niego zakrzywiony palec – gadali może, dokąd jechać zamierzają?

− Rozpytywali, czy tu na pewno Xanta i gdzie wieża magów – odpowiedział chłopiec. – Ta czarodziejka dziwiła się po trosze, bo rzekła, że pamięta miasto dość ludne, a tu tylko rozsypany mur i parę chałup. To się zdziwiłem, bo dziadunio mówili, że miasto po pożarze i grabieży luźnych band nie podniosło się, będzie z pięć dziesiątek roków. A ona mówiła, że pamięta…

− Mówię wam – Oda uniosła palec w górę – że tu u nas w tej wieży będzie zjazd jakiś wielki czarodziejów. Przyjadą ze wszystkich stron świata, z tych południowych miast bogatych i z samego cesarstwa Tarrentu, i z Eriu na północy. A potem ustanowią sobie tu nową siedzibę i miasto odbudują. To wam powiadam.

Kobiety pospuszczały głowy. Ze starą Odą żadna nie zamierzała się kłócić. Zabrały się za składanie upranej bielizny do koszy. Adna zebrała pranie Marcyny i oddaliła się tak szybko, jak tylko mogła sobie na to pozwolić bez wzbudzania natychmiastowych złośliwych komentarzy.

*

Wielka zielona mucha wpadła pomiędzy muślinowe zasłony, poruszające się leniwie niczym wodorosty na dnie oceanu. Czujny wachlarz z piór na długim trzonku natychmiast uderzył ją i wysłał w powrotną drogę. Półnaga kobieta o skórze koloru miedzi, przystrojona tylko w naszyjniki, brzęczące bransolety i zdobioną klejnotami przepaskę na biodra, powróciła do spokojnego wachlowania skroni Adelarda z Tradivy. Druga, tak podobna, że mogłaby być bliźniaczką pierwszej, delikatnie poruszała wachlarzem nad głową Pierwszego Wezyra.

Adelard pociągnął łyk owocowego sorbetu. W pucharku zabrzęczały kostki zmrożonego soku, a na jego powierzchni zgromadziły się krople wody. Obite jedwabiem i wymoszczone poduszkami otomany w połączeniu z upałem, obfitym posiłkiem i ciężkim, pachnącym korzennymi przyprawami winem dawały uczucie rozkosznego znużenia. Ale czarodziej jakoś nie potrafił się nim cieszyć. Wiedział, że z Tarrentczykami nie należy od razu przechodzić do sedna, że trzeba cierpliwie i mozolnie przebrnąć przez wszystkie powitalne rytuały, ale jakoś nie był w nastroju. Coś go mocno irytowało. Pomimo tego, że zmienił swój ciężki aksamitny kubrak i płaszcz na lekką jedwabną koszulę, pocił się obficie. Czuł się

rozdrażniony i tracił cierpliwość. Pierwszy Wezyr już drugi dzień gościł go w swojej willi, obficie karmił i poił, otaczał kobietami, obdarowywał błyskotkami i zabawiał rozmową, ale wskazania terminu audiencji u cesarza czarodziej jakoś nie mógł się doczekać.

Poza tym nie wszystko współgrało z pełną przepychu estetyką otoczenia: rzeźbionymi kolumienkami, zasłonami przetykanymi złotem, dywanami z najkosztowniejszej wełny tkanymi w skomplikowane, geometryczne wzory, alabastrowymi wazami pełnymi fiołków i róż, fontannami w ogrodach. W komnacie, w której spoczywali teraz, popijając sorbety i wino po obfitym posiłku, znajdowała się tafla szkła, podzielona na trzy części ażurowymi konstrukcjami. Za szkłem wiły się, wśród rozłożonych tam grubych, okorowanych gałęzi jakiegoś drzewa, trzy wielkie, ciemne węże. Środkowy, gigantycznych rozmiarów i prawie czarny, od czasu do czasu unosił łeb, rozczapierzał kaptur i syczał, wysuwając długi, rozdwojony język. Kiedy otwierał pysk, widok jego długich, zakrzywionych zębów jadowych sprawiał, że Adelardowi ciarki przebiegały po krzyżu. Mniejsze węże, trochę jaśniejsze i nie tak agresywne, pełzały powoli po umieszczonych w wiwarium gałęziach. Pierwszy Wezyr popatrywał na nie z zadowoleniem, mrużąc małe, krótkowzroczne oczka zatopione w tłustych policzkach.

− Kobry królewskie – oznajmił z dumą. – Bardzo jadowite i niezwykle niebezpieczne. Domyślasz się, panie, że moja willa nie miewa wielu nieproszonych gości – zaśmiał się nieprzyjemnie, zgrzytliwie.

Adelard potarł kark jedwabną chustką, ścierając z niego warstewkę potu.

− Piękne okazy – bąknął niezobowiązująco.

− Nieprawdaż? – Pierwszy Wezyr wyszczerzył się w uśmiechu, pokazując pożółkłe zęby. – Tylko nie mogę łączyć ich ze sobą. Mogłyby się nawzajem pozabijać. Ten okaz po prawej to samica. Gdyby samiec wyczuł, że została zapłodniona przez innego, zagryzłby ją bez skrupułów. Nie każdy z tych węży jest odporny na jad. Paskudny widok…

Czarodziej pomyślał, że trudno się z tym nie zgodzić, ale przezornie wolał zmilczeć. Natomiast Pierwszy Wezyr kołysał trzymaną w ręku czarką sorbetu, w którym lód już niemal zupełnie się rozpuścił, i wpatrywał się w kobry z lubością. Adelard doszedł do wniosku, że dość już ma czekania.

− Więc powiadasz, dostojny panie, że Jego Wysokość w pełni zaakceptuje nasz plan? – odchrząknął.

− Ależ w zupełności. Wszystko już zostało przygotowane. Trzeba tylko czekać.

Adelard zapatrzył się na największego węża, który trwał z rozczapierzonym kapturem, posykując i hipnotycznie kiwając się na boki. Wzdrygnął się.

− Cierpliwość niewątpliwie jest cnotą – zauważył ogólnikowo – ale, jeśli wolno mi spytać… na co właściwie czekamy?

Pierwszy Wezyr zwrócił ku niemu swoje maleńkie, świńskie i niemal przezroczyste oczka.

− W istocie – uniósł w górę tłusty palec – cierpliwość to królowa cnót. Trudno mi odmówić słuszności tak światłemu spostrzeżeniu.

− Chciałbym zauważyć – zniecierpliwił się Adelard – że my dotrzymaliśmy wszelkich układów. Carragan Vetting przyjmie wasze wojska. Zobowiązał się również do udzielenia wam wszelkiej pomocy podczas planowanego przejęcia Emain Avallach. Przedstawiłem stosowne dokumenty. Dostaniecie dostęp do szlaków handlowych. Wielkie cesarstwo Tarrentu jednym ruchem zajmie całe Południe – dodał przypochlebnie, choć, jak wiedział, nie całkiem zgodnie z prawdą. Enneada Vettingów była małym księstewkiem, choć strategicznie dobrze położonym, i opanowanie go mogłoby stanowić co najwyżej wstęp do długiej, wyczerpującej wojny. Czy cesarz faktycznie będzie chciał zdominować południowe Wolne Miasta, Aledarda w ogóle nie obchodziło. Liczył tylko na tarrenckie wojska, których będzie mógł użyć, by zmienić układ sił w Emain. Przełknął ślinę, bo w myślach zobaczył się już z Glinianą Pieczęcią na szyi.

Pierwszy Wezyr milczał przez chwilę, wpatrując się w swój pucharek. Odgonił natrętną muchę, która zabrzęczała mu koło głowy. Miedzianoskóra dziewczyna z wachlarzem skuliła się ze strachu, ale nawet nie zwrócił na nią uwagi.

− Ale statki do przewozu żołnierzy będę musiał zorganizować sobie sam – powiedział w końcu. – Nie przywieźliście mi, panie magu, gotowych kontraktów z armatorami. Będę musiał tracić czas na przekonywanie każdego małego szypra z osobna.

− Nie będzie takiej potrzeby. – Adelard odetchnął, że wreszcie zaczęły się prawdziwe negocjacje. – Wszystko załatwimy we własnym zakresie. Tereny Enneady obejmują spory kawałek wybrzeża, a Carragan Vetting ma własne układy z kapitanami statków. I od dawna współpracuje z verdyjskimi kupcami. Mogę zapewnić, że nie będzie żadnych problemów.

− A dyskrecja? Powierzanie tajemnicy tak wielkiej liczbie ludzi to ryzykowna sprawa… − Pierwszy Wezyr obracał pucharek w palcach.

Adelard uśmiechnął się.

− Umiejętność zachowania dyskrecji to ważna cecha w zawodzie kupca – odpowiedział. – Tam, gdzie idzie o zyski, ci ludzie potrafią milczeć jak grób. A jeśli będą mieli wizję otwarcia nowego szlaku handlowego do Tarrentu… Tajemniczego, zamkniętego Tarrentu…

Pierwszy Wezyr skrzywił się i czarodziej natychmiast zamilkł. Bał się popełnić błąd. Zbyt dużo rzucił na tę jedną szalę. Zbyt wiele czasu spędził na pisaniu i

odbieraniu tajemnych listów. Zbyt dużo poświęcił, by teraz zniszczyć to jednym niezręcznym posunięciem.

Pochylił głowę i stwierdził pokornie:

− Wiele ofiarowujemy.

Pierwszy Wezyr parsknął.

− I równie wiele, jak nie więcej, chcecie zyskać – powiedział. – Może się wam wydawać, że my tu, za górami, w imperium oddzielonym od świata, żyjąc pośród kwiatów, fontann i nałożnic z wachlarzami, jesteśmy naiwni jak dzieci.

− Wcale nie…

− Zamilcz. – Twarz Pierwszego Wezyra, do tej pory dobrotliwie głupkowata, gwałtownie się zmieniła. Małe oczka zwęziły się w szparki, a usta wykrzywił surowy grymas. – Nie myśl, że czuję do ciebie jakikolwiek szacunek, czarodzieju-renegacie, zdrajco własnych konfratrów. Nie imponuje mi twoja przyziemna żądza władzy, dla której gotów jesteś lizać buty miernotom znacznie niżej postawionym ode mnie. Wręcz przeciwnie. Czuję dla ciebie głęboką pogardę. Ale – odchylił się do tyłu, odrywając wzrok od maga – godzę się na twój układ, ponieważ jest on dla nas ze wszech miar korzystny. O wiele bardziej niż dla ciebie, o czym zapewne jeszcze się przekonasz.

Czarodziej zacisnął usta i dłonie, ale zmilczał. Postanowił przełknąć zniewagę. Odnotował ją sobie jednak pilnie. Pierwszy Wezyr zajął właśnie dość wysoką pozycję na liście osób, którym Adelard z Tradivy poprzysiągł zemstę.

− Podjąłem wiele starań, żeby przygotować wszystko jak należy i przekonać Jego Cesarską Mość, by zechciał cię wysłuchać – ciągnął dalej Pierwszy Wezyr. − Nie zmarnuj tego swoją głupią pychą i przekonaniem o własnej wyjątkowości. Tu nikt nie będzie płaszczył się przed tobą ani padał na twarz tylko dlatego, że jesteś magiem. Nie jesteśmy na Południu. Dobrze to sobie zapamiętaj. A jeżeli – przeniósł wzrok na wiwarium – przypadkiem zdarzy ci się zapomnieć o dobrych manierach, nakarmię tobą moje maleństwa.

Adelard powoli odstawił czarkę z sorbetem na inkrustowany stolik. Miał ochotę cisnąć ją tłustemu durniowi w twarz, ale po raz kolejny zmusił się do opanowania. Poza tym na widok węży, które syczały, wiły się i wysuwały rozdwojone języki, ciarki wciąż biegały mu po plecach. Uznał jednak, że nie może pozwolić na pomiatanie sobą. Jeśli Tarrentczycy od tego zaczną, już nigdy nie przestaną. Wstał, przeciągnął się i powiedział:

− Pomimo twoich starań jakoś nie zauważyłem, by cesarz zaprosił mnie na rozmowę. Może popełniłem błąd. Może to nie z tobą powinienem był rozmawiać.

Pierwszy Wezyr zrobił się purpurowy na twarzy, a jego małe oczka rozbłysły wściekłością. Adelard uznał, że trafił celnie i w myślach uśmiechnął się z satysfakcją.

Rozmowę przerwał im tupot nóg na marmurowych schodach i tarasie. Do komnaty wpadł kilkunastoletni chłopak, dzwoniąc złotym dzwoneczkiem przyczepionym do fantazyjnej jedwabnej czapki. W pierwszej chwili nie mógł złapać tchu. Dziewczyny z wachlarzami zastygły niczym posągi.

− Jego Cesarska Mość, Imperator Świata, Światło Naszych Oczu i Orędzie Pokoju, wzywa do siebie czarodzieja z Południa – wydyszał posłaniec.

Adelard uśmiechnął się szeroko, demonstrując piękne białe zęby.

− Trudno o bardziej zadziwiający, a zarazem pomyślny zbieg okoliczności, nieprawdaż? – stwierdził ironicznie.

Pierwszy Wezyr pobladł i powoli podniósł się z otomany.

− Jak to… przecież cesarz dopiero jutro miał dowiedzieć się… za wcześnie – wybełkotał.

− Nieznane są mi drogi, jakimi chadza Słońce Sprawiedliwości, oświecając nasze nędzne poczynania – oznajmił flegmatycznie posłaniec.

Adelard promieniał satysfakcją. Narzucił na siebie płaszcz, skłonił się dwornie i podążył za dzwoniącym chłopcem. Pierwszy Wezyr, sapiąc, potoczył się za nimi.

Pałac wznosił się na białej, poszarpanej skale, wysoko ponad miastem. Lekki, jakby koronkowy. Niemal cały złożony ze strzelistych kolumn o liściastych kapitelach, ząbkowanych ostrołuków, ażurowych ścianek, półokrągłych kopuł i mozaikowych posadzek. Otaczały go tarasowe ogrody o skomplikowanej architekturze. Podążali za posłańcem ścieżkami zanurzonymi w zieleni, mijając fontanny i pergole. Adelardowi od tego przepychu zaczynało się robić niedobrze. Skarcił się w myślach, otrząsając z siebie uczucie przytłoczenia. Wyprostował się w marszu i poprawił płaszcz. Nie zdążył się wykąpać, uperfumować ani zmienić koszuli i teraz czuł, jak strużka potu przysycha mu na plecach. Sugestię odświeżenia się przed audiencją posłaniec jednak zdecydowanie odrzucił. Rozkaz cesarza był jednoznaczny: mag musi stawić się przed jego obliczem natychmiast.

Rozdzwoniły się dzwonki. Dziesiątki małych dzwoneczków. Tłum w białych i kolorowych, powiewnych i haftowanych szatach zafalował i rozstąpił się na boki. Gdzieś z boku grała muzyka: flety i małe bębenki. Adelard uniósł podbródek. Starał się stąpać za posłańcem poważnie i dumnie, ale nie mógł nic poradzić na to, że w swoim ciężkim płaszczu, spocony, z włosami klejącymi się do czaszki wyglądał wśród tych kolorowych niczym papugi dworzan jak śmieszny odmieniec. Czuł wbite w siebie spojrzenia, ciekawskie i taksujące. Słyszał szmery przyciszonych rozmów. Pochwycił wzrok jakiejś damy, a ta zachichotała i zakryła usta dłonią. Zabrzęczała na jej nadgarstku bransoletka z monet.

Strażnicy w pancerzach narzuconych na białe tuniki zaprezentowali włócznie, a potem rozsunęli się na boki. Adelard znalazł się u podnóżka tronu.

I zamarł. Na ogromnym, rzeźbionym z białej kości i inkrustowanym złotem fotelu siedział mały, może dwunastoletni chłopiec. Miał jasne włosy, a z obszernych szat wysuwały się pulchne ręce. Korona lekko przekrzywiła mu się na głowie, podkreślając złośliwy wyraz nieco zezowatych oczu.

− Więc to jest ten groźny czarownik z Południa? – zawołał piskliwym głosem, wskazując na Adelarda długim, rzeźbionym berłem. Stojący obok tronu człowiek w czerni skinął głową.

− Padnij na kolana – wysyczał za plecami czarodzieja Pierwszy Wezyr. Mag skłonił się głęboko, z powagą.

− Klękaj – usłyszał szept. Zignorował go.

− Niech pokaże, co potrafi! – zawołał władca. – Życzymy sobie, żeby czarował!

Adelard otworzył dłoń, zrobił nią niewielki gest i po chwili w ręce pojawił mu się bukiet kolorowych kwiatów. Z ukłonem wyciągnął go w kierunku cesarza.

− Phi! – fuknął chłopiec. – Tyle to potrafią moi nadworni sztukmistrzowie.

Czarodziej zrobił kolejny ruch i kwiaty zniknęły, pozostawiając po sobie snop iskier.

− Potrafię znacznie więcej – powiedział – nie chciałbym jednak wprawiać w konsternację Jego Cesarskiej Mości.

Cesarz skrzywił się i zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów, jakby patrzył na jakiś wyjątkowo ciekawy okaz egzotycznej fauny.

− Czemu przybył kalać swoją bezecną obecnością nasze ziemie? – zapytał.

− To ten sam, który zaproponował nam układ, dzięki któremu będziesz mógł zgnieść gniazdo tej zarazy i podporządkować sobie całe harde Południe, o Słońce, które oświecasz moje kroki – pośpieszył z odpowiedzią Pierwszy Wezyr. Pocił się i trząsł, rzucając wokół siebie trwożne spojrzenia.

− Prawda. Układ. – Cesarz ziewnął. – Ale czy nie wiesz, Pierwszy Wezyrze, że wszelkie umowy z tymi niegodziwcami są nam wstrętne i z zasady nie musimy ich dotrzymywać? Magowie samym swoim istnieniem kalają oblicze ziemi.

− Toteż będziesz mógł zgnieść ich jak pluskwy, Słońce Naszych Oczu. – Pierwszy Wezyr zgiął się w ukłonie.

Do kogo ja pisałem wszystkie moje listy, zastanawiał się Adelard, obserwując tę scenę. To oczywiste – do kancelarii. Musiało je widzieć kilku urzędników, szef wywiadu, Pierwszy Wezyr. I to on właśnie postanowił mi odpisać. A list był sygnowany przez cesarską kancelarię, bo władca wszak nie trudzi się osobiście korespondencją. I nigdy w oficjalnych pismach nie używa imienia, a jedynie całej swojej wymyślnej tytulatury. Przygotowywałem to od miesięcy. Może listy nigdy nie trafiały dwa razy do tej samej osoby. A może od tamtego czasu zmienił się

cesarz. Kilkukrotnie. Zamachy stanu są tu chyba elementem dworskiej etykiety. Sztylet, trucizna, jedwabna szarfa. I sukcesja gotowa.

Cesarz skrzywił się.

− Chcę zobaczyć błyskawice – oznajmił piskliwie. – Umiesz robić błyskawice?

Adelard uśmiechnął się i skinął głową. Zatoczył ręką łuk. Pod sklepieniem sali na chwilę pociemniało. Huknął grzmot, a potem pojawił się rozgałęziony, fioletowy rozbłysk. Tłum zaszemrał. Stojący na środku sali skulili się i zakryli dłońmi głowy.

− Zabierz to! – wrzasnął władca. Mag wzniósł ramiona, głośno, gardłowo wypowiedział inkantację i burzowa chmura zniknęła jak dym. Wiedział, że obeszłoby się bez takich teatralnych gestów, ale zależało mu na tym, by zrobić wrażenie.

I zrobił. Tyle że jak najgorsze. Cesarz skulił się na tronie, dygocząc i szczękając zębami. Dworzanie popatrywali na czarodzieja z lękiem i nienawiścią.

Poważny człowiek w ciemnej szacie pochylił się do cesarskiego ucha i przez chwilę coś szeptał.

− Racja! – wykrzyknął Jego Wysokość i obtarł rękawem zasmarkany nos. – Przynieście obrożę!

− Magia to przeciwna naturze ohyda, jednak nasi wspaniali przodkowie wiedzieli, że gwiezdne żelazo całkowicie ją tłumi – dodał człowiek w czerni. – Nie ma się czego obawiać.

Silne dłonie pochwyciły Adelarda za ramiona. Zanim zdążył zareagować, ktoś założył mu na szyję obręcz z gwiezdnego żelaza i zaciągnął mocno, zapinając klamrę. Czarodziej prawie upadł, kiedy poczuł nagły odpływ mocy. Ktoś go popchnął, a potem szarpnął za połę płaszcza, stawiając na nogi.

To musiało być wcześniej przygotowane, pomyślał szarpiąc się rozpaczliwie. Niemożliwe, żeby mieli tu zawsze na podorędziu broń na magów. To był spisek. Ktoś chciał osłabić wpływy Pierwszego Wezyra. A on też chciał czegoś, tylko musiał przeprowadzić to ostrożnie. Stąd zwodził mnie. A ja… ja byłem pionkiem.

Nagłe zrozumienie przeszyło mu mózg. Chciał krzyknąć, ale dłoń w rękawicy zakryła mu usta. Potem poczuł uderzenie. Krew na wargach.

− Wasza Cesarska Mość – ośmielił się wtrącić Pierwszy Wezyr − Światło Naszych Oczu i Słońce Sprawiedliwości… Orędzie Pokoju… zechciej wspomnieć, że traktat zawarty z tymi pomiotami ciemności rozszerzy twoje panowanie poza granicę południowych mórz…

− Co? – Cesarz podniósł się z tronu, wspierając na poręczach. – Czy mój sługa twierdzi, że nie panuję nad południowymi morzami?

− Ależ panujesz, Najwyższy Władco… ale…

− Pierwszy Wezyr na pewno nie chciał umniejszać obszaru twego panowania, Wasza Cesarska Mość – uśmiechnął się człowiek w czerni. – Nie pragnął również wikłać cię w żadne małe, nieważne traktaty, którymi już od tak dawna zatruwa twoje uszy, nudząc niczym natrętna mucha. Prawda, Pierwszy Wezyrze?

Zapytany skinął głową. Był blady jak płótno.

− Cieszę się, że się zgadzamy, Pierwszy Wezyrze. – Cesarz przesunął koronę i podrapał się po głowie. – Masz dalej załatwiać za mnie wszystkie te nudne sprawy. Ale tak, jak ja chcę. Venantius wie, czego ja chcę. – Spojrzał spod oka na człowieka w czerni. – Jego pytaj.

Zsunął koronę z powrotem i przyjrzał się czarodziejowi. Wsparty łokciami o poręcze tronu, zaczął podskakiwać na siedzisku.

− Koniec z magiem i wszystkimi jego plugawymi sztuczkami – zapiszczał. – Na Białą Skałę z nim!

Tłum zaszemrał. Człowiek w czerni uśmiechnął się zimno. Pierwszy Wezyr, po którego czole spływał kroplisty pot, prawie osunął się na posadzkę. Rozległo się kilka entuzjastycznych okrzyków, które po chwili umilkły.

Silne dłonie pochwyciły Adelarda i wywlekły go z sali. Czarodziej wrzasnął, a potem zaczął wyrywać się i kopać.

− Panie, dam ci władzę nad całym Południem, nad wszystkimi magami, nawet nie wiesz, jak wielką! Dostaniesz… − Nie dokończył. Czyjaś ręka zakryła mu usta.

Biała Skała okazała się naprawdę bardzo wysoka. Kiedy stało się na jej szczycie, tyłem do miasta, nie było widać nic. Tylko spokojne, błękitne niebo w górze i niebotyczną przepaść u stóp. Adelard szarpał się, płakał, błagał, groził i kopał. Nikt go nie słuchał. Ciągnął za żelazną obręcz na swojej szyi. Obiecywał niezmierzone bogactwa, władzę, potęgę i kobiety. Żołnierze, głusi na wszelkie prośby, stanęli razem z nim na szczycie skały. A potem silne ręce popchnęły go w przód. Pęd powietrza rozwiał poły fioletowego płaszcza. Krzyk stopniowo cichł w głębinie przepaści.

*

Świat zaczął znikać. Powoli, małymi kawałkami. Najpierw horyzont wyraźnie się zacieśnił, a potem zamiast nieba i plaży pojawiła się niewyraźna, szara plama. Kilka mniejszych upstrzyło odległe fragmenty morza, wybrzeża, budynków. Nicość pochłonęła niemal zupełnie jeden z drakkarów. Verena Haage siedziała przed chatą i patrzyła w stronę, w której powinno leżeć rozkładające się ciało Haakona Svearsona. Nie miała ochoty go oglądać, ale mimo to nie mogła odwrócić wzroku od tamtej strony plaży. Wmówiła sobie, że dopóki fizyczne

szczątki Haakona będą istnieć, świat nie zniknie całkowicie. Kusiło ją, żeby pójść w tamtym kierunku i sprawdzić stopień rozkładu, ale jednocześnie nie była w stanie tego zrobić.

Nadzieję, że kiedykolwiek stąd wyjdzie, straciła już niemal zupełnie. Nawet przestała codziennie przesiadywać pod wrotami. Przeszła przez wszystkie stadia rozpaczy, buntu i negacji, aż w końcu udało jej się osiągnąć spokojną obojętność.

Niebo ogarnęła kolejna plama nicości. Verena zamknęła oczy. Miała nadzieję, że kiedy je otworzy, przynajmniej nie będzie gorzej.

− Długo masz zamiar tak siedzieć?

Czarodziejka drgnęła. Pomyślała, że halucynacje słuchowe to rzeczywiście ostatnia rzecz, której jej teraz brakowało. Chociaż może halucynacje wzrokowe tłumaczą to dziwne zanikanie świata… Otworzyła oczy.

− Rusz się albo zostaniesz tu na wieki. To znaczy raczej niedługo.

Odwróciła się. Głos należał do dziewczyny odzianej w skąpą szafranową tuniczkę. Siedziała na ławie przed chatą, oparta o ścianę, wyciągając przed siebie szczupłe nogi. Miała krótkie włosy, a oczy zmrużone, zielone i złe.

− Czy jesteś moją halucynacją? – zapytała Verena.

Wzruszenie ramion.

− A wiesz, ostatnio wszyscy mnie o to pytają. Trochę to głupie. Więc chcesz się stąd wydostać czy nie?

− A mogę?

− Pewnie. Jeśli tylko mnie poprosisz. – Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Verena podążyła za nią do wnętrza chaty, pod wrota.

Stanęły razem przed masywnymi żelaznymi drzwiami, ozdobionymi wzorami splecionych roślin i rozdziawionych paszcz.

− Nie oglądaj się – ostrzegła dziewczyna.

Verena się obejrzała.

Nicość postępowała w ślad za nimi.

Nieznajoma ujęła dłoń czarodziejki.

− Kim jesteś? – Kolejne wzruszenie ramion.

− Czy to ważne?

− Wydaje mi się, że tak. Wybacz, ale ja… nie wiem już, czy ciągle jeszcze jestem przy zdrowych zmysłach. To się tak dziwnie splata… Rzeczywistość. Już nie mam pewności, co jest prawdziwe, a co nie. Może ciągle tkwię w tym ciemnym pokoju, przykuta do łóżka, i mam halucynacje.

− Skąd w takim razie pewność, że naprawdę zostałaś przykuta do łóżka. – Nieznajoma przechyliła głowę i zmierzyła czarodziejkę kpiącym spojrzeniem. – Może halucynacje zaczęły się już wcześniej. Tylko kiedy?

− Nie dręcz mnie. Proszę. Ja już naprawdę mam dość. – Verena oparła czoło o zimny metal drzwi.

Nieznajoma ujęła jej nadgarstki. Zacisnęła palce wokół żelaznych obręczy, wciskając je w skórę.

− Jestem mieszkanką Międzyświata – powiedziała – skoro już musisz wiedzieć. Ten niegodziwiec zagarnął coś, co nie należało do niego. Nordowie żyli bliżej swoich bogów. Przy pomocy ich magii można było choć częściowo opanować drugą przestrzeń. Ale światy nie przebaczają takiego zawłaszczenia. Dlatego wy, magowie, instynktownie nienawidzicie Wędrowców. Wiecie, że wolno im więcej niż wam, choć tak naprawdę nie różnią się od was. Są tak samo jak wy nieodporni na ignorancję, przesądy, pychę i głupotę.

− Jesteś Wędrowcem Światów? – zapytała Verena.

Nieznajoma skinęła głową.

− Czy to znaczy, że jesteś nieśmiertelna?

Dziewczyna prychnęła.

− A co to jest śmierć? Jeśli przyjmiesz zbyt wąską jej definicję, okaże się, że żyję tak długo, jak tylko mogę pamiętać. Jeśli zbyt szeroką, stwierdzisz, że umierałam parę tysięcy razy. Moje życie najbardziej przypomina sen i to śniony przez kogoś innego. Skoro już potrzebujesz możliwie precyzyjnego przybliżenia… przyjmij, że jestem informacją. Obliczeniową chmurą. Częściowo podtrzymuję ten świat, ale nie możesz mieć pewności, że on tu jeszcze będzie, kiedy zamkniesz oczy. Częściowo przynależę do czyjejś tożsamości. A teraz przyśniłam się tobie.

− Czy…

− Już dosyć. – Dziewczyna niecierpliwie potrząsnęła głową. – Jeśli chcesz przeżyć, muszę cię czegoś nauczyć. Czasu mamy niewiele, a nie wiem, jak pojętną jesteś uczennicą.

Verena pokornie zamilkła.

− Zamknij oczy – rozkazała nieznajoma. – I wczuj się w żelazo, które masz na rękach.

− Nic z tego. Właśnie przez te obręcze nie mogę używać mocy.

− Bądź cicho i rób, co ci mówię. – Dziewczyna ponownie zacisnęła palce na nadgarstkach Vereny. Aż do bólu.

Czarodziejka poczuła delikatne mrowienie. Zacisnęła powieki i postarała się sięgnąć żelaza. Ku swojemu zdziwieniu nie odczuła blokady. Obręcze nadal tkwiły na jej nadgarstkach, ale mogła je przeniknąć. Dotykała ich mocą, sprawdzając, ostrożnie obmacując, przechodząc przez metal na wskroś.

− Dobrze – usłyszała. – A teraz postaraj się zobaczyć wewnątrz nich pustkę. Bo one są pustką. Wokół maleńkiego centrum pulsują niewidzialne powłoki.

Widzisz to?

Verena nie widziała. Ale po chwili poczuła, jak żelazo staje się pulsującą chmurą. Miała zawroty głowy.

− Dotknij powietrza – powiedziała dziewczyna – i wprowadź je do wnętrza żelaza.

Verena nie rozumiała. Przestała słuchać, przestała słyszeć. Ogarnęło ją coś tak maleńkiego, że nie wystarczało percepcji, żeby to zrozumieć, a mimo to pochłonęło ją w całości. Świat wezbrał wokół niej. Przenikały ją fale. Coś się dokonywało, coś dziwnego, z materii wokół niej, starej jak stygnące gwiazdy zrodzone u początków świata. Przeszła przez podszewkę rzeczywistości. Roztopiła się na miliardy maleńkich ziarenek, a każde z nich było nią.

Ocknęła się, siedząc pod ścianą. Nie miała obręczy na nadgarstkach. Zamiast nich u jej stóp leżała tylko rozdeptana garstka rdzawego pyłu.

− Wytrzyj krew – powiedziała zimno nieznajoma. Verena uniosła dłoń do twarzy i poczuła ciepłą, wilgotną smugę, która spływała jej z nosa. Miała metaliczny smak.

− Całkiem się rozmazałaś – stwierdziła z obrzydzeniem dziewczyna. – Pośpiesz się – dodała.

Czarodziejka wstała chwiejnie. Z przerażeniem zauważyła, że plamy nicości objęły już większą część halli. Wielka dziura w rzeczywistości ciągnęła się po podłodze, docierając prawie do jej stóp.

− A teraz otwórz te drzwi – rozkazała nieznajoma.

− Ale jak?! Nie mam pojęcia! Nie pamiętam nawet słów, które Adelard wtedy wypowiedział!

− A zadziałały?

− Nie bardzo.

− No właśnie. Więc wymyśl coś. Pospiesz się.

Verena spojrzała na nieznajomą i z przerażaniem zauważyła, że jedną stopą opiera się ona o nicość. I stoi nadal. Jej kusą szafranową tuniczkę porusza lekki, niewidzialny wiatr.

− Myślałam, że przybyłaś tu, żeby mi pomóc! – krzyknęła.

− I pomogłam. Reszta należy do ciebie. Pomyśl.

Czarodziejka rąbnęła pięścią we wrota. Zadźwięczały głucho.

− Tylko Haakon mógł je otwierać, bo to on stworzył to miejsce – powiedziała. – Adelard wchodził tu z upoważnienia Haakona. A ja go zabiłam. Wszystko, co po nim pozostało, powinno podporządkować się mojej woli.

Nieznajoma uśmiechnęła się. Jej zielone, złe oczy zabłysły. Verena położyła dłonie na drzwiach i powiedziała:

− Otwórz się.

Wrota uchyliły się ze zgrzytem. Na zewnątrz panował mrok, wilgoć i chłód – stan normalny we wnętrzu jaskini.

Verena odwróciła się w progu.

− Mój koń! Moje sakwojaże! Złoto ze skrzyni!

− Nie ma czasu – odpowiedziała nieznajoma. – Możesz tylko stąd wyjść. Sama. Tak jak stoisz.

Nicość podeszła już pod drzwi. Wiatr szarpał coraz mocniej szafranową tuniczkę dziewczyny. Czarodziejka przekroczyła próg.

− Czy mogę chociaż poznać twoje imię? – zapytała.

Kolejne wzruszenie ramion.

− To bez znaczenia. Ale skoro ci zależy… Możesz nazywać mnie Lys.

Szpara w drzwiach zniknęła, a po chwili wrota skamieniały, wtopiły się w tło, porosły skałą. Po tajemniczej kryjówce Haakona Svearsona nie pozostał żaden ślad. Podobnie jak po Lys.

Jaskinia na szczęście nie była bardzo głęboka, za to panowała w niej całkowita ciemność. Verena, brnąc po omacku, dotarła w końcu do wyjścia. Wydostała się na świeże powietrze. Nad nią wznosiło się rozgwieżdżone niebo. Usiadła pod skałą, oplotła kolana ramionami i tak dotrwała do świtu, dygocząc z zimna. Cały jej majątek stanowiła w tej chwili brudna i podarta sukienka. Miała potargane włosy, a na twarzy rozmazany brud, krew i łzy. Czuła się tak, jakby zostawiła za sobą dawne życie, jakby osoba, która weszła do jaskini, nie była tą samą, która z niej wyszła. Nad ranem, ledwie znad horyzontu wydostały się pierwsze promienie słońca, wstała i poszła w dół, w kierunku ludzkich siedzib.

*

Na szczycie wzgórza wiatr rozgarniał trawy i przeganiał poranne mgły. Wieża, zbudowana z szarego kamienia, okazała się niewysoka, przysadzista, lekko pochylona. Otwarte, spróchniałe i pozieleniałe od mchu drzwi zwisały na jednym zardzewiałym zawiasie. W środku panował półmrok. Promień światła, wpadający ukośnie przez wymurowane w kamieniu okno, oświetlał kurz, pajęczyny i zwiędłe liście. Na górę prowadziły spiralne schody.

Zatrzymali się u wejścia. Nikomu nie chciało się zaglądać do środka.

− Nie rozumiem – powiedziała Leta Therrus. – On naprawdę mnie wzywał.

Tym razem nawet Agostino Valla się nie odezwał. Czekali w ciszy, przyglądając się celowi swojej wędrówki. Berto trzymał za uzdę konie, które skubały nędzną, wysuszoną trawę. Cantia obeszła wieżę dookoła.

− Wygląda na opuszczoną od dawna. Tak samo jak ruiny miasta. Ludzie w wiosce mieli rację. Xanta nie istnieje – stwierdziła.

Nikomu nie chciało się komentować tak oczywistego faktu. Czarodziejka zamknęła oczy i magicznie sięgnęła do wnętrza wieży. A potem podeszła do drzwi.

− Tu jest znak. – Dotknęła dłonią spróchniałego drewna. – Ktoś go niedawno pozostawił.

− Widno ci magowie, co to tędy na zjazd się udawali – rozległ się z pobliskich krzaków najpierw głos, a potem pisk. Cantia błyskawicznie przyskoczyła do rozrośniętej tarniny i wyciągnęła z gąszczu kolczastych krzaków podrapanego i zasmarkanego Tida, syna Marcyny.

− O jakim zjeździe mówisz? – zasyczała. – Jacy czarodzieje? A w ogóle dlaczego nas szpiegujesz?

− Spokojnie. – Leta uniosła w górę dłonie. – Nic się nie stało, Cantio.

− Byli tu czarodzieje – odpowiedział rezolutnie chłopak. – Ledwie dzień temu. O poranku, jako i wy, na wieżę się wybrali. Drogę żem im wskazał. I takoż, jak wy, niczego nie naszli. Magiczka jedna drzwi dotknęła i coś tam wymruczała. A potem zaczęli o starego Aurelianusa rozpytywać się, tom im drogę do chałupy pokazał.

Leta podeszła do chłopca i ujęła go pod brodę.

− Wiesz, gdzie mieszka Aurelianus? – zapytała.

Tido wskazał kierunek.

*

Kury łaziły niezgrabnie po podwórku i dziobały rozrzucone ziarno. Od czasu do czasu lądował między nimi gołąb. Na ten widok staruszka uśmiechała się. Siedziała pod ścianą dworu, na ławce ustawionej pomiędzy oplotami dzikiego wina. Przyglądała się, jak służebne niosą przez podwórzec kosze z bielizną, przeznaczoną do rozwieszenia na sznurach. Inne niosły skopki świeżego mleka prosto z obory, jeszcze inne pieliły ogród. Parobkowie wyprowadzali konie.

− Babuniu, babuniu, opowiedz mi historię! – Ośmioletnia Miral podbiegła do staruszki i zaczęła gramolić się jej na kolana.

− Przecież już opowiadałam. Wszystkie, jakie znam. – Staruszka uśmiechnęła się i odgarnęła z czoła wnuczki kasztanowe loki.

− Nie szkodzi. Opowiedz, babuniu Cantio – poprosiło dziecko. – O tym, jak minęliście wieżę czarodzieja, taką straszobliwie pustą, i doszliście do chaty.

− Ale to okropna historia. Twoja mama będzie zła, że znów ci ją opowiedziałam.

− To jej nie powiemy. Zresztą to dziadek Berto mi opowiedział pierwszy raz, jak jeszcze żył. Opowiedz, babuniu, proszę. – Miral przytuliła swój ciepły policzek do pomarszczonej twarzy.

Staruszka westchnęła. Oparła się wygodniej o ścianę, obejmując ramieniem wnuczkę.

− To był chłodny, mglisty dzień – rozpoczęła. – Minęliśmy wieżę i zeszliśmy ze wzgórza. Miejscowy chłopak wskazał nam drogę do leżącej na odludziu chaty. Leta Therrus była niespokojna, a nam wszystkim się to udzieliło.

Przed chatą stał wóz, a obok niego kilkoro ludzi. Cicho rozmawiali między sobą. Przypominali mi żałobników albo hierofantów czekających na wtajemniczenie w misteria. Większości nie znałam. Rozpoznałam tylko Justina Ferna, bo pamiętałam go z Emain. Spojrzał na nas i dostrzegłam w jego oczach zdziwienie i lęk.

Na progu chaty siedziała kobieta. Jedną dłoń miała zanurzoną w rudych włosach, drugą bezwładnie opuszczoną na kolana.

Nie wiem, ile minęło chwil pełnych niezręcznego milczenia, ile uderzeń serca, zanim zrozumiałam, że patrzę na Mitrię z Cantaleny.

Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Opuściła Emain Avallach przed moim przybyciem. Od początku była dla mnie opowieścią. Legendą. Najpierw zbudowaną z plotek i niestworzonych historii, szeptem opowiadanych w dormitoriach przez zarumienione z emocji adeptki. Niektóre jeszcze ją pamiętały. Te, które uczyła, chodziły dumne jak świąteczne gęsi. A wszystkie emocjonowały się opowieściami o miłości, przestąpieniu zakazu i przekleństwie. Mówiły, że widziały, jak Mitrię wyprowadzano z lochów, zakutą w kajdany. Snuły przypuszczenia, że wywieziono ją daleko, rozdzielono z ukochanym, że nałożono na nią ciężką pokutę. Nie wiedziałam wtedy, co myśleć.

Później Leta opowiedziała mi całą historię. Chłodno i rzeczowo. Byłam trochę rozczarowana.

A potem Mitria i Jardal pojawiali się w rozmowach, pieśniach i opowieściach. W Mitrii z Cantaleny zobaczyłam los, jaki wybrałabym dla siebie. Czarodziejka, ale nie taka jak inne. Zbuntowana. Obca. Samotna. Rzucająca wyzwanie dumnym białym wieżom Emain Avallach, zimnej pani Evelyn von Stein, bezsensownej regule Przysięgi.

Rozpoznałam ją wtedy. Musisz zrozumieć, moja mała Miral – staruszka ucałowała wnuczkę w czubek głowy – że wydała się w tamtym momencie taka zwyczajna. Nie to, że nie była piękna. O nie. Trochę zmęczona, zakurzona, zgaszona – owszem. Ale miała drobne kości ptaka, giętkość pantery i siłę kamienia, rysy twarzy wyrzeźbione w ostre łuki, przenikliwe spojrzenie. Piękno trzeba było w niej zauważyć, ale istniało. Z pewnością. Dopiero kilka dni później zorientowałam się, że Mitria z Cantaleny, gdziekolwiek się znalazła, natychmiast organizowała przestrzeń wokół siebie. Ludzie jej słuchali i gromadzili się wokół

niej. Nikt nie pytał dlaczego i nikt nie protestował. Wykonywanie jej poleceń – a nawet sugestii – wydawało się po prostu najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

− Ale wtedy tego nie wiedziałaś, babuniu Cantio? – Dziecko wierciło się, zmieniając ułożenie nóg, zaplątanych w suknie staruszki.

− Nie. Patrzyłam na nią i widziałam zwykłą kobietę, zmęczoną i smutną. Nie przypominała bohaterki legend. Zrozumiałam, że to Mitria z Cantaleny, a zarazem poczułam ukłucie rozczarowania.

− I co było dalej?

*

Leta Therrus zatrzymała się w pół kroku. Mitria podniosła wzrok. Ich spojrzenia się spotkały. Coś sobie powiedziały. Z pewnością. Jednak ani Cantia, ani Berto, ani Agostino Valla nie wiedzieli co. Towarzysze rudowłosej stali obok wozu, zbici w ciasną gromadkę. Tylko olbrzym zrobił kilka kroków w przód i zatrzymał się, niezdecydowany.

Mitria wstała, odsunęła się i Leta Therrus weszła do chaty. Cantia chciała podążyć za nią, ale Valla chwycił ją za rękaw.

Po chwili czarodziejka wyszła i stanęła w progu. Była tak blada, że jej usta i skóra wokół oczu stały się niemal błękitne. Gwiazda na czole przygasła.

*

Virbio pomyślał, że Grandini z pewnością wiedziałby, co robić. A przynajmniej co powiedzieć. On sam mógł tylko stać pośrodku izby i gapić się bez słowa na to, co ukazało się jego oczom, kiedy już czarodzieje sprawdzili każdy zakątek chaty i wpuścili go do środka.

Nie to, żeby nigdy w życiu nie widział nieżywych ludzi. Sam przecież uczył się zabijać. Ale śmierć w walce, a nawet zostawianie za sobą drgających zwłok to było coś innego niż ten obraz zastygłego w pośmiertnym stężeniu koszmaru.

Czarodziej miał siwą brodę i twarz pomarszczoną jak zimowe jabłuszko, a raczej – zważywszy na jej kolor – jak posypany popiołem pergamin. Półleżał na wyplatanym fotelu, z niewidzącymi oczami wlepionymi w sufit. Z piersi sterczała mu rękojeść sztyletu. Lewa ręka spoczywała na kolanach, podczas gdy prawa, zwisająca z poręczy, zdawała się wskazywać na coś niewidzialnego. Na brodzie i ubraniu zakrzepła na czarną maź plama krwi. Przed czarodziejem, na starym dębowym stole stało owalne lustro w ciężkiej ołowianej ramie. Było stłuczone, jakby coś gwałtownie uderzyło w jego powierzchnię. Od czarnej dziury pośrodku rozchodziły się pajęcze nici pęknięć.

Virbio przełknął ślinę. Nie był do końca pewny, czego od niego oczekują. W każdym razie wolałby pomachać łopatą, kopiąc grób, niż przenosić zwłoki. Nie

był na to przygotowany.

Coś trąciło jego ramię. Zobaczył masywną sylwetkę Gilgamesza, który wyminął go, delikatnie wziął ciało maga na ręce i wyniósł przed chatę.

Mitria, Leta i Justin starannie zbadali ranę. Obejrzeli sztylet, który ją zadał. Zajrzeli pod paznokcie czarodzieja i w jego zmętniałe oczy. Ocenili stopień pośmiertnego stężenia. Nic więcej nie było do zrobienia.

Zdecydowali, że nie będą kopać grobu, ale pochowają Aurelianusa tak, jak grzebano dawnych królów. Gilgamesz zrąbał w lesie kilka pni i ułożył z nich okazały stos. Złożyli na nim ciało maga, umyte i ubrane w najlepsze szaty. Podpalili. Justin zanucił jakąś starą tarrencką elegię. Gilgamesz recytował niezrozumiałe modlitwy do bogów swojego kraju. Stali przy ogniu aż do świtu, kiedy najgrubszy konar przepalił się nagle i zawalił do środka, grzebiąc wszystko pod stosami popiołu i iskier.

*

− To było strasznie straszne, babuniu? – Miral zajrzała staruszce prosto w oczy rozszerzonymi z emocji źrenicami.

Stara Cantia von Essen skinęła głową. Zapatrzyła się przed siebie. Na rzeczy tylko sobie wiadome.

− I co dalej? – Miral była jeszcze na tyle mała, a jej świat na tyle bezpieczny, że szybko zapominała grozę. Zaczęła podskakiwać na ławce, domagając się opowieści. To, że nie wszystko z niej rozumiała, najwyraźniej w ogóle jej nie przeszkadzało.

Cantia przymknęła oczy.

− Czarodziejki długo ze sobą rozmawiały – powiedziała. – Oddaliły się od nas i usiadły na dużym kamieniu, tuż pomiędzy ogrodem maga a zagajnikiem, przez który przeprowadził nas ten chłopiec, przewodnik. Na skraju doliny, tuż nad przepaścią. Nawet maga, który przybył z tamtymi, nie dopuściły do konfidencji. Pokazywały sobie wzajemnie jakieś pisma. Milczały. Mitria z Cantaleny płakała, choć próbowała udawać, że nie płacze. Leta gładziła ją po plecach jak córkę. A potem przemawiała do niej, długo i surowo, z błyskiem w oczach. Razem z twoim dziadkiem Berto próbowaliśmy podsłuchiwać, ale na nic się to nie zdało. Postawiła magiczną zaporę. Moje nędzne czary odbijały się od niej jak muchy od szyby.

− A potem pojechaliście na Pustą Ziemię?

− Niezupełnie, Miral. Ale niedaleko.

CZAS TEGO, CO BĘDZIE

Justin Fern otulił się szczelniej futrzanym płaszczem. Czuł chłód, stopy i dłonie miał lodowate. Czasami przebiegał go dreszcz. Marzł przez cały czas i nie mógł nic na to poradzić. Zerknął w stronę kominka z nadzieją, że może to wina dogasającego ognia – ale grube polana płonęły równo, niekiedy trzeszcząc i sycząc, ale z pewnością wydzielając wiele ciepła. Westchnął, potargał siwą brodę i zatarł zgrabiałe ręce. Przez chwilę zastanowił się, czy nie zadzwonić na chłopca, który przyniósłby mu grzanego wina z korzeniami, ale po namyśle zrezygnował. Z jego żołądkiem też było nie najlepiej, kolejny wypity puchar niechybnie przyprawiłby go o paskudną zgagę. Trudno, napije się wina innym razem. W zesztywniałe palce ujął pióro i zaczął powoli pisać:

Najdroższa Iris,

Nie dziwisz się chyba, że to właśnie Tobie dedykuję moją kronikę minionych dni. Nie masz mi tego za złe, prawda? Wyobrażam sobie inteligentny błysk w Twoich lazurowych oczach. Wiem, że mnie rozumiesz, a przynajmniej zawsze chciałem w to wierzyć.

Nie napisałem swojego wielkiego poematu na Twoją cześć. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Zabrakło mi sił, umiejętności, może celu. W głębi duszy wiedziałem, że taki poemat, nawet gdyby powstał, gdyby opisywał cały znany nam świat, byłby Ci głęboko obojętny. Zamiast tego mozolnie tworzę tę kronikę. Mam bowiem, moja wspaniała Iris, głębokie przekonanie, że czasy, w których przyszło nam żyć, postawiły nas nie tylko w obliczu druzgocącej klęski, ale i nowego początku. Czas zburzyć do reszty gmach dawnych przesądów, uprzątnąć gruzy i zbudować pałac wolności i rozumu. Widzę kpiący uśmieszek w kącikach Twoich ust. Tak, wiem, zawsze popadałem w niepotrzebny patos.

Czas podjąć moją opowieść w miejscu, w którym ją przerwałem. Pogrzebaliśmy Aurelianusa z Xanty, a raczej jego popioły, w pobliżu chaty, którą wybrał sobie na mieszkanie zamiast wieży magów. Mogłem to zrozumieć. Aurelianus cieszył się sławą najwybitniejszego czarodzieja naszych czasów. Miał kilkoro naprawdę dobrych przyjaciół, ale niechętnie przebywał w Emain Avallach. Sądzę, że był po prostu zmęczony. Dla prostego ludu Xanty chciał pozostać starym, samotnym pustelnikiem.

Usypaliśmy na miejscu jego spoczynku niewysoki kurhan, postawiliśmy na nim kamień i za pomocą magii wyryliśmy stosowny napis. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci, oszołomieni, zupełnie zdezorientowani. U celu naszej drogi nagle

grunt usunął się nam spod nóg. Leta Therrus wyraźnie cierpiała z powodu poczucia winy. Aurelianus ją wzywał, a ona nie dotarła na czas.

Czuliśmy, jakby śmierć podążała naszym śladem. Gaga, Grandini… teraz on. Tym razem mieliśmy do czynienia z tajemniczym morderstwem lub co najmniej samobójstwem, choć to ostatnie wykluczyliśmy. Przeczyło temu wszystko. Nienaturalna poza, w jakiej spoczywało ciało Aurelianusa, zdobienie sztyletu (pochodził gdzieś zza morza, wyglądał na dzieło verdyjskich rzemieślników), najbardziej zaś stłuczone lustro. Nas wszystkich, którzy oglądaliśmy straszliwe cuda Zamku Cieni, przeszył na ten widok dreszcz. Mitria wyraziła pewność, którą wszyscy w głębi ducha żywiliśmy: gwałtowna śmierć przyszła do starego maga z tego właśnie zwierciadła. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co to znaczy, choć gdzieś w naszych głowach zaczynało kiełkować straszliwe podejrzenie…

Przeszukaliśmy dokładnie chatę. Ja, Mitria, Leta Therrus. Nie było to proste, bo Aurelianus zgromadził całkiem sporo papierów i ksiąg. Przejrzenie ich wszystkich zajęłoby nam mnóstwo czasu, a nie mieliśmy go. Jardal umierał. Człowiek, którego Mitria chciała poprosić o pomoc, został zamordowany. Wiedzieliśmy, że albo sami znajdziemy jakieś rozwiązanie, albo…

Okazało się, że wszystko, czego szukamy, znajduje się na samym wierzchu. Wśród papierów rozrzuconych na masywnym dębowym stole. Wśród połamanych piór, plam atramentu, zwitków notatek. Listy.

Aurelianus wiedział, że umiera. Cierpiał na ciężką chorobę, która wyniszczała go powoli i nieubłaganie. Dopóki mógł, prawdopodobnie leczył się ziołami i magią. Potem zrezygnował. Teraz, z perspektywy czasu, myślę sobie, najdroższa Iris, że prawdopodobnie nie chciał dożyć czasów, które potem nastały. Może się mylę. Wiem, że mógł zrobić dla siebie więcej, ale pewnie było to poniżej jego godności. Tylko głupcy i tchórze uporczywie trzymają się życia. Aurelianusowi los i tak przydzielił niezwykłą miarę czasu – o ile mogłem się zorientować, nawet Leta Therrus była przy nim młódką. Postanowił więc odejść z godnością. I zostawił po sobie listy. Do Lety (dowiedziała się, że pragnął jej obecności przy swoim zgonie, dlatego właśnie ją wezwał), do Mitrii, do Jardala, do Adalii z Bergen. Do Torego Harberga. To ostatnie zaniepokoiło nas. Widocznie staruszkowi pomieszało się w głowie, skoro zapomniał już, że Tore nie żyje.

Listy były zapieczętowane. Leta i Mitria otworzyły swoje. Pozostałych nie tknęliśmy.

Poczułem zawód, że Aurelianus nie napisał do mnie nawet jednego słowa. To prawda, że nigdy nie byłem jego bliskim przyjacielem, ale ceniłem go bardzo. Tak naprawdę często miałem ochotę odwiedzić go w jego komnatach w Emain Avallach, ale nigdy nie zebrałem się na odwagę. Wtedy pozostał mi tylko żal, że tego nie zrobiłem.

List do Lety był bardzo długi, a ten do Mitrii zawierał tylko kilka zdań. Na samym dole karty widniał dopisek:

To, co zgubiłaś, znajdziesz w Evannes.

Nie wiedzieliśmy, co to znaczy. I nie wiedzieliśmy, czy Mitria wie.

Evannes. Nie wiem, czy kiedykolwiek słyszałaś o tym miejscu, moja najdroższa Iris. Pustkowie usiane ruinami świątyń, menhirów, kamiennych ołtarzy i innych pozostałości dawnych kultów, leżące tuż na granicy Pustej Ziemi. Dawniej odbywały się tam misteria. Hierofanci czuwający nad przebiegiem obrzędów wtajemniczali mystów w sekrety kultu Antarie i bezimiennych bóstw ziemi. Niewiele wiemy o misteryjnych obrzędach w naszych oświeconych czasach. Mysta recytował słowa hymnu (nieznane nam teraz), połykał kawałek surowej wątroby ofiarnego zwierzęcia. Czubek ucha i duży palec u nogi pomazywano mu ofiarną krwią. A potem wśród dymu węgli i kadzideł wkraczał do labiryntu. Co tam przeżywał, tego nie wie nikt. Pod groźbą śmierci nie wolno było mu o tym opowiadać.

Legenda głosi, że centrum misteriów z Evannes znajdowało się w grocie Argh. Mitria przypomniała sobie, że Jardal na krótko przed swoim wygnaniem zajmował się badaniem tych tajemnic. Pamiętała, że szukał czegoś na ten temat w Bibliotece.

Jesteśmy – czy też byliśmy – Tarrentczykami, moja najdroższa Iris. Czciliśmy Jupitosa i wcielone bóstwo cesarza w naszych eleganckich świątyniach. To znaczy uczestniczyliśmy w państwowych obrzędach. Na ciemne kulty ludów Południa patrzyliśmy z góry.

Tyle że te ciemne kulty również niemal zupełnie zaginęły. Przynajmniej wśród arystokracji i czarodziejów. A prosty lud, który słucha kapłanów i chodzi do świątyń, również już zapomniał o misteriach. Są zagadką sprzed tysiącleci. Ludzie nie myślą również o Pustej Ziemi. Ważniejsze jest dla nich to, co bliskie – nakazy i zakazy kapłana, ofiary do świątyni…

Justin Fern odgiął się do tyłu na krześle i poprawił płaszcz. Od pisania potwornie ścierpły mu palce i rozbolały go plecy. Zerknął w stronę kominka. Płomień przygasł nieco. Pomyślał, że właściwie nie zawadzi wezwać chłopca, żeby dołożył do ognia. I – co tam – wypije ten dodatkowy puchar wina. Od poprzedniego minęło już chyba wystarczająco dużo czasu. A żeby nie złapała go zgaga, każe przynieść sobie placków z oliwą. Niezdrowo tak pić na pusty żołądek.

Uniósł mosiężny dzwonek i zadzwonił. Po chwili umorusany chłopak zjawił się w drzwiach. Dołożył do ognia, po czym powlókł się, szurając nogami, po wino i placki. Justin czekał na niego z przymkniętymi oczami, wpatrując się w przeszłość.

Kiedy chłopiec wrócił, Justin spojrzał na posiłek (gospodyni z własnej inicjatywy dołożyła kilka owoców, orzechy, plaster zimnej szynki i kawałek sera) i doszedł do wniosku, że właściwie nie ma na ochoty na jedzenie. Skubnął tylko dla zachowania pozorów kawałek placka i trochę sera, wypił łyk wina, odsunął tacę i znów pochylił się nad rękopisem.

Nie znaczy to, najdroższa Iris, że na Południu w bogów wierzy tylko ciemny lud, a nie wierzy nikt spośród magów. Niezupełnie tak rzeczy się mają. My mieliśmy świadomość (przynajmniej, jak sądzę, większość spośród nas), że tak naprawdę czcimy alegorię państwa, a nasze świątynie są puste. Magowie jednak w większości zgadzają się co do tego, że jakieś byty zamieszkują Pustą Ziemię. Różnią się tylko poglądami na ich naturę. Poza tym wśród magów rozmowa na temat wiary uchodzi za duży nietakt. Każdy może wierzyć bądź nie wierzyć, jak mu się podoba i w co mu się podoba – i nikomu nic do tego. Jedni, jak Odo Trevelius, oddają się skomplikowanym rytuałom, inni (większość z nas) wykazują wobec religii postawę stojącego z boku obserwatora i badacza. Są również tacy, którzy nie tolerują najmniejszej wzmianki o jakiejkolwiek wierze, uważając to za obrazę dla rozumu. Wiadomo, że w tych warunkach nie każdy z każdym może się porozumieć. Ale jakoś to idzie do przodu.

Rozgadałem się, najdroższa. Wybacz mi. Starość ma swoje prawa. Niedługo dołączę do Ciebie po drugiej stronie Rzeki. Czy rozpoznasz mnie wtedy? Czy zobaczysz w trzęsącym się starcu młodzieńca, który kiedyś naiwnie Cię kochał? I który, prawdę rzekłszy, poświęcił Ci całe życie.

Na pewno chcesz się dowiedzieć, co wydarzyło się dalej. Czy Mitria z Cantaleny zdołała uratować Jardala zwanego Mistrzem? Czy rozszyfrowaliśmy tajemnicę śmierci Aurelianusa z Xanty? Nie tak szybko, moja miła. Muszę opowiedzieć wszystko po kolei.

Wyruszyliśmy do Evannes o świcie, po nieprzespanej nocy. Pełni wątpliwości i obaw, oszołomieni dymem z pogrzebowego stosu, sami czuliśmy się jak mystowie podążający ku wtajemniczeniu. No, przynajmniej ja tak się czułem.

Z lasów wyszliśmy na pustkowie usiane kamieniami, gdzieniegdzie tylko urozmaicone powyginaną przez wiatr krzewinką. Brnęliśmy przed siebie, zagłębiając stopy w piasku. W nozdrzach, uszach i w fałdach odzienia mieliśmy pełno pyłu. Pamiętam, że kaszlałem i przecierałem zaczerwienione oczy. Koniom było bardzo ciężko, a koła wozu skrzypiały, opornie brnąc do przodu. Leta zostawiła swój dziwaczny rydwan w ogrodzie Aurelianusa i podróżowała razem z Jardalem.

O świcie drugiego dnia zaczęły się halucynacje. Widzieliśmy demony o skórzastych skrzydłach, ogniste salamandry, skorpiony z ludzkimi głowami. Leta Therrus powiedziała, że tak działa na nas bliskość Pustej Ziemi. W dawnych

wiekach niektórzy podążali tam, żeby spotkać się z bogami, nie zachowała się jednak żadna wiarygodna relacja z tych podróży. To znaczy zachowało się bardzo wiele opowieści pełnych barwnej i niesamowitej blagi. Część z nich można było odnaleźć w Bibliotece w Emain Avallach. Żałowałem, że nigdy ich nie przeczytałem.

Wydawało mi się, że szliśmy długo, choć tak naprawdę Evannes nie leżało wcale daleko od Xanty. Wybacz mi, najdroższa, że przemilczę dalszą część wędrówki, ale wyznam, że jej po prostu nie pamiętam. Wydawało mi się, że tamtędy przechodziłaś, że przez dłuższą chwilę szłaś obok mnie, a Twoje stopy nie zostawiały w piasku nawet najlżejszego śladu. Ale gdybym miał ci teraz o tym opowiedzieć, musiałbym wyznać, że nie pamiętam.

Justin potarł powieki. Oczy łzawiły i nieznośnie piekły. Pewnie od dymu i od zbyt długiego wpatrywania się w szeregi liter, stawianych koślawo na papierze. Świece kopciły, ale nie chciało mu się przycinać knotów. Wziął za to mały nożyk i naostrzył pióro. Nacięcie wyszło krzywo. Niezadowolony ze swojego dzieła starzec rozprostował zdrętwiałe palce. Bolały. Stawy były lekko zgrubiałe i zesztywniałe. Upił łyk wina, które już prawie zupełnie wystygło, i zabrał się z powrotem do pracy.

Nie wiem już, jak trafiliśmy do groty Argh. Mitria umiała czytać mapy gwiazd i udawało jej się nocą wytyczyć kierunek. W dzień, na pustkowiu, nie odnajdywaliśmy żadnych znaków. Tylko nasze własne zwidy.

Aż w końcu ukazała się naszym oczom czerwona skała. Rzucała głęboki, czarny cień.

Wejście do groty okazało się wąskie, ale dalej rozszerzało się w tunel. Zstępował on w dół, w głąb, w skalne podziemie. Zapewne w normalnych okolicznościach chciałbym zbadać to miejsce, przekonać się na własne oczy, gdzie odbywały się starożytne misteria bóstw ziemi. Ale byłem oszołomiony. Przytłoczony. Nie byłem sobą. Jeszcze kilka godzin wcześniej widziałem błękitnoskrzydłe walkirie, siedzące na kamieniach i szczerzące ostre ząbki w nieładnym uśmiechu. Chciałem zostać sam, a jednocześnie czuć bliskość innych ludzkich istot. Bardzo nie chciałem schodzić w głębiny, pod skałę.

Na szczęście Mitria nie wymagała tego ode mnie. Zabrała ze sobą tylko Gilgamesza, który sam, bez niczyjej pomocy, był w stanie nieść nieprzytomnego Jardala. Za nimi podążyła Mała Bess. Uparła się. Nie wiem czemu. A Mitria pozwoliła jej iść z sobą, choć wcześniej zabroniła tego Virbiowi. Mnie, jak przypuszczam, też by zabroniła. Ale ja nie prosiłem. Byłem zmęczony. Chciałem zamknąć oczy, zasnąć i przestać widywać walkirie.

Świeca zasyczała i zgasła. Justin po raz kolejny potarł zmęczone oczy. Na dole strony dopisał wyraźnymi literami:

Czy żałuję, że wtedy z nimi nie poszedłem? Tak.

*

Lys miała na sobie koronkową suknię barwy opalu. Tuż pod szyją króciutki sznur pereł. Długie mankiety sięgały do połowy dłoni, kończąc się tuż przy kostkach palców. Bawiła się kieliszkiem czerwonego wina.

Jardal rozejrzał się wokół. Otaczała ich mlecznobiała pustka. Siedzieli naprzeciwko siebie na wysokich rzeźbionych krzesłach, ustawionych przy małym, okrągłym stoliku. Pod stopami mieli mozaikową posadzkę, która parę kroków dalej ginęła we mgle.

− Gdzie jesteśmy? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

− Możesz to nazwać Gospodą Między Światami. Tak naprawdę to nie jest żadne miejsce. Potraktuj to po prostu jako chwilę odpoczynku pomiędzy jednym snem a drugim.

Wsparł łokcie na stole i potarł dłońmi twarz.

− Lys… ja nie chcę już śnić. Co mam zrobić?

− Pytasz mnie? – Uśmiechnęła się, a jej zielone oczy zalśniły złym blaskiem. – Chwilę temu byłeś wszechmocny. Stwarzałeś świat. I chciałeś, przypominam, mnie zabić.

− Czy to by coś zmieniło?

− Wątpię. I nie mówię tego po to, żeby siebie ocalić. Mój byt chyba jednak nie jest zależny od twojego widzimisię.

Jardal podniósł na nią wzrok pełen udręki.

− A gdybym zabił siebie? – zapytał.

− Nie możesz – odpowiedziała szybko. Strach w jej oczach pojawił się tylko na chwilę i zaraz zniknął, zastąpiony przez zwykłą obojętność i kpinę.

− Dlaczego?

− Znów będziesz mnie dusił? – zapytała drwiąco. – Proszę bardzo.

− Nie będę – zapewnił, nie zwracając uwagi na sarkazm. – Ale odpowiedz mi, Lys. Proszę. Ja już nie mogę dłużej.

Obróciła w palcach kieliszek i chwilę przyglądała mu się z wahaniem. Wino miało rubinową barwę i wspaniały bukiet. Zostawiało na ściankach naczynia ledwie widoczny zaciek. Prawdziwie szlachetny trunek.

− Boję się – spojrzała mu w oczy – bo jestem z tobą związana. Nie do końca rozumiem, w jaki sposób, a ty najwyraźniej rozumiesz jeszcze mniej. Jeśli pozwolę ci umrzeć, najprawdopodobniej zginie również część mnie. Nie wiem, jak wielka. Może cała ja. Z niezrozumiałych dla mnie przyczyn nie mogę cię

namówić, żebyś zerwał więzi z tamtym życiem i wybrał sobie jakiś inny świat. Muszę tu z tobą tkwić, co mnie, jak już zapewne wiesz, wcale nie cieszy.

− Więc dlaczego nie pomożesz mi wrócić do mojego świata?

Parsknęła.

− Przecież powinno ci być wszystko jedno, Lys. Ten świat czy tamten. Co za różnica.

− No właśnie – zasyczała. – Co za różnica. Więc dlaczego uparcie trzymasz się tego jednego?

− Nie wiem. Ale jakiś powód muszę chyba mieć.

− Jakiś powód – zakpiła.

Jardal potarł skronie i zapatrzył się w przestrzeń. Zamilkł, bo na dalszą rozmowę nie miał sił. Nie potrafił podzielić się z Lys tym, jak się czuł. Zagłębiał się w coś i miał wrażenie, że znika, rozpuszcza się, przestaje istnieć. Stworzony przez niego świat nicość pożarła w mgnieniu oka. Teraz został mu mały skrawek przestrzeni w otoczeniu pustki, mogącej przyprawić o klaustrofobię i agorafobię jednocześnie. Zaczynał się bać, że ta pustka w końcu go dosięgnie, że on sam również zniknie, przestanie czuć swoje ciało, rozpuści się w nicości. Do pewnego stopnia było to nawet pociągające – jako ucieczka od udręki, którą coraz silniej odczuwał. A do tego w Międzyświecie wszystko było tak przygnębiająco nieprawdziwe. Choć groził Lys śmiercią i swoim samobójstwem, tak naprawdę nie wiedziałby, jak zabić siebie czy ją. Nie miał złudzeń, że gdyby samą myślą stworzył sobie ostrze – tak jak na początku swojej podróży stworzył maczetę – pewnie zagłębiłoby się w ciele, ale efekty jego działania okazałyby się halucynacją, jak wszystko wokół.

Mógł opuścić ten świat. Gdyby tylko się zgodził, Lys pokazałaby mu drogę. Ale więziło go w miejscu niejasne uczucie, że ma już tożsamość, którą dobrowolnie wybrał. Powiązaną z jakimś miejscem, czasem i imieniem. Z kimś lub czymś poza sobą samym. Czuł się jak człowiek, który obudził się po ciężkiej chorobie i nie pamięta samego siebie sprzed otchłani majaczeń i gorączki. Pusty, wydrążony, nagi. Jedyne, co mu pozostało, to „chcę” i „nie chcę”. Chciał odzyskać pamięć tamtego życia – choćby po to, by dokonać wyboru. Chciał tego tak bardzo, że dopóki pragnienie się nie spełniło, nie mógł zapragnąć zmiany świata.

Lys krzyknęła. Podniósł na nią zmęczony wzrok. Wpatrywała się w niego w przerażeniu, jakby teraz to on zamieniał się w potwora.

− Coś się stało? – zapytał opryskliwie.

− Xen – wyszeptała pobladłymi wargami – ty nikniesz…

Popatrzył na swoją dłoń, opartą na stoliku tuż obok kieliszka z winem. Przeświecała jak różowy alabaster. Uniósł ją pod światło. Okazała się prawie

przezroczysta.

*

− Tego nie było w planie – powiedziała Pierwsza Prządka.

− Przypominam, że planu również nie było – powiedziała Druga.

− Nie może być planu tam, gdzie nie ma działania – powiedziała Trzecia. – Niczego nie planujemy ani nic nie robimy. Po prostu Obserwujemy.

− Zaprzeczam. Obserwowanie może nie jest działaniem, ale podtrzymuje świat – powiedziała Pierwsza. – Bez Obserwowania nie mógłby istnieć.

− Co się teraz stanie? – zaniepokoiła się Druga Prządka. – To newralgiczny punkt Opowieści. Nici drżą, rozchwiane. Jego nić może przetrwać lub pęknąć. Odnogi Kłącza mnożą się bez opamiętania. Którą oni wybiorą? Jakim torem potoczy się Opowieść?

− Przypominam, że nie możemy śledzić całego Kłącza, choć to kusząca perspektywa – powiedziała Trzecia. – Musimy ograniczyć się do wyborów, które oni podejmą.

− Tak. Na tym polega Eksperyment – powiedziała Pierwsza.

− Niech więc trwa – powiedziała Druga.

− Niech trwa – zgodziła się Trzecia.

*

Przy wejściu do groty Mitria nagle się zawahała. Skalne ściany miały wspomnienia, które opadły ją niczym stado skórzastoskrzydłych nietoperzy. Powolne zstępowanie w mrok. Gorzki, piekący napój przyprawiony miodem, żeby łatwiej było wytrzymać jego obrzydliwy smak. Zdrętwiały język i rozszerzone po narkotyku źrenice. Krew. Własna krew, spływająca w dół z ramion naciętych rytualnym nożem. Splamione krwią bezkształtne posągi kamiennych bóstw, wyobrażających moce ziemi. Szepty.

Zamknęła oczy i zmusiła to wszystko, żeby odeszło. Gilgamesz skrzesał ogień i zapalił pochodnię, jak zwykle spokojny i opanowany. Groza misteriów, która przesiąknęła ściany groty Argh, najwyraźniej nie robiła na nim wrażenia. Podał łuczywo Mitrii i zapalił następne, dla Małej Bess i dla siebie. Nieprzytomnego, wychudłego Jardala ostrożnie przerzucił sobie przez prawe ramię.

Długo schodzili w dół skalnym korytarzem, pełnym niespodziewanych uskoków i zakrętów. Płomień pochodni pełgał po skałach, budząc ukryte cienie. Mała Bess dygotała.

Zejście kończyło się niedużą, okrągłą pieczarą, z której stropu zwisały długie stalaktyty. Gilgamesz ostrożnie ułożył Jardala pośrodku i odstąpił pod skalną ścianę. Popatrzył na Mitrię, która uklękła przy czarodzieju.

− Wiesz, co robić? – zapytał. Jego głęboki głos odbił się echem w zakamarkach skał.

− Nie – przyznała. – Tak bardzo liczyłam na Aurelianusa…

− Ale wiesz, co stało się z Jardalem. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

− Zabłądził do Międzyświata. Jest Wędrowcem.

− Więc powinnaś go wezwać.

− Wiem. Tylko nie mam pojęcia jak.

Dotknęła chłodnej skóry człowieka, którego kochała tak, że brakowało jej słów. Przesunęła palcami wzdłuż jego ramienia. Był bardzo blady, czoło miał lekko wilgotne, a z rozchylonych ust wydobywał się ledwie wyczuwalny oddech. Wyglądał jakby spał.

Czarodziejka zamknęła oczy i wsłuchała się w echa jaskini. Kapanie pojedynczych kropli wody. Delikatne szmery nietoperzych skrzydeł. Szumy. Drżenia. Szepty.

I nagle ją usłyszała. Grota Argh przemówiła siłą Pierwotnego Miejsca w głębi ziemi, łączącego kamienie, drzewa, zwierzęta, bogów i ludzi. Odsłoniła nagi Omfalos, Pępek Świata, miejsce, w którym narodziło się życie. Jeśli coś gdziekolwiek miało się zdarzyć, na pewno mogło zdarzyć się tu. To był Punkt Między Światami. Mitria nie wiedziała, czemu służyły misteria z Evannes, ale zaczęła rozumieć, dlaczego hierofanci wprowadzali mystów właśnie tutaj. To miejsce groziło śmiercią i tętniło życiem. Było labiryntem dla bohaterów, progiem do przekroczenia, momentem odrodzenia.

Otworzyła oczy. Czuła moc ukrytą w grocie każdym porem skóry, ale nie musiała się jej poddawać. Nie po to tu przyszła. Nie miała pojęcia, co czuł odurzony narkotykami mysta podczas wtajemniczenia i tak naprawdę nie była pewna, czy chce się tego dowiedzieć. Mogło się również okazać, że nie jest w stanie się temu poddać. Miała w sobie coś w rodzaju wrodzonej odporności na mistycyzm – odruch racjonalnego umysłu, który najgłębsze nawet przeżycie zaczynał natychmiast analizować. Nie nadawała się na ofiarnicę i doskonale o tym wiedziała.

Wzniosła dłonie, by wypowiedzieć zaklęcie.

− Zaczekaj – odezwał się Gilgamesz. Jego twarz w świetle pochodni bardziej niż zwykle wydawała się wykuta z kamienia.

− Może się okazać, że to będzie wymagało ofiar – powiedział z wahaniem. – Tam, w Zamku Cieni… przyszedłem do ciebie. Nie wiem, dlaczego i jak. Nie wiem też, co sprawiło, że nadal istnieję, oddzielony od tamtej magii, od wyobrażonej krainy zmarłych. Ale możliwe, że przyszedł czas, by spłacić swój dług. Życie Jardala za moje istnienie. Być może po prostu zniknę, wyparuję, jakby nigdy mnie nie było. Chciałem powiedzieć, że – nabrał powietrza w płuca,

ogromne jak kowalskie miechy – zgadzam się na to. To sprawiedliwa wymiana. Dziękuję ci, Mitriyah, że żyłem.

Mitria zastygła w pół gestu, a potem opuściła dłonie. Wstała, podeszła do olbrzyma i zarzuciła mu ręce na szyję. Objął ją ramieniem i uścisnął delikatnie, jakby bał się połamać kruche kości. W drugiej ręce wciąż trzymał pochodnię.

− Wypomniałeś mi kiedyś, że oddałabym każde inne życie za życie Jardala – powiedziała cicho czarodziejka. – Nie chcę, żebyś miał rację, choć już tyle razy okazało się, że tak było. Nie wiem, co się stanie, przyjacielu. A nie wiedząc, nie mam odwagi nie spróbować.

Olbrzym poważnie skinął głową.

− Dajcie mi sztylet, panie Gilgameszu – odezwał się z mroku głos Małej Bess. – Musicie żyć. Ja tam nic nie jestem warta. Ot, portowa kurewka. Moje życie za wasze.

Mitria opuściła ręce.

Gilgamesz schylił się i chyba po raz pierwszy uważnie przyjrzał Małej Bess.

− Jesteś znacznie więcej warta ode mnie – powiedział – bo prawdziwa. Ja jestem tylko cieniem.

− Dość. Nie będzie więcej śmierci. Na ile to będzie zależało ode mnie. – Mitria z westchnieniem potarła twarz dłońmi. Wróciła do Jardala i uklękła przy nim.

Bez słów, niemal bez gestów, wezwała tętno ziemi, moc groty Argh. Powietrze zawibrowało. Przez chwilę nie działo się nic. A potem nagle zakotłowało się wokół od plam głębokiej ciemności, niejasnych przebłysków światła, mlecznej mgły i małych, czarnych wszechświatów. Jeśli otworzył się pośród tego wszystkiego jakiś tunel, nikt tego nie widział. Gilgamesz objął ramieniem Małą Bess i, przywierając do skalnej ściany, osłonił ją sobą. Płomienie pochodni wirowały jak oszalałe, jakby szarpał nimi porywisty wiatr.

Ciało Jardala zblakło i stało się niemal przezroczyste. Mitria krzyknęła i przywarła do niego.

− Xen – wyszeptała. – Przyzywam cię, Xen. Jardalu. Jeśli została w tym świecie choć odrobina ciebie, przybądź. Nie zostawiaj mnie samej. Proszę.

Ramiona zadrżały jej jak z ogromnego zimna. Objęła nieruchome ciało.

− Jeśli jednak chcesz być wolny – szepnęła – odejdź. Nie chcę cię zatrzymywać, Xen, jeśli ty sam nie pragniesz tu być. Po prostu wybierz.

Moc ziemi wciąż gęstniała i zaginała przestrzeń. Z mroku rozlegały się jakieś świsty, wycia i chichoty. Wszechświaty pulsowały i eksplodowały bezgłośnie, rodząc miliardy gwiazd. Galaktyki rozszerzały się i stygły.

*

Jardal ocknął się w białej pustce, nagi i sam. Lys zniknęła. Nicość pochłonęła wszystko.

Nagle przyszedł do niego dźwięk. Początkowo pozbawiony był znaczenia. Potem stał się imieniem.

− Jardal – powiedział. – Mam na imię Jardal.

*

Zamrugał. Zobaczył nad sobą bladą twarz otoczoną rudymi włosami i szare oczy, pełne ogromnego bólu i miłości.

− Więc to ty jesteś Mitrią – powiedział i zapadł w sen.

*

Koguty piały, jakby to miał być ostatni dzień ich życia. Justin Fern westchnął. Czasami wolał pracować w nocy, kiedy nic go nie rozpraszało. Ale stare oczy niezbyt dobrze znosiły marne światło świec, łzawiły i piekły nieznośnie. Poza tym potrzebował częstego odpoczynku i jeśli zasiedział się do późna, w dzień zdarzało mu się zdrzemnąć przy pracy. Do tego na starość marzł nieustannie, więc chłód ciągnący od kamiennej posadzki dokuczał mu w zimne noce bardziej niż w słoneczne dni.

Teraz przez zakończone ostrym łukiem okno wpadało dużo światła. Rozruszał zdrętwiałe palce, szczelnie otulił się futrzanym płaszczem i wziął pióro do ręki.

Umiłowana Iris,

Tak jak napisałem, nie wszedłem do jaskini i przyjdzie mi tego żałować po kres moich dni. Miałem szansę otrzeć się o coś niewyobrażalnego. O wejście do Międzyświata. Tyle że wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

Kiedy wyszli z groty Argh, najpierw poczuliśmy rozczarowanie, bo wydawało się, że nic się nie zmieniło. Mitria ledwie trzymała się na nogach, Gilgamesz niósł Jardala, a Mała Bess wlekła się w ogonie, wyglądając na przerażoną. Szybko jednak zrozumieliśmy, że misja się powiodła. Jardal wrócił, był tylko bardzo wycieńczony i zapadł w głęboki sen. Gilgameszowi udało się upolować na pustkowiu jakąś kuropatwę, a Berto razem z Cantią i Małą Bess uwarzyli z niej trochę gęstego rosołu, który potem na zmianę po trochu wlewali czarodziejowi do ust.

Za szybko jednak było na tryumfalne okrzyki i fanfary. Okazało się, że Jardal tak naprawdę niewiele pamięta. Znał twarz Mitrii i przypominał sobie jej imię, ale poza tym wydawał się nikogo i niczego nie rozpoznawać. Początkowo prawie z nikim nie rozmawiał. Dużo spał i jadł coraz więcej. Powoli wracał do sił.

Do tego pobłądziliśmy na pustkowiu. Mitria nie zwracała już tak pilnej uwagi na gwiazdy, a nam wydawało się, że jak przyszliśmy, tak wrócimy. I najwyraźniej

źle nam się wydawało. Kręciliśmy się w kółko. Drugiego dnia w południe natrafiliśmy na ślady po własnym obozowisku. Znów zaczęliśmy widywać walkirie, ogniste węże i skorpiony z ludzkimi głowami. Przynajmniej ja zacząłem. Leta Therrus wysnuła przypuszczenie, że rosnące na pustyni karłowate krzewinki wydzielają w gorące dni jakieś toksyczne olejki eteryczne, które powodują halucynacje. Pamiętam, że uczony nawet wyrwał jedno takie zielsko, zawinął starannie i odłożył do późniejszego zbadania.

Tamtego wieczoru stała się jeszcze jedna rzecz. Nasz młody Virbio nie wytrzymał. Widocznie też miał dość widywania walkirii. Próbował przysiąść się do Mitrii i szeptał jej coś do ucha, a kiedy chciała mu się wymknąć, wybuchnął stekiem przekleństw i złorzeczeń. Bredził coś o wspólnej miłosnej nocy, o tym, że przecież ona sama go uwiodła, a teraz ignoruje. Że on się, biedny, czuje wykorzystany. Że teraz liczy się dla niej tylko czarodziej, a przecież w tamtym momencie wcale o niego nie dbała.

Słuchaliśmy z zażenowaniem, a czarodziejka zaczerwieniła się tak, że krew jej prawie trysnęła z policzków – tylko nie wiadomo było: z gniewu czy z zawstydzenia. Opanowała się jednak na tyle, żeby zadać spokojne pytanie, kiedy to niby tę noc z Virbiem spędziła, bo jakoś sobie nie przypomina. Odpowiedź brzmiała: w Zamku Cieni, podczas gdy wszyscy inni błądzili we mgle.

Wyznam szczerze, że w tym momencie parsknąłem śmiechem. Zrozumiałem, że Mitria miała rację, nalegając, żebyśmy wyznali sobie nawzajem swoje zamkowe majaki, choć wtedy, gdy musiałem opowiadać o swoich, nie byłem zachwycony. Domyślasz się zapewne, najdroższa Iris, że widziałem Ciebie. Nie było to jednak miłe widziadło – a jednak prawdziwsze i bardziej zwodnicze, niż gdybym ujrzał Cię żywą. Virbio, o ile pamiętam, zapewniał, że nie miał żadnej wizji. Zrozumiałem, że naprawdę w to wierzył – choć nie wiem, jak mógł, skoro Mitria ze swojego majaku wyprowadziła Gilgamesza.

Pamiętam tamten moment, kiedy do młodego jeszcze nie dotarło. Gapił się na mnie i nie rozumiał, dlaczego się śmieję. Wszyscy inni z zażenowaniem pospuszczali głowy – z wyjątkiem Lety Therrus, która świdrowała Virbia swoim przenikliwym spojrzeniem. Mitria odetchnęła. Popatrzyła na niego z politowaniem i powiedziała z celowym okrucieństwem:

− Wiesz, Virbio, na początku naszej podróży wyjaśnialiśmy sobie, że lustra Zamku Cieni dały każdemu z nas wizję złożoną z jego prywatnych mitów, najgłębszych lęków, najboleśniejszych kompleksów czy pragnień. Widać niedokładnie słuchałeś.

Odwróciła się i odeszła, a Virbio został z otwartymi ustami jak ostatni osioł. Tym razem to on zaczerwienił się niczym piwonia i stał tak, w pół drogi pomiędzy histerią a nagłym zrozumieniem i towarzyszącym mu potwornym wstydem. Nawet

trochę mu współczułem. Myślę, że najgorsza była dla niego świadomość, że gdyby nie jego własny wybuch, nikt nigdy nie dowiedziałby się o skrytych fantazjach na temat Mitrii. A w tamtej chwili wiedzieliśmy o tym wszyscy.

Potem my, czarodzieje, usiedliśmy razem z Agostino Vallą nad mapą gwiazd i jakoś udało nam się ustalić nasze położenie oraz kierunek dalszego marszu. Wierz mi, odetchnąłem, kiedy wydostaliśmy się z pustyni. Zostawiłem za sobą tajemnice groty Argh i zagadki Pustej Ziemi, krainy bogów. Jakoś niespieszno mi było do nich wracać. Przynajmniej w tamtym momencie.

Z pamięcią Jardala wciąż było nie najlepiej. Sprawiał wrażenie, że nawet nie do końca rozumie zasady świata, w którym żyje. Nie wiedział, że jest magiem. Nie rozpoznawał żadnego z nas. Imię „Mitria" było dla niego, jak się okazało, wyłącznie dźwiękiem przypisanym do osoby, o której nic nie wiedział.

Mitria zagryzała usta. Przedtem, kiedy ciało Jardala prawie umierało, sprawiała wrażenie, że jest bliska załamania. Teraz zrobiła się zimna, nieprzystępna i opryskliwa. Wszyscy oprócz Lety – łącznie ze mną, przyznaję – starali się trzymać od niej z daleka. Virbio wlókł się w ogonie naszego małego pochodu, naburmuszony jak uczeń, któremu mistrz kazał za karę pozamiatać izbę.

Sytuacja była skomplikowana. Wszyscy wiedzieliśmy o zakazanej miłości Mitrii i Jardala. Byliśmy świadkami ich wygnania. Ale – w tym rzecz – była to miłość zakazana. Nie mogłem podejść do niego, potrząsnąć nim i powiedzieć: ocknij się, człowieku, to jest twoja ukochana, która zaciągnęła nas wszystkich na ten opłakany koniec świata, żeby tylko cię ocalić. Czasem, kiedy widziałem jego nic nierozumiejący, zdumiony wzrok, którym nas mierzył, miałem szczerą chęć tak właśnie postąpić. Ale naruszyłbym w ten sposób Przysięgę. To znaczy nie osobiście. Ale czynnie popierałbym jej naruszenie.

Wkrótce zrozumiałem kolejne źródło niepokoju Mitrii: był dzień, a ona nie zamieniała się w sowę. Była noc, a Jardal nie zamieniał się w kota. A przecież przekleństwo przypieczętowane przez Evelyn von Stein mocą Glinianej Pieczęci nigdy nie zostało z nich zdjęte. Czyżby Jardal nie wrócił naprawdę albo nie do końca? Na tę myśl ciarki przebiegały mi po grzbiecie. Kim lub czym w takim razie był ten, którego tu ściągnęliśmy? Z wyjaśnieniem pospieszyła jednak Leta Therrus. W końcu niewiele brakowało, żeby to ona nosiła Pieczęć – znała jej moc lepiej od nas i twierdziła stanowczo, że tu, w obszarze wpływów Pustej Ziemi, jest ona zdecydowanie słabsza. Jednak w miarę przybliżania się do Emain Avallach będzie rosnąć. Klątwa powróci. To takie paradoksalne – czekać na własną klątwę jak na wybawienie.

Mitria milczała.

Dotarliśmy do chaty, którą za życia zamieszkiwał Aurelianus z Xanty. Postaliśmy chwilę przy jego kurhanie, a potem rozbiliśmy obóz w pobliżu.

Byliśmy zmęczeni. Bardzo, bardzo zmęczeni.

Następnego dnia powoli wyruszyliśmy na Południe, wybierając drogę przez lasy.

− Panie czarodzieju, jakaś kobieta do was – jazgotliwy głos gospodyni wtargnął w ciszę. Justin wypuścił pióro. Inkaust zachlapał brzeg karty, tworząc nieduży kleks. Mag zaklął pod nosem i roztarł obolały nadgarstek.

− Ile razy mówiłem, że teraz nie przyjmuję? – odkrzyknął.

− Ale ona pilnie. – Gospodyni nie dawała za wygraną. – Dziecko jej zachorzało.

Justin podniósł się i z westchnieniem poczłapał w stronę drzwi.

W kuchni czekała na niego przerażona kobiecina, tuląca do siebie spocone i rozgorączkowane dziecko. Mag objął dłońmi główkę malca i wymruczał zaklęcie. Potem ze skrzyni przy kominku wygrzebał kilka wiązek ziół. Wybrał niektóre z nich, pokruszył, utłukł w moździerzu i wsypał do małej skórzanej sakiewki.

− Napar z jednej małej garści rano i wieczorem. Jeśli w ciągu dwóch dni nie będzie poprawy, przyjdź znowu.

Kobieta rzuciła się ucałować jego pomarszczoną dłoń. Odpędził ją ruchem ręki. Wysupłała z zapaski poczerniałą monetę.

− Zostaw – powiedział. – Przy okazji przynieś mi kilka jajek, jeśli możesz. Uciekaj już. Jestem zajęty.

Kobieta znikła za drzwiami, a Justin poczłapał z powrotem do pracowni. Po chwili na podłodze zaskrzypiały kroki. Gospodyni bez słowa postawiła przy nim puchar grzanego korzennego wina i talerzyk owsianych ciastek z rodzynkami. Dołożyła do ognia i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nasza podróż, najdroższa Iris, teoretycznie mogła przypominać stypę. Niby osiągnęliśmy cel, ale jakoś nie było z czego się cieszyć. Po jakimś czasie jednak Jardal zaczął przypominać sobie, kim jest i kim są ci, którzy go otaczają. Wspomnienia wracały stopniowo. Budził się w coraz lepszym nastroju i patrzył bardziej przytomnym wzrokiem. Dużo z nim wtedy rozmawiałem. Opowiadałem mu o Emain Avallach i o tym wszystkim, co obaj mogliśmy pamiętać. Byłem przy nim sam. Mitria omijała go z daleka.

A potem – muszę przyznać to ze wstydem – przyszedł dzień, kiedy to ja wpadłem w histerię.

Usiedliśmy wieczorem przy ognisku. Agostino Valla przysunął się do Małej Bess i zaczął wypytywać ją o szczegóły tego, co wydarzyło się w jaskini. Próbował robić notatki za pomocą grafitowego rysika, ale biorąc pod uwagę brak światła, nie wróżyłem mu powodzenia. Bredził coś o tym, że kieruje się wyłącznie naukową ciekawością. Mała Bess odpowiadała dość nieskładnie na

pytania, które niespecjalnie trafiały w cel. Przyznam, że zacząłem trochę podsłuchiwać. Do momentu, kiedy w uszy wpadło mi słowo „wędrowiec”. I nagle doznałem olśnienia.

− Chwileczkę. Twierdzicie, że Jardal jest Wędrowcem Światów? – krzyknąłem.

− Uspokój się, Fern – odpowiedziała flegmatycznie Leta Therrus.

*

− Uspokój się, Fern.

Justin stał w rozkroku, ze zdumieniem w oczach, zaciskając pięści. Sam nie wiedział, w którym momencie wstał i przyjął bojową postawę.

− Wędrowcy są niebezpieczni! A na pewno nie powinno być żadnego z nich pośród czarodziejów! Nie są ludźmi! – zawołał.

Leta Therrus patrzyła na niego pobłażliwie i ironicznie. Mitria, która właśnie wychynęła zza wozu, zawahała się przed wejściem w krąg światła wokół ogniska. Zatrzymała się na krawędzi mroku i odwróciła wzrok. Jardal patrzył obojętnie, jakby rzecz go nie dotyczyła, a Agostino Valla miał oczy wielkości castelburskich dukatów. Dwójka młodych ludzi przenosiła spojrzenie z Justina na Jardala z mieszaniną grozy i fascynacji. Mała Bess ewidentnie nic nie rozumiała, ale minę miała jak zwykle przerażoną.

− Zastanów się przez chwilę, Fern – powiedziała cierpko Leta Therrus – i przestań panikować. Jardal znajdował się przez dłuższy czas w stanie zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią, a jednak nie umarł. O ile wiem, sam przypuszczałeś, że Mitria wie, co mu jest, tylko nie chce podzielić się z wami tą tajemnicą. Dlaczego?

− Bo to kolejna pozycja na liście rzeczy zakazanych – burknął Justin.

− Właśnie. Znajdowaliście się daleko od Zamku, w którym doszło do rozszczepienia osobowości Jardala. Gdyby to była kwestia zaklęcia, osłabłoby ono i pewnie dalibyście radę je przełamać. Tymczasem było coraz gorzej. Jego więź z ciałem coraz bardziej słabła, a ściągnąć go z powrotem można było tylko w miejscu, w którym istnieje możliwość otwarcia przejścia do innych światów. Grota Argh to jeden z nielicznych punktów zetknięcia różnych warstw rzeczywistości. Słyszałam o kilku innych, ale nie wiem, na ile te pogłoski są prawdziwe. W każdym razie jeśli po… hm, przebudzeniu Jardala nie domyśliłeś się, że jest on Wędrowcem Światów, a przyczyną jego stanu było uwięzienie w Międzyświecie, to jesteś, daruj mi, naprawdę tępy.

− Nie sposób było…

− Sposób było. Ja się domyśliłam, kiedy tylko spotkałam waszą grupę i zostałam zapoznana z sytuacją. Rozmowa z Mitrią tylko potwierdziła moje wnioski.

Justin rozluźnił pięści i zacisnął je jeszcze raz.

− Ale nie możesz zaprzeczyć, że Wędrowcy nie są ludźmi – spróbował ponownie.

− Mogę. – Leta uśmiechnęła się promiennie. – Wszystkie te opowiastki o *mercurios* i potworach chaosu to z palca wyssane przesądy, odziedziczone po pełnych fantazji przodkach, którzy zapełnili opasłymi dziełami półki naszej Biblioteki. A my z niej, przyznać musisz, rzadko wychodziliśmy. A przynajmniej rzadko studiowaliśmy dzieła nowe, stworzone przez współczesnych filozofów przyrody.

Agostino Valla dumnie wypiął chudą pierś, choć Leta nawet na niego nie spojrzała.

− Jestem Tarrentczykiem – obruszył się Justin. – Przyszedłem z zewnątrz. Nie podzielam waszych przesądów.

− Właśnie dlatego, że jesteś Tarrentczykiem – powiedziała Leta Therrus – przyjąłeś nasze przesądy z dobrodziejstwem inwentarza i gorliwością neofity. To od nas uczyłeś się, jak powinien myśleć prawdziwy czarodziej.

Justin Fern przeczesał dłonią włosy i usiadł. Skrzydełka jego arystokratycznego nosa drgały nerwowo.

− Czy możesz mi więc wyjaśnić – zapytał – jak naprawdę ma się sprawa z Wędrowcami?

− Mogę.

Mitria zbliżyła się, usiadła przy ognisku, daleko od Jardala, i objęła kolana ramionami.

− Wbrew temu, co twierdzili nasi znakomici antenaci – zaczęła Leta – Wędrowcy Światów są ludźmi takimi jak my, tyle że ich, nazwijmy to, status ontologiczny jest nieco nieokreślony. Wyjaśnia to teoria wieloświatów autorstwa Everetta z Hugo, wsparta badaniami Einsteinusa Alberto, Vernera z Heisenbergu i Browena Roberto. Jeśli przyjąć, że Międzyświat to tylko punkt przecięcia wszystkich światów, musimy założyć, że światy te są tak naprawdę tylko czasoprzestrzennymi rozszczepieniami i odgałęzieniami naszego. Za każdym razem, kiedy cokolwiek w naszym świecie staje przed wyborem, rodzi się tyle wszechświatów, ile jest możliwych dróg.

Agostino Valla próbował robić mądrą minę. Kiepsko mu wychodziło.

− Wędrowcy – mówiła dalej Leta – to ludzie, ale w pewien sposób uprzywilejowani. Zostali obdarzeni czymś w rodzaju magii, tyle że innej od naszej. Moc, którą dysponujemy my, nazywający siebie magami, polega na posiadaniu dość ograniczonej władzy nad materią, a właściwie żadnej nad czasem i przestrzenią. Wędrowcy Światów to magowie czasoprzestrzeni. Nie są przywiązani do jednej materialnej powłoki ani do jednego świata. Mogą się

przemieszczać, przenosząc się do Międzyświata i dalej, do innych wszechświatów. Międzyświat to taki punkt stykania się poszczególnych uniwersów. Nie pochodzą z niego. Nikt z niego nie pochodzi. Każdy z nich urodził się w jakimś konkretnym świecie, może nawet w naszym – ale najczęściej po kilku czasoprzestrzennych przesiadkach zapomina o swoim pochodzeniu.

− Nie zawsze – przerwał jej lekko zachrypnięty głos Jardala.

Leta skłoniła głowę.

− Masz rację. Nie jestem praktykiem – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Zapanowało odrobinę niezręczne milczenie.

*

Wtedy być może miałem podstawy do tego, żeby się tak zachować, droga Iris. Postąpiłem tylko zgodnie z moją najlepszą wiedzą. Przeraziłem się, że człowiek, któremu pomagam odzyskać pamięć i którego powoli zaczynam uważać za przyjaciela, jest w istocie jakimś tajemniczym potworem z innych wymiarów. Przeraziłem się jak dziecko albo dzikus, któremu ktoś pokazał uwięziony w słoju piorun.

A potem, nagle, pamięć Jardala wróciła zupełnie. Niespodziewanie. Jakby się przebudził.

*

Mitria siedziała nad brzegiem jeziora i rzucała do wody małe kamienie. Zapadał zmierzch. W głębi lasu huczały sowy.

Usiadł ostrożnie, bez szmeru, jakby bał się spłoszyć małe zwierzątko.

− Tam była jakaś kobieta – powiedziała, nie patrząc na niego.

− Tak – potwierdził skinieniem głowy. – Nienawidziłem jej. Choć może niesprawiedliwie, bo była w jakiś sposób częścią mnie. A także częścią tamtego świata. A może różnych światów.

Mitria wciągnęła w płuca wilgotne leśne powietrze, pachnące igliwiem, grzybami i butwiejącymi liśćmi.

− Wróciłeś – powiedziała.

− Wróciłem.

*

Wybacz mi, najdroższa Iris, i niech wszyscy czytelnicy mojej kroniki również mi wybaczą, ale wtedy ich podglądałem. Prawdopodobnie robiła to również Leta Therrus. A może nie. Nie wiem. W każdym razie ja widziałem, jak przywarli do

siebie, jak dotykali swoich rąk, ramion, twarzy, ścierając z nich łzy. Jak gładzili dłonie na policzkach.

A potem zapadł zmierzch. Skończyła się Godzina Zmieszania Świateł. Słońce schowało się za horyzontem.

Mitria usiadła pod drzewem, a na jej kolana wspiął się duży bury kot, mrucząc głośno. Objęła go ramionami i gładziła jego futro, patrząc w ciemność.

*

− Czy nasz eksperyment zbliża się do końca? – zapytała Pierwsza Prządka.

− To, że nici splotły się z powrotem, nie oznacza, że mamy prawo przestać Obserwować – powiedziała Druga.

− Słusznie. Przed nimi jeszcze wiele wyborów. Wszystkie odnogi Kłącza mogą się urzeczywistnić w tym, co oni nazywają Teraz – powiedziała Trzecia.

− To takie dziwne: mieć jeden świat – powiedziała Pierwsza.

− Oni nie potrafią inaczej. To takie dziwne istoty – powiedziała Druga.

− Jak oni istnieją, skoro nie widzą Kłącza światów? – zapytała Pierwsza.

− Muszą Uczestniczyć – odpowiedziała Trzecia. – To męczące, ale tak naprawdę ich możliwości są większe niż nasze.

− Jak to? – zdziwiły się Pierwsza i Druga.

− Uczestnicząc, zmieniają świat – wyjaśniła Trzecia Prządka. – Dokonują wyborów. Powodują, że odnogi zaczynają się rozgałęziać. Podczas gdy my możemy tylko Widzieć lub Obserwować.

− Obserwowanie wymaga wysiłku. Musimy świadomie zmuszać się do Niewidzenia. Do niewiedzy. To trudne – powiedziała Pierwsza.

− I męczące – dodała Druga. – Dlaczego podjęłyśmy się tego właśnie teraz? Dlaczego ona i on? Mała nieważna czarodziejka i mały nieważny czarodziej.

− Nie możemy sobie odpowiedzieć – stwierdziła Trzecia – bo wtedy musiałybyśmy odwołać się do Wiedzy o czasoprzestrzennej całości Kłącza. Musiałybyśmy, jak oni to mówią, wiedzieć, jak to się skończy.

− Ale odpowiedź istnieje? – zapytała Pierwsza.

− Zdaje się, że pomimo Niewiedzy wiem jaka – powiedziała Druga.

− To oczywiste – powiedziała Trzecia. – Oni znajdują się w węźle czasu. Ich świat się zmieni. Przez nich, przy nich, w ich obecności. Nic już nie będzie takie samo.

− To jest zarazem prawdziwe i nieprawdziwe – powiedziała Pierwsza. – W czasie wszystko zmienia się nieustannie, a zarazem wciąż jest takie samo. Sprzeczność.

− Zaprzeczam sprzeczności – powiedziała Druga.

− Sprzeczność – powiedziała Trzecia – to tylko jedno z możliwych spojrzeń na różne aspekty rzeczywistości. Dlatego ustanowiłyśmy role Zwolennika, Przeciwnika i Mediatora. Aby istniał podział, sprzeczność i synteza.

*

Leta Therrus śniła o mewie. Leciała wysoko, ponad morzem. Krzyczała. Z jej dzioba wydobywał się skwir, natychmiast tłumiony przez wiatr. Morze było ciemnogranatowe i wzburzone. Spod horyzotnu wzniosła się ogromna, spieniona fala i pomknęła wprost ku białej wieży, która w porównaniu z ogromem wodnej ściany wydawała się wiotka i krucha. Mewa krzyczała, gdy wiatr zatrzymywał ją w miejscu.

*

Loren obejrzała się, gdy zostawiali za sobą rogatki miasteczka. Zobaczyła kolorowo malowane ściany, pasiaste markizy rozpostarte nad ulicami i dachy kryte ceglastymi dachówkami. Doleciał ją zapach sprzedawanych na przedmieściu korzennych pierniczków i nawoływanie handlarzy. Westchnęła. Choć przemierzyła z najemnikami Księcia całkiem spory szmat południowych ziem, nigdy wcześniej nie była wolna i każdy nowy widok wydawał się jej ekscytujący. Targowisko w Castelburgu było co prawda o wiele większe, ale również dość ponure. Bogatsi kupcy utrzymywali uzbrojonych strażników, a mniej zamożni sami nosili przy boku kordelasy albo chowali pod straganami gotowe do strzału kusze – rabusiów nie brakowało. Od czasu do czasu wybuchały awantury, a złodzieje uciekali wąskimi alejkami, potrącając kupujących. Zdarzało się, że pechowy złoczyńca kończył z bełtem w trzewiach bądź poderżniętym gardłem – ale czasem bez szwanku umykał z pękatą sakiewką. Bywało, że również kupiec tracił przy takiej okazji życie.

Tu jednak, w miasteczku, którego nazwy Loren nawet nie pamiętała, targ był znacznie mniejszy, za to radosny i pogodny. Sprzedawcy słodkości wabili do swoich kramów rozwrzeszczaną dzieciarnię, uliczni grajkowie wygrywali skoczne melodie, a kupcy handlujący bronią, przyprawami, warzywami, zwierzętami, tkaninami i wyrobami ze skóry nie sprawiali wrażenia, że drżą o swoje życie i towar. Loren spędziła na targu całe popołudnie, oglądając występy skoczków, podziwiając jedwabie, adamaszki i kunsztowne wyroby złotników, kosztując miodowych pierniczków, pieczonych na ruszcie kapłonów i korzennego piwa.

Oderwała wzrok od barwnych zabudowań i wlepiła go w dal, w suchą, pylistą drogę, która ciągnęła się przed nimi. Ventino Strozzi siedział obok niej na koźle, trzymając lejce i międląc w zębach zerwaną przy drodze trawkę. Niestrzyżona od

pewnego czasu broda obrosła mu nastroszonymi kłaczkami. Jego słudzy jechali z tyłu, prowadząc wolne konie.

− Jeszcze tylko parę mil do rozstajnych dróg – odezwał się. – Tam zgodnie z obietnicą dam ci konia i twój miecz. Wschodni gościniec poprowadzi cię w kierunku morza, do Emain Avallach.

Skinęła głową i potarła zaróżowiony policzek. Strozzi wypluł słomkę i zaciął powoli człapiące konie.

− Czy jesteś absolutnie pewna, że twój rodziciel to aż taki kawał sukinsyna? – zapytał.

Loren wzruszyła ramionami. Westchnęła. Tę dyskusję toczyli już od dawna, prawie każdego dnia podróży i na każdym postoju. Strozzi nie namawiał jej do porzucenia zemsty, nie odradzał, tylko od czasu do czasu zasypywał męczącymi pytaniami. Teraz najwyraźniej znowu zaczął.

− Opowiadałam ci. Uwiódł moją matkę, naopowiadał jej bajeczek o wspólnym życiu w cudownej krainie czarodziejów, a potem, kiedy zaszła w ciążę, zostawił z zapłatą, jak tanią dziwkę. Tego najbardziej nie mogę mu wybaczyć. Nie tego, że nigdy w życiu go nie widziałam. Nie jestem ciekawa.

− Kłamiesz.

Zaczerwieniła się i podrapała za uchem.

− No dobrze. Masz rację. Kłamię. Chciałabym go zobaczyć. Ale myślę, że kilka minut mi wystarczy.

− A jeśli się zmienił? Jeśli to było jedyne świństwo, które zrobił w życiu i do dziś wstydzi się na samą myśl? Nie dasz mu szansy?

Loren wydęła usta.

− Posłuchaj, Strozzi – przemówiła tonem ucinającym wszelkie dyskusje – wydaje ci się, że każdy przypadek można rozpatrywać z neutralnego etycznie punktu widzenia, że można doszukać się w każdym uczynku okoliczności łagodzących, a w każdym skończonym draniu człowieka, który zbłądził. Ale, daruj mi, życie boleśnie weryfikuje takie lukrowane obrazki. Nie zasłużyłam na życie bękarta, na bycie popychadłem lepiej urodzonych. Musiałam być najlepsza we wszystkim, żeby otrzymać choć odrobinę tego szacunku, który inni dostawali za darmo, bo urodzili się w porządnych mieszczańskich czy szlacheckich rodzinach. Moja matka nie zasłużyła na los ciężarnej kurwy, którą rodzice wyrzucili z domu, kiedy próbowała do nich wrócić. Całe szczęście, że znalazł się ten poczciwy Baldini, który zakochał się w niej i poślubił, inaczej chyba wylądowałaby w rynsztoku albo lupanarze. Więc nie mów mi, proszę, o przebaczeniu i idealnym, sprawiedliwym świecie.

Wóz turkotał po drodze, podskakując na wybojach. Minęli gromadę pasterzy, pędzących stado owiec w stronę miasteczka. Na łąkach kilku wieśniaków w

zgrzebnych kapotach i szerokich kapeluszach pracowało przy sianokosach. Prowadzili kosy równo, jakby ktoś pociągał ich za ukryte sznurki. Śpiewali przy tym jakąś piosenkę, przeciągając ostatnią nutę każdej strofy.

Kiedy minęła ich ostatnia owca, Strozzi znów mocniej zaciął konie.

− A jak zamierzasz rozpoznać swojego ojca? – zapytał. – Przecież nigdy go nie widziałaś.

Loren uśmiechnęła się mściwie.

− Widzę go codziennie, spoglądając w lustro – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Matka mówiła, że mam jego blond włosy, zarys brwi i lazurowe oczy ze złotymi plamkami. Bardzo rzadki kolor, musisz przyznać. Rozpoznam go. O to się nie martw.

Skinął głową w milczeniu.

W południe dotarli do rozstajnych dróg. Strozzi zeskoczył z kozła, rzucił lejce słudze i poszedł na tył wozu. Odwiązał luzaka, podprowadził go do Loren i bez słowa wręczył jej wodze, po czym zanurzył się wewnątrz płóciennej budy i wrócił z jej mieczem, dość dużą sakwą prowiantu i małą sakiewką złota.

− Droga do Emain Avallach prowadzi tamtędy. – Wskazał wschodni gościniec.

− Bywaj, Strozzi.

− Jeśli będziesz kiedykolwiek chciała coś zmienić – powiedział, nie patrząc na nią − udaj się na południowy zachód i wypytaj ludzi, gdzie leży Firenze. Stamtąd prosta droga prowadzi do Strozzo. To moja ziemia. Przyda mi się kompetentna strażniczka, a moja żona na pewno ucieszy się z przybranej córki. Mamy tylko synów.

− A ja mam matkę.

− W porządku. Bywaj, Loren z Burga. – Trzasnął lejcami i konie ruszyły z miejsca, skręcając w południowo-zachodni gościniec. Dziewczyna została sama w chmurze pyłu, wzniecanej kopytami i kołami wozu, trzymając w ręce wodze. Koń targał głową i niecierpliwie gryzł wędzidło. Przypasała miecz, ukryła pod ubraniem złoto, a sakwę przytroczyła do siodła. A potem odjechała, nie oglądając się za siebie.

*

Justin Fern uznał, że tym razem potrzebuje czegoś mocniejszego. Zawołał chłopca i nakazał, aby gospodyni zagrzała mu korzennego wina. Otworzył komodę i wyjął mały kluczyk, za pomocą którego dostał się do wewnętrznej skrytki. Wyjął z niej małą kasetkę, zamykaną zaklęciem i kolejnym kluczykiem. Ze środka wydobył mały flakonik wypełniony ciemnozieloną substancją. Chłopiec przyniósł wino i postawił je na stole, a ponaglony spojrzeniem

czarodzieja natychmiast zniknął za drzwiami, nie zadając pytań. Justin z miną winowajcy zbliżył się do stołu, odkorkował flakonik i wlał trzy krople do wina, odmierzając starannie. Zamieszał, tocząc pucharem, i wypił pierwszy, głęboki łyk. Ciężko usiadł przy biurku, otulił się płaszczem i wziął pióro w zesztywniałą dłoń.

Najdroższa Iris,

Wybacz, że znów piszę do Ciebie chaotycznie, nielogicznie, przeplatając moją kronikę ogólnymi rozważaniami starzejącego się maga. Nie byłaś czarodziejką. Nie mogłabyś pewnych rzeczy zrozumieć, nawet gdybyś żyła i była tu ze mną. Zresztą – żyjąc, ty też byłabyś już starą kobietą. Niewiarygodnie starą. Jak potraktowałby Cię czas? Nie potrafię wyobrazić sobie zmarszczek na Twojej twarzy ani siwych, przerzedzonych włosów. Tylko spojrzenie na pewno zachowałabyś to samo: chłodne i dumne.

Muszę Ci się przyznać, że od czasu do czasu korzystam z dobrodziejstw wzmacniającego świadomość eliksiru Lety Therrus. Nauczyła mnie, jak go produkować. Dziwnie mi z tym, bo po samej Lecie nie pozostał już na tym świecie żaden ślad – oprócz zieleniącej się nieopodal Emain mogiły, na której stoi biały kamień. Ale znów wyprzedzam fakty.

Wędrowaliśmy dniami i nocami. Jardal jechał na Farasie, koniu Mitrii, milczący, a rdzawa sowa płomykówka siedziała na jego ramieniu. W nocy to Mitria dosiadała konia, a duży bury kocur spał zwinięty w kłębek na wozie, uprzejmie ogrzewając stopy Lety Therrus. Spieszyło się nam. Potwornie się nam spieszyło. Gdybyś mnie zapytała, nie potrafiłbym odpowiedzieć czemu. Gnaliśmy, jakbyśmy chcieli wyprzedzić podążającą naszymi śladami śmierć. Popasaliśmy krótko, a tuż przed świtem zwykle zwijaliśmy obóz i ruszaliśmy dalej. Pędziliśmy przed siebie jak powietrzne demony.

Nikt z nas nie próbował wytłumaczyć tego, czemu nam tak śpieszno. O ile nie zawodzi mnie pamięć, wisiało nad nami widmo śmierci Aurelianusa z Xanty. Tę zagadkę chcieliśmy jak najszybciej wyjaśnić. Wierzyłem Mitrii i Lecie. Śmierć wyszła z lustra. A lustro prowadziło nas do miejsca, z którym koniecznie musieliśmy się rozliczyć, a którego nazwy nikt z nas nie miał ochoty wypowiadać. Stamtąd wszystko się zaczęło. Przypadkowa zbieranina, którą Mitria de Witten wzięła ze sobą do dekoracji idąc do Księcia, związała się ze sobą czymś silniejszym niż pakt krwi.

Sługus o szczurzej twarzy, Machiavello Niccoli, przepowiedział nam, że nie zdołamy uciec od Zamku Cieni. Dopóki dążyliśmy do celu i zbliżaliśmy się do punktu przenikania się światów, a zarazem wchodziliśmy w sferę wpływów Pustej Ziemi, czar słabł. Teraz, po wykonaniu misji, wniknął w poczucie pustki, które nas wypełniło. Tęskniłem do Ciebie, Iris, okrutnie do Ciebie tęskniłem. Pamiętałem,

że wtedy, w Zamku, ujrzałem Cię umarłą, ale mimo to pragnąłem zobaczyć Cię jeszcze raz. Inni, którzy też tam byli, podróżowali teraz w milczeniu, zapatrzeni w swoje sny. Leta rozumiała więcej, niż się wydawało. Czułem, jak nieustannie sonduje nas wszystkich swoją magią – ale jakoś mi to nie przeszkadzało. Pozostali – uczony i ta dwójka dzieciaków – zamilkli i śledzili nasze twarze i gesty z zabobonną ciekawością, wyczuwając, że dzieje się coś niezwykłego.

A my pędziliśmy naprzód. Nie tylko w swoim imieniu. Za Gagę, za Grandiniego, za nas wszystkich, zaplątanych w okrutną sieć luster. Za torturowanego Jardala, któremu zrobiono to, czego żadnemu magowi robić nie wolno. Mała Bess kuliła się na wozie, popłakiwała i patrzyła boleśnie na Gilgamesza. Ten szedł naprzód, z twarzą kamienną i nieprzeniknioną. Ustawiał się tylko zawsze za plecami Jardala i Mitrii, tak jakby chciał ich szczególnie chronić.

Miasteczko Gołodupce ze zrozumiałych przyczyn ominęliśmy szerokim łukiem, ale próbowaliśmy odnaleźć chatę, w której zostawiliśmy konającego Grandiniego i Fionkę, która zdecydowała się mu towarzyszyć. Zajęło nam to trochę czasu. W końcu dotarliśmy nad brzeg jeziora, ale ku naszemu zdziwieniu chata okazała się pusta. Nie było też nigdzie widać świeżego grobu. Obeszliśmy starannie okolicę, próbując odnaleźć jakiekolwiek ślady. Na próżno. Kora drzewa została starannie obgryziona przez konia Fionki, którego sami tam przywiązaliśmy. Ślady kopyt na leśnym dukcie. Nic poza tym.

Mieszczaneczka wiedziała, że po nią wrócimy. Tak jak obiecaliśmy. Mimo to odjechała, a Grandini został pochowany nie wiadomo gdzie.

Gilgamesz, najbardziej z nas wszystkich wprawiony tropiciel, odnalazł ślady innych końskich kopyt. Dalej, na ścieżce prowadzącej w las, natrafił na koleiny, pozostawione przez koła wozów. Mała Bess przypomniała sobie, że Fionka niekoniecznie chciała wracać do Castelburga. Wspominała coś o pozostaniu między dobrymi ludźmi. Być może jacyś wieśniacy zabrali do siebie i ją, i umierającego Grandiniego. Nic nie wskazywało na użycie przemocy. Może Fionka nie chciała, żebyśmy jej szukali. W Castelburgu nie miała już domu. Ojciec umarł, macochy nienawidziła, przyrodnie rodzeństwo traktowało ją jak posługaczkę.

Nie wiedzieliśmy, co robić. Spieszyliśmy się. Bardzo. Nie wiedzieliśmy, gdzie szukać Fionki, a włożyć mnóstwo czasu i wysiłku w odnalezienie jej tylko po to, żeby dowiedzieć się, że nie chce nam towarzyszyć – wydawało się wysiłkiem jałowym. Musieliśmy wrócić do Castelburga. Zaczęła na to nalegać również Leta Therrus. Opowiedzieliśmy jej, rzecz jasna, o zwierciadłach w Zamku Cieni i nie miała wątpliwości, że to tam należy poszukiwać odpowiedzi na pytanie, kto i dlaczego zamordował Aurelianusa z Xanty.

Wreszcie, z ciężkim sercem, odjechaliśmy.

Przemykaliśmy lasami, omijając większe miejscowości. Zapadliśmy w gąszcze, przeorane tylko wąskimi ścieżkami myśliwych i zwierzyny. Porzuciliśmy wóz, cały dobytek przenosząc na wyprzęgnięte z niego konie, które od tej pory prowadziliśmy ze sobą. Zabraliśmy tylko rydwan Lety Therrus, która nie dałaby rady podróżować w siodle. Ale ten pojazd był wąski, bardzo zwrotny i szybki. Zupełnie nam nie wadził.

Podróżowaliśmy nocami, omijając większe skupiska ludzkich siedzib. Widywaliśmy z oddali płonące wsie. Łuny biły w ciemne niebo, a dym przesłaniał gwiazdy. Domyśliliśmy się, że to dzieło kondotierów Jastrzębia lub innych zaciężnych wojsk, a w ostateczności luźnych band, idących ich śladem. Grandini zdążył powiedzieć nam dość, byśmy zorientowali się, że Jastrząb odbiera rozkazy z Tradivy. Zaczynała się jakaś ruchawka, a my przemierzaliśmy pogranicze. Nie zależało nam jednak na tym, żeby zasięgnąć języka. Chcieliśmy tylko jak najszybciej dotrzeć do Castelburga.

Dopiero później dowiedziałem się, najdroższa Iris, co się tak naprawdę działo. Tradiva postanowiła zawładnąć sąsiednim państwami-miastami, jako pretekstu używając rzekomego tarrenckiego najazdu. To dlatego chłopak w Verit i ja prawie straciliśmy życie jako domniemani tarrenccy szpiedzy. Nie wszystko jednak potoczyło się gładko. Emmendath, Cantalena i Trevia stawiły zbrojny opór. Okoliczni chłopi również chwycili za kosy i cepy w obronie swoich siół, uciekli w lasy i utworzyli zbrojne kupy, które zaczęły nękać kondotierów i tradivskie wojska, wykorzystując doskonałą znajomość terenu. Na kilka takich band nawet natknęliśmy się w lasach, ale udało nam się wyjść z tych spotkań bez szwanku, wykorzystując zabobonny szacunek, jaki prosty lud zwykle żywi dla czarodziejów. Wyleczyliśmy kilka ran kłutych, parę przypadków gorączki i jakąś czerwonkę, dostaliśmy w podzięce gęś i kilka gomółek sera, wywiedzieliśmy się, gdzie aktualnie są wojska, a potem rozstaliśmy w najlepszej zgodzie.

Historia nie okazała się łaskawa dla Tradivy, przynajmniej do tej pory. Na gruzach naszego świata tamta pograniczna wojenka stanowi tylko jeden z mało znanych i mało ważnych epizodów. Wspominam o niej jednak, bo, po pierwsze, otarliśmy się o nią wtedy osobiście, a po drugie, była dla mnie pewnym sygnałem, jednym z pierwszych, które się wtedy pojawiły. Małym kamyczkiem zwiastującym lawinę, który chyba tylko Jastrzębiowi, seneszalowi Kayerlowi i siedzącym po lasach chłopom wydawał się ważny.

Nawiasem mówiąc, Jastrzębia spotkał w końcu marny los. Po raz drugi nie udało mu się wygrać tamtej wojny i jego mocodawcy znów odwrócili się od niego. Z początku, gdy ruszył szerokim szlakiem przez pogranicze, paląc, plądrując, strasząc nadchodzącym Tarrentem i narzucając wszędzie tradivski

protektorat, odnosił sukcesy. Ale te działania, jak można się domyślić, potężnie rozdrażniły Emmendath, Cantalenę i Blenvingard, miasta równie bogate i silne. Podbój trwał zbyt długo. Kiedy minęło trochę czasu, od strony gór nikt nie nadciągał, a wręcz przeciwnie, wciąż panowała cisza i spokój, wszyscy przestali się bać spodziewanego tarrenckiego najazdu. Ba, znaleźli się nawet podróżnicy i kupcy, którzy twierdzili, że w Tarrencie bywali i na żadne działania zbrojne się tam nie zanosi. Nikt nie uwierzył w fałszywe zapewnienia o tradivskiej przyjaźni, tym bardziej, że Jastrząb poczynał sobie zbyt butnie. Połączone siły Emmendath, Cantaleny i Blenvingardu w końcu zgniotły Tradivę. Kondotier umknął z resztkami swoich wojsk i znów próbował zmienić stronę. Przez jakiś czas tułał się, nie znalazłszy nowego pana ani źródła zarobkowania. Przyczaił się w górach, został raubritterem i konkurował o lepsze z tamtejszymi zbójnickimi bandami. Później zaciągnął się nawet gdzieś i znów walczył dla złota, ale nie zdołał już odzyskać dawnej pozycji i opinii niezwyciężonego. W końcu schwytano go i powieszono w Tradivie jak zwykłego zbója.

Wybacz, droga Iris, moje dygresje, wybieganie naprzód i liczne meandry mojej opowieści. Umysł starego człowieka nie przypomina już przenikliwego i bystrego, a pomimo to tak łatwo otumanionego przez Ciebie umysłu młodzieniaszka. Jestem magiem i przeżyłem wiele długich lat. Teraz być może jestem tak stary, jak wtedy była Leta Therrus. A świat wokół mnie się zmienił. Nie rozumiem już młodych, ambitnych czarodziejów, którzy nie mają żadnych hamulców i nie słuchają autorytetów. Wiem, zrzędzę. Wybacz.

W końcu wydostaliśmy się z lasów i ruszyliśmy przez gęściej zaludnione tereny na południu. Zatoczyliśmy łuk, ale ponieważ nie byliśmy obciążeni wozem, podróżowaliśmy znacznie szybciej niż w przeciwną stronę. Rydwan Lety Therrus sprawował się nadspodziewanie dobrze. Jechała na nim razem z Agostinem Vallą, który co prawda mógłby pewnie czasami dosiąść konia, ale najwyraźniej w jego mniemaniu nie licowało to z godnością uczonego.

Mijaliśmy pola i winnice, chaty i zameczki, stada wełnistych owiec i krów o wysokich, zawiniętych do góry rogach.

Aż w końcu dotarliśmy na podgrodzie.

*

− Nie zgadzam się – powiedziała Mitria.

Jardal spojrzał na nią smutno. Co miał zrobić.

− To zbyt niebezpieczne – próbował protestować Justin Fern. – Lepiej będzie, jeżeli nie powtórzymy poprzedniego manewru. Powinniśmy pojawić się w Zamku niespodziewanie, wykorzystać moment zaskoczenia. Jeśli będziesz sową na ramieniu Jardala, paradoksalnie mamy większe szanse.

− Nie. To nie ma żadnego znaczenia. Zamek, Machiavello Niccoli i Książę rozpoznają Jardala, a także was. Nie miej złudzeń, Justinie. A jako sowa nie mam prawie żadnych możliwości działania. Nie godzę się na to.

− Nie powinniśmy się rozdzielać – powiedział cicho Jardal. Znał Mitrię bardzo dobrze i wiedział, że nie ma lepszego sposobu na rozdrażnienie jej niż okazać przesadną troskę lub strach o nią. A w tym momencie bardzo się o nią bał. Nie chciał tego przyznać, ale bał się również o samego siebie. Tortury, którym poddawano go w Zamku, pamiętał jak przez mgłę. Wiedział jednak, że pozbawiły go większej części świadomości i zmusiły do panicznej ucieczki z ciała. Teraz przyszedł moment, żeby zmierzyć się z tym po raz drugi. Z najgorszym koszmarem, który prześladował go w najmroczniejszych zakamarkach snów.

Mitria odrzuciła rude włosy z czoła i spojrzała na nich szarymi oczami z miną rozzłoszczonej kotki.

− Przecież żeby czar przestał działać, musiałabyś znajdować się w dość dużej odległości od Jardala… − spróbował ponownie Justin Fern.

− Niekoniecznie. – Potrząsnęła głową. – Wystarczy, jeśli wyprzedzę was o godzinę drogi. Leta Therrus obiecała, że da mi eliksir, który pozwoli na pewien czas powstrzymać skutki klątwy. Będę mogła dowolnie zmieniać postać. Wtedy do mnie dołączycie. Spotkamy się wszyscy pod bramą – powiedziała.

Jardal skinął głową. Siedzieli pod rozłożystym dębem w pobliżu gospody, na ławie przeznaczonej dla podróżnych, i sączyli z kamiennych kufli płynny miód. Leta Therrus oparła się plecami o pień drzewa i odpoczywała z przymkniętymi oczami.

− Pojadę z tobą – zaofiarował się Justin.

− Nie – sprzeciwiła się znów. – Pojadę sama. A do Zamku powinni wejść tylko czarodzieje i osoby, które już wcześniej w nim były. Ci, którzy odbili się w lustrach. A więc wy, panie uczony, oraz wasi młodzi podopieczni zostają tutaj, na podgrodziu.

− Nic podobnego! Jadę z wami! – wykrzyknął Berto di Nero. Mitria zmierzyła go tylko spojrzeniem pełnym politowania i nie powiedziała nic. Cantia zaczerwieniła się aż po cebulki włosów. Była zaledwie adeptką, nie złożyła Przysięgi, nie otrzymała płaszcza, nie mogła więc liczyć się jako czarodziejka. To, że zabroniono jej udziału w czymś, co postrzegała jako ekscytującą przygodę, odebrała jak nakaz pójścia do łóżka zaraz po kolacji.

Agostino Valla entuzjastycznie zgodził się zaopiekować Bertem i Cantią. Gilgamesz siedział na ławie, a jego szczęka drgała nieznacznie. Mała Bess popatrywała po wszystkich lękliwie i skubała rąbek spódnicy.

Pomimo tłoku udało im się wynająć trzy izby w gospodzie. Mitria i Jardal zniknęli za drzwiami wraz z zapadnięciem zmroku. Zamiana czarodzieja w kota

mogła być nieco szokująca dla oczu przypadkowych podróżnych.

W powietrzu wisiało nieuchronne zbliżanie się chwili, napięcie, oczekiwanie. Bramy Castelburga trzeba było przekroczyć jeszcze raz.

*

Justin Fern zamieszał parujący płyn w czarce i wypił zawartość. Wstrząsnął się. Skrzypnęły drzwi i mag szybkim ruchem odstawił naczynie na stół.

− Co tam? – zapytał.

− Panie, jakaś niewiasta do was – powiedziała gospodyni.

Justin westchnął.

− Znów chore dziecko? – zapytał.

− Nie. To jakaś obca. W podróży. Rzekła, że do was umyślnie przez tyli kraj świata jechała.

Czarodziej zrobił marsową minę, ale w gruncie rzeczy po to, żeby nie pokazać po sobie zaciekawienia. Szorstko poprosił gospodynię, by wpuściła gościa do środka.

Do komnaty weszła dziewczyna, odziana w skromną sukienkę i szarobłękitną opończę z kapturem. Złożyła magowi głęboki ukłon i zatrzymała się tuż za progiem, w pozie pełnej szacunku. Miała odrobinę trójkątną twarzyczkę, gęste kasztanowe włosy i ciemnoniebieskie oczy. Kogoś mu przypominała, ale za nic w świecie nie wiedział kogo.

Okazało się, że nie musiał zbyt długo się nad tym zastanawiać.

− Jestem Miral di Nero – przedstawiła się dziewczyna. – Wnuczka Bertoglia di Nero i Cantii von Essen, których znaliście, panie, w latach waszej młodości. Podróżuję z konwentu pani Augustiny Serro do Nowego Kręgu w Xancie, aby złożyć Nową Przysięgę i otrzymać płaszcz. Odbyłam szkolenie.

− Tak, tak – bąknął zażenowany Justin. – Konwent pani Augustiny cieszy się zasłużoną sławą. Z pewnością wyszkolono cię dobrze. Czemu jednak zawdzięczam zaszczyt?…

Dziewczyna odrobinę się zarumieniła. Przyjrzał się jej. Rzeczywiście przypominała Cantię. Miała ten sam zarys podbródka i kasztanowe włosy. Ale czoło, spojrzenie, inny kolor i kształt oczu przywoływały odległe wspomnienie Berta, jego swobodną wyniosłość.

− Mistrzu Justinie, zanim złożę Nową Przysięgę… − przemówiła Miral di Nero − chciałabym, a wręcz muszę… usłyszeć z ust naocznego świadka całą historię.

− Chodzi ci o wyprawę do groty Argh i z powrotem w towarzystwie twojej babki i dziadka. Jak dziwnie te słowa brzmią. Pamiętam ich jako młode dzieciaki. – Odchrząknął.

− Niezupełnie. To znaczy tak i nie. Tak – bo babcia opowiadała mi to wszystko wielokrotnie. Dziadek też, dopóki nie umarł. Chętnie poznam tę opowieść z innej strony, ale nie o to mi chodziło. Chciałabym – podniosła odważnie oczy na Justina – dowiedzieć się, co stało się w Zamku Cieni. I później. Jak upadł nasz świat. Byłeś tam, mistrzu Justinie. Mojej babki ani dziadka nie było.

Czarodziej z zakłopotaniem podrapał się po brodzie. Podreptał do drzwi, uchylił je i krzyknął na chłopca, który zjawił się natychmiast, zaczerwieniony i rozczochrany. Mag nakazał mu przynieść dla gościa krzesło nakryte jedwabną poduszką i ustawić je przy kominku. Gospodyni nie musiał wołać. Sama zjawiła się z tacą pełną parującego grzanego wina, pierniczków, orzechów, suszonych fig i rodzynek. Justin chrząknął tylko, że zapewne gość pozostanie na dłużej, więc prosiłby o kolację na godzinę po Zmieszaniu Świateł i o przygotowanie sypialnej komnaty. Gospodyni obrzuciła dziewczynę pytającym spojrzeniem i bez słowa odmaszerowała wykonać polecenia. Justin gestem zaprosił ją, by usiadła.

− Spadasz mi jak z nieba, Miral di Nero. – Uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że aż tak bardzo nie spieszy ci się do Nowego Kręgu i możesz zabawić u mnie kilka dni.

Przytaknęła niepewnie.

− To świetnie. Widzisz, tak się składa, że opowiadanie tej historii zajęło mi kilka ostatnich miesięcy. Dzieło jeszcze nie jest ukończone, ale potrzebuję czytelnika. Kogoś, kto zada odpowiednie pytania i powie mi, w którym miejscu wyrażam się niejasno. Czy podejmujesz się tej roli? – spytał, wyciągając z szuflady sekretarzyka gruby plik spisanych kart.

Miral di Nero poważnie skinęła głową i wyciągnęła ręce po rękopis.

− Zadedykowałem moją kronikę pewnej szczególnej osobie – odchrząknął czarodziej, spoglądając na swoje stopy. – Możesz pominąć te fragmenty.

Czas świata, czas miasta

Mitria wyjechała o świcie. Zabrała Farasa, Jardalowi zostawiając jednego z jucznych koni. Bramy miasta, ku jej zdziwieniu, stały otworem. Zdążały ku nim grupki drobnych przekupniów z koszami wszelkich dóbr, wjeżdżały kupieckie wozy. Obok kordegardy stał tylko jeden strażnik, wsparty na zardzewiałej włóczni. Lustrował tłum leniwym, obojętnym spojrzeniem spod przekrzywionego i zaśniedziałego hełmu. Od czasu do czasu dla porządku kogoś zatrzymywał, ale nawet w przybliżeniu nie przypominało to rewizji.

Coś się stało z tym miastem. W powietrzu wisiała delikatna atmosfera rozkładu i odwilży zarazem. Z ludzkich oczu zniknął strach. Podobnie z oczu wartownika, który nie prężył się już na baczność i nie zezował w bok, wypatrując odzianych w białe płaszcze rycerzy Gwardii Morgh. Wiatr niósł znajomą, korzenno-zwierzęcą woń targowiska oraz smród zepsutych ryb, wodorostów i nadgniłych pali z portowej dzielnicy.

Mitria minęła strażnika, nie patrząc na niego. Skierowała konia w stronę wąskich uliczek i kamienic kupieckiej dzielnicy. Kopyta Farasa rytmicznie stukały po bruku, kiedy pokonywał tarasowe wzniesienie i zbliżał się w stronę opuszczonych willi i pałaców. Szara bryła Zamku Cieni górowała nad miastem, wyłaniając się z porannej mgły.

Czarodziejka obejrzała się przez ramię. Słońce wyłoniło się zza horyzontu, oświetlając chmury przeraźliwym złotem, od którego bolały oczy. Skręciła w opuszczony zaułek. Zatrzymała się i wydobyła flakonik z eliksirem, otrzymany od Lety Therrus. Gęsta zielona esencja zabłysła w szkle. Mitria wyszarpnęła korek i wlała do ust połowę zawartości buteleczki. Mikstura miała okropny smak. Czarodziejka wstrząsnęła się, ale już po chwili poczuła przepływ w całym ciele, jakby tysiące igiełek wbijały się w jej skórę. Wyszeptała zaklęcie, koncentrując swoją moc na woli pozostania w ludzkiej postaci. Doszła do wniosku, że powinno zadziałać. Czuła się silna jak nigdy dotąd. Ujęła wodze Farasa, uśmiechnęła się triumfalnie i skierowała w stronę głównej bramy Zamku.

Kute w heraldyczne lilie wrota stały otworem. Na dziedzińcu panowała cisza. Nigdzie nie było gwardzistów w białych płaszczach. Za to Machiavello Niccoli czekał już na nią w progu. Tak samo czarno odziany, z wąską srebrną opaską na rzadkich włosach, obleśnie uśmiechnięty i oblizujący różowym językiem uwiędłe wargi.

− Wiedziałem, że wrócisz, żebraczko z Cantaleny. – Zaśmiał się. – Gdzie twoja kompania? Wszyscy zginęli? I gdzie twój ledwo żywy czarodziej, dla

którego podjęłaś całe to ryzyko?

Mitria podjechała tak blisko, że chrapy Farasa prawie dotknęły twarzy czarno odzianego człowieka.

− Jak zwykle błędnie oceniasz sytuację, Niccoli – powiedziała. Przez chwilę miała chęć obejrzeć się przez ramię, ale zmusiła się, żeby tego nie robić. Przybyła za wcześnie. Powinna była jednak poczekać na pozostałych.

Machiavello Niccoli mlasnął i spojrzał na nią szparkami zmrużonych, czarnych oczu.

− Nie wiem, co według ciebie oceniłem źle. Zamek cię wezwał, prawda? – Uśmiechnął się krzywo.

− Można to tak nazwać. – Mitria ominęła go wzrokiem i przyjrzała się niebu, po którym przepływały drobne chmurki. – Ale to nie ten rodzaj wezwania, o którym myślisz. Nie przybyłam tu wiedziona wewnętrznym przymusem. Po prostu czas wyrównać rachunki. Za Jardala, który, wyobraź sobie, żyje i ma się dobrze. Wkrótce poznacie się osobiście. I za to, że Zamek Cieni – albo raczej ktoś, kto go zamieszkuje – zabił mojego przyjaciela, maga Aurelianusa.

Machiavello Niccoli wybuchnął śmiechem – nerwowym, nieokiełznanym chichotem szaleńca.

− I naprawdę myślisz – parsknął, ocierając kąciki oczu – że Zamek cię posłucha? Że zdołasz wydobyć z niego jakąkolwiek odpowiedź?

− Cóż – Mitria zmrużyła szarozłote oczy – na początek spróbuję wydobyć odpowiedzi z ciebie.

Wykonała mały ruch ręką. Z jej dłoni wyprysnęła świetlna sieć, oplatając całą postać człowieka w czerni. Krzyknął i cofnął się, mocując z siatką. Szybko jednak uspokoił się i oparł o futrynę, oddychając głęboko. Napiął mięśnie w głębokim wysiłku, a potem ku zdziwieniu czarodziejki jego prawa dłoń, zaciśnięta w pięść, przebiła siatkę i wzniosła się w górę grożącym gestem ulicznego kaznodziei.

− Znam was, czarownicy! – wrzasnął, plując gęstymi kropelkami śliny. – Od czasu twojej poprzedniej wizyty poczytałem sobie trochę o magii. Gwiezdne żelazo neutralizuje waszą obrzydliwą moc! Mam tu gwiezdny kamień!

− Możesz nim sobie pomachać – odpowiedziała cierpko Mitria, wciąż patrząc na mury i w niebo. – Owszem, blokuje działanie magii. To znaczy mocy czarodziejów. W przypadku zaklęcia rzuconego na osobę pozbawioną talentu działa, jak sam możesz zaobserwować, raczej miejscowo.

Niccoli zawył, na próżno próbując uwolnić się z sieci.

− Nie szarp się – poradziła czarodziejka – bo będzie bolało. Poczekamy tu sobie chwilę. A potem zostaniesz poddany wyczerpującemu przesłuchaniu. Dowiemy się, jakie właściwie siły stoją za tym waszym Księciem. I, uwierz mi,

dalszy ciąg nie będzie dla niego miły. Oddamy to miasto jego prawowitym mieszkańcom i zrobimy to, czcząc pamięć kogoś, kto je w całej jego obrzydliwości kochał. Dionisiusa Grandiniego.

− Myślę – rozległ się głos – że trochę jeszcze za wcześnie na czczenie mojej pamięci. Jakkolwiek bardzo mi miło.

Czarodziejka drgnęła, a potem w odruchu zdumienia zeskoczyła z konia. Na dziedzińcu stał Grandini we własnej osobie. Blady, znacznie szczuplejszy, ze świeżo zagojonymi bliznami na twarzy. Zrobił kilka kroków, wsparty na ramieniu Fionki. Ciągnął za sobą sztywną nogę. I uśmiechał się. Zmieniony fizycznym cierpieniem, ale niewątpliwie żywy.

− Twoja mikstura, czarownico – odpowiedział na niezadane pytanie – postawiła mnie na nogi zamiast zabić. Nie wiem, czego tam dodałaś, ale to było cholernie mocne świństwo. Wychyliłem całą flaszkę i początkowo myślałem, że mi wypali wnętrzności. Ta tutaj Fionka mówi, że podobno przez dobre kilka minut rzucałem się i wyłem, jakby mnie żywcem obdzierali ze skóry. A potem naderwane wątpia jakoś mi się zagoiły i powskakiwały na swoje miejsca. – Posłał czarodziejce swój zwykły, szelmowski uśmiech.

Końskie kopyta zastukały na bruku. Jardal i Justin zatrzymali się tuż za bramą. Za nimi Virbio i Leta, która wyjątkowo zdecydowała się dosiąść konia, z Małą Bess siedzącą z tyłu i kurczowo uczepioną siodła czarodziejki. Gilgamesz, jak zwykle, poruszał się pieszo.

Otworzyli oczy ze zdumienia. Mała Bess pisnęła. Szpieg przywitał się z nimi skinieniem dłoni i szerokim uśmiechem.

− Już czas – powiedziała Mitria. Jardal skinął głową. Zsiedli z koni.

− Wy musicie załatwić wasze sprawy, wchodząc frontowym wejściem – stwierdził Grandini – ale mnie coś się zdaje, że mam interesy w kuchni. W skrzydle służebnym.

Zgodzili się w milczeniu. Szpieg wsparł się na ramieniu Fionki i pokuśtykał w głąb podwórca.

Weszli, ciągnąc za sobą skrępowanego magiczną siecią Machiavella Niccoli, który wyrywał się i syczał. Sień była pusta. Znów żadnych gwardzistów w białych płaszczach. Żadnego dźwięku. Żadnego syczenia wyciąganych z pochew mieczy i śpiewu bełtów wylatujących z kusz. Cisza. Ciemna hala, wsparta na dwóch rzędach kolumn, ozdobiona wiszącymi wysoko na ścianach herbowymi tarczami. Po obu jej stronach schody prowadzące w górę, połączone korytarzem. Z kamiennej balustrady zwieszał się pośrodku wypłowiały gobelin, przedstawiający drzewa genealogiczne najważniejszych patrycjuszowskich rodów Castelburga.

Z boku kryły się prawie niewidoczne drzwi, prowadzące do lochów. Wzdrygnęli się na to wspomnienie.

Leta Therrus rzuciła na pustą przestrzeń delikatny skanujący czar. Nic się nie stało. Żadnych mgieł ani luster.

Wspięli się na piętro i weszli do pierwszej z brzegu pustej komnaty. Rzucili wyrywającego się Machiavella Niccolego na krzesło. Dygotał z furii i ze strachu. Rzucał mgliste groźby i megalomańskie przechwałki. W końcu Leta wypowiedziała to, co wszystkim przyszło już do głowy: że ich jeniec jest najwyraźniej bezużyteczny jako świadek. Służył Księciu wyłącznie jako wygodne narzędzie do kontaktu ze światem zewnętrznym. Jego mania wielkości i żądza władzy posłużyły do utkania kilku spośród zaklęć spowijających Zamek Cieni. Ale tak naprawdę nie posiadał żadnej wiedzy ani znaczenia. Kluczy do zagadki należy szukać gdzie indziej.

Wyszli, zostawiając go bliskiego apopleksji. Czerwonego, krztuszącego się i wywrzaskującego, że kiedy zostanie już władcą własnego imperium, każe drzeć z nich pasy i rzucić psom. Zaklęcie Mitrii mocno przywiązało go do krzesła.

*

Giulia Baldini szybko zbiegła po schodach. Z okna w korytarzu łączącym basztę ze służebnym skrzydłem Zamku zobaczyła ludzi, którzy wjechali na dziedziniec. Nie wszystkich znała, ale rozpoznała charakterystyczne płaszcze z kapturem, pewność siebie, miękkie, oszczędne ruchy, fizycznie młode ciała w połączeniu z władczością sugerującą długie doświadczenie. Na gładkim czole srebrnowłosej kobiety błyszczał wielki diament, osadzony w srebrnej opasce. Czarodzieje. Z nimi jakiś dziwny olbrzym w jaskrawoszafirowej koszuli.

Przebiegła przez ziejące pustkami korytarze, mijając spiżarnie, serownie i komórki wszelkiego przeznaczenia. Dopadła do kuchni, przeszła przez nią i otworzyła drzwi. A potem się cofnęła. W progu stał Dionisius Grandini i uśmiechał się rozbrajająco. Zza jego pleców wyglądała pulchna dziewczyna o powierzchowności mieszczanki.

− Dokąd tak spieszno? – zapytał szpieg. – Nie cieszycie się, pani Baldini, że wróciłem? Pogawędziłbym chętnie i naparu jakiegoś się napił. Albo i konfitur zjadł. Prawda, Fionko, że chętnie zjemy konfitur? – zwrócił się do dziewczyny, która skinęła głową i oblizała pełne wargi.

Giulia Baldini wróciła do kuchni. Grandini wtoczył się do środka i rozsiadł za stołem. Ochmistrzyni krzątała się, trzęsącymi się rękoma wrzucając do imbryka suszony kwiat lipy, zalewając wrzątkiem i odstawiając, żeby napar naciągnął. Bełkotała coś przy tym o służbie, która porzuciła obowiązki i rozeszła się na wszystkie strony świata. Ustawiła na stole czarki malowane w kwiatki i

spodeczki z konfiturami. Gdy wywar nabrał właściwego odcienia i zapachu, nalała go do czarek, które brzęczały przy każdym jej dotknięciu jak małe porcelanowe dzwoneczki.

− Usiądźcie z nami, pani Baldini. – Szpieg przerwał jej paplaninę. Uśmiech miał słodki jak wiosenny miód, a zarazem dziwnie niebezpieczny. – I wyjaśnijcie mi łaskawie, co się właściwie tutaj dzieje. Wszak pamiętacie, że szykowaliśmy razem z Bractwem zamach na Księcia. A tuż przed naszą akcją dziwnym trafem pojmano czarodzieja. Zniknąłem z miasta zaledwie kilka dni potem, nie doczekawszy się ani słowa od lojalnej współspiskowczyni, która nagle zaczęła mnie unikać. Od mojego kontaktu w Zamku.

− Nie mogłam… − Ochmistrzyni popatrzyła na niego błagalnie. – Tak się bałam, że sama trafię do lochów…

− A wiesz – Grandini siorbnął naparu z czarki i przechylił głowę – tak coś sobie myślę, że kłamiesz. Zdradziłaś nas, parszywa stara żmijo. Znałaś termin i miejsce spotkania. Zdradziłaś i wydałaś na śmierć Jardala, zastawiłaś w portowej tawernie nieudaną pułapkę na Virbia, doprowadziłaś do tego, że cały plan, ułożony po to, żeby odzyskać miasto z rąk krwiożerczego tyrana, zawalił się, zanim na dobre zaczęliśmy działać.

Ochmistrzyni zaprotestowała słabo i zerknęła z nadzieją na drzwi. Grandnini przyszpilił ją wzrokiem.

− Miałem dużo czasu na myślenie – oświadczył. – A teraz, po przybyciu do miasta, mogłem trochę popytać. Między innymi tych ludzi, którzy, jak raczyłaś zauważyć, w popłochu porzucili służbę, ponieważ Zamek Cieni coraz bardziej wymykał się spod kontroli i dostarczał im coraz częściej dość makabrycznych wrażeń. Ci ludzie cię znali – w przeciwieństwie do mnie, który naiwnie uwierzyłem w twoją historyjkę. Jesteś wdową. Miałaś tylko jedną córkę, której nie zgwałcono, ponieważ ukrywała się w męskim przebraniu. Co więcej, dawno temu wstąpiła na służbę do Księcia i została kapitanem Gwardii Morgh. Tak, ludzie wiedzieli, że to twoja córka, nie rób takiej zdziwionej miny. Nigdy też nie miałaś wnuków, więc nikt ich nie potopił na nabrzeżu.

− Chyba nie masz mi tego za złe – mruknęła ochmistrzyni.

Grandini po raz kolejny siorbnął gorącego naparu z czarki.

− Gdzieżbym śmiał – odpowiedział. – Ale, droga pani Baldini, dowiedziałem się jeszcze kilku innych interesujących rzeczy. Wypytywałaś o mnie. Wiedziałaś, że tego dnia odwiedzę mieszkającą na przedmieściach wiedźmę Sycorax, tę śmieszną, zwariowaną staruszkę, która sprzedaje naiwnym amulety przeciw hemoroidom i miłosne eliksiry. Zjawiłaś się tam roztrzęsiona, pytając o możliwość nabycia trucizny. A potem wcisnęłaś mi bajeczkę o nienawiści do Księcia, zgwałconej córce i potopionych wnukach. A ja się, głupi, wzruszyłem i

zarazem ucieszyłem, że oto dzięki twojej współpracy otworzą się przede mną i Bractwem wrota tajemniczego Zamku Cieni, a z pomocą czarodzieja, najemnych żołnierzy Jastrzębia i pieniędzy Fosciego zdołam zrobić resztę. I haniebnie się pomyliłem.

Giulia Baldini tkwiła na krześle nieruchoma i blada jak płótno. Nie broniła się już. Zastygła w jednej pozie, z oczami utkwionymi w przestrzeń, ustami zaciśniętymi w wąską kreskę i dłońmi ułożonymi płasko na fałdach sukni.

− Powiedz mi, Baldini, dlaczego? – Szpieg przechylił się przez stół. – Dlaczego tak bardzo nas nienawidziłaś? Co chciałaś osiągnąć?

− Nic ci do tego – odpowiedziała martwo.

− A może jednak? – zapytał.

− Nie nienawidziłam was. Chciałam tylko, żebyście zwrócili się przeciwko Kapitule Magów. A kiedy zrozumiałam, że tego nie zrobicie, uznałam, że jeśli Książę wzrośnie w siłę, zaszkodzi czarodziejom bardziej, niż wy kiedykolwiek moglibyście marzyć. Chcę zniszczyć ich świat.

− Powiesz dlaczego?

− Nie powiem.

Grandini podrapał się za uchem i kątem oka zerknął na Fionkę, która słuchała, nieruchoma i zafascynowana, jakby pod postacią starzejącej się kobiety zobaczyła jadowitego węża.

− No, szanse masz raczej marne – powiedział szpieg.

− Wiem.

Giulia Baldini spuściła oczy. Dłonie drgnęły jej nerwowo. Rozważała, czy gdyby wstała i wybiegła z kuchni, miałaby szansę dopaść tylnych drzwi. Pamiętała kordelas wiszący u boku szpiega. Grandini co prawda poruszał się powoli, ale ta dziewczyna bez trudu dogoniłaby starszą, otyłą kobietę…

Podniosła wzrok i spojrzała prosto w bystre oczy swojego przeciwnika.

− I co teraz? – zapytała. – Zabijesz mnie w zemście za nieudany zamach?

− Teraz – odpowiedział spokojnie Grandini – mam dla ciebie propozycję. Wstań, wyjdź tylnymi drzwiami i uciekaj najszybciej, jak potrafisz. Z tej kuchni, z tego Zamku i z mojego miasta. I żebym cię tu więcej nie widział.

Nie czekała dłużej. Uznała, że obejdzie się bez pożegnań.

*

Machiavello Niccoli przeżył bodaj najboleśniejsze w swoim życiu upokorzenie. Mydlana bańka przekonania o własnej wszechmocy prysnęła jak sen o poranku. Po złudzeniu, że oto jest zastępcą Władców i dysponuje częścią ich mocy, nie pozostał nawet ślad. W samotności, spętany magiczną siecią, przełykał gorzkie łzy życiowej porażki. Mania wielkości leżała zdruzgotana u

jego stóp. Nie zdołał opanować skutecznej obrony przed magią. Ta czarownica stłamsiła go, pokonała i wydała na łup swoim równie nędznym kamratom. Wszyscy razem ruszyli przeszukiwać Zamek Cieni. Ich niedoczekanie. W końcu dotrą do Kryształowej Sali Władców, a wtedy na swoją zgubę przekonają się, że Książę nie jest tylko pustą kukłą, ale najpotężniejszą siłą swoich czasów, łączącą w jednej osobie magię i władzę.

Na tę myśl uśmiechnął się, w swoim mniemaniu złowrogo. Siąknął głośno nosem i przybrał wyniosły wyraz twarzy. Zacisnął palce na okruchu gwiezdnego żelaza. Był skrępowany i przywiązany do krzesła, ale jedną dłoń miał wolną. Najwyraźniej magowie w swojej pysze i głupocie uznali, że nie muszą się tym przejmować.

Powoli zbliżył rękę do uda i gwiezdnym żelazem przeciął fragment świetlnej sieci. Ustąpiła z cichym sykiem. Ciął dalej poziomo, aż udało mu się oswobodzić drugą dłoń. Wtedy, przekładając gwiezdne żelazo z ręki do ręki, zaczął chaotycznie przecinać magiczną siatkę tam, gdzie mógł dosięgnąć, aż w końcu opadła z niego w syczących strzępach i zamieniła się na podłodze w spopielałą nicość. Wstał z krzesła i rozprostował ramiona, uśmiechając się triumfalnie. W jego oczach zalśniło czyste, niczym nieograniczone szaleństwo. Ostrożnie, rozglądając się na boki, wynurzył się z komnaty, a potem pognał bocznymi schodami wprost do Kryształowej Sali.

*

Lustrzana ściana wyrosła przed nimi nagle, blokując cały korytarz i połyskując ciemnym, rtęciowym blaskiem. Mała Bess skuliła się i krzyknęła. Jardal wyciągnął rękę i dotknął załamującej się, falującej i lśniącej powierzchni.

− Ktokolwiek tam jest, zagrodził nam drogę – powiedział Justin. – Ale niech się nie łudzi. Przejdziemy.

− Nie – odezwała się Leta Therrus. – Tam nic nie ma. To podstęp. Chcą, żebyśmy tracili czas i siły na walkę z tym tutaj. A prawdziwe serce Zamku Cieni bije gdzie indziej.

− Wyczuwasz to? – zapytała Mitria.

− Tak, choć mnie też próbuje zwieść. Taka liczba luster zgromadzona w jednym miejscu wypacza i wykrzywia.

− Więc dokąd teraz? – Justin rozejrzał się wokół, omiatając spojrzeniem schody i rozgałęziające się korytarze z szarego kamienia.

− W górę.

Pozwolili, by Leta prowadziła. Wybrała najbliższą kondygnację schodów i powoli się na nie wspięła. Podążyli za nią. Poza dźwiękiem ich kroków na kamiennej posadzce Zamek wciąż wydawał się upiornie, nienaturalnie cichy.

− Zaczekajcie – powiedział Gilgamesz, gdy tylko wspięli się na drugie piętro. Jego głęboki, aksamitny głos odbił się cichym echem od ścian.

− O co chodzi? – zapytał Justin.

Heros odetchnął z całej głębi swoich przepastnych płuc.

− Musiałem tu wrócić – powiedział – ponieważ tu wszystko się dla mnie zaczęło. Nie mogłem postąpić inaczej, jak tylko dzielić z wami wszystko, czego się podejmiecie. Ale boję się śmierci. Tu magia Zamku Cieni wydobyła mnie z mojego mitu i pamięci Mitrii. Jeżeli pokonacie moc luster, zginę. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie do końca rozumiem, co to znaczy. To tak jak w opowieściach o mnie. Grota Argh pozwoliła mi dalej istnieć, ale nie mam nadziei, że Zamek okaże się równie łaskawy. Nie boję się zginąć w walce. To nie to samo. Chcę jeszcze tylko na chwilę zamknąć oczy i poczuć, że żyłem. To wszystko.

Zapadła cisza. Mała Bess miała suche oczy i mocno zaciśnięte szczęki.

Leta Therrus podeszła do Gilgamesza i ujęła jego szeroką rękę w swoje drobne dłonie. Mała, srebrnowłosa staruszka naprzeciw olbrzyma.

− Gilgameszu – przemówiła łagodnie – odbyłeś podróż tam i z powrotem. Byłeś w grocie Argh, czułeś mityczną moc środka świata. Przeszedłeś przez ciemność i gotów byłeś złożyć swoje życie w ofierze. Walczyłeś z wrogami i stałeś u boku tych, którzy cię potrzebowali. Szukałeś w pamięci swojego mitu i odnalazłeś go. Poznałeś strach, miłość i ból utraty. Jesteś prawdziwszy i bardziej żywy niż ktokolwiek z nas. Jesteś wzorcem, w którym wszyscy się odbijamy albo z którego to my zostaliśmy odbici, jak odciski pieczęci w glinie. Nie sądzę, żeby z powodu paru marnych zwierciadełek twoje istnienie było zagrożone.

− Jeśli jednak będzie – powiedział Jardal zduszonym głosem – wtedy Międzyświat cię przyjmie. Obiecuję.

− Nie czas na czułości – mruknął Justin Fern. – Patrzcie.

Na schodach prowadzących w górę i w dół zaczęły wyrastać kolejne lustrzane tafle, tym razem obdarzone długimi kolcami, jak wielkie rtęciowe jeże.

− Mam dosyć tych zabaw – mruknęła Leta Therrus.

− Poprzednio – powiedziała Mitria – wystarczyła niewiara w to, co próbują pokazać naszym oczom. Unieważniłam to, wyciągnęłam magię z tych ścian.

− Ale tym razem… − zaczął Jardal.

− …ona nie jest wcale taka mocna – dokończyła Leta. – Czujecie? Zamek Cieni słabnie, chwieje się w posadach i drży. Sam zjadł się od środka.

− To by tłumaczyło tę upiorną pustkę wszędzie – dodał Justin Fern.

Iluzja najeżonych kolcami luster prysnęła jak mydlana bańka, gdy nie zwracając na nią uwagi zaczęli wspinać się po schodach. Minęli kilka

kondygnacji i zagłębili się w kolejne korytarze. Już nie tylko Leta odczuwała magnetyzującą moc, bijącą z jednego konkretnego miejsca.

W końcu stanęli na szczycie wieży, przed niewielkimi drewnianymi drzwiami, ozdobionymi prostą mosiężną kołatką. Nie pamiętali później, które z nich pierwsze nacisnęło klamkę i weszło do środka.

*

Człowiek w czerni stał pośrodku luster i dygotał ze strachu. Głosy Władców odbijały się od ścian, to opadając do poirytowanych szeptów, to wznosząc się do piskliwego dyszkantu. Pamiętał, jak zawsze przerażała go przepastna głębia zwierciadeł Kryształowej Sali, otchłań pod stopami, własne zwielokrotnione, pomniejszone, powiększone i potwornie zdeformowane odbicia, pomiędzy którymi przechadzały się cienie Władców. Tym razem wtargnął tu bez uprzedzenia. Zwierciadlana podłoga zniknęła. Stał na zwykłych, krzywych i przybrudzonych deskach. Lustrzane formy stopniały jak śnieg na wiosnę, pozostało zaledwie kilka rozrzuconych po komnacie fasetowych iglic z maleńkich zwierciadełek, które odbijały i zniekształcały, ale nie były w stanie przerazić. Nie bardziej niż teatralna dekoracja. Nie w komnacie, która miała zwykłe okna, a zamiast lustrzanych płyt belkowany sufit i bielone, poznaczone zaciekami ściany. Nie w takiej, która posiadała tylne drzwi, za którymi widać było rozgrzebaną sypialnię. Obok stało duże, owalne zwierciadło, a za nim parawan, jedno i drugie nakryte białym płótnem.

Zobaczył wreszcie Władców. Książę był w zbroi, ale bez hełmu. Wyglądał zdumiewająco bezradnie. Mrużył załzawione, zaczerwienione, krótkowzroczne oczy. Towarzysząca mu wysoka kobieta w czerni nie zdążyła zakryć twarzy. Upinała właśnie włosy w ciasny kok. Na widok Machiavella Niccolego skrzywiła się, zaciskając usta.

Krzyczeli na niego. Ich głosy mieszały się i odbijały od resztek lustrzanej magii. Mężczyzna wrzeszczał piskliwie, że to wszystko jego wina. Pozwolił, by Sirocco uciekła, a Gwardia Morgh całkiem się rozprzęgła i straciła moc. Machiavello kulił się, nie wiedząc, co robić. Był przerażony. Jego wyobrażenie o potędze Władców zachwiało się, a następnie legło w gruzach jak trafiona z katapulty wieżyczka.

I wtedy weszli.

*

Zatrzymali się tuż za progiem. Leta Therrus i Justin Fern jako pierwsi. Za nimi Jardal, Mitria, Virbio, Gilgamesz i Mała Bess. Machiavello Niccoli zgarbił się. Poczuł rumieniec palącego wstydu. Marzył o tym, by być w Kryształowej Sali,

która tak go kiedyś przerażała. Tak bardzo chciał narzucić tym uzurpatorom potęgę, moc i magię swoich Władców. A teraz stał pomiędzy nimi a Księciem, który nerwowo mrugał powiekami. W złotej zbroi bez hełmu wyglądał jak kukła, na której tułowiu osadzono głowę przestraszonego kancelisty.

Nie zwrócili uwagi na uwolnionego z więzów Machiavella. Patrzyli na Księcia. Długo. W ciężkim, wzbierającym napięciem milczeniu.

− Tore Harberg – odezwała się w końcu Mitria. Z trudem, jakby walczyła z głosem, który uwiązł gdzieś w głębi gardła. – Bibliotekarz z Emain Avallach. Przecież ty nie żyjesz.

A potem przenieśli wzrok na kobietę w czarnej sukni, stojącą z uniesionymi rękami, ze szpilką do włosów w dłoni. Na jej piersi, na poczerniałym łańcuszku, kołysała się Gliniana Pieczęć.

Patrzyli. Zbyt wiele, a może zbyt mało było do powiedzenia. Pytania nie wydostawały się z ust, nie padały odpowiedzi. Nie było usprawiedliwień, złorzeczeń, okrzyków nagłego zrozumienia.

Były za to splątane myśli, odbite od resztek luster, pokrzywione, rozbłyskujące zaskoczeniem, odrętwiałe od bólu.

Ja je słyszę, pomyślała Leta Therrus. Wszystkie ich skołatane, rozedrgane myśli zbiegają się w mojej głowie. Więc na koniec, u kresu życia, otrzymałam dar.

Kochałam cię, myślała Mitria. Kochałam cię, Tore Harbergu. Byłeś dla mnie przybranym ojcem, mentorem, przyjacielem. I zwiodłeś nas wszystkich. Twoje opowieści o umiłowaniu władzy były dla ciebie prawdziwsze od tego, czym byłeś dla siebie i kim byłeś dla mnie. Dla nas.

Jeszcze nie jest za późno, myślała gorączkowo Evelyn von Stein. Jeszcze może się udać. Zabijemy ich wszystkich albo zamkniemy w lochach. Machiavello pomoże. Znów wzniesiemy barierę z luster. Będę miała nad nimi władzę. Tak jak wtedy, gdy rzuciłam na ich umysły mgłę, gdy zmąciłam ich myśli, gdy sprawiłam, że biernie przyglądali się egzekucji Bibliotekarza, a potem wili się w poczuciu bezradności, przytłoczeni winą. Pieczęć wciąż ma moc.

Aurelianus wiedział, że Tore żyje, myślała Leta Therrus. List… I śmierć, która przyszła do niego z lustra.

Jak to było możliwe, zastanawiał się Justin Fern. Przecież to wymagałoby miesięcy i lat. Długich przygotowań.

Ona miała ten czas, myślał Jardal. Miesiące i lata. Nikt nie lubił widywać Mistrzyni. Rzadko się pokazywała, a komnata stała pusta. Wymykała się. Przez teleport. Zawierała sojusze, werbowała kondotierów, wykorzystywała zgromadzone przez stulecia fundusze Kapituły. Dlaczego…

– Dlaczego? – zapytała Mitria. – Tore, dlaczego…?

Skrzywił się. Powieka mu zadrgała, nerwowy tik przebiegł przez twarz, wykrzywiając usta.

– …torturowałeś Jardala – dokończyła, wciągając powietrze.

Bezradnie pokręcił głową.

– Nie kazaliśmy torturować Jardala – odezwała się niespodziewanie Evelyn von Stein. Patrzyła w bok, w podłogę, jej dłoń powędrowała do łańcuszka na piersi, zacisnęły się palce. – To była ona. Sirocco. Dowódczyni gwardii.

– Potrzebowaliśmy mocy – powiedział schrypniętym szeptem Tore Harberg. – Każdej odrobiny. Żeby utrzymać w całości… to. Zamek Cieni. Lustra. Księcia. Ja… zawsze was lubiłem, Mitrio. Kazałem was wypuścić, pamiętasz?

Milczenie. Świst oddechów. Nie było odpowiedzi.

Ona wszystkich zwerbowała, myślała Leta Therrus. Machiavella Niccolego. Sirocco, tę nieszczęsną dziewczynę, która uwierzyła w durny sen o władzy. Młodych mężczyzn z Gwardii Morgh.

Teraz rozumiem, myślał Justin Fern. Odo Trevelius. Jego poczucie winy, przerażenie, pokuta, bredzenie o tym, że w Emain i w Castelburgu zalęgło się zło. To on ich szkolił. Zmienił swoich adeptów w posłuszne kukiełki, w gwardzistów.

Tyle krwi, myślała Mitria, tyle krwi popłynęło w tym mieście. I dokąd potoczyło się Koło Dziejów? A ja tak bardzo się bałam…

Evelyn i Tore, myślał Jardal. Co tych dwoje ma ze sobą wspólnego? Które uknuło tę intrygę? Które postanowiło upozorować śmierć Bibliotekarza? On czy ona?

Są spokrewnieni, zrozumiała nagle Leta Therrus. Evelyn postanowiła bronić Torego, ostatniego ze swojej krwi. Musiała coś zrobić, kiedy Adelard z Tradivy odkrył listy Bibliotekarza i postanowił je ujawnić.

To ona, pomyślał Justin Fern. Ona chciała władzy. Spętała nas wszystkich literą Przysięgi, bo chciała zawładnąć Emain i światem…

Czemu oni tak patrzą, myślała gorączkowo Mała Bess. Tylko stoją i patrzą. Tak strasznie. Znacznie straszniej, niż gdyby krzyczeli.

Tore ma coś, czego ona pragnie, pomyślał Jardal. Zdołał omotać ją swoim snem. A to jest zły, chory sen. Sen Machiavella Niccolego. O kimś, kto jednym skinieniem decyduje o życiu i śmierci. O świecie, w którym są tylko panowie i niewolnicy, a on jest panem tych panów.

To nie on, pomyślała Leta Therrus. To Machiavello Niccoli, który nie ma pojęcia o magii. Latami plótł swoje sieci w murach Zamku Cieni. Tworzył swój traktat, który odbijały niewidzialne lustra. Spotworniałą opowieść o tronie i krwi. Sen pęczniał, nabierał mocy, wabił. Przyciągał tych, którzy w głębi swoich umysłów, w zakamarkach, których nie chcieli ujawnić nawet przed sobą, snuli

podobne pragnienia. Ich wszystkich stworzył pajęczy sen, wykluty w murach Zamku.

To my wszyscy, myślała Mitria. Wszyscy, którzy wydaliśmy choć jeden rozkaz. Którzy mówiliśmy innym, dokąd mają iść. To nami karmi się Zamek.

I naszym strachem, pomyślał Jardal. Cieniami cieni tego, czemu nie potrafimy spojrzeć w twarz.

Nie, to niemożliwe, tak nie kończy się opowieść, myślała gorączkowo Evelyn von Stein.

Wierz mi, tak właśnie się kończy, pomyślał Tore. Znam się na tym.

To wszystko się rozpada, zrozumiała Leta Therrus. Tracą moc. Rozkład zaczął się jeszcze przed naszym przybyciem. Nie sposób tak długo utrzymywać snu. Potem trzeba zbrodni, do której oni nie byli zdolni. Trzeba zamykać nieposłusznych poddanych w lochach, ścinać głowy dla przykładu. A oni nie weszli tak głęboko w mit, nie dotarli do korzeni, nie odkryli najgłębszych kręgów lodowego piekła, nie złożyli krwawej ofiary. Byli tylko władcami snów.

Leta Therrus postąpiła do przodu i lekko uniosła dłonie. Diament na jej czole zalśnił ostrym, białym blaskiem.

− Jestem Strażniczką Bram – powiedziała wolno, uroczyście. – Pomagam odnaleźć spokój tym spośród magów, których posiadana moc przyprawiła o szaleństwo. Czy pamiętasz o tym, Tore Harbergu? Czy pamiętasz o tym ty, Evelyn von Stein, która byłaś Mistrzynią Glinianej Pieczęci? Sprzeniewierzyłaś się prawom Emain Avallach. Wykorzystywałaś Pieczęć do własnych celów i wyniosłaś ją poza miejsce, w którym powinna się znajdować wedle praw znacznie starszych niż Przysięga Magów.

Evelyn skrzywiła się, zrobiła kilka kroków w stronę owalnego lustra.

− Nieprawda! – powiedziała zimnym, spokojnym głosem, jakby z drugiej strony snu. – Pieczęć jest tu, na mojej szyi, ale jednocześnie nigdy nie opuściła Emain. Istnieją sposoby – uśmiechnęła się cierpko – na to, by nie łamać litery prawa, będąc jednocześnie ponad nim. Emain jest tu! – Odrzuciła zasłonę, która okrywała zwierciadło. – Aktywny teleport sprawia, że dwie przestrzenie stają się jedną. – Wykonała skomplikowany gest dłonią. Powierzchnia owalnego lustra zadrgała i powlekła się mgłą, która kłębiła i gęstniała przez chwilę, aby rozproszyć się i ukazać wnętrze komnaty w Emain Avallach. Księgi były porozrzucane, sprzęty połamane. Na środku pomieszczenia leżało na boku wyścielane krzesło bez jednej nogi. Nakryty czarnym aksamitem postument, na którym powinna spoczywać Gliniana Pieczęć, stał pusty. Oświetlało go światło przenikające przez rozbity witraż.

− Widzicie? – zapytała Evelyn głosem chłodnym i odległym. – Tu jest Emain! A teraz… wiem, że nastąpi koniec opowieści.

– Już czas. – Leta Therrus skinęła głową.

Evelyn roześmiała się krótko, zgrzytliwie.W ciszy, która wtedy zapadła, jej śmiech brzmiał chorobliwie, odbijał się od ścian. Wszyscy stali jak wrośnięci w ziemię, porażeni tym upiornie groteskowym spotkaniem, zmrożeni wszystkimi słowami, które nie padły, tworzącymi podskórną tkankę ich opowieści, jej osnowę. Od tak dawna podróżowali jej wątkiem, starali się ją rozwikłać, płynęli z jej prądem lub walczyli przeciwko niej. A teraz nagle otrzymali moment rozpoznania, o który żadne z nich nie prosiło. To było zbyt proste a jednocześnie zbyt absurdalne, nie pozostawiało miejsca na zrozumienie. Umysł z jednej strony chciał rozwikłać zagadkę, a z drugiej buntował się przeciwko rozwiązaniu.

W ciszy, która wtedy zapadła, Leta Therrus nagle jakby urosła, stojąc pośrodku komnaty.

– Już czas – powtórzyła, a jej cichy głos rozbrzmiał jak tchnienie wiatru. – Jeszcze będziecie mogli odnaleźć spokój. Ale musicie pójść za mną. – Wyciągnęła dłoń.

Mistrzyni przycisnęła naszyjnik do piersi.

− Wiem, czego chcesz. Ale nie dostaniesz jej, Leto Therrus – zaśmiała się sucho. Tore, chodź za mną! – krzyknęła ostro.

Nagłym ruchem zerwała łańcuszek z szyi i rzuciła go przez teleport. Gliniana Pieczęć poszybowała tunelem, zaginając przestrzeń wokół siebie. W owalu lustra czas, przestrzeń i materia zwinęły się i zawirowały niczym fraktalne wzory w ogromnym kalejdoskopie. Ktokolwiek tam spojrzał, przez długi jak wieczność ułamek sekundy słyszał całą skalę barw i widział świszczący dźwięk ponadświetlnego pędu.

To, co stało się w następnej chwili, wydarzyło się tak szybko, że obserwujący nie zdążyli prawie zrobić kroku. Justin opisywał później, że zastygł w zdumieniu i zgrozie, niezdolny do reakcji. Tore Harberg wyciągnął rękę, by chwycić dłoń Evelyn. W tym samym momencie podbiegł do niego Machiavello Niccoli. Wyszarpnął z pochwy długi sztylet i wbił go Księciu prosto w gardło.

− Nie okazałeś się godny – wychrypiał.

Tore zacharczał i osunął się na kolana. Z przeciętej tętnicy bryznęła krew, obficie spryskując złotą zbroję. Evelyn wrzasnęła, przyciskając lewą dłoń do ust, z prawą uwięzioną w teleporcie. Spróbowała wyrwać się i podbiec do Torego, ale tunel już wessał ją, nie pozwalając się cofnąć. Szarpnęła się, zamachała ręką…

Potężna fala energii targnęła teleportem, wywołując zamknięty w jego granicach wybuch o sile orkanu. Błysnął ogień, potem zimne, błękitne światło. Przez chwilę widać było długi, spiralny tunel o ścianach barwy starego złota, na którego końcu czaiło się oko mroku. A potem zapanowała cisza. Powierzchnia lustra wygładziła się niczym tafla spokojnego jeziora. Przejście zniknęło. Po

Evelyn von Stein nie pozostał nawet ślad. Gilgamesz chwycił Machiavella za ramiona i uwięził go w mocnym uścisku.

Tore Harberg konał, rzężąc i dusząc się własną krwią.

Fasetowe iglice, będące ostatnią pozostałością luster, stopiły się jak lodowe konstrukcje na słońcu. Osuwały się, tworząc parujące, rtęciopodobne kałuże, aż w końcu zniknęły zupełnie, pozostawiając pustą przestrzeń.

Stali nieruchomo, w ciszy. A potem ktoś głośno wciągnął powietrze. Ktoś westchnął, ktoś odchrząknął. Stuknął czyjś but, usuwający się z drogi płynącej strużce krwi.

Odrętwienie minęło. Rozejrzeli się. Znajdowali się w zwykłej, niewielkiej komnacie o bielonych, niezbyt czystych ścianach, z krzywą drewnianą podłogą. W następnym pomieszczeniu, do którego prowadziły otwarte drzwi, znaleźli sypialnię z wielkim, niezdarnie zaścielonym łożem, ozdobionym ciężkimi zasłonami i zakurzonym baldachimem. Był tam również kufer ze zwiniętymi w nieładzie ubraniami, kilka krzeseł, stolik, na którym leżało parę rozrzuconych kart papieru pokrytych drobnym pismem, pióra, kałamarz. Niedbale porzucone szmaty i pasta do czyszczenia zbroi. Niewielkie okno, wychodzące na maleńki skrawek nieba. Mały, zamknięty świat dwojga ludzi, którym marzyła się władza nad wielkim światem.

*

Rozważali, co powinni zrobić z Machiavellem Niccolim. Zdecydowali w końcu, że zaprowadzą go do lochów, gdzie będzie czekał, aż osądzi go ustanowiona na nowo Rada Pięćdziesięciu. Schodząc w dół, spotkali Grandiniego. Szpieg czekał na nich, siedząc na ławeczce w zamkowej sieni. Towarzyszyła mu Fionka.

W lochach odkryli kilkudziesięciu wycieńczonych, doprowadzonych na skraj wyczerpania młodzieńców, pozamykanych w licznych celach, odgrodzonych od korytarza grubymi kratami. Uwolnienie ich nie zajęło wiele czasu, ale z przywróceniem do zdrowia było gorzej. Siedzieli w zamknięciu od wielu dni, żywiono ich skąpo, a od przedwczoraj chyba w ogóle o nich zapomniano, bo nikt nie przyniósł im jedzenia ani wody. Zapasy w dzbanach wyczerpały się szybko i teraz więźniowie prawie umierali z pragnienia, nie mówiąc o tym, że byli brudni i zarośnięci, a woń ich niemytych ciał mogła przyprawić o utratę oddechu. Jardal i Justin zaczęli od przyniesienia wiader wody ze studni na dziedzińcu. Fionka i Mała Bess pobiegły do kuchni i przyniosły gliniane kubki, a potem z zapasów, które znalazły w spiżarni, ugotowały gęstą, pożywną owsiankę i nakarmiły więźniów. Virbio, wysłany do przeszukania skrzyń w zamkowych oficynach, przyniósł trochę czystej odzieży. Grandini odnalazł jakieś niedobitki zamkowej

służby i nakazał im przygotowanie dla mężczyzn kąpieli, świeżego odzienia i komnat, w których będą mogli odpocząć. Zagroził, że wracają rządy Rady Pięćdziesięciu, a on sam będzie kandydował na gonfaloniera Castelburga, radzi więc, żeby na wszelki wypadek już teraz byli mu we wszystkim posłuszni.

W jednej z pustych cel Mitria odkryła rzucone niedbale hełmy, części zbroi i białe płaszcze.

*

Do świtu pozostała jeszcze jedna godzina nocy. Gwiazdy gasły powoli, ustępując miejsca bladej zapowiedzi brzasku. Świeże nocne powietrze wpadało do środka przez otwarte okna. Na skrawkach trawy w obrębie miejskich murów cykady grały jak oszalałe. Z portu niósł się dźwięk skrzypienia drewnianych żurawi, rozpoczynających poranny załadunek. Nad wodą krzyczały mewy.

Wymknęła się cicho, stąpając bosymi stopami po drewnianej posadzce i starając się nikogo nie nadepnąć ani nie obudzić. Grandini ściągnął do wieży magów chyba wszystkie futra, jakie tylko znalazł na targowisku. W każdym razie słudzy kuśnierza dość długo wnosili je po krętych schodach na górę, układając z nich miękkie legowiska na niewielkiej przestrzeni pracowni i biblioteki. Sypialnię Mitrii i Jardala, a co za tym idzie jedyne łóżko, zajęła Leta Therrus. Na podłodze obok niej ułożyła się Cantia. Spała jak małe dziecko, zwinięta w kłębek, lekko przygryzając kciuk.

Agostino Valla donośnie chrapał w bibliotece, gdzie zainstalował się zaraz po przybyciu i skąd za nic w świecie nie dałoby się go wypędzić. Obok jego głowy spoczywał pokaźny stosik woluminów, które wieczorem zdążył pozdejmować z półek. Oddalony od preceptora Berto di Nero spał z głową nakrytą kocem. Najwyraźniej chrapanie Agostina nie było rzeczą łatwą do wytrzymania. Virbio i Justin rozłożyli się na posłaniach pod oknami biblioteki, wyprostowani, z bronią u boku. Gilgamesz leżał rozciągnięty płasko na podłodze, bez przykrycia, ze zwiniętym kocem pod głową. Jego potężna pierś unosiła się spokojnym oddechem. Kawałek dalej, w pracowni, Fionka i Mała Bess tworzyły malowniczy kłębek rozrzuconych włosów, rąk, nóg, falbanek koszul, futer i pledów. Bess spała z otwartymi ustami, sapiąc jak mały psiak. Grandini rozparł się na środku komnaty, na ogromnej piramidzie futer, w które zapadł się prawie po sam nos.

Poruszała się niemal bezszelestnie, wspinając po spiralnych schodach na niewielki taras. Na szczycie wieży owionął ją chłodny, rześki, poranny wiatr. Wciągnęła w płuca wilgotne powietrze znad morza. Smakowało solą.

Nie usłyszała, kiedy się zbliżył. Dotknął jej ramienia, a potem objął i otulił sobą.

− Wyjedziemy? – zapytał.

Skinęła głową. Rude włosy połaskotały go w twarz. Pachniała zwykłym lawendowym mydełkiem, a nie swoimi perfumami – sandałowcem i różą.

− Yhm – mruknęła, wtulając twarz w jego kołnierz. – Ale wrócimy. Nie zostawia się pracowni i biblioteki.

Uśmiechnął się. Nad wieżą i miastem latały wielkie białe mewy, krzycząc w wilgotnym, porannym, morskim powietrzu.

− Kiedy skończy nam się czas… kiedy odejdziesz… – zaczęła.

− Odejdziemy – poprawił ją. – Nauczę cię wędrować między światami.

− A jeśli…

− Nie będzie żadnego „jeśli”.

Tym razem to ona się uśmiechnęła. Poczuł ten uśmiech w dotyku ust przyciśniętych do swojego ramienia. Uśmiech, który był jak chłodne powietrze i wschodzące znad horyzontu światło.

*

Miral di Nero skończyła czytać. Opuściła rękopis na kolana i potarła skroń. Odblask ognia, bijący od kominka, oświetlił z tyłu jej włosy, nadając im czerwonawy odcień. Justin Fern podniósł głowę znad papierów i przyjrzał się swojemu gościowi. Przez kilka dni, które dziewczyna spędziła u niego, zagłębiając się w rękopis, zdążył już się przyzwyczaić. Z niechęcią pomyślał o tym, że jutro pewnie wyjedzie szukać swojego przeznaczenia. Złożyć Nową Przysięgę, otrzymać płaszcz i stać się pełnoprawną czarodziejką. A gospodyni też już zdążyła ją polubić. Miodowe pierniczki i ciasteczka z rodzynkami o wiele częściej pojawiały się teraz na stole, a jeśli chodzi o obiady i kolacje – takich pasztetów, pieczeni, faszerowanych kurczaków i innych kulinarnych arcydzieł stary mag nie kosztował już od lat.

− Nie dokończyłeś, mistrzu Justinie – odezwała się Miral, ponownie kartkując rękopis. – A mnie najbardziej ciekawi właśnie zakończenie.

− Częściowo już je poznałaś.

− Tak. A co było potem?

Czarodziej odchrząknął.

− Cóż, minęło parę dni, zdążyliśmy trochę ochłonąć. Zajmowaliśmy się przywróceniem do zdrowia nieszczęsnych chłopców. Niektórych, wyobraź sobie, nawet pamiętałem z Emain. Ogarnęła nas wszystkich czysta zgroza, kiedy stało się jasne, co Evelyn i Tore z nimi zrobili.

– I wszyscy byli adeptami z Emain?

– Nie, tych nie było tak wielu. Może kilkudziesięciu. Reszta to zwykli rekruci, których Sirocco werbowała, szkoląc się u boku Księcia pod Tradivą. Młodzi, naiwni żołnierze, którzy byli wrażliwi na moc. I na wkładane im do głowy idee.

Regularnie wzywała Odona Trevelisa, żeby ich przeszkolił i nałożył na ich umysły więź. To był straszny fanatyk, ten Odo. Nie pamiętam, czy ci o nim opowiadałem.

Miral pokręciła głową.

– Dlaczego zamknięto tych chłopców w lochach? – zapytała.

Justin wzruszył ramionami.

– Zaczęli się buntować. Więź słabła, a razem z nią morale. Przypominali sobie, kim są, zaczęli zachowywać się jak normalni ludzie. A Evelyn i Tore chcieli władać wyłącznie posłusznymi kukłami. Tylko że na wytworzenie więzi i pobudzenie energii Zamku Cieni zaczynało brakować mocy. No i był jeszcze Aurelianus z Xanty. O ile dobrze zrozumiałem, nawiązywał z nimi łączność, przekonywał, żeby zaprzestali tego szaleństwa. Osłabiał wiarę w to, co robią, a wraz z tym zmniejszała się moc zdolna utrzymać całe to przedstawienie. Bo, jak to odkryła Mitria, w tworzoną przez siebie opowieść trzeba wierzyć. Więc w końcu go zabili. – Westchnął.

− A co było dalej? Po wydarzeniach w Zamku Cieni? – spytała Miral.

− Grandini dostał nagłego ataku gorliwości i pomimo swojego kalectwa krążył po mieście, zbierając ludzi, wysyłając wiadomości, przekonując i organizując. Bardzo szybko zdołał zgromadzić prowizoryczną miejską radę, która objęła tymczasowe rządy i zajęła się ustanawianiem na nowo władzy patrycjatu. Była to entuzjastyczna, ale dość bezładna zbieranina, która bardzo szybko opanowała Zamek Cieni i wygnała z niego ostatnie wspomnienie po Księciu. Machiavello Niccoli gnił w lochach, czekając na proces. Szczegółów nie pamiętam. Nie interesowało mnie to.

− Mnie również to nie interesuje, mistrzu. Chciałabym raczej poznać dalsze losy waszej drużyny. Dowiedzieć się, czy…

− …czy w jakikolwiek inny sposób przyczyniliśmy się do upadku naszego świata – wszedł jej w słowo czarodziej.

Skinęła głową. Justin podrapał się za uchem i zapatrzył we własne wspomnienia.

− Plany były zupełnie inne – powiedział. – Drugiego czy trzeciego dnia po wydarzeniach w Zamku Grandini zorganizował dla nas wystawną ucztę na statku. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnął statek, i to nie byle jaki – wspaniały, wielki, trójmasztowy galeon z wysokim forkasztelem i rzeźbioną figurą cycatej syreny pod bukszprytem. Czekał na nas w porcie, a na pokładzie rozstawiono stoły nakryte haftowanymi obrusami i srebrną zastawą, uginającą się pod ciężarem owoców, dziczyzny, ryb, pasztetów, gęsi faszerowanych truflami, homarów i innych morskich paskudztw. Do tego całe antałki wybornego verdyjskiego wina. Obsługiwali nas chłopcy okrętowi w czerwonych szarawarach i białych

koszulach. Grandini zawsze cenił dobrą kuchnię i dla niego rozmowa musiała zaczynać się od poczęstunku.

Zasiedliśmy wokół stołu na wyścielonych poduszkami ławach i próbowaliśmy jakoś to wszystko przetrawić. W sensie dosłownym i przenośnym. Twój dziadek i babka też tam byli. Pewnie ci o tym opowiadali.

− Niewiele.

− Być może. W każdym razie przekleństwo rzucone na Mitrię i Jardala po prostu zniknęło − razem z Evelyn von Stein. Nie do końca rozumieliśmy dlaczego, ale po prostu tak było. Może wplotła w to zaklęcie zbyt wiele własnej nienawiści do tej dwójki. – Justin odchrząknął, napił się soku z granatu i ciągnął dalej. – Było dla nas oczywiste, że musimy dokonać ważnej reformy naszych praw. Zwłaszcza że Grandini po którymś z kolejnych toastów i przemówień podarował Lecie Therrus grubą kopertę. Chcesz wiedzieć, co się w niej znajdowało? Mnóstwo bardzo kompromitujących dokumentów, dotyczących wielu spośród nas. Na mnie też coś miłego się znalazło. – Zachichotał. – Nie, żadnych zdrad i spisków, nic z tych rzeczy – machnął ręką, widząc przerażoną minę Miral. – Stare dzieje.

− Ale…

− Po kolei. Wniosek wypływał ze wszystkiego taki, że czas skończyć z hipokryzją, z udawaniem, że prawa zewnętrznego świata nie dotyczą magów, a Koło Dziejów może się spokojnie toczyć naprzód, przez nikogo niepopychane. Ale na początku trzeba było posprzątać bałagan po Evelyn von Stein.

− Stąd wzięła się Wielka Reforma Lety Therrus, Strażniczki Wrót i Założycielki. Wiem. Uczyłam się o tym w konwencie pani Augustiny. Dyskusje na temat korzyści i zagrożeń płynących ze składania Przysięgi w jej dawnym brzmieniu są obowiązkowym punktem programu nauczania. Nie o to chciałam zapytać, mistrzu.

− Wiem – westchnął Justin.

− Więc?…

Uniósł obie dłonie w przepraszającym geście.

− Jeśli chodzi o to, o co naprawdę chciałabyś zapytać… czyli o Zagładę, to odpowiedź brzmi: nie wiem.

*

Bramy Emain Avallach stały otworem. Zauważyła to już jadąc konno groblą w kierunku wyspy, ale teraz zyskała pewność. Nikt nie pilnował otwartych szeroko wrót. Zatrzymała się na chwilę, a potem wjechała do środka.

Kopyta konia zadzwoniły po brukowanym dziedzińcu. Dźwięk odbił się echem od krużganków i ścian. Szarpnęła wodze i przystanęła.

Wszędzie panowała absolutna, dzwoniąca w uszach cisza. W tle rozlegał się szum morza i krzyki mew.

Loren z Castelburga zsiadła z konia, podprowadziła go do jednego z żelaznych kółek wbitych w ścianę i przywiązała. Rozejrzała się wokół. Zamek zionął pustką. Przeszła przez oficyny, szeregi prostych i krętych korytarzy, z których prowadziły drzwi do komnat o różnym – sądząc z umeblowania – przeznaczeniu: kuchni, składzików, potem sal wykładowych, laboratoriów, skryptoriów, prywatnych komnat, małych sypialni i dużych dormitoriów. Wszędzie zalegała gruba warstwa kurzu. Większość kątów zasnuwały gęste pajęczyny. W kuchniach i laboratoriach wisiały pęki pokrytych kurzem ziół, kruszących się pod dotknięciem na proszek, leżały poprzewracane retorty, alembiki, słoje o różnorodnej, niekiedy przerażającej zawartości i inne przedmioty, których przeznaczenia nawet nie była w stanie sobie wyobrazić. W salach, skryptoriach i sypialniach leżały rozrzucone księgi. Z porozwlekanej, zwisającej z łóżek pościeli uciekały z piskiem gromady myszy. Uskoczyła pod ścianę i wyciągnęła miecz, gdy wielki szczur stanął słupka na środku komnaty i odsłonił długie, żółte zęby. Na szczęście zwierzak nie był nastawiony konfrontacyjnie. Opadł na cztery łapki i odtuptał w pośpiechu szukać bardziej interesujących rzeczy. Loren rękawem otarła pot z czoła.

Przeszła przez pusty dziedziniec do drugiego skrzydła zamku. Ciężkie dębowe wrota uchyliły się ze skrzypieniem. I znów przemierzała dźwięczące echem korytarze i szeregi opuszczonych komnat. Długie kręcone schody zaprowadziły ją do Biblioteki. Stała tam przez chwilę, obezwładniona ogromem i nieskończoną liczbą ksiąg, których skórzane grzbiety popatrywały na nią z półek, szczerząc wytłaczane i złocone litery tytułów. Wycofała się chyłkiem.

Wydawało się jej, że nie ma potrzeby schodzić do lochów, ale nagle usłyszała jęk. Mocniej chwyciła rękojeść miecza. Poczuła nieprzyjemne wilgotnienie dłoni.

Płomienie pochodni pełgały po ścianach, kiedy schodziła w dół po kamiennych stopniach. Dźwięki stały się wyraźniejsze. Jęk. Głuche uderzenie. Jęk. Stłumiony krzyk.

Wynurzyła się zza zakrętu z uniesionym mieczem.

Stał na środku zaścielonej rozrzuconą słomą piwnicznej celi. W czterech rogach tkwiły w żelaznych uchwytach zapalone pochodnie. Ich pełgające światło sprawiało, że jego wysoka, chuda, zgięta wpół postać rzucała w cztery strony rozchybotany cień. Był ubrany tylko w białą koszulę, długą do kolan, podartą i przesiąkniętą krwią. W ręku trzymał bicz, którym uderzał się po plecach, po każdym ciosie zataczając się z bólu i wydając głuchy jęk. Obrócił na nią ciemne, pałające jak od gorączki oczy, świecące w wychudzonej twarzy, od której odcinał

się ostro duży, zakrzywiony nos. Nad czołem rana w kształcie X jątrzyła się i zasychała od krzepnącej krwi, najwyraźniej zabliźniona i kolejny raz otwarta.

− Przyszłaś po mnie – jęknął, wyciągając przed siebie szponiastą dłoń. – Jesteś moim demonem zemsty? – Cofnął się kilka kroków i wpatrywał się w nią w zgrozie i przerażeniu, po czym opadł na kolana.

− Zasłużyłem, wiem… − wymruczał. – Moi chłopcy… Miałem się nimi opiekować, a pozwoliłem, żeby ich zabrała. Wszyscy przeszli przez tunel do ohydnego, podłego świata demonów. Znieprawiła ich. Zło zalęgło się w Emain, a ja na to pozwoliłem – rozszlochał się. – Ale co mogłem zrobić? – podniósł na nią błagalne spojrzenie. – Władała Glinianą Pieczęcią. Nie wolno się przeciwstawić…

Loren przełknęła ślinę i mocniej uchwyciła miecz w garści.

− Jak się nazywasz? – spytała dobitnie.

− Odo Trevelius – wyszeptał, pochylając głowę. – Zabijesz mnie?

− To się zobaczy.

Przyjrzała mu się. Wysoki, żylasty. Miał czarne oczy i resztki czarnych włosów wokół łysej czaszki. A poza tym był szaleńcem.

− Czy jest tu ktoś – zapytała ostrożnie – oprócz ciebie? W całym Emain Avallach?

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiał pytania. Wykonał jakiś ruch głową, ni to twierdzący, ni przeczący. A może był to po prostu nerwowy tik.

− W jej komnacie – wymruczał. – Wszystko powinno być w jej komnacie. Wschodnie skrzydło, na samej górze, środkowe drzwi. Tak, tak.

− No dobrze. – Loren nabrała powietrza w płuca. – A czy jest tu… lub był… ktoś, kto ma jasne włosy i lazurowe oczy? Tak jak ja?

Przyjrzał jej się uważnie, przekrzywiając głowę. Podrapał się po plecach. Jęknął, wykrzywił się, przez jego twarz przemknął skurcz.

− Nieee… − odpowiedział, przeciągając słowa. – Nikogo takiego tutaj nie ma.

Odwróciła się, by wyjść.

− Nie zabijesz mnie? – zawołał za nią jękliwie. – Zabij mnie, proszę. Szybko. Jednym cięciem – zaskomlał.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła, jak klęczy i wyciąga szyję.

− Nie. Wybacz. Mam inne plany.

Wspinając się po kamiennych schodach, słyszała coraz szybsze uderzenia bicza i jęki, które stopniowo zmieniły się w przeciągły, cichnący, odbijany echem w lochach wrzask.

Masywne, okute wrota prowadzące do wschodniego skrzydła były zamknięte na głucho. Zastukała w nie głowicą miecza. Poniosło się echo. Usłyszała trzepot

skrzydeł wylatujących z piwnicy nietoperzy, ale poza tym nic się nie stało. Zapukała jeszcze raz. I znowu nic.

Obeszła budynek dookoła i napotkała tylne wejście, dla odmiany szeroko otwarte. Spiralnymi schodami wspięła się do góry. Zatrzymała się tuż przed niedomkniętymi drzwiami komnaty. W środku coś się poruszało. Przywarła do futryny, ściskając miecz. Nasłuchiwała.

Ciche kroki, przestawianie jakichś przedmiotów. Ktoś chodził, mruczał do siebie pod nosem, podśpiewywał. Uchyliła szerzej drzwi i wsunęła się do środka.

W komnacie panował nieład, tak jak w całym Emain, tyle że tu nie sprawiał on wrażenia opuszczenia i zaniedbania, ale raczej efektów działania małej, lokalnej trąby powietrznej. Rozrzucone księgi pokrywały sporą część podłogi, podobnie jak szkło z potłuczonego witraża i przewrócone krzesła z połamanymi nogami. Pod oknem spoczywał wyrwany z oprawy duży globus nieba. Z prawej strony stał przedmiot nakryty białym płótnem, którego owalny kształt pozwalał domyślić się zwierciadła. Obok ktoś umościł sobie coś w rodzaju barłogu z zerwanych zasłon, pledów i jakichś szmat. Ten ktoś chodził teraz po komnacie, gestykulując w powietrzu i gadając do siebie. Na jej widok odwrócił się i zamarł z uniesioną do góry ręką.

− Nn… nikomu nie wolno wchodzić do Komnaty Pieczęci – wyjąkał. – Ktoś ty?

Loren wyciągnęła przed siebie miecz.

− To ja tu zadaję pytania – powiedziała czystym, wysokim głosem.

Przyjrzała mu się. Kulił się pod jej spojrzeniem i wytrzeszczał wodniste oczy, które dziwnie przypominały sadzone jajka. Bezbarwne, wyblakłe i – nie licząc przerażenia – pozbawione wyrazu. Ale w samej swojej głębi, zanim zblakły, najwyraźniej były… Przyjrzała się uważniej. Tak, były kiedyś lazurowe. Nakrapiane złotymi plamkami, po których pozostały jedynie niewyraźne, jaśniejsze punkciki. Przerzedzone, rozczochrane i niedomyte włosy z pewnością były kiedyś złote. Loren zlustrowała uważnie całą przygarbioną, postarzałą postać. Służalczo zgięte plecy. Pomarszczone, pokryte plamami, drżące dłonie, z palcami zakrzywionymi jak szpony. Chciało jej się wymiotować z obrzydzenia.

− Nie wolno wchodzić – powtórzył. Skulił się, przemknął przez komnatę i zasłonił sobą kamienny postument, na którym spoczywała płachta czarnego aksamitu i jakiś przedmiot.

− Jak się nazywasz? – zapytała, nie opuszczając miecza.

Gapił się na nią, sprawiając wrażenie, że nie rozumie. Rozczarowanie chwyciło ją za gardło i ścisnęło je niczym w kleszczach. Magowie, których matka uczyniła dla niej przedmiotem nienawiści, uwielbienia i zazdrości, okazali się szaleńcami i bełkoczącymi idiotami. A tak bardzo marzyła o tej chwili. Tak

długo wyobrażała sobie przerażenie, prośby o litość, błaganie o przebaczenie, obietnice ojcowskiej miłości. Jakże była naiwna.

− Mów, jak się nazywasz – powtórzyła ostro.

− Ha… Hargon z Emmendath – wykrztusił.

− Emmendath – powtórzyła. – Nigdy tam nie byłam. To ładny kraj?

Przytaknął, nie spuszczając wzroku z klingi miecza.

− Nie dostaniesz Pieczęci – wymamrotał, zerkając przez ramię za siebie.

− O jakiej Pieczęci ty znowu bredzisz? – parsknęła. – Patrz tu, na mnie. Przyszłam po ciebie.

Zdumienie w jego oczach spowodowało, że parsknęła okrutnym śmiechem.

− Nie spodziewałeś się, prawda? Nigdy mnie nawet nie widziałeś. A, wyobraź sobie, powinieneś. Nazywam się Lorentina Baldini. Moją matką jest Giulia Baldini, z domu Vente.

Gapił się na nią tak jak poprzednio. Zaskoczonym, bezrozumnym wzrokiem. Rozzłościło ją to.

− Nawet nie pamiętasz, prawda? Nie przypominasz sobie młodej mieszczki z dobrego domu, którą przed dwudziestu pięciu laty zostawiłeś w karczmie na przedmieściu, z brzuchem i sakiewką monet, jak tanią dziwkę?

Jego oczy nagle zrobiły się okrągłe od kiełkującego w nich zrozumienia.

− Jesteś… − wykrztusił.

− Jestem twoją córką.

Zastygł na moment, a potem ciężko osunął się i usiadł na podłodze. Jego usta poruszały się, wypowiadając bezgłośnie jakieś słowa.

− Co tam mamroczesz? – zapytała Loren, przysuwając czubek miecza do jego brody.

− Jestem skończony – powiedział martwo. – Jako mag. Mam córkę. Jeśli ktokolwiek się o tym dowie, jestem skończony. Evelyn…

Obserwowała go z rosnącym obrzydzeniem. Opuściła rękę i ostrze miecza brzęknęło o posadzkę.

Przedmiot spoczywający na kamiennym postumencie rozjarzył się nikłym, błękitnym światłem. Loren przyjrzała mu się. Wyglądał niepozornie. Duży, okrągły odcisk pieczęci w brunatnej glinie, zawieszony na łańcuszku ze szmelcowanego na czarno metalu. Wzoru na pieczęci trudno było się domyślić. Jakieś heraldyczne zwierzę, gryf, orzeł czy smok, a wokół runiczny napis. Loren nie umiała czytać run.

− Co to jest? – zapytała obojętnym tonem.

− Nie dotykaj. To Gliniana Pieczęć. Najpotężniejszy magiczny artefakt naszego świata, którego pod nieobecność Mistrzyni jestem strażnikiem – odpowiedział. Strach i znużenie w jego głosie na koniec ustąpiło miejsca dumie.

– Mistrzyni przesłała Pieczęć przez tunel, więc wkrótce pewnie sama tu się zjawi.

− To dużo dla ciebie znaczy, prawda? – zapytała. Uniosła miecz.

− Nie! – krzyknął, zrywając się z miejsca. – Tylko nie Pieczęć! Zostaw!

Chwycił duży, stojący kandelabr i zamachnął się, blokując cios miecza. Metal szczęknął o metal. Loren była jednak młodsza, sprawniejsza i o wiele bardziej wyćwiczona w walce. Zakręciła mieczem młynka, a kandelabr, wyłuskany z dłoni maga, przeleciał przez komnatę i z brzękiem upadł na posadzkę. Hargon stanął przed nią z rozkrzyżowanymi rękami, zasłaniając postument własnym ciałem. Zaczął skandować zaklęcie.

− Toś ty taki. – W kącikach ust Loren pojawił się okrutny uśmiech. Cięła na krzyż, przez pierś. Nie przyglądała się efektom. Hargon wrzasnął i upadł, przyciskając ręce do obficie krwawiącego brzucha. Rana była płytka, ale ból i stumień krwi na moment kompletnie go zamroczyły.

Loren wzniosła miecz i uderzyła jego czubkiem w sam środek Glinianej Pieczęci. Oślepiający rozbłysk prawie odrzucił ją pod drzwi, ale Pieczęć pozostała nienaruszona. Podbiegła z wściekłym rykiem i zaatakowała magiczny artefakt ponownie. Rąbała na oślep, nie zważając na siejące się wokół iskry białego blasku. Hargon, wciąż zaciskając palce lewej dłoni na ranie, odpełzł pod ścianę i podniósł przewrócony kandelabr. Zbliżył się cicho i uderzył mocno, celując w głowę.

Ból na chwilę ją zamroczył, ale nie wypuściła miecza. Uchyliła się przed następnym uderzeniem. Odezwały się wyuczone podczas treningów odruchy. Zrobiła zwód, po czym zgrabnym sztychem zagłębiła ostrze miecza w ciele przeciwnika.

Hargon jęknął. Gdy wyszarpnęła broń z rany, zachwiał się i ciężko zwalił na posadzkę, na której wykwitać zaczęła kałuża krwi. Loren stała przez chwilę, nie oddychając. Potem odwróciła się w stronę Glinianej Pieczęci i uderzyła jeszcze raz, precyzyjnie, w sam środek, biorąc dobrze wyważony zamach. Znów rozbłysk światła.

Na Pieczęci została smuga krwi.

I to była krew jej ojca.

Glinę poznaczyła nagle pajęczyna maleńkich rys. W rozbłysku implozji artefakt zapadł się w sobie, wydzielając dziwne, czarne, nieprzenikliwe światło, które zaczęło promieniować na zewnątrz, pochłaniając rzeczywistość kawałek po kawałku. Loren poczuła nagle, że mury wokół niej drżą. Z witraży posypały się resztki szkła. Leżące na podłodze krzesła, księgi i sprzęty wpadły w dziwne wibracje. Budynkiem targnął wstrząs, a potem kolejny. Na murach zaczęły pojawiać się głębokie rysy, ale Loren już na to nie patrzyła. Rzuciła się do

ucieczki. Zbiegła po schodach i puściła się pędem przez dziedziniec, który drżał i pękał u jej stóp. Niebo, wcześniej błękitne, teraz miało kolor ołowiu. Nad zamkiem unosiła się gigantyczna chmura, tańcząca na pojedynczej, wirującej złowrogo trąbie powietrznej. Mury i wieże Emain drżały i pękały z trzaskiem. Ogromne kamienie osuwały się w dół. Z góry sypał się deszcz dachówek i odłupanych fragmentów kamiennych ścian.

Loren biegła, nie zważając na padający wokół grad kamieni.

Znad morza powiał silny, sztormowy wiatr. Na horyzoncie podniosła się ogromna fala, wyższa niż wszystkie zamkowe wieże. Zbliżała się z hukiem przewalających się wodnych gór i z rykiem wichru. Na jej szczycie tańczyły bałwany piany, małe przy jej ogromie niczym baranki pasące się na szczytach skał.

Fala z rozpędem uderzyła w mury Emain, przewracając pękając wieże i rujnując mury, rozmywając kamienie i kończąc rozpoczęte trzęsieniem ziemi dzieło zniszczenia.

Impet fali nie poszedł dalej w głąb lądu. Wyczerpał się, zatapiając zamek. Morska toń wygładziła się, a miejsce ciemnej wodnej góry zastąpiły drobne, zielonobłękitne fale, marszczone spokojnym wiatrem. Chmury odpłynęły i na powierzchni wody zalśniło słońce. Emain Avallach zniknęło z powierzchni ziemi.

Nad miejscem, w którym znajdowała się wyspa, unosiła się w powietrzu pojedyncza biała mewa.

KONIEC

Dramatis personae

Mitria z Cantaleny (Mear Melinda Erian de Witten) – czarodziejka, uczona, ukochana Jardala, uboga i niechciana krewna książąt Cantaleny.

Jardal – mag, uczony, ukochany Mitrii. Nikt nie zna jego pochodzenia – a tak naprawdę jest on Wędrowcem Światów, jednym z tych, którzy wzbudzają w świecie magów lęk. Przychodzą z Międzyświata i potrafią żyć wiele razy w różnych odnogach uniwersum.

Evelyn von Stein – czarodziejka, Mistrzyni Glinianej Pieczęci, faktyczna przełożona wszystkich magów z Emain Avallach. Wszystkich dręczy zagadka jej zniknięcia.

Dionisius Grandini – szpieg z Castelburga, mieszczuch o korsarskiej przeszłości, fanatycznie przywiązany do swojego miasta.

Virbio Allenmargh – młody szlachcic z Blenvingardu, wysłannik Bractwa Wolnych Miast.

Adelard z Tradivy – ambitny czarodziej, pewny siebie i zawsze elegancko ubrany. Działa rzekomo jako wysłannik Evelyn von Stein, negocjator w sprawach pomiędzy Emain Avallach i światem zewnętrznym, a w istocie ma znacznie bardziej ambitne plany. Był kochankiem Vereny Haage.

Haakon Svearson – mag nordyjskiego pochodzenia, podstępny i pewny siebie. Potrafi tworzyć bardzo ciekawe kryjówki.

Hargon z Emmendath – zausznik Evelyn von Stein, bierny i tchórzliwy. W Kapitule magów pełni funkcję Mistrza Ceremonii. Być może też ma jakąś tajemnicę.

Tore Harberg – Bibliotekarz z Emain Avallach.

Verena Haage – piękna czarodziejka, dość niefortunnie wybierająca sobie kochanków.

Justin Fern – czarodziej, z pochodzenia tarrencki arystokrata. Ma kilka tajemnic, które tym razem być może zdradzi.

Giulia Baldini – ochmistrzyni w castelburskim Zamku Cieni. Nie lubi magów i również ma kilka tajemnic, które być może wyjdą na jaw.

Sirocco (Lorentina Baldini, przedstawiająca się jako Loren z Burga) – młoda kobieta, kapitan książęcej Gwardii Morgh, która nieoczekiwanie znalazła sobie w życiu nowy cel.

Machiavello Niccoli – prawa ręka castelburskiego Księcia, człowiek opętany żądzą władzy.

Książę – Czytelnik najprawdopodobniej dowie się, kto to.

Fionka – młoda mieszczaneczka, która zdecydowała się wziąć udział w przygodzie.

Gaga (Gwidona) – młoda, energiczna dziewczyna, prostytutka z castelburskiego portu.

Mimi (Aminta) – młoda prostytutka z castelburskiego portu, bardziej nieśmiała od towarzyszki. Pochodzi z Verit.

Mała Bess – młoda prostytutka z castelburskiego portu, ofiara przemocy w rodzinie.

Gilgamesz – mityczny bohater, który niewiadomym sposobem przekroczył granice mitu.

Aurelianus z Xanty – wybitny mag, bardzo wiekowy i cieszący się olbrzymim szacunkiem. Wyjeżdża z Emain Avallach, żeby zademonstrować brak poparcia dla działań Evelyn von Stein i już tam nie wraca. Widzi więcej, niż mogłoby się wydawać.

Leta Therrus – mądra, wiekowa czarodziejka, opiekunka Cantii von Essen.

Cantia von Essen – młoda, skrzywdzona przez życie baronówna, ofiara molestowania. Adeptka magii i podopieczna Lety Therrus.

Jastrząb – znany dowódca kondotierów.

Agostino Valla – emerytowany uczony, prywatny nauczyciel Bertoglia di Nero.

Bertoglio di Nero – młody szlachcic, podróżujący razem ze swoim nauczycielem w celach edukacyjnych.

Ventino Strozzi – zamożny kupiec, który ratuje z opresji niejaką Loren z Burga.

Podziękowania

Każdy tekst ma swoją historię, a praca nad długą powieścią przypomina palimpsest – niektóre treści trzeba wymazać, a nad nimi starannymi pociągnięciami pióra nadpisywać nowe. Opowieść obrasta w ten sposób w fabularne piętra, które trzeba układać i przycinać. A całość wyrasta niekiedy z jednego przebłysku, jednej sceny. W tym przypadku wypączkowała z obrazu wędrowca spoglądającego ze wzgórza na miasto, malowniczo położone na wybrzeżu. Wiedziałam, że spotka on dwoje czarodziejów uwikłanych w osobliwy konflikt uczuć i powinności, ale pojęcia nie miałam, jak długą drogę ów nieszczęsny młodzieniec będzie musiał przejść, by następnie ponownie osiągnąć bramy tego samego miasta.

Są na tym świecie dwie istoty, którym chciałabym złożyć tę książkę u stóp – i którym została zadedykowana: Mirek i moja siostra Tośka. Ich Obecność jest czymś, co trudno przełożyć na słowa.

Dziękuję wszystkim osobom (często mi osobiście nieznanym), które przeczytały surowy tekst i wniosły swoje wartościowe uwagi. Dzięki Wam udało się uniknąć wielu potknięć i mielizn, a tekst niewątpliwie ogromnie zyskał. Szczególne podziękowania kieruję do Marcina Kowalczyka za niezwykle wartościową dla mnie pisarską współpracę, zażarte dyskusje i pogaduchy przy kawie. Mogę tylko powiedzieć – niech trwa. Wyrazy wdzięczności pragnę również skierować do Moniki Samsel-Chojnackiej, która przetłumaczyła wypowiadane przez Adelarda zaklęcie na szwedzki (o staronordyjski nie prosiłam). Zaklęcie co prawda nie podziałało, ale Adelard sam jest sobie winien, skoro niedostatecznie opanował język swojego gospodarza.

Pragnę podziękować również Adamowi Podlewskiemu, z którym zawsze bardzo miło mi się współpracuje. Mam wobec Adama pewien dług, który omyłkowo zaciągnęłam i niniejszym spłacam. A było to tak: miałam zwyczaj archiwizować poszczególne wersje powieści, wysyłając je mailem do samej siebie. I raz omyłkowo zamiast na swój drugi adres mailowy wysłałam tekst do Adama, który do sprawy podszedł poważnie. Przeczytał tę jeszcze mocno niepełną i bardzo chropawą wersję i wysłał mi swoje uwagi. Kiedy otrzymałam maila, na chwilę zamarłam w stanie umiarkowanego bezdechu. Nie zamierzałam na tym etapie nikomu powieści pokazywać! Wyjaśniłam nieporozumienie (spontanicznie, a więc w dość malowniczych słowach, muszę przyznać) i podziękowałam Adamowi za włożony wysiłek i za wartościowe uwagi –

szczególnie wzięłam sobie do serca tę dotyczącą stylizacji, natychmiast ją uwzględniłam. Adamie, raz jeszcze dziękuję.

Od wydania pierwszego tomu minęło trochę czasu, powieść zyskała więc już Czytelników. Jak pisał Umberto Eco, istnieje Czytelnik Modelowy… a mój Modelowy Czytelnik – Andrzej „Kruk" Appelt – zmaterializował się na spotkaniu w trakcie Bydgoskiego Fantastycznego Trójkąta Literackiego i poświęcił powieści parę bardzo wnikliwych i niezwykle życzliwych komentarzy na Facebooku i na blogu Kroniki Zapowiadanych Lektur. Okazało się, że ten Czytelnik jest w stanie wyśledzić wszystkie interteksty, nawet te, o których tylko myślałam – ale naprawdę myślałam! Ładnie to tak zaglądać autorce do głowy?

Pragnę również podziękować wszystkim, którzy na powieść czekali i ponawiali pytanie „kiedy?". Miło wiedzieć, że ktoś czeka. I życzliwym Czytelnikom pierwszego tomu, którzy odzywali się do mnie, komentowali, pytali o kontynuację – również dziękuję – z żalem, że nie sposób wszystkich wymienić. Za wsparcie dziękuję Tadeuszowi Krajewskiemu, a Markowi Żelkowskiemu i Wiktorowi Żwikiewiczowi za miłe radiowe o pierwszym tomie rozmawianie.

Last but not least – chcę podziękować Marcinowi A. Dobkowskiemu, Więcej Niż Wydawcy – a z pewnością więcej dla Kota i Sowy, bo uwagi Marcina (i wybranych przez niego beta readerów) wniosły bardzo, bardzo cenny wkład i uchroniły mnie przed wieloma potknięciami. Powinnam pewnie powiedzieć również parę rzeczy na temat współpracy z Genius Creations, ale to wymagałoby wielkich słów i jakoś tak jest, że cokolwiek napisałabym, Konwencjonalna Forma zamieni to w banał, a ja okropnie nie lubię wygłaszać banałów. W związku z tym umówmy się, że ja nie powiem tych wszystkich rzeczy, a Wydawca i tak będzie wiedział, co chciałam powiedzieć. I – niech trwa.

Posłowie

Pisanie przypomina tkanie – wymaga cierpliwości, trzeba nauczyć się odpowiednio przeplatać wątki, z szacunkiem traktować osnowę. Jeśli proces zakończy się sukcesem, widać gotowy wzór na tkaninie – a Czytelnik może nawet nie podejrzewa cierpliwej Penelopy o tak częste prucie i tkanie na nowo. Jednak tekst wymaga ogromnej pokory. Aby Czytelnik mógł znaleźć w nim przyjemność, potrzeba czegoś, co Samuel Taylor Coleridge nazwał „dobrowolnym zawieszeniem niewiary". Oznacza to, że musimy zaufać opowieści, wejść w jej świat, zapomnieć, że mamy do czynienia z fikcją. Jednak z pewnych względów – chociażby z uwagi na doświadczenia postmodernizmu – współcześnie nie sposób wykazać się taką swego rodzaju dziecięcą naiwnością wobec tekstu. Nawet gdybyśmy postmodernizm potraktowali wyłącznie jako przejściową aberrację (a jest to stanowisko skrajne, z którym nie potrafię się zgodzić), nie da się zapomnieć i pominąć milczeniem tego, czego nas nauczył. Z tą świadomością można jednak snuć opowieść o tworzeniu opowieści. Stąd wzięły się Prządki – to one mają przypominać, że historia miłości Mitrii i Jardala powstaje niejako na oczach Czytelnika, że jest sztuką wyboru jednej drogi spośród wielu, a więc pośrednio również – sztuką tkania opowieści.

Jak mawiał Umberto Eco, książki mówią zawsze o innych książkach. A jeśli ktoś lubi intertekstualne zabawy (a ja je uwielbiam, wzorem tych, których uważam za moich mistrzów – wspomnianego już Eco, Terry'ego Pratchetta, Jorge Luisa Borgesa, Andrzeja Sapkowskiego i wielu innych) – znajdować będzie przyjemność w zostawianiu dla czytelnika mniej lub bardziej zatartych śladów, prowadzących do wielkiego uniwersum Biblioteki. Uważny Czytelnik z pewnością dostrzeże nawiązania do mitologii nordyckiej, celtyckiej czy greckiej, opowieści o Tristanie i Izoldzie, misteriów eleuzyjskich czy Sienkiewicza – nie mówiąc już o tych zupełnie oczywistych – do eposu o Gilgameszu, *Księcia* Machiavellego czy wspomnianego motywu Biblioteki, tak pięknie obecnego u Borgesa, Eco i Pratchetta.

Skąd wśród nawiązań tyle mitów? Czas się wytłumaczyć. Bez mitów po prostu nie da się żyć. Mity to opowieści, które porządkują świat, pomagają go zrozumieć. Nigdy nie stały się martwe. Ożywają wciąż na nowo, w przeróżnych odsłonach, bo są językiem, za pomocą którego komunikujemy się ze światem – i nigdy nie przestały nim być. Jesteśmy zwierzętami opowiadającymi, potrzebujemy opowieści, aby rozumieć, oraz rytuałów, aby uczestniczyć. Nigdy nie przestaniemy powielać tych samych narracji o bohaterze, który – jak

stwierdza Joseph Cambell – musi wyruszyć na wyprawę, podjąć się wykonania niebezpiecznej misji, pokonać potwora, zdobyć jakieś dobro dla swojej społeczności, zwyciężyć i zginąć. Popkultura nigdy nie przestanie powielać tej opowieści. Korzysta z niej również obficie klasyka fantasy. Zawdzięczam również wiele Inklingom – szczególnie C.S. Lewisowi i J.R.R. Tolkienowi. Uważny czytelnik z pewnością dostrzeże ich unoszącego się nad tekstem ducha. Za miłość do renesansu odpowiada natomiast *Udręka i ekstaza* Irvinga Stone'a – jak to z miłościami bywa, od tego się zaczęło, choć na tym nie skończyło.

Chciałabym także wytłumaczyć się, przynajmniej częściowo, z mniej oczywistych intertekstów. Pobrzmiewają na kartach *Nocy kota, dnia sowy* echa dwóch wspaniałych poematów, *Boskiej Komedii* Dantego i *Ziemi jałowej* T.S. Eliota. Justin Fern, opowiadający Mitrii o swojej miłości do kuzynki cesarza, mówi słowami Dantego, wielbiącego Beatrycze i obiecującego jej, że zamilknie, dopóki nie nauczy się tak wiele, by mógł napisać o niej to, czego nikt nigdy nie powiedział o żadnej śmiertelnej. Cóż, dotrzymał słowa. Jeśli *Boska Komedia* jest wierszem miłosnym, to, trzeba przyznać, najwybitniejszym na świecie. Miłosne uniesienie opisuje natomiast Justin słowami Petroniusza.

Natomiast *Ziemia jałowa* Eliota to poemat mroczny, ponury i szaleńczo skomplikowany. Jego echa dźwięczą w pobliżu Zamku Cieni, kiedy gęstnieje atmosfera i pojawia się motyw umarłego miasta – a w drugim tomie obecne są blisko Pustej Ziemi, gdy bohaterowie muszą wejść w cień pod czerwoną skałą… *Boska Komedia* i poemat Eliota stanowią dla mnie upostaciowanie dwóch metod opisywania świata. Jedną z nich jest skłonność do porządkowania, do budowania eleganckich, harmonijnych teorii, a drugą próba oddania egzystencjalnego lęku, dopadającego nas w chwili, gdy zaczynamy rozumieć, że otaczająca nas rzeczywistość nie jest bezpieczna i przewidywalna, a wręcz przeciwnie – atakuje nas okrucieństwem i przypadkowością. Dante ukazuje monumentalny Model świata (o którym C.S. Lewis pisał w *Odrzuconym obrazie*, że jest on sam w sobie średniowiecznym arcydziełem), Eliot natomiast diagnozuje nieuchronny chaos i rozpad, a jedno wydaje się dopełnieniem drugiego. Pusta Ziemia w świecie powieści nieprzypadkowo jest Pusta – sygnalizuje odejście bogów, metafizyczną próżnię, „ziemię jałową" (to z kolei intertekst do intertekstu – Eliot bawi się motywem ziemi jałowej z romansów arturiańskich, tak dobrze opisanym przez Jessie Weston…). No dobrze. Skończyć czas. Nie odbierajmy chleba interpretatorom, o ile się takowi znajdą. Choć tu po raz kolejny odwołać się mogę do Eliota, który dał do *Ziemi jałowej* szereg przypisów, wskazując tropy i piętrząc interpretacje… No dobrze. Naprawdę czas kończyć. To dobry moment. Tylko jeszcze jedno.

Muszę się w tym miejscu wytłumaczyć z jednego nawiązania niezamierzonego. Czytelnicy pierwszego tomu zwrócili uwagę na podobieństwo motywu przemiany do tego znanego z filmu *Zaklęta w sokoła* (*Ladyhawke*, 1985, reż. Richard Donner). Jego bohaterka za dnia staje się sokołem, a jej ukochany nocą przemienia się w wilka, stąd nie mogą się w ogóle widywać w ludzkiej postaci, choć stale ze sobą przebywają. Podobieństwo motywu jest więc niezaprzeczalne. Pozostaje tylko jeden problem: ja tego filmu nie widziałam, a w każdym razie nie przed ukończeniem pisania powieści. Później przypadkowo natrafiłam w sieci na artykuł o najlepszych filmach fantasy, zdziwiłam się podobieństwem i postanowiłam obejrzeć. Nie przypominam sobie, abym widziała *Zaklętą w sokoła* kiedykolwiek wcześniej. Próbowałam wniknąć w zakamarki własnej pamięci i dociec, czy może oglądałam ten film w dzieciństwie, utkwił mi jakoś w głowie i potem podświadomie wykorzystałam motyw… Nic z tego. Nie pamiętam i już. Mam wrażenie, że widziałam go pierwszy raz w życiu. Podobieństwa motywu nie potrafię wyjaśnić inaczej, jak tylko (z przymrużeniem oka) Jungowską hipotezą nieświadomości zbiorowej.

Reszta jest milczeniem albo pozostaje w Twoich rękach, Czytelniku.

Spis treści

Czas innych miejsc 9
Czas więzów 76
Czas rozstajnych dróg 168
Czas tego, co będzie 226
Czas świata, czas miasta 266

Noc kota, dzień sowy: Gliniana Pieczęć
Copyright © Marta Kładź-Kocot
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.
druk ISBN 978-83-7995-143-7
epub ISBN 978-83-7995-144-4
mobi ISBN 978-83-7995-145-1
Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: dr Mirosław Gołuński
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.
MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl
Książka najtaniej dostępna w księgarniach www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl